

TOM CCLXXX.

Be. II 1.

ROK 70.

SERYA 9.

ZESZYT 840.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

G R U D Z I E Ń.

1910.

TOM IV.—ZESZYT 3.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—
1910.

TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. STANISŁAW WORCELL,—przez <i>Z. Miłkowskiego</i>	417
2. LISTY DO NIEJ,—przez <i>Zuzannę Rabską</i>	455
3. Z OBOZU KLASYKÓW,—przez <i>d-ra Maryana Szyjkowskiego</i>	470
4. JAN MORÉAS,—przez <i>Jana Szarotę</i>	503
5. JAN OLRZYCH SZANIECKI,—przez <i>Bolesława Limanowskiego</i>	535
6. ROMA—AMOR,—przez <i>Walerego Gostomskiego</i>	556
7. PIŚMIENICTWO:	
K. BOŁSUNOWSKI (Kijów): „Nowoodkryte herby na ceramice w horo- dyszczu Łutawa,“—przez <i>F. R. G.</i>	590
DR. BRONISŁAW PAWŁOWSKI: „Lwów w 1809 r.“—przez <i>Macieja Loreta</i>	593
JABŁONOWSKI ALEKSANDER: „Pisma.“ Tom I: „Ziemie ruskie Rze- czypospolitej,“—przez <i>I. B.</i>	597
8. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Otwarcie sesji jesiennej Izby Państwowej.—Słówko pamięci.—Rządo- wy projekt szkolny.—Obrona posłów polskich.—Fałszy- wy argument w rozprawach.—Jak było naprawdę w Żu- linie?—Nowa ustawa wyjątkowa.—Prace podkomisyi.— Projekt ziemstw w Królestwie.—Z prywatnych obrad nad samorządem.—Żydzi, liberali rosyjscy i my.—Prace sejmu galicyjskiego.—Do wtóru trąbek i piszczałek.— Uroczystości szopenowskie we Lwowie.—Dziko- nie wolnomyślna młodzież w Krakowie i jej wybryki . . .	600
9. WSPOMNIENIA POZGONNE:	
ś. p. ks. Piotr Wawrzyniak, ś. p. Wawrzyniec Benzelstjerna-Enge- ström i ś. p. Ksawery Jaksa Chamiec,—przez <i>L. W.</i>	615
10. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	620
11. DYSKUSYA	626



De II 1

STANISŁAW WORCELL.

Monografie, życiorysy, opracowania historyczne i pamiętnikowe, ukazujące się w czasach ostatnich a dotyczące ludzi tej miary i tego znaczenia, co ks. Adam Czartoryski, Maurycy Mochnacki, Ignacy Prądzyński, oraz Stanisław Worcell, znamionują zajęcie się ogólne w Polsce tem tłem, na którym mężowie ci zaznaczyli działalność swoją. Tło to stanowią wypadki w kongresowem Królestwie Polskiem w latach 1830—1831, mające znaczenie wstępu źródłowego do dziejów działalności ludzi wyżej wymienionych i innych niewymienionych, przebywających przeważnie we Francyi na wychodźstwie, znanem pod nazwą Emigracyi Polskiej z roku 1831.

Emigracya ta wybitną w życiu narodu polskiego odegrała rolę, domagającą się dokładnego jej poznania i oceny obiektywnej. Narzuca się to przymocnie historykom naszym, obejmując wypadki r. 1831, których gen. Prądzyński jest świadkiem rzetelnym, ponieważ wypadki te w umysłowych i uczuciowych ruchach emigracyjnych pełnią funkcję siły popędowej (*force motrice*), moralnie pokrewnej tej, co wywołuje ruchy mechaniczne. Siłę tę najwyraźniej wykazał autor monografii Worcella,¹⁾ nie podchodzącego wprawdzie pod miarę Czartoryskich, Mochnackich, Prądzyńskich, będącego jednak siły owej wierniejszym i dosadniejszym, niż inni, wyraziicielem ze względu na to, że ją sumiennie na polu rozmaitych demokratyczno-politycznych i społecznych objawów badał, zmagając się z przeciwnościami, z którymi walczyć i które łamać musiał.

Walczenie i łamanie się z przeciwnościami, jakie S. Worcell przeżywał, stanowi życiorysu jego kanwę, na której autor, Bolesław

¹⁾ Wydawnictwo Spółki nakładowej „Książka“ w Krakowie.

Limanowski, rozwinął nieprzebrane bogactwo erudycyi, umieszczonej w ramach powikłań dyplomatyczno-politycznych i dążeń socjalistycznych. Rozwinięcie erudycyi, odpowiadającej założeniu autora, mającego na celu przekonanie czytelnika, wymagało pola obszernego. Ledwie na nie starczyło dzieło, obejmujące 417 stron *oct. maj.* i VI przedmowy, a liczące rozdziałów XXI, tu opowiadaniem, owdzie hipotezami zasilane. Stąd zdanie krytycznej z dzieła tego sprawy nie pozwala iść w porządku, w jakim idą rozdziały, lecz nakazuje zgrupowanie takowych wedle zawartości w jednych narracyjnej, w drugich naukowej, w innych polemicznej, w jeszcze innych—tych bodaj czy nie najwięcej—mieszanych. Dwa: XII p. t. „Socjalizm“ i XIX p. t. „Naród i narodowość; państwo i ojczyzna; centralizm i federalizm“—mają nastrój naukowo-pedagogiczny. Dzieło wogóle cechuje ton spokojny i uprzejmy, oraz styl poprawny. Zdobią je portrety: ojca rodziny, Stanisława z bratem w wieku dzieciennym, Stanisława w mundurze gwardyi narodowej w Warszawie, Stanisława z tejże doby (autoportret) i ostatni—Stanisława podczas pobytu jego w Londynie po roku 1849, nic a nic do niego nie podobny. Autor w odsyłaczach dosyć często wzmiankuje archiwa w Rapperswilu, gdzie w jednej z gablot znajduje się wizerunek Worcella taki, jakim on w roku 1849 był. Poznałem go w Londynie w r. 1850. Nie sposób, ażeby człek, doszedłszy wieku lat 50, zmienić się miał z roku na rok tak dalece, ażeby go poznać od jednego rzutu oka nie było można. A fotogram, znajdujący się w Rapperswilu, zrobionym być musiał, jeżeli nie w r. 1849, to przedtem, albowiem w ciągu mego całorocznego z górą z nim obcowania nie fotografował się on ani razu. Na zbytek ten środki mu nie pozwalały. W takim położeniu znajdował się po pięćdziesięciu latach życia, oddanego pracy, pozbawionej widoków osobistych, człowiek, stojący w szeregach ludzi poświęcenia, bez których ludzkość we względzie etycznym marnieby wyglądała i zasługujący przez to na pomnik chociażby książkowy. O pomniku tego rodzaju, zbudowanym dla Worcella przez autora dzieła erudycyjnie wyargumentowanego, mówić będę w porządku, w jakim mi się dzieło przedstawiło: opowiadaniowym, naukowym, polemicznym.

I. Urabianie modelu przez życie.

Ocena pomnika książkowego wymaga omówienia, o ile można, najdokładniejszego istoty modelu dla oznajomienia czytelnika z jako-

ściowem jego pochodzeniem. Modelem B. Limanowskiego był Stanisław Gabryel Worcell, syn Stanisława Grzegorza hrabięgo Worcella, podstolego w. litewskiego, kawalera orderów Białego Orła i św. Stanisława, właściciela m. Stepania z 23 wsiami, liczącymi poddanych dusz męskich 4,003, żeńskich 3,126 — dobra wielkopolskie.

Przed Stanisławem Grzegorzem hr. Worcellem jawi się w rodzinie Worcellów w sposób niespodziankowy, dzięki heraldykowi J. E. Kuropatnickiemu, autorowi „Wiadomości o klejnocie szlacheckim oraz o herbach w Koronie Polskiej i W. Ks. Litewskim,” wiadomość o Worcellu, nobilitowanym roku 1764 i zaraz potem, u B. Limanowskiego, o „Stanisławie Worcellu, kasztelanie halickim, ożenionym z Teklą z Duninów Borkowską, który, na mocy donacyi od krajczęgo Potockiego w grodzie Łuckim 9 lutego 1776 r. sporządzonej, stał się właścicielem miasta Stepania, tudzież Korosta, Wołoszy i innych 80 wsi.“

Pomiędzy nobilitacją Worcella r. 1764 a donacją kasztelanowi Worcellowi dóbr magnackich zachodzi chyba jakieś nieporozumienie. Od kogo, czy od Augustów Sasów, czy od Stanisława Augusta kasztelanę i za jakie zasługi ojciec Stanisława Grzegorza a dziadek Stanisława Gabryela otrzymać mógł?

Nieporozumienie to w wydany, pod dozorem Lelewela, 1844 r. w Lipsku, u Breitkopfa i Haertela, ks. Kaspra Niesieckiego „Herbarzu,” powiększa następujący przez Jana Nepomucena Bobrowicza ułożony w t. X dodatek:

„Worcel, *herbu Dąb*. Tak stoją w Kuropatnickim i Małachowskim. Stanisław Worcel, kasztelan Halicki, z Centnerówny urodzony. Syn jego pojął Podoską podkomorzanę Dobrzyńską, urodzoną z Rupniewskiej. *Krasicki*.“

Tak wynikło nagłe, z nazwiska w dziejach Polski nieznanę i w drugiej połowie w. XVIII nobilitowanę rodziny, wśród szlachty do znaczenia rodu senatorskiego wyniesienie się, osiągnięcie stanowiska magnackiego i koligowanie się z niepotrzebującymi nobilitować się rodami takimi, jak Morzkowscy, Morawscy, Zwierzchowscy, Radziwiłłowie. Znaczenie rodziny tej przed rozbiorem kraju i po rozbiorach rosło, wzmagalo się. Cesarz Paweł, wnet po wstąpieniu na tron — o czem, zdaje się, nie wie autor życiorysu Stanisława Worcella — równocześnie z wyzwoleniem Kościuszki, nadał najpierwszy w zaborze rosyjskim tytuł hrabiowski trzem rodzinom polskim: Ilińskim, Strojnowskim i Worcellom — pierwszym w osobie faworyta swęgo, wsławionęgo dziwaka Józefa Augusta z Rymanowa, drugim w osobie Waleryana, senatora ro-

syjskiego, trzecim w osobie Leonarda, również senatora, brata Stanisława Grzegorza a stryja Stanisława Gabryela.

Stanisław Grzegorz, ojciec tego ostatniego, głównie nas obchodzącego, ożeniony z siostrzenicą księcia „Panie kochanku,“ Duklaną Morawską, która mu duży wniosła posag, zajmował, wśród zawzięcie w czasach owych hulaszczej szlachty wołyńskiej, stanowisko poważne, zwłaszcza po rozwiedzeniu się z żoną pierwszą i poślubieniu około r. 1796 Anny Tepperówny, córki bankiera warszawskiego, kobiety skromnej i bogobożnej.

Ruch opinii publicznej, wywoływany przez Andrzejów Zamojskich, Kołontajów, Stasziców, prowadzący ją w kierunku troski o dolę włościańską, nurtował w społeczeństwie szlacheckim i pobudzał myślących a niecierpliwych onego członków do samodzielnych na polu tem przedsięwzięciom, wytwarzających bądź dziwaczne konstrukcje społeczne, na wzór Mińkowieckiego państwa udzielnego, założonego przez Ignacego Ścibora-Marchockiego, bądź wzorowe za przykładem Brzostowskich stosunków włościańskich ustroje. Do rodzaju reformatorów takich należał Stanisław Grzegorz Worcell. Zaszkiecował on, po ogłoszeniu Konstytucji 3-go Maja, coś podobnego w jednej ze wsi swoich, lecz wojna 1792 r. przeszkodziła wykończeniu dzieła, a przejście Wołynia pod panowanie rosyjskie na inną służenia sprawie publicznej pchnęły go drogę. Szlachcie, pozbawionej sejmikowania i sejmowania, t. j. prawa i obowiązku myślenia i stanowienia w sprawach państwowych, nieskasowany „Statut Litewski“ pozostawiał w zakresach administracyjnym, sądowniczym i edukacyjnym pola dość do zaspakajania ambicyi i służenia obywatelstwu pożytecznie. Na wybory marszałków gubernialnych i powiatowych, kuratorów szkolnych, sędziów, podsędków, deputatów rodzaju rozmaitego i urzędników niższych odbywały się zjazdy szlacheckie, zaprawne intrygami, bankietami, hulankami i kartami. Marszałkowanie gubernialne Stanisława Grzegorza Worcella, wymagające mieszkania w Żytomierzu, trzymania domu otwartego i kucharza znakomitego, na ogromne narażało wydatki. Wybrany został r. 1802, już za panowania Aleksandra I, po Józefie hr. Ilińskim.

„Jako marszałek gubernialny — czytamy w życiorysie Stanisława Gabryela, liczącego w roku tym lat 3 życia — Worcell zamieszkał w Żytomierzu, a dla wygody wydzierżawił (chyba zadzierżawił) w pobliżu tego miasta wieś Słobódkę. Dom prowadził po pańsku, na wielkiej stopie, nie ustępując w tem gubernatorowi Kumburlejowi, który starał się zająć pierwsze przodownicze miejsce w życiu towarzyskiem swej gubernii. Żytomierz stał się pew-

nego rodzaju stolicą Wołynia. Oprócz dwóch powyższych domów, książę Czetwertyński otworzył także wspaniałe swe salony. Szczególniej zimą 1805 r. ogromny—jak powiada Ochocki—był napływ przyjezdnych do Żytomierza. „Pani Naryszkinowa, Czetwertyńska z domu, Paweł Bieliński, stryj tego, co w Trojanowie, książę Kazimierz Lubomirski, Jan Tarnowski, Władysław Chołoniewski, może trzydziestu młodych i bogatych bawili tu ciągle. Wszyscy dawali pyszne śniadania... Co kilka dni przywożono ostrygi z Odesy, nawożono serów szwajcarskich, śledzi holenderskich, surowej wiziny, jesiotrów, sterletów i t. d.“ Życie wystawne rujnowało Worcella. Przytem lubił namiętnie grę w karty, grał w bostona i nawet w faraona i zawsze przegrywał. Żona i Ochocki (co do Ochockiego—pytanie) ¹⁾ wstrzymywali go od gry, z przestrachem patrząc, „jak go otaczający przyjaciele napewne ogrywali.“ Wdał się przytem w spekulację, za namową przebywającego, jako senator, w Petersburgu brata Leonarda, posiadającego—jak Ochocki świadczy—„rozum przebiegły,“ w której udział wzięli książę Czetwertyński, Marcin Tarnowski, Marcin Bukar, Baczyński, Poniński, Dąbrowski i Ochocki. Chodziło o t. zw. podrad wobec przewidywanej na r. 1806 wojny, do której nie przyszło. Na marszałkowaniu, grze w karty i chybionej spekulacji Stanisław Grzegorz hr. Worcell z majątku swego stracił—wedle Ochockiego—5,000 dusz. W czasie wyborów r. 1808 swoją na marszałkostwo gubernialne kandydaturę cofnął.

Roku 1808 syn jego, Stanisław Gabryel, lat dziewięć życia już liczył.

Namiętność Stanisława Grzegorza do kart i przyjaźń Ochoczych nie w nader go jasnych, jako obywatela i ojca rodziny, barwach wykazuje. W odniesieniu do jego przekonań politycznych dziś go zaliczono do ugodowców, ponieważ autor, przemilczając o zachowywaniu się jego wobec legionów Dąbrowskiego, wojen dla Polaków nieobojętnych 1807, 1809 i 1812 r., zaznacza, wedle „Ramoto o Wołyniu“ starego Detiuka (pseud. Antoniego Andrzejowskiego, botanika), uwielbienie obywatelstwa polskiego na Wołyniu dla cesarzów Pawła i Aleksandra I.

„Wesoło było wszędzie—pisze Andrzejowski—bo dobre były czasy.“ Dygnitarze rosyjscy, olśnieni (obywatelstwa polskiego) ¹⁾ wytworną i wyższą kulturą, mimowolnie chyliłi przed nią swe czoła. Gudowicz, wysłany przez Pawła na Wołyn, ażeby zbała,

¹⁾ Wyrazy w nawiasach w ustępach cytowanych są moimi wtrętami.

o ile prawdziwe były wieści, „że młodzież wymyka się ciągle zagranicę do legij polskich,“ że istnieje nieustanna komunikacja pomiędzy obywatelami polskimi a legionistami, był tak oczarowany wspaniałem i gościnnem przyjęciem w Tyczynie, że ucałował piękną rękę wojewodzianki, puścił się w wesołe pląsy i na pożegnanie, uściskawszy gospodarza, zapewnił, iż „od wszelkich nieprzyjemności ze strony rządu po jego raporcie jest wolny.“ W tymże Tyczynie na weselu Teresy, córki wojewody sieradzkiego, Michała Walewskiego (targowiczana), z kasztelanicem Adamem Bieżyńskim, na które zjechała się gromadnie arystokracja wołyńska i litewska, na którym był także i stary Worcell, gubernator Glazenap, „ujęty miłem przyjęciem i uprzejmą otwartością wojewodzińskiej rodziny, pijąc może po raz dziesiąty zdrowie solenizanta, w wylaniu serca, wśród najczulszych oświadczeń,“ ugiął przed wojewodą kolano. Gubernator Kumburlej zastosował się do zwyczajów polskich i w domu jego zapominano, że się ma do czynienia z przedstawicielem zdobywczego rządu. Szlachta suto a serdecznie podejmowała Aleksandra I, kiedy ten przybył w 1816 r. na rewję wojsk pod Hrehorówką, na samem pograniczu Wołynia i Podola. I stary Worcell tam był.“

Zaiste, „dobre były—w mniemaniu starego Detjuka—czasy.“

Pod wpływem takim, w otoczeniu takim upływało dzieciństwo Worcella młodego i zaczynała się dla niego młodocianość. „W r. 1819 w raporcie Filipa Platara z dn. 19 lipca wymieniony jest Stanisław Worcell jako uczeń kursu drugiego, nagrodzony listem pochwalnym.“

Autor życiorysu jego, mówiąc o jego latach dziecińczych, rozdział II dzieła swego następującymi rozpoczyna wyrazami:

„Stanisław Gabryel Worcell, pierwszy najwybitniejszy krzewiciel przekonań socjalistycznych w Polsce, urodził się 26 marca w 1799 r.“

We frazesie tym do zaprotestowania dwie nasuwają się rzeczy, odnoszące się do krzewienia przez S. G. Worcella socjalizmu: jedną stanowią dwa przymiotniki „pierwszy najwybitniejszy,“ drugą rzeczownik łącznie z przyimkiem „w Polsce.“ Stanisław G. Worcell nie był ani pierwszym, ani w Polsce krzewicielem socjalizmu, ponieważ na Emigracji — nie w Polsce — wyprzedził go nader wybitnie Tadeusz Krępowiecki wygłoszoną na obchodzie rocznicy powstania w języku francuskim mową, w której szlachtę polską tak dobitnie sponiewierał, że na siebie całą oburzył Emigrację, nie wyjmując demokratycznej, a w niej członków przekonania swoje najdalej na lewo posuwających. Wśród oburzonych

nie najmniej oburzenia okazywał Stanisław Worcell. Ten zaś swoje później wyjawione socjalistyczne przekonania „krzewił“ nie w Polsce, lecz wśród Emigracyi i przekonania jego socjalistyczne w Polsce krzewionemi były nigdy inaczej, tylko przez elewację w agitacyi i na agitacyjny rachunek. Gdy zwyczajne argumenty posłuchu nie budziły, agitator ubierał argument w nazwisko arystokratyczne:

„Słuchajcie! arystokrata, hrabia Worcell, z Radziwiłłami spokrewniony, żonę, dzieci, majątek ogromny dla socjalizmu rzucił!...“

Nie. Frazes o pierwszym najwybitniejszym doktryny socjalistycznej przez S. Worcella w Polsce krzewieniu, zamieszczony w rozdziale wstępnym, nie udał się autorowi, zamierzającemu publiczności polskiej dać dzieło poważne. Frazesem tym z góry wykazał założenie dzieła—założenie tendencyjne, agitacyjne, podjęte w celu, ażeby w dobie obecnej socjalizm, mocno ze stron i etycznej, i estetycznej, i uczuciowej, i rozumowej, i politycznej, i społecznej skompromitowany, podreperować.

Dziwić się należy, iż pisarz wytrawny i w polemice wyćwiczony w tak nieoględny potknął się sposób w dziele wielkiej wartości.

Na szczęście wartość książki sama przez się naprzód się wysuwa.

W r. 1815 znalazł się Stanisław Worcell w Krzemieńcu na drugim kursie. Miał już lat 16—był młodzikiem. Przed wstąpieniem na kursa krzemienieckie otrzymał zapewne wychowanie domowe w Stepaniu. O wychowaniu tem nader szczupłych informacyj udzielić mógł autorowi Mikołaj Jełowicki. Czuwała nad niem ukochana przez Stanisława matka i pod jej okiem zasady religijne wpajał w niego proboszcz, ks. Chororzyński, kapłan wzorowy; nauk udzielał mu Francuz, p. Galle, z wykształcenia i zamiłowania matematyk, z przekonania wolteryanin. Ten w Krzemieńcu, przy uczniu swoim ze Stepania, funkcję dozorcę pełnił.

Mimo wolnomyślność nauczyciela swego, wyniósł S. Worcell z domu religijność głęboką. W duchu tym w Stepaniu z matką z pokoju do pokoju korespondował, co tydzień się spowiadał i roił o poświęceniu się służbie Bożej. Ten sam charakter miała korespondencyja jego z matką, póki się z czterech klas niższych gimnazyalnych nie wydobył i na kursa licealne, których było trzy dwuletnie, nie wszedł.

Od rozdziału III p. t. „Krzemieniec“ zacząwszy, rozdziały następne: „Towarzystwo Szubrawców“, „Wolnomularstwo na Wołyniu“ i „Narodowe Patryotyczne Towarzystwo na Wołyniu“ pełne są treści zajmującej i nauczającej, odnoszącej się do moralnego

i umysłowego dźwignania się społeczeństwa polskiego w tak naówczas zwanych „Krajach zabranych,” obejmujących Litwę i Ruś—tę ostatnią zwłaszcza. Litwę ratował uniwersytet wileński, ratowali ją księża „Robacy,” z których jeden uwiekowiecznił się w polskiej epopei szlacheckiej, zaczynającej się od wiersza: „Litwo, Ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie.” Zdrowiała ona rychlej niż Ruś, ponieważ leżała na wielkim trakcie, prowadzącym ze stolicy Wschodu do stolicy Zachodu, skąd płynęło światło. Światła nie wnosiły przemarsze wojsk rosyjskich do Turcji i z Turcji. Chwilowy pobyt za panowania cesarza Pawła drobnego korpusu francuskiego, stanowiącego zarodek armii pozbawionego tronu Ludwika XVI, na Wołyniu wywarł wpływ niepożądany na domy magnackie, będące wzorem dla szlachty zamężnej. Francuszczyzna uzyskała zasiłek w tej kulturalnej inwazyi. Wpływu tego nie zobojętniły wojska austriackie, odegrywujące rolę sprzymierzonych wielojęzycznej armii francuskiej, która r. 1812 Rosyę załała. Po ustąpieniu Austryaków, zwłaszcza zaś huzarów węgierskich, pamiętnych chłopstwu wołyńskiemu, któremu się nie tylko swoim *b... terem tiszem!* we znaki dali, na Rusi w rzeczy samej nastąpiły sławione przez Detiuka „dobre czasy”—dobre, bo pokojowe i spokojne i, co najważniejsze, nacechowane uprzejmością oficjalną. B. Limanowski uprzejmości tej, świadczącej o możliwości zbratania się polsko-rosyjskiego, kilka przytacza faktów, przemilczawszy fakt głośny w swoim czasie (r. 1816) i znamienny: całowania przez Aleksandra I Polek w ręce. Wymieniano nawet—żartem zapewne—Polki, co sobie, dla zachowania do śmierci pamięci tego zaszczytu, ślubowały nie mycia tej ręki, na której cesarz pocałunek złożył. W dzieciństwie mojem w Humańszczyźnie znałem panie, co o pocałunku cesarskim z rozrzewnieniem wspominały; znałem oraz panów, dyplomatów wioskowych, z faktu tego poważne i doniosłe na przyszłość wnioski wyprowadzających. W oczach mi stoi J. B., sąsiad nasz, z Rosyanką, córką czy kuzynką wsławionego „szerokością natury“ gubernatora Tutulmina ożeniony, wymownie rozprawiający o zamiarach Aleksandra I, jako też o przechowującym się w jakiejś „pałacie“ opieczętowanym cesarza Pawła testamencie, nikomu w całym państwie innemu, tylko Ilińskiemu z Romanowa znanym. Obok wnioskowań takich nierządki zdarzały się rozkochiwania Polek przez Rosyan. Nietylko z wielkopańskiej sfery Grocholskich, lecz i z wioskowej szlachty panny z oficerami od huzarów, a nawet i od piechoty małżeńskim łączyły się węzłem. Przykład Joanny Grudzińskiej znajdował naśladowczynię aż na Pobereżu, w najbardziej

południowo-wschodnim dawnej Rzeczypospolitej Polskiej kęcie. Sprawiała to z góry nakazana uprzejmość oficjalna.

Uprzejmość ta rany goiła i wrogie nastroje łagodziła, pod tym atoli warunkiem, ażeby ją od Europy zachodniej osłaniał mur chiński.

Muru podobnego Polacy budować nie mogli i dlatego uprzejmość wyzyskali nie tak, jak należało.

Wyzyskali ją (nie rozmyślnie nb., lecz z konieczności) po grzęznących w Alwarze panowaniach Sasów i zainstalowaniu za Stanisława Augusta Komisji Edukacyjnej — z popędu żywiołowego, że tak powiem, jako nieodzowną potrzebę narodową: ks. Adam Czartoryski, po zdegradowaniu go ze stanowiska ministeryalnego na kuratoryę litewsko-ruskiego okręgu naukowego i Tadeusz Czacki. Ten ostatni w taki z łaskawego władz wyższych usposobienia sposób skorzystał, że założone przezeń w r. 1805 w Krzemieńcu gimnazyum rozszerzał stopniowo do rozmiarów licealnych, nadających się na wykształcenie rozumiejących potrzeby kraju i społeczeństwa obywateli, rozbudzenie w narodzie skłonności literackich i artystycznych i wywoływanie w uczniach zamiłowania do uprawiania nauk w ogólności, ścisłych nie wyłączając.

Liceum krzemienieckie było prawdziwem dla prowincyj ruskich dobrodziejstwem. Za dwa rozdziały, poświęcone pobieżnym wspomnieniom o niem, należy się wdzięczność Bolesławowi Limanowskiemu. Są one trafnie zebrane, jasno wypowiedziane i nie podlegają zarzutom. Nie sprawdził tylko domysłów: „Dlaczego Czacki wybrał Krzemieniec odległy, nie zaś jakieś miasto środkowe na Rusi przeddnieprzańskiej?“ Krzemieniec przez Czackiego został jakoby wybranym na ognisko oświatowe na Rusi, jak mówiono, „dlatego, że był wolny od nacisku dykasteryów wykonawczych i trybunału, że ludność tam była przeważnie chrześcijańska, że życie było tanie, że z powodu górzystego położenia miał powietrze zdrowe. Może i ta okoliczność zaważyła na szali, że znajdował się daleko od siedzib władz naczelných.“ Domysły te rozwiązuje plan, nakreślony i wykonany przez Komisję Edukacyjną, tyczący się zakładania szkół. Wedle planu tego Korona podzieloną była na sześć, Litwa na cztery okręgi edukacyjne, szkoły zaś na wydziałowe i podwydziałowe. W okręgach koronnych szkoły wydziałowe były: dla Wielkopolski w Poznaniu, dla Małopolski w Krakowie, dla Mazowsza w Warszawie, dla Wołyńa w Krzemieńcu, dla Ukrainy w Winnicy. Krzemieniec przeto z góry Czackiemu był wskazany a domysł: czemu on Winnicy, Humania lub Żytomierza nie wybrał, odnieść można do tej oko-

liczności, że Krzemieniec, położony w pobliżu granicy austriackiej i w miejscowości ustronnej, oddziaływać mógł na społeczeństwo polskie w Galicyi, forsownie przez Austryę germanizowane. O szkołach dla Rusinów w dobie owej mowy nie było. Oni sami się o nie nie upominali, w Rosyi zaś, w rządowych i naukowych sferach wiedzano, że „Polacy prawosławie srodze prześladują,“ nie wiedzano jednak jeszcze, że wyznający je i niewyznający Rusini są to *iskoni* Rosyanie, którzy mimo to w Polsce dawnej szkoły swoje mieli i we własnym się prawowali języku. Szkolnictwo przeto rusińskie, w pierwotnym znajdując się stanie, ograniczało się na szkółkach cerkiewnych, pozostających pod opieką duchowieństwa niższego, w połowie jednej unickiego, w drugiej prawosławnego. Czackiego mniej na razie ono obchodziło.

W pobieżnym rzucie oka autora na Krzemieniec bohater monografii zaledwie się wynurza tu i owdzie. Osoba jego nie wydziela się, że tak powiem, „obiecująco“ z pośród nietylko znakomitych, ale i przeciętnych osobistości, wyszłych z tej uczelni wołyńskiej. Zastąpiły ją inne. Dowiadujemy się jeno o nim, że na drugim kursie r. 1815 dostał list pochwalny i że r. 1820 Towarzystwo uczniów, ćwiczących się w porządnym mówieniu i pisaniu, „wezwało jednogłośnie na swego członka Worcella Stanisława,“ znanego z zatrudnień literackich i bawiącego teraz jedynie z przywiązania do nauk w Krzemieńcu. „Znaczyłoby to—jak słusznie L. B. przypuszcza — że już w poprzednim roku był on *liber*, to jest ukończony uczeń, nie podlegający władzy prefektowskiej, ale mogący pozostać jeszcze przez rok jeden w szkołach i mający przywilej obrać sobie przedmioty, w których szukał doskonalenia. Jełowicki powiada, że Worcell był w Krzemieńcu od 4 do 5 lat. Trzeba więc przypuszczać, że przybył do gimnazjum wołyńskiego już po śmierci Czackiego, która nastąpiła 1813 r. i że podczas jego pobytu otwarto liceum wołyńskie, co się stało w r. 1819.“

Tyle wiadomości biograf Worcella zebrał, co do czasu pobytu jego w Krzemieńcu. Wiadomościom tym towarzyszy informacja, że S. Worcell „znanym był z zatrudnień literackich i z przywiązania do nauk“ i dlatego uproszonym został do powtórzenia w Towarzystwie uczniów, ćwiczących się w porządnym mówieniu i pisaniu po polsku, odczytu o Szleglu, wypowiedzianego przezeń na posiedzeniu literackim u Aloizego Felińskiego, który był w liceum profesorem i rektorem i na którego pogrzebie tenże S. Worcell mowę wygłosił. S. Worcell upamiętnił się jeszcze łzami, wylanemi na wieczorku u gen. Ludwika Kropińskiego, gdy ten

z rękopisu „Julii i Adolfa“ odczytywał o miłości ich „nad brzegami Dniestru,“ jako też o należeniu jego do kółka literackiego, złożonego z braci Olizarów Gustawa i Narcyza, Józefa Korzeniowskiego, Ksawerego Godebskiego, w którym, gdy humorystycznie komentowano poemat p. t. „Rzeki polskie“ Kajetana Jaksy Marcinkowskiego, wierszoklety-współzawodnika autora „Wierszy moc wielka za pół rubelka,“ wziął udział w charakterze ilustratora ołówkiem.

Najważniejszym wszakże dziełem Stanisława Worcella w czasie pozaszkolnego przebywania jego w Krzemieńcu było uczestnictwo w założeniu filii Szubrawców wileńskich i objęcie w niej przewodnictwa. Było ono najważniejszym, ponieważ znamionowało podzielenie przekonań i zasad gromadki młodzieży wileńskiej, stowarzyszonej z profesorami tej miary, co Jędrzej Śniadecki, Leon Borowski, Joachim Lelewel, wyszydającej starszszlacheckie i nowonabyte wady i zasiewającej grunt narodowy ziarnami sprawiedliwości społecznej. „Szubrawcy byli przeciwnikami poddaństwa chłopów i kiedy na sejmiku szlacheckim w Wilnie podniesiono sprawę zniesienia poddaństwa, przyklaskiwali Szubrawcy i po całym mieście gawędę siali, popierając Zawiszę i Mirskich, którzy najżywiej obstawali za wolnością włościan“—pisze Lelewel w jednym z listów swoich do ojca.

Towarzystwo to wywołało założenie filii w Krzemieńcu, co świadczy o nastroju wolnościowym, przeciwnym pojęciu „złotej wolności,“ zaszczepianym przez oświatę wyższą w sfery szlacheckie. Nastrój ten z Wilna udzielił się Krzemieńcowi. W Krzemieńcu zawiązało się towarzystwo pod nazwą grecką *Heautontimorumenos* (dąsających się na siebie), którego członków w skróceniu zwano „Merynosami.“ Skojarzenie Merynosów z Szubrawcami skutecznym wysłaniem krzemieniecki, Jełowicki, a wpływ wyraził się w zbytku, na który sobie krzemieńczanie pozwolili, sprowadzając na szereg popisów sławną naówczas śpiewaczkę, Catalani. Zbytek ten zganił ks. Adam Czartoryski, a z grona Merynosów wyszła nagana rymowana, nie wiem czy gdzie i kiedy drukowana: „Mościa pani Catalani, przepięknie śpiewasz asani, ale twoje tra-la-ra nie warte talara.“

Z należenia do filii Szubrawców możnaby upatrywać w Worcellu zaród przyszłego krzewicielstwa socjalizmu w Polsce. Autor atoli, przypuszczając domniemywany jego, pod pseudonimem Tukana, udział w wydawanych przez Szubrawców „Wiadomościach Brukowych,“ chłószczących bez miłosierdzia wady narodowo-szlacheckie: pijatykę, karciarstwo, pieniactwo, tytułomanię, wstręt do

czytania, wynoszenie się z powodu urodzenia i majątku, najbardziej zaś uciemienianie włościan, tak przyszłego zbawodawczej doktryny krzewiciela scharakteryzował:

„Stasia—tak go powszechnie nazywano—lubili koledzy. Był koleżeński, uczynny. Rozmiałowany w książkach, z trudnością dał się odrywać od czytania, jeżeli napotkał coś interesującego. Małomówny, często milczący, ożywił się w dyskusjach naukowych, a zwłaszcza filozoficznych, i wówczas rozprawiał z wielkim zapalem. Nie usuwał się od zabaw i chociaż nie odznaczał się siłą, był zręczny i wlaził jak kot po murze na drugie piętro—opowiada Jełowicki.—Blondyn, miernego wzrostu, dosyć przystojny, grzeczny i dowcipny, podobał się kobietom i sam chętnie przestawał w ich towarzystwie.“

Uzupełniając jednak tę charakterystykę w innym książki miejscu, przyznaje mu, ponieważ źródła komiczności wedle Szlegla przestudyował i natura obdarzyła go zdolnością spostrzegania ułomności człowieczych, uzdolnienie literackie w kierunku humorystycznym. Niezrozumiałem jest powołanie się w tym względzie autora na słowa Kaczkowskiego (zdaje się Karola, naczelnego w r. 1831 lekarza armii polskiej, który od 1823 do 1829 w Krzemieńcu wykładał higienę), że „Czacki nie pochwałał swawolnego piśmiennictwa i jakkolwiek przyznaje Worcellowi niepospolite zdolności, uważał jednak, że szubrawska jego działalność nie licowała z poważnym kierunkiem szkoły krzemienieckiej i że on, jako wychowaniec tejże szkoły, ulecz jej duchowi musiał.“ Nie zgadza się to z chronologią faktów, odnoszących się do Czackiego, jako przewodnika szkoły, który umarł w r. 1813 i do Worcella, jako ucznia, który, będąc onej uczniem do r. 1819 a przebywając w Krzemieńcu najdłużej lat pięć, nie mógł do niej wstąpić wcześniej, jak w roku 1814, t. j. w rok po śmierci Czackiego. Zaliczyć to należy na rachunek przeoczenia, zdarzającego się niekiedy autorom.

Licząc lat 21, jako *liber* i prezes Szubrawstwa krzemienieckiego, źle, dzięki korespondencyjom Tukana do „Wiad. Bruk.,” przez towarzystwo krzemienieckie widziany, Worcell spędził rok 1820 w Krzemieńcu. Nie wypadło mu jednak dłużej, jako pełnoletniemu i posesyonatowi, w Atenach wołyńskich w charakterze nadstudenta przebywać. Zajął następnie czynne stanowisko w wolnomularstwie, przed laty przez rząd protegowanem, następnie tolerowanem, w r. jednak 1821 zakazanem. Zakaz ów obywatelstwo obeszło, przeistaczając łoże z ogólnoludzkich na narodowe i z jawnych na tajemne. Z nabożnego, jakim z pod pieczy macierzyńskiej

wyszedł, szkoła przeistoczyła Worcella na wolnomysliciela, na *wolnodumcę* nawet, nie zraziło go więc przeistoczenie się w tym duchu łąży rafałowskiej, jednej z czterech na Wołyniu, zwanej „Cnotą,” w której Mikołaj Worcell, przyrodni Stanisława brat, pełnił funkcję jałmużnika. Stanisław został w niej sekretarzem. Następnie w osobowym jej składzie zaszła ta zmiana, że wszedł do niej na członka ojciec młodych Worcellów, Stanisław Grzegorz, Mikołaj zaś awansował na drugiego dozorcę, Stanisław na mówcę.

I na tem podania o tym ostatnim urywają się na czas jakiś. W r. 1823 ożenił się z panną Salomeą Kaszowską, damą światową, której miłość w pożyciu małżeńskim napróżno pozyskać usiłował. Ojciec mu dwie wsie wydzierżawił; lecz gospodarstwo mu nie szło—na hreczkosieja się nie urodził, interesy majątkowe go nie obchodziły. Biograf przytacza anegdotę w tym względzie o nim: nie poszedł po wzięcie potrzebnej mu pożyczki, dla której unyślnie do Kijowa w r. 1828 na kontrakty przyjechał, albowiem opanowała go chętka obejrzenia struktury cerkwi Andrzejskiej. Ladajaki gospodarz był dobrym, kochającym dwojga dzieci—syna Stasia i córki Salusi—ojcem. W pełnieniu zaś obowiązków obywatelskich osobowość (indywidualizm) jego zatarła się—w cień się usunęła. Nie wyfigurował w wielkim na ziemiach ruskich ewenemencie: w procesie Decembrzystów, w którym skompromitowało się sporo Polaków i który Piotra Moszyńskiego na Sybir, a brata Stanisława przyrodniego, Mikołaja, w żołdacy na Kaukaz zapędził. Z opałów tych—wobec których, skutkiem może kłopotów małżeńskich, zdaleka się trzymał—Stanisław obronną wyszedł ręką.

I nie dał znać o sobie, aż w r. 1831 w pierwszych dniach czerwca, gdy Karol Różycki na czele swego oddziału, liczącego 130 jeźdźców, przyciągnął do Rafałówki i tam znalazł rozbitków z powstania, zapoczątkowanego w kwietniu przez starego Stanisława Grzegorza Worcella i gromadzącego się w uroczysku leśnym, zwanem Czerewacha. Wraz z rozbitkami stawił się młody Stanisław Worcell. „Pierwszy raz on—mówi Jełowicki—konia dosiadł i mil kilkadziesiąt marszu odbył. Nie zboczył rąk krwią nieprzyjaciela, bo żadnej broni użyć nie umiał i nie chciał.“ Z oddziałem Różyckiego dostał się do Zamościa i z Zamościa pojechał do Warszawy, gdzie przez Wołyniaków, wraz z Olizarem i Godębskim, na posła wybranym został. Jako poseł zajął stanowisko w gronie posłów liberalnych i postępowych, domagał się energicznego prowadzenia wojny, obowiązki poselskie pełnił popraw-

nie i w końcu, gdy Warszawa d. 6 września przez armię rosyjską obleżoną została, udał się wraz z Henrykiem Chońskim, sekretarzem komitetu ziem ruskich, do korpusu gen. Ramorina, celem zniewolenia go do zwrócenia się na odsiecz Warszawy. Niepowodzenie w osiągnięciu celu tego zaprowadziło Worcella do Galicyi, skąd, po niedługim pobycie w zaborze austriackim, powołany przez kasztelana i prezesa Senatu, Antoniego Ostrowskiego, na Sejm, mający się zgromadzić we Francyi dla uradzenia sposobu dalszego służenia krajowi, pojechał do Paryża.

Z wyjazdem tym zamknęła się dla niego szkoła życiowa, odbyta w warunkach, nadanych Polsce przez kongres wiedeński. Doba kongresowa, doba złudzeń o poważnych szyldach urzędowych, zakończyła się fatalnie i zakończyć się inaczej nie mogła, pozbawiła kraj bowiem naraz wszystkiego, co łączyć miało dobro z pięknem i rozum z pożytkiem.

Zakończyło się lepienie z gliny modelu, pod postacią Stanisława Gabryela Worcella, przez życie w środowisku jednym, ażeby go życie w środowisku innym bądź w marmurze wyciosało, bądź w bronzie odlało i w pomniku książkowym światu, jeżeli nie całemu, to polskiemu ukazało.

Pozostaje mi wykazać, jak autor pomnika z zadania się wywiązał. Pierwej jednak winienem rzec słówko o dwóch rozdziałach, mających znaczenie bądź dłużej wobec marmuru, bądź formy wobec brązu plynego.

II. Socjalizm.

Tytuł rozdziału XII-go, p. n. „Socjalizm,“ zapowiada wykład doktryny, której „nazwa ustaliła się w pierwszej połowie XIX st. Oznacza ona dawny komunizm, zastosowany do nowoczesnych skomplikowanych form życia społecznego.“

W ustępie następnym, po tej zupełnie trafnej definicyi, czytamy, że:

„Do przekonań socjalistycznych możemy dojść, wychodząc z trzech stanowisk zapatrywania się na przejawy życia ludzkiego: ze stanowiska idealistycznego—religijnego, materialistycznego—ekonomicznego i pozytywnego—naukowego—socyologicznego. Każde z tych trzech uzasadnień ma swoją część prawdy, lecz dopiero połączenie wszystkich trzech uzasadnień daje nam to, co nazywamy socjalizmem integralnym, to jest obejmującym wszystkie dziedziny, w których się przejawia działalność ludzka.“

„Zacznijmy od stanowiska religijnego.“

Zaczynanie takie ukazuje w następstwie podążanie do sformułowania naukowego zintegralizowanej doktryny. Podążanie odbyło się drogą, na której życie człowieczeństwa pozakładało etapy rozwoju ludzkościowego. Znaną jest ta droga i znanymi etapy, jaskinne zrazu, pałacowe w końcu. Autor kierował się na niej wedle poustawianych przez naukę znaków wytycznych, wskazujących naturalne wertepy, wyboje, rozdroża i sztuczne przez złość lub przekorność kładzione zasieki i inne przeszkody, na których raz po raz załamywać się przychodziło i które się po dzień dzisiejszy bez prostowań i reparacyj obchodzić nie mogą. Prostowania te i reparacje od czasów najdawniejszych społecznienia ludzkościowego, czasów zaznaczonych grupowaniami się państwami ludzkości, dokonywały się w duchu socjalistycznym. Duch ten, nie nazwany, lecz nurtujący w społeczeństwach, objawia się w religiach.

Religia znajduje całkowite uznanie autora życia i działalności Stanisława Worcella, wbrew przeciwnikom dogmatyzmu religijnego a wyznawcom moralności niezależnej. B. Limanowski zapomina jednak, że, o czternaście wierszy powyżej, wyprowadzając rodowód socjalizmu z trzech stanowisk, stanowisko pierwsze „idealistyczne“ zamianował „religijnem“ — że: „religia była, jest i będzie faktem pozytywnym. Była ona—pisze autor dalej—pierwszym łącznikiem społecznym, wspierała rozwój kultury ludzkiej, dawała punkt oparcia się dla pracy umysłowej, zespała coraz liczniejsze gromady ludzkie, wytworzyła samo pojęcie ludzkości, prowadziła i prowadzi ludzi ku coraz wyższym szczytom bytu doskonalszego.“

Zdaniem B. Limanowskiego „religia jest kulturą w dziedzinie uczuciowej, która, jakkolwiek nie da się odgraniczyć od umysłowej, jest wszakże dziedziną odrębną, samodzielną i potężniejszy wpływ od umysłowej wywierającą na życie ludzkie. Cześć dla rodziców, miłość małżeńska, troskliwość o losy dzieci, przyjaźń, przywiązanie do swego narodu, pragnienie szczęścia dla całej ludzkości — to są wyniki myślowe, to są głęboko i silnie zakorzenione uczucia. Stanowią one tę jasną i ciepłą atmosferę życia ludzkiego, która je czyni ponętnem, która wśród ciężkich walk i srożących się burz daje człowiekowi chwile wytchnienia i możliwego szczęścia. Pierwszym czynnikiem, łączącym świadomie zespoły ludzkie, była religia, jako to wskazuje sama jej nazwa—podług saint-simonistów—pochodząca od łacińskiego wyrazu *religare*, wiązać.“

Dla wykazania, jaką do religii autor wagę przywiązuje w odniesieniu jej do socjalizmu, przytoczyć winniemy jeszcze jeden ustęp dłuższy:

„Dzieje nas ucza, że religie tak samo się odmieniały, jak i wszystkie przejawy twórczości ludzkiej. Po okresach fetysyzmu następował politeizm, w dalszym ciągu powstał monoteizm. Samo pojęcie Boga inaczej się przedstawiało w pierwotnych i w późniejszych kościołach. Bóg cielesny przeobrażał się w duchowego; groźny i mściwy w miłosiernego i przebaczącego. Judaizm chrześcijański odegrał wielką rolę w rozwoju ludzkości, lecz zwrócony ku przeszłości, ku tradycjom i powagom starożytnym, zanadto się opóźnił w swych poglądach filozoficznych w stosunku do wiedzy nowoczesnej. Tymczasem nie teologia stanowi główną treść religii, lecz dążenie do coraz większej solidarności pomiędzy ludźmi, do zaprowadzenia braterskich stosunków w życiu społecznym, do zapewnienia ludziom jaknajwiększej sumy szczęścia. Tego zadania podjął się socjalizm.“

Wyraz ostatni autor rozsadzonemi napisał czcionkami i dla nadania mu wartości, powołał się na świadectwo kompetentne.

„Niejednokrotnie już wskazywano—pisze ks. proboszcz Jerzy Liebster—na charakter religijny, istniejący w socjalno-demokratycznym obozie robotniczym wbrew wszelkiemu wypieraniu się. Przedmiot jego wiary nie zadawała nas, chrześcijan, ale siłę i szczerłość wiary socjalno-demokratycznej trzeba uznać. Jest ona naprawdę żywa, albowiem czyni swoich wyznawców tak pełnymi poświęcenia, jakich w kołach chrześcijańskich tylko wyjątkowo się napotyka. Wytwarza ona męstwo, które ośmiela się stawić opór całemu wrogiemu światu. Umożliwia wreszcie ona ową wspaniałą karność, która jest przedmiotem zazdrości innych stronnictw.“

Cytat tych z dzieła Bolesława Limanowskiego dosyć chyba. Wykazują one, że, zdaniem autora, socjalizm jest poprawionym ciągiem dalszym chrystyanizmu w rozwoju życia ludzkości, jeżeli nie zastępcą, nie spadkobiercą religii chrześcijańskiej. Religii chrześcijańskiej, nie innej, ponieważ co do dodatniej socjalizmu jakości, świadczy się sługą kościoła nie tylko chrześcijańskiego, ale katolickiego, autora dzieła świeżo (r. 1909) wydanego p. t. „Kirche und Socialdemokratie.“

Wszelako: „Pogląd uczuciowy, religijny na pochodzenie socjalizmu przeważał w obozie wyznawców do r. 1848. Następnie coraz bardziej kształtował się pogląd materialistyczny-ekonomiczny-

ny i w drugiej połowie XIX stulecia, szczególnie pod wpływem Karola Marxa, wziął stanowczą nad pierwszym przewagę.“

„Karol Marx, kontynuator angielskich komunistów, stojąc wyłącznie na gruncie ekonomicznym, wykazał, że tak zwane prawa ekonomiczne nie są niezienne, że ulegają one ważnym zmianom w każdym odmiennym ustroju gospodarczym, że obecny ustrój kapitalistyczny jest spadkobiercą innego odmiennego ustroju i że z jego kapitalistycznego łona z nieuniknioną koniecznością powstać musi ustrój wspólnościowy. Rozwój gospodarstwa kapitalistycznego prowadzi nieuniknienie do socjalizmu.“

Rozwój przeto idealizmu w chrześcijaństwie i rozwój materializmu w ekonomizmie do jednego i tego samego doprowadziły rezultatu — do rezultatu, mającego na celu: rozwiązanie zadania uszczęśliwienia ludzkości. Zadanie wielkie! Cięży ono na ludzkości od pierwocin uspołecznienia się onej.

Starożytność rozwiązywała je za pomocą niewolnictwa; średniowiecze za pomocą poddaństwa, obejmującego dwie klasy niższe: mieszczańską, zajmującą się handlem i rzemieślnictwem (nazwaną z czasem średnią, *tiers-état*) i chłopską, pracownicę rolną, obie w ustroju feudalnym uzależnione od dwóch klas wyższych: duchownej i świeckiej, od dwóch władz: kościelnej i państwowej.

Wielka rewolucya francuska dokonała wyzwolenia klasy średniej, wysadzając z siodła dwie uzależniające ją do r. 1789 klasy i pozostawiając w zależności od nich po dawnemu i od siebie w ustroju nowym klasę czwartą, najniższą, chłopską, robociarską—proletaryat.

Ostateczne zadanie rozwiązania wymaga wyzwolenia tej ostatniej, najbardziej upośledzonej i najmocniej pokrzywdzonej z tego względu, że grzęźnie w ciemnocie, rozpraszanej częściowo wdzierającymi się z boku oszczędnie do niej wprowadzanymi promieniami światła, użyczanymi z łaski przez klasy wyższe, którym znaczenie i siłę daje kapitalizm.

Kapitalizm w ręce klas tych dostał się przemocą, podbojem, opanowaniem przez indywidua mocarne naprzód ziemi, stanowiącej, jak woda i powietrze, człowieczą własność wspólną, następnie zabranieniem na rzecz własną bliźnich swoich z ciałem i duszą, oraz ze wszystkim, co ich jest, obracając rodziny całe na bydło robocze i niszcząc pierwotne rodzinno-gminne urządzenia i porządki.

Stan taki ludzkości przetrwał *mutandis mutandum* wieki starożytne, średnie i nowożytne i, po zniesieniu kolejnem niewolnictwa i poddaństwa, trwa dla najniższej czwartej klasy dalej pod

postacią najemnictwa oddającego, posiadającemu na własność ziemię i fabryki i banki kapitalizmowi, na łup i na pastwę klasę czwartą, proletaryat męski i żeński, jego byt i jego cześć.

Jak temu zaradzić?

Zaradzić ma temu „doktryna socjalistyczna, która udowadnia, że zasady gminne są prawdziwymi podstawami ustrojów społecznych.“

A zatem:

„Powrót do pierwotnej naturalnej podstawy życia społecznego, do powszechnej równości i wolności, do wzajemności braterskiej w oddawanych sobie usługach. Rzeczą socjalizmu jest: zupełne wyzwolenie się gminu od klasy panującej, spadkobiercy dawnych podbójców. Państwo dzisiejsze klasowe zmieni się w bezklasową Rzeczpospolitą, w której, w dosłownem znaczeniu tego wyrazu, cały naród stanie się gospodarzem wspólnej własności.“

Jest to bardzo ogólnikowe i bardzo niewyraźne zintegrowanie trzech „uzasadnień stanowisk zapatrywania się na objawy życia ludzkiego.“

Sz. autor nie zarzuci mi, ażebym XII dzieła jego rozdział streścił niedokładnie lub z ujmą dla doktryny. Pozwala mi to rzec o socjalizmie słów kilka odnośnie do tej ostatniej.

Niektóre z błędów doktryny socjalistycznej w oczy się rzucają. Do tych przedewszystkiem należy pojęcie o własności wspólnej ziemi, wody, powietrza i warsztatów fabrycznych. Są to własności wspólne póty, póki uprawianemi nie są. Żeby zaś móżdż je uprawiać wspólnie, na to niezbędną jest zaznaczona przez ks. proboszcza Jerzego Liebстера, jako „umożliwiona przez socyaldemokratyzm wspaniała karność.“ „Wspaniała“ ta „karność“ naprowadza myśli: o obediencji klasztornej, o dyscyplinie wojskowej, o dozorze policyjnym, o Rzeczypospolitej, którąby specjalnym rodzaju człowieczego gatunkiem, nie będącym *homo homini lupus*, zaludnić należało. Wobec niemożliwości znalezienia wyprodukowanego ani wyprodukowania w łonie człowieczeństwa materiału, jeżeli nie anielskiego, to podobnego do tego, z którego wytwarzają się zespolenia mrówcze, pszczołe, bóhrze, osiągnięcie szczęśliwości społecznej, chociażby niepełnej, w rzeczypospolitej bezklasowej, wedle „pierwotnej naturalnej podstawy życia społecznego“ urządzonej, przedstawia się bardziej niż problematycznie, zwłaszcza, gdy—jak się to dzieje:

Socjalizm do osiągnięcia tej szczęśliwości kroczy drogą walki klasowej, odpowiedniej przypuszczalnie gdzieindziej, ale nie u nas i nie dla nas. Nam, w smutnem położeniu naszym, nie wol-

no utrzymywać ciągle wojny domowej. Rezultaty bolesne, dotkliwsze we względzie moralnym, niż materyalnym, jakie ona w czasie ostatnim wydała, przestroga być dla nas powinny.

To, co o socyalizmie mówię, nie jest dla autora rozdz. XII nowem, jak dla mnie nową nie jest rozdziału tego zawartość—zawartość, służąca jako przygrywka w rozdziałach wszystkich w dziele, pamięci Worcella poświęconem.

III. Rozdział XIX.

Rozdział ten obejmuje kwestye: „Naród i narodowość; państwo i ojczyzna; centralizm i federalizm.“

Kwestye te z trojakiego rozstrzygają się punktu: zwyczajnego (faktycznego), akademickiego i urzędowego.

Najdawniejszem pojmowaniem „narodu,“ „narodowości“ jest pojmowanie urzędowe—państwowe, niezależnie od tego, jak—na drodze zdobywczej czy obrończej—państwa się tworzyły. Działalność zdobywcza dokonywała się na rzecz zdobywców, którzy bądź uchodzili z krainy napadniętej, unosząc łupy i uprowadzając niewolników, bądź osiadali w niej i urządzali się odpowiednio: dzieląc kraj pomiędzy dostojniejszych członków drużyny napastniczej, wśród których najdostojniejszym był wódz. W sposób ten sam przez się wytwarzał się feudalizm państwowy z monarchą na czele. Tak Frankowie założyli Francję, Sasi i Normani Anglię, Waregi Ruś, Hunnowie królestwo Węgierskie. Polska na drodze obrończej wyłoniła ze siebie państwo dla wodzów z rodu Piasta. A w państwach tych, w jednych zdobywcy przyjmowali mowę plemion zdobytych, jak Skandynawi, zdobywcy krain i grodów słowiańskich na drodze od Nowogrodu do ujścia Dniepra, prowadzącej do Konstantynopola. Taka, wedle przedchrześcijańskich formacyj państwowych wzorowana, duchem wieków średnich owiana i chrystyanizmem zasilona organizacya państwowa: państwo i naród w jedno zlała i zlew ten sztucznie zaprawiła „miłością ojczyzny.“ W zlewie tym narodowe różnice a tembardziej właściwości i cechy etnologiczne uwzględniane nie były. Narodowość poddanych nie obchodziła rządów, dbających o to jeno, ażeby czerń poddańcza pełniła obowiązki państwowe a w szeregach wojskowych przejmowała ją bojaźń kija na podobieństwo bojaźni Bożej. Na tej podstawie za Fryderyka Wielkiego układane były regulaminy wojskowe i pisane dzieła, odnoszące się do taktyki na polu bitwy,

tyczące się długości kroków żołnierskich i nabijania broni na dwanaście tempów. Trzymanie się metody tej grubo opłaciła w czasach wojen napoleońskich Austria, dostarczając legionom polskim szeregowców. To samo spotkało ją na Węgrzech r. 1849. Legiony polskie i legion włoski zapełniali dezertery z wojsk austriackich, mimo karność i mimo wszczepianie w żołnierstwo ducha korporacyi, przeniknionego ojczyzną (?) austriacką. Do serc Rusinów nawet ojczyzna ta nie przemawiała w dobie owej. Możliwem jest wmówienie jej, zwyczajenie do niej, lecz nie głębokie i nie na długą metę. Tyle jest o narodzie i narodowości, o państwie i ojczyźnie z punktu urzędowego, jako też zwyczajowego do powiedzenia w skróceniu.

Z dwóch tych punktów naraz rozpatruje autor dwie kwestye w akademickim wykładzie swoim, powołując się na świadectwa pism i opinie osobistości wybitnych.

Pismem najpierwszem, na które się powołuje, jest „Demokrata Polski,“ broniący sprawę narodu wytrwale, lecz wyrażenie „naród polski“ biorący w sensie urzędowym, obejmującym Litwę i Ruś. Sens ten, przyjmowany w r. 1849 ogólnie, znajdował przeciwników, którym w wydanej w 1849 r. w Paryżu p. t. „Prawdą a pracą“ broszurze, autor taką odprawę daje: „Narodowość fałszywie pojmowana wyrządziła na wschodzie okropne klęski i szkody i dotąd, jak ciężka zmora, przygniata rewolucyę ółowianem brzemieniem, tamuje obieg krwi w jej żyłach, dławi oddech w jej piersi. Ona to związała Czechów z austriacką dynastją, ona podkopała węgierską sprawę, ona obłąkała Ruś galicyjską, ona szczepi domową niezgodę i rozdwaja rodzoną brać.“

Świadczy się oraz autor faktami. Z faktów przytacza: związaną przez Mazzini'ego w 1834 r. w Bernie szwajcarskiem ze zgromadzonej tam emigracyi różnonarodowej „organizacyę rewolucyjną, opierającą się na zasadzie narodowości.“ Z organizacyi tej, obok młodych Włoch, młodych Niemiec, młodej Szwajcaryi i in., wyłoniła się Młoda Polska. Do organizacyi tej, z której jakoby wyszedł Szymon Konarski, autor większą przywiązuje wagę, aniżeli w życiu emigracyjnem miała. Również podnosi (w rozdz. XIII) znaczenie gromad Grudziądz w Portsmouth i Humañ na wyspie Dżersej.¹⁾ Podnoszenie to, mimo że organizacye te żadnej wybitniejszej nie odegrały roli, zrozumiałem jest i usprawiedliwionem z racyi odnoszącego się do osobistości Worcella

¹⁾ Wymawia się Dżersej a pisze się Jersey.

założenia dzieła. Pomówię o tem później. Tu poprzestaną na wskazaniu świadectw osób wybitniejszych, co do będącej w mowie kwestyi.

Największą w materji tej powagę przypisuje B. Limanowski zdaniom Kazimierza Brodzińskiego i Józefa Mazzini'ego—pierwszego, dzięki mowie jego, wygłoszonej dn. 3 maja 1831 w Towarzystwie Przyjaciół Nauk; drugiego dzięki stałemu, jaki on na emigracyę polską wywierał, wpływowi, zaznaczonemu rozprawą jego „O narodowości i kosmopolityzmie.“

O Mazzinim będę miał może kiedy sposobność pomówienia obszerniej trochę. Nim do tego przyjdzie, wykażę w streszczeniu, wedle Limanowskiego, stopniowy u nas pojęcia narodowości rozwój. Wzięły w tem udział znakomite siły naukowe polskie w zaborze pruskim, gdzie chwilowo w r. 1840 stronnictwo liberalne uzyskało było przewagę nad konserwatywnem. W parę lat później ukazało się pismo „Rok,“ a w niem znalazło się na rozprawy o narodowości miejsce. Z pierwszą wystąpił Jan Rymarkiewicz, z drugą Karol Libelt. Ten ostatni pracy swojej dał tytuł „O miłości Ojczyzny.“ W niej ojczyznę wiąże ściśle z narodem, naród zaś wyprowadza ściśle z rodu, nadając mu (narodowi) znaczenie rodziny rozszerzonej, we właściwy jej obyczaj zaopatrzonej, wśród innych narodów mową, myśli i uczuć w poezyi i literaturze składnicą, wyróżnionej i od państwa niezależnej. Libelt wyraźnie pojęcie narodu od pojęcia państwa oddzielił, przez co narodom podbitym i do państw obcych wcielonym przyznał prawo posiadania języka własnego i uprawiania go, posiadania ojczyzny odrębnej i kochania jej. Cesarz Wilhelm II nie zgodziłby się z takim rzeczą pojmoowaniem.

Rewolucye w roku 1848 wprowadziły kwestyę narodowości w szranki polityki międzygabinetowej i nadały jej znaczenie oficjalne. Gabinet berliński spostrzegł się, że na kuli ziemskiej tu i owdzie znajdują się Niemcy uciskani i że ich bronić należy. Faktycznie i nieoficjalnie kwestya ta wywołaną została przez Polaków, skutkiem rozbiorów ich ojczyzny. Rozgłoszoną przez legiony polskie we Włoszech echa rozniosły po Słowiańszczyźnie zachodniej i południowej, rozbitej na narodki i pozostającej pod panowaniem tu tureckiem, owdzie niemieckiem. Austria po mistrzowsku wyzyskała ją w Galicyi na szkodę Polaków i Rusinów, posługując się nią w Czechach i Morawach na rzecz Niemców. Do r. 1795 motywy moralne wojen tkwiły przeważnie w religii. Obecnie, luboć religia z pośród motywów politycznych usunięta niby została, niekatolickim atoli rządom katolicyzm ich poddanych

zawadza mocno, narówni z odmiennym nacechowaną stemplem ich—narodowością.

Niemale w odniesieniu do kwestyi narodowości znaczenie miał zwołany w r. 1848 do Pragi czeskiej Kongres Słowiański, który się zgromadził 31 maja, a w połowie czerwca został rozpuśćzony przez rząd austriacki. W tym krótkim czasie Libelt z Palackim zredagować zdążyli „Manifest do ludów europejskich,“ podpisany ze strony Polaków przez Libelta, Moraczewskiego i Lucyana Siemieńskiego, ze strony Czechów przez Palackiego i Szafarzyka, ze strony Chorwatów przez Kusliana i Prica. Najważniejszy ustęp tego Manifestu, ze względu na kwestyę narodowościową, był następujący: „Podajemy wszystkim narodom braterską rękę, które również, jak my, gotowe są: uznać wszystkich narodowości równość, bez względu na ich polityczną wielkość i potęgę, i takową popierać i bronić.“

Na zjeździe tym nie było przedstawicieli Rosyi. W 60 lat później odbył się podobny w Pradze zjazd, na którym Palackiego zastąpił Kramarz, Libelta Dmowski i Rosyan wybitnych nie brakło, którego jednak rezultaty głównym onego sprawcom i popieraczom dały świadectwo nieznania tej prawdy politycznej, że *la politique c'est la prevoyance*.

Rzecz o centralizacyi i federalizmie, zamieszczoną w rozdziale XIX, pomijam, ponieważ ona w rozdziale tym wygląda obco, nie szkodzi wprawdzie, ale i nie pomaga do uwypuklenia postaci Stanisława Worcella, którego życiu i czynom poświęcona jest monografia. Ustępy podobne trafiają się w tej ostatniej ni rzadko.

IV. Stanisław Worcell na obczyźnie.

S. Worcell z korpusem Ramorina wszedł do Galicyi, przebywał we Lwowie, skąd na wezwanie Antoniego Ostrowskiego udał się do Paryża na Sejm polski, który się w Paryżu zebrać miał. Sejm się zbierał kilkakrotnie, lecz nie funkcjonował i uznany przez stronnictwo konserwatywne za nieużyteczny, zbierać się przestał. Zamiast przeto do Sejmu, Worcell, podany przez Cezarego Platę na kandydata do „Tow. Litewskiego i Ziem Ruskich,“ do Towarzystwa tego dn. 6 sierpnia wstąpił, wraz z Adamem Mickiewiczem i Bohdanem Zaleskim. W Towarzystwie tem, w którym obok Mickiewicza członkami wpływowymi byli Joachim Le-

leweł i Aleksander (czy nie Leonard? Aleksander bowiem dopiero w 1845 r. z Persyi do Paryża przybył) Chodźko, działalność jego nie zaznaczyła się niczem. Miał cześć wielką dla Lelewela, „lecz sam, posiadając skłonności artystyczne, malarz i potrosze poeta, z usposobienia religijny, mający pociąg do mistycyzmu, uległ czarownemu urokowi wieszczki litewskiego i wszedł w bliższe koło jego zwolenników. Przychodził on często na schadzki wieczorne do Mickiewicza, gdzie żywe toczyły się rozprawy polityczne i społeczne. Na schadzkach tych, wśród „tych tak przyjemnych gawędek“—jak się wyraża Worcell w późniejszym swym liście do Mickiewicza—kwestya społeczna bardzo ważne zajmowała miejsce. Był w tem kole niedawny gorący zwolennik saint-simonizmu, wkrótce wraz z Mickiewiczem redaktor „Pielgrzyma,“ Bohdan Jański, który, jakkolwiek wrócił do katolicyzmu, starał się wszakże odmłodzić jego istotę nowymi rewolucyjnymi poglądami. Niewątpliwie rozprawy o saint-simonizmie na tych schadzkach silnie—zdaniem B. Limanowskiego—podziały na Worcella i skierowały w tym kierunku jego myśli i uczucia.“

Zdaje się, że myśli jego i uczucia nie w kierunku saint-simonistycznym, skutkiem bywania u Mickiewicza, poszły, saint-simonizm bowiem nie posiadał, jak wiadomo, ducha wojowniczego, którym w momencie owym przejętym na wskroś być musiał Worcell, biorący udział czynny w wyprawianiu na boje podkomendnych Józefa Zaliwskiego. Zgadza się to z określeniem powyżej istoty jego duchowej: „artysta, malarz, trochę poeta.“ Ludzie tacy wrażeniami się kierują. Wrażenia do głębi nim wstrząsać musiały na widok młodych, pełnych życia ludzi, hazardujących się na przedsięwzięcie, o którym myśl sama przerażeniem przejmowała. Co innego wojna formalna, co innego wyprawa taka. O ile oburzał go kondotieryzmem nacechowany pomysł gen. Bema, szycującego z Polaków wojsko dla donny Maryi, królowej portugalskiej, walczącej z don Miguelem, roszczącym do tronu portugalskiego pretensye, o tyle uwielbieniem go przejmowali zatraceńcy, idący ku celowi, wskazywanemu im przez wielką miłość i wielkie poświęcenie. Uznawał to i rozumiał Mickiewicz, stający w „Pielgrzymie“ w obronie pomawianej o szaleństwo wyprawy Zaliwskiego—jakżeby jej uznawać i rozumieć nie miał duchem Mickiewiczowi pokrewny Worcell!?!...

Pokrewieństwo duchowe z genialnym poetą polskim, kierowanie się, jak on, wrażeniami, zaznaczyło się w Worcellu od pierwszego niemal postawienia stopy jego na zagadkowym Emigracyi polskiej we Francyi gruncie.

Zagadkowym on był dla niego zwłaszcza, nie przejętego większą, ani inną troską, tylko o Polskę. Dla służenia jej pospieszył ze Lwowa na Sejm, na który liczył, jak na pewnego w służbie tej przewodnika, a liczyć miał prawo, ponieważ „stosownie do uchwał z dn. 19 i 26 lutego 1831 r., komplet 33 członków, należących do Senatu i Izby poselskiej i łącznie z sobą obradujących, wystarczał, ażeby czynność sejmowa moc prawną miała.“ Zgromadzonych w Paryżu kilkunastu posłów i senatorów w marcu już 1832 r. schodzić się i obradować poczęło. Owocem obrad tych przedwstępnych było przyjęcie i złożenie w Izbie francuskiej memoriału, napisanego przez gen. Dwernickiego, a podpisanego przez wojewodę Antoniego Ostrowskiego, Ledóchowskiego, Jełowickiego, Worcella, Żarczyńskiego, Hłuszniewicza, Karwowskiego, Kołyskę, Przeciszewskiego, Lelewela i Tomaszewskiego.“ I Worcell, i Lelewel brali czynny udział w sesjach przedsejmowych i zgadzali się w tem, że Sejm powinien stać się prawną kierowniczą władzą nie tylko dla ogółu wychodźców, lecz i dla całego narodu. Lecz Worcell szedł „jeszcze dalej,“ podzielał on zapatrywanie się Mickiewicza, który wywarł na niego ogromny wpływ. Dla niego Sejm nie tylko miał być przedstawicielstwem narodowym, lecz „objawicielstwem świata nowej rewolucyjnej zasady społecznej, którą wszystkie narody kierować się powinny.“

B. Limanowski tej zasady społecznej nie określa, mówiąc jeno, że Worcell idzie dalej, niż uznanie Sejmu za legalne narodu polskiego przedstawicielstwo. To „iście dalej“ nie trudnem jest do odkrycia. Znajduje się ono w „Księgach Narodu Polskiego“ i w „Księgach Pielgrzymstwa Polskiego,“ arcydziele, wynikiem z wysoko napiętego natchnienia poetyckiego, nieustępującem „Anhellemu“ Słowackiego, zawierającym w sobie wskazówki polityczne i społeczne, zapisane p. t. „Występki i zbrodnie“ w kodeksach kryminalnych i pociągające w kierunku wskazówek tych duchy i umysły pokrewne.

Mickiewicz był osobistością ogromnie wpływową i wrażeniom podległą. Wrażenia, pod jakimi tworzył, zaznaczają się wedle pobytów i stosunków jego. Pobyt i stosunki w Moskwie i Petersburgu wydały „Konrada Wallenroda“ i „Farysa“; pobytowi w Rzymie w 1830 r. zawdzięczamy wiersz „Do Matki Polki.“ „Konrada Wallenroda“ i „Do Matki Polki“ znamionuje tendencja ostrzegawcza, zwrócona w utworze pierwszym do mocarstw zaborczych, obchodzących się z narodami podbitymi po krzyżacku; w drugim do tych matek Polek, którym się rodzą synowie „niebezpieczni.“ Pod głębokiem, jakie go w Dreźnie 1831 r. przejęło, wrażeniem Mic-

kiewicz napisał trzecią część „Dziadów,” poprzedzoną dedykacją „Do braci Moskali,” „Ustęp,” „Redutę Ordoną” i „Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego.” Z drezdeńskimi właśnie wielkiego poety utworami spotkał się Worcell w Paryżu i nie mógł nie odczuć ich głęboko.

Znajomość jednak osobista moja z Worcellem, zestawiona ze znajomością, jaką z Mickiewiczem za pośrednictwem utworów jego i czynów zabrałem, pozwalają mi porównać wrażeniowość jednego z wrażeniowością drugiego. Wrażenia wpływały na przekonania Mickiewicza. W czasach, gdy z lat dziecińczych wychodził, jako autor „Ody do młodości,” był on wolnomyslicielem liberalnym, postępowcą i ugodowcą niemal. Pobyt w stolicach Rosyi, wpatwienie się w jej ogrom, wmyślenie się w potęgę jej wielkie na nim wywarły wrażenie. Z wrażeniem tem z Rosyi wyjechał, w Rzymie się zatrzymał i pod wpływem towarzystwa, złożonego z rodziny Ankwiczów, ks. Chołoniewskiego i Henryka Rzewuskiego, napisał „Do Matki Polki.” Nie dziw, że nie spieszył na pole walki. I dobrze się stało, mógł bowiem skończyć, jak Mieczysław Romanowski, albo w szeregach do końca, wzorem Maurycego Mochnackiego, nie wytrwać. Kampanię odbył on w Dreźnie, nie *de facto*, ale *de auditu*. „Co ma w poezyi wskrzeszać, winno w rzeczywistości zamrzeć” — głosi reguła poetyczna. Pod wrażeniem opowiadań uczestników powstania, w wyobraźni jego wskrzesiły i powody wojny, i wojna sama, jakby w niej osobiście udział wzięł. Gdy opowiadanie zaczyna od wyrazów: „Nam strzelać nie kazano, wstąpiłem na działo i spojrzałem na pole,” przysięgłbyś, że zakaz strzelania spotkał jego samego.

W tem wyobraźnia Worcella gruntownie się od wyobraźni Mickiewicza różniła.

Worcell, mimo nastrój poetyczny, jakim go natura obdarzyła, posiadał w naturze swojej cześć dla sztandaru, pod którym z Krzemieńca do Warszawy, z Warszawy do Lwowa, ze Lwowa do Paryża przeszedł, a który był patryotyczno-demokratycznym. B. Limanowski przypuszcza, że zasady demokratyczne przejął on od ojca; mojem zaś, com go osobiście znał i w jego, że się tak wyrażę, szkole był, zdaniem: demokratyzm jego nie z ojca przeszedł na niego, nie był bowiem szlacheckim, jak ojcowski, ani nacechowany mistycyzmem, jakim się Hercenowi wydawał, ale czystym, rzetelnym i nawskroś patryotycznym — Lelewelowskim, jeżeli koniecznie należy wykazać jego pochodzenie. Objawiło się to w Warszawie na Sejmie i w Paryżu na Sejmie, który się na usilne wojewody Ostrowskiego starania nareszcie w stolicy Francyi

w komplecie zebrał i dwa posiedzenia odbył. Na pierwszym mniejszość, z ks. Czartoryskim na czele, wystąpiła z wnioskiem nie wytaczania żadnych kwestyj zasadniczych, na drugim mniejszość pisemnie zaprotestowała, oświadczając, że nie uznaje prawowitości, potrzeby i użyteczności zwoływania zagranicą Sejmów polskich. Próbowano jeszcze, zgromadzano się jeszcze dwukrotnie i nie dokazano utrwalenia na obczyźnie prawowitego przedstawicielstwa sprawy polskiej. Dodać należy, że się temu mocno rząd francuski sprzeciwiał. Można we względzie tym zarzut niekonsekwentności uczynić rządowi, który, uznając prawowitość stopni wojskowych, nie uznawał prawowitości instytucji sejmowej, w odniesieniu do wojskowości prawodawczej.

Niechęć rządowa do sejmowiczów polskich, jako też do tych wychodźców, co popierali orężne Emigracyi wyprawy, w ten zamianifestowała się sposób, iż rząd wydał ich po kilku, od Lelewele zaczął, zrazu z Paryża, następnie z Francji.

Worcell, po przekonaniu się o niemożliwości zainstalowania Sejmu, znalazł się w położeniu żeglarza na łodzi bez steru. Istniało Węglarstwo, istniała Masonerya, zjawiały się zawiązki organizacyj polskich. B. Limanowski przypuszcza, że go Węglarstwo zwabiło dlatego, że zabrał znajomość z węglarzami tej miary, co Buonarotti, Godefroy Cavagnac, Armand Marrast. Przypuszczalność dozwolona jest w razie każdym. Napewno wstąpił on był do loży masońskiej w Paryżu, noszącej nazwę „Trójcy nierozdzielnej“ (*Trinité indivisible*), której jeden z członków, Dziewicki, zginął w wyprawie Zaliwskiego. Na wieść o śmierci jego zwołano zgromadzenie, na którym, między innymi, przemawiali Worcell i ks. Pułaski i po którym policya, wraz z innymi mówcami, aresztowała Worcella i Pułaskiego. Ci dwaj, w lipcu 1833 r. wygnani z Francji, udali się do Belgii, gdzie się z Lelewelem zeszli.

W Belgii, dzięki znajomościom w Brukseli przezeń zabranym z ludźmi,¹⁾ co w wyzwoleniu kraju z pod panowania holenderskiego udział czynny wzięli a nie podzielali tej opinii, ażeby wywalczenie przez klasę średnią, przy pomocy ludu, wolności, miało klasę tę upoważniać do wyzyskiwania pracy ludowej na rzecz i korzyść kapitału, stanowiącego potęgę klas posiadających

¹⁾ Z pośród ludzi tych poznałem w 1866 r. Lucyana Jottrand, a na pogrzebie Aleksandra Gendebien w imieniu Polaków przemawiałem i do komitetu wystawienia dla niego w Brukseli pomnika należałem.

(właściciele ziemscy, przemysłowcy, duchowieństwo), Worcell poznał: że wywalczenie wolności (Wielka rewolucya francuska) nie wyzwalało ludzkości. Wywalczenie wolności pod hasłem „wolności, równości i braterstwa“ wymagało wyzwolenia pracy, to jest: zaopatrzenia „braterstwa“ w warunki słusznego jej wynagradzania. Dało mu to widzenie sprawy społecznej i zainteresowanie się nią — widzenie atoli przez pryzmat patriotyzmu, co okazał w zdaniu, jakie wyraził o pracy Czyńskiego „Malownicza Rosya,“ poniżającej Polskę. W Brukseli pisywał do dziennika „La voix du Peuple,“ uznającego się za organ sprawy polskiej.

W Belgii, która w dużej mierze Polsce wyzwolenie swoje zawdzięczała i o tem wiedziała, Polacy współczucie i przyjaćiół znajdowali. Sprzyjał im i rząd, ale nie bezwzględnie. Reklamacye dyplomatyczne zmuszały władzę do srożenia się w odniesieniu do niektórych osobników „niewygodnych.“ Takimi w 1834 r. okazali się Lelewel, Worcell i ks. Pułaski. „Poproszono“ ich o wyniesienie się z kraju — niezwłoczne dwóch ostatnich, późniejsze nieco Lelewela, z powodu pracy naukowej, którą miał na warsztacie i na której ukończenie czasu potrzebował. Czas ten następnie do śmierci jego się przeciągnął. Nie niepokojono go już później, jak nie niepokojono Worcella, który go parokrotnie, po wyzwoleniu się z gromad socjalistycznych, w stolicy Belgii odwiedzał.

Przesunięcie się Worcella przez obóz socjalistyczny — i to przez obóz najskrajniejszy — należy do rodzaju symptomatów psychicznych, zdarzających się ludziom żywą obdarzonym wyobraźnią, znajdujących się w okolicznościach, zwanych „przyciśnięciem do muru.“ Człek zwyczajny, do muru przyciśnięty, wydobywa z siebie siły i ruchy nadzwyczajne, niekiedy rozpaczliwe, niedopieroż człowiek, posiadający duch poezyą zaprawny. Ludzie tacy rzucają się niekiedy na niepodobieństwa. Czyż Mickiewicz nie przerzucał się z ostateczności w ostateczność: uznając dziś skuteczność różgi, wskazanej mu przez Towiańskiego, a formując nazajutrz legion polski we Włoszech i pasując pojutrze Sadyka-paszę na zbawiciela Polski?... W hołdownikach wyobraźni niekonsekwencye podobne niekonsekwencyami nie są. Idą one na karb mistycyzmu, którego rozum zdrowy przeniknąć nie w stanie. Podobną niekonsekwentną konsekwencyę popełnił Stanisław Gabryel Worcell: przechodząc z demokratyzmu do socjalizmu i z socjalizmu do demokratyzmu, wracając, nie uchylając się ani na mgnienie oka z pod sztandaru patriotycznego. Niech zatem fakta mówią.

W kwietniu 1834 r. Worcell z ks. Pułaskim opuścił Brukselę dla Londynu, gdzie na obchodzenie się rządu z wychodźcami pol-

skimi żadne reklamacje dyplomatyczne wpływu nie miały i mieć nie mogły.

Worcell wybrał sobie na pobyt Anglię nie dla pędzenia nadal żywota spokojnie. Wiedział on, że w Londynie znajdzie się w licznym emigrantów polskich gronie, Anglia bowiem nie tylko rozbitków emigracyjnych wypraw orężnych i resztki powstańców z Prus (z Grudziądza) do Portsmouth morzem wysłanych przyjęła, lecz im żołąd wyznaczyła. W wypłacaniu Polakom żołądu pośredniczyło założone w lutym 1832 r., za staraniem ks. Adama Czartoryskiego i Juliana Urs. Niemcewicza, angielskie „Towarzystwo Literackie Przyjaciół Polski.“ Garstce przeto emigracyi, co się w Anglii znalazła, trafiła się gościna spokojna i względnie wygodna, którą tylko szanować należało. Szanowano też ją, póki nie przybyli dwaj podróżni, z progów gościnnych francuskich i belgijskich wygnańcy: Worcell i Pułaski. Spokój oni zamęcili i sami zamęcenia ofiarą padli—zamęcenia w taki dokonany sposób, że na zasadach demokratycznych zorganizowali „Ogół londyński,“ zawiązali stosunki pomiędzy nim a sekcją korespondencyjną Towarzystwa demokratycznego polskiego w Poitiers i założyli Towarzystwo edukacyjne o trzech wydziałach: wojskowym, literackim i przemysłowym. Nie tak długo atoli te piękne pomysły trwać mogły, ażeby zamiary do skutku doprowadzić się dały. Nieporozumienia przy wyborach pierwszego zarządu spowodowały wicherzenia, doprowadzone do sporów, nie poprzestających na słowach, lecz uciekających się do czynów, w których udział brały kije. Worcellowi podobać się to nie mogło, tembardziej, że, wbrew swoim zasadom, sam zniewolony został do rozprawy pojedynekowej, poczem opuścił Londyn, przeniósł się na wyspę Jersey i tam, jako członek, wstąpił do sekcji St. Hélier Towarzystwa demokratycznego polskiego.

Do Tow. dem. pol. Worcell podzielał niechęć z Lelewelem; niechęć, pochodzącą raz z wydzielenia się onego z ogółu demokracji, powtóre z centralizacyjnych, władczych tej organizacyi dążeń. B. Limanowski wstąpienie jego do niej przypisuje temu, że Tow. dem. pol., liczące w chwili zawiązania (17 marca 1832 r.) kilkudziesięciu zaledwie członków, przy końcu 1834 r. liczyło już członków 950 i rozporządzało z podatków dochodem rocznym 10,000 fr.

Nie to, zdaje się, przypuszczać należy, jako powód wstąpienia jego do Tow. dem. pol., ale z jednej strony przenikający duszę jego patryotyzm, z drugiej ta wiara polityczna, którą Polacy z Polski wynieśli i którą z nimi podzielała cała Europa ucywili-

zowana: wiara w konieczność uzupełnienia wielkiej rewolucyi francuskiej przez wyzwolenie polityczne i społeczne narodów i ludów.

W Tow. dem. pol. zapanowała wzbudzająca ufność, karność rewolucyjna,—karność nie zaprowadzona w żadnej innej organizacji politycznej wśród wychodźców w stopniu tak wysokim i w takiej mierze pełnej ofiarności dobrowolnej, a osobiście bezinteresownej.

Tę wiarę, dodać należy, wzbudziło w Worcellu i podniosło wrażenie, utrzymując ją na wyżynie póty, póki toż samo wrażenie nie wzbudziło w nim wiary silniejszej. Wyrodziła się ona stąd, że w sekcji St. Hélier, liczącej członków 23, większość sprzeciwiała się oddawaniu władzy naczelnej wybieranej corocznie centralizacyi i powierzaniu jej działalności, niedozorowanej na zewnątrz, działalności nie innej, tylko prowadzonej w celu niepodległości Polski.

Powiedzieć wyraźnie trzeba, że cel ów, zaznaczony nieudalym Józefa Zaliwskiego wybuchem, nie mógł w czasie owym być innym, ani dla stronnictw demokratycznych, ani też dla stronnictwa zgrupowanego około ks. A. Czartoryskiego, a nazwanego „Stronnictwem hotelu Lambert.“ Różniły je drogi i widoki. Konserwatywni lambertczycy kroczyli szlakami dyplomatycznymi, poprzestając na granicach Ojczyzny, zakreślonych w Wiedniu i uznając z góry prawowitość kary za powstanie, mającej ją spotkać pod postacią takiego lub innego, mniejszego lub większego okrojenia nadanej przez Aleksandra I konstytucyi. Cele stronnictw demokratycznych były inne, prowadzące więc do nich drogi innymi, rewolucyjnymi być musiały, rewolucyjnymi w stopniu mniejszym lub większym, względniejszym lub bezwzględnym, co od środowisk działających, nie wszystkich socjalizmem podszytych, zależało.

Socjalizm w czwartym dziesiątku XIX w. znany już był w modyfikacyi babeuizmu, dzielącego ziemię i bogactwa na współwładanie. Wywłaszczenie on przemocą na rzecz współwłasności propagował. St.-Simoniści, Buonaretyści, Buchezyści argumentów dostarczali i agitatorom zadania ułatwiali. Agitatorowie w Anglii, w „Ogóle londyńskim“ ani poza „Ogółem,“ nie znajdowali pola podatnego. Worcellowi i ks. Pułaskiemu, jako agitatorom za Tow. dem. pol., za Związkiem oświatowym, za lożą wreszcie masońską, za czemś wogóle, co umysłowej i rzeczowej czynności wymaga, nie powiodło się.

W Anglii jednak, w Emigracyi polskiej, znajdowała się około paruset głów wynosząca w większej części niepiśmienna gromadka, dla agitacyi socyalistycznej przystępna. Składała się ona z szeregowców byłego wojska polskiego, którzy, po złożeniu broni w Prusiech, z oficerami w kierunku zachodnim przez władze pruskie niepuszczani, do Polski wracać nie chcieli. Takich Prusacy w Fischau, w Grudziądzu i w paru innych miejscowościach zgromadziwszy, na roboty ciężkie, obchodzeniem się z nimi niełudzkim i głodem zaprawne, skazali; oporniejszych zaś z kraju się pozbyli, wyprawiając ich, jak bydło na okręt wpakowanych, do Ameryki. W oporności atoli wyćwiczeni, nie w Ameryce, lecz w Portsmouth wylądowali i w Anglii gościnę znaleźli. Rząd angielski koszary im na mieszkanie dał i żołąd wyznaczył, nie obstawiając ich, jak rząd francuski, dozorem i nie krępując regulaminem.

Na gromadkę agitacya z dwóch naraz środowisk polskich— i dyplomatycznego, i demokratycznego — się zwróciła. Pierwsze, osłaniając się powagą ks. Adama Czartoryskiego, wskazywało jej legiony (ponętny dla Polaków wyraz) cudzoziemskie w Algieryi. Drugie, w imieniu popularnem zwycięzcy pod Stoczkiem, gen. Dwernickiego, odradzało legiony w Algieryi, oraz wszelkie do Hiszpanii i Portugalii werbunki, zalecając cierpliwość dla doczekania się momentu, w którym „Polska powoła.“

Wiara za tym drugim poszła głosem. Oddała się pod rozkazy generała, przewodniczącego po Lelewelu Komitetowi narodowemu.

Komitet ów nie cieszył się życiem długim. Rozwiązał się. Miejsce jego—miejsce organizacyi, mającej pretensyę do ogarnięcia Emigracyi, jeżeli nie całej, to posiadającej większość—zajęła organizacya, która nazwała się Zjednoczeniem i szeregow swoich nie zamykała przed nikim, co się do demokratycznych przyznawał przekonań. Stąd w Towarzystwie demokratycznym, ściśle zamkniętem, przezwano ją „szlachecko-demokratyczną“ i litowano się nad nią złośliwie, ponieważ sobie rady dać nie mogła z powtarzanymi raz po raz wyborami zarządu. W wyborach każdych figurował nieodmiennie Lelewel i obok niego raz Tyszkiewicz, znów Zwierkowski, znów ktoś inny i więcej większości głosów nie otrzymywał nikt. Stąd organizacya ta istniała faktycznie, nie istniała prawnie, inna zaś, „nowopolska,“ w Bernie szwajcarskiem przez Mazzini'ego w 1834 r. zawiązana, przez B. Limanowskiego faworyzowana, istniała nie rzeczywiście, ale intencyonalnie, w pragnieniach kilku, może kilkunastu osobistości: Zwierkowskiego, Piet-

kiewiczza, Konstantego Zaleskiego, Gordaszewskiego i innych, a z nimi i Lelewela, raz po raz wybieranego do zarządu Zjednoczenia.

Dziwić się temu bezładowi nie należy, wiedząc jak się ustawało w państwach uregulowanych, konstytucyjnych, w Anglii, Francji, w Austrii, w Galicyi, stronnictwa zawiązują i rozwiązują a wybory odbywają. Patrzymy przecie na to i... nie dziwny się. Nie dziwnyż się temu, co się we względzie tym przed siedemdziesięciu kilku laty na bezdomnej i bezpaństwowej Emigracyi działo.

A przecie w dobie owej istniały dwie organizacje krzepkie: dyplomatyczna, patryarchalnie bez wyborów i obradowań w Hotelu Lambert urzędująca, oraz demokratyczna, rozprawiająca, polemizująca, propagująca i corocznie wybory dokonywująca w Tow. dem. pol.

Na to ostatnie przeszedł wpływ, jaki pierwotnie na żołnierstwo w Portsmouth wywarł był Komitet gen. Józefa Dwernickiego. Sprawiała to agitacya, którą się Tow. dem. pol. na szeroką postęgiwało skalę.

W agitacyi panuje reguła postępową w kierunku skrajności w tył lub naprzód, wytwarzanej przez współzawodnictwo, będące jedną z właściwości duszy człowieczej. Właściwość ta wywołuje wyściganie się w przekonaniach, licytowanie sposobów uszczęśliwienia ludzkości. Rażąco wpada to w oczy obecnie w socyalizmie, w którym wychodźcom rosyjskim przypada zaszczyt posunięcia licytacji aż do anarchizmu. Zaszczyt ten głównie Mikołajowi Bakuninowi przypisują, po przeniesieniu się jego z Syberyi do Szwajcaryi. Przedtem (przed 1848 r.) podzielał on przekonania Tow. dem. pol., rozstrzygającego kwestyę społeczną za pomocą nadania włościąństwu wolności i własności. Nie wiedział, że w Emigracyi polskiej znajduje się gromadka, która na drodze agitacyjnej przyszła do przekonania, że jest inny, skuteczniejszy i pewniejszy sposób uszczęśliwienia powszechnego—sposób, polegający na zniesieniu wszelkiej własności indywidualnej, państw, granic, rządów konstytucyjnych i niekonstytucyjnych i oddaniu władzy kościołowi. Wprowadzenie tego sposobu rozpocząć należy drogą propagandy, gdyby zaś propaganda nie skutkowała, to... nieczem.

I przekonanie takie, przez licytujących się agitatorów wmówione w ciemną, nieznającą kolei, przez jakie od stanu dzikości do stanu, w jakim się obecnie znajduje, przechodziła ludzkość, nie mającą o stosunkach politycznych i społecznych wyobrażenia naj-

mniejszego, gromadkę przebywających w Portsmouth żołnierzy, trafiło do przekonania Worcellowi?..

Nie mogło się to stać zwyczajnie, naturalnie, drogą rozumowania logicznego.

Przerzucenie się takie od demokracji racjonalnej, dostępnej, nie wróżącej zamętu w stosunkach gospodarskich, ludzie, co się jeszcze przesądów nie pozbyli, przypisałiby czarom; nieprzesądni zaś nie mogą przypisać czemu innemu, jeno wywołanemu wrażliwością napadowi rodzaju pewnego choroby psychicznej.

Wrażliwość jego poetyczną do żywego rozdrażniły niepowodzenia i zawody, doznane na polu działalności, do jakiej się powołanym i zobowiązanym poczuwał i do jakiej z zapałem i czystym sumieniem w Londynie się zabrał — działalności wynagrodzonej widowiskiem dyskusyi, uwieńczonej walką na kije i koniecznością pojedynków. Schronił się przed widowiskami i koniecznościami podobnemi na wyspę Jersey, do sekcji Towarzystwa demokratycznego. I tam jednak zawody go ściagały. Do Tow. dem. pol. wstąpił w chwili, kiedy w sekcyach toczyła się dyskusya nad projektem Manifestu polityczno-społecznego, mającego stowarzyszonych zobowiązywać. Sekcja portsmucka, jako też dżersejska (St. Hélier), licząca członków 23, w większości swojej nie zgadzały się na osnowę projektu, zwłaszcza zaś na ustanowienie władzy wykonawczej, pod nazwą Centralizacyi, zaopatrzonej w atrybucye dyktatoryalne w zakresie politycznym. Przeszkadzać to miało skupieniu pod jednym sztandarem emigracyi demokratycznej. Worcell wraz z większością sekcji zdanie to podzielał i wraz z nią z Towarzystwa wykreślony został. Sekcja zaś portsmucka z Tow. dem. pol. cała wystąpiła, zakładając organizację oddzielną pod nazwą „Lud Polski.“ Wprowadzono w niej podział na „Gromady,“ sekcyę swoją przemianowując na „Gromadę Grudziądz,“ na pamiątkę męczarni, zadawanych w fortecycy tej przez Prusaków żołnierstwu polskiemu. Dn. 30 października 1835 r. wyszła, podpisana przez 142 członków, odezwa „Gromady Grudziądz do Emigracyi polskiej,“ mająca znaczenie manifestu. Dn. 6 listopada do manifestu tego przyłączyli się: Seweryn Dziewicki, Aleksander Gronkowski, Tadeusz Krępowiecki, Roch Rupniewski, Recess Wątróbka i Stanisław Worcell. Na wyspie Jersey zawiązała się Gromada Humań.

Dn. 6 października 1835 roku Stanisław Worcell wszedł do organizacyi polityczno-społecznej—Lud Polski; dn. 12 kwietnia 1840 r. wypisał się z Gromad.

„Wypisawszy się z Gromad—pisze monograf jego—Worcell nie przestał być socjalistą. Powstrzymawszy się w swym biegu, nie cofał się coraz bardziej wstecz, jak to czyniło wielu. Zachował te przekonania, do których doszedł był, lecz stał się bardziej wyrozumiały dla innych, mniej skory do upatrywania tego, co dzieliło, chętniej szukał tego, co łączyć mogło. Mniej zważał na formę, wnikał bardziej w treść samą. Oto, jak tłumaczy swoje wykreślenie się z Gromad a przystąpienie do Zjednoczenia: „Żołnierze Grudziądz—opowiada—wezwali od Jersey pomocy a pomiędzy innymi i ja przybyłem im służyć. Wcieliłem moją od dawna zaprzysiężoną zasadę: dla ludu przez lud, i myśl ludową ogłosiłem wraz ze współpracownikami moimi za podstawę polskiej jedności emigracyjnej. Formą tej myśli były gromady i dopóki myśl ta w inną się nie przyoblekła, byłem wierny tej formie. Lecz, gdy się okazała zbyt ciasną dla zbierającej się około zasad ludowych większości emigracyjnej; gdy Zjednoczenie dało dostateczne dowody swych demokratycznych dążeń, a usiłowania moje ku wcieleniu gromad w jedność emigracyjną daremnymi się okazały, porzuciłem formę i poszedłem za myślą, wstąpiłem do Zjednoczenia, żadnego z moich przekonań nie wyrzekając się, nie przestając ani na chwilę kłaść za podstawę odrodzenia Polski przeobrażenie społeczne, zbudowane na zasadzie ludowego wszechwładztwa, uległego nauce obowiązków, przepisanych mu przez Boga.“

Wyznanie to odpowiada w zupełności założeniu, powziętemu przez autora monografii w momencie, gdy do pisania jej przystępował. Co więcej: było ono szczerem w ustach Worcella i jako takim monografista ma prawo posługiwać się w znaczeniu świadectwa, odnośnie do założenia pracy swojej. Uwzględnić jednak należy warunki, w jakich wyznanie to nastąpiło.

W pochodzie swoim przekonaniowym, na zasadach opartym, Worcell, jak Mickiewicz, jak poeci „urodzeni“ (poeci rodzą się) wrażeniami się kierował. Według wrażeń brał na siebie obowiązki służbowe, którym pozostawał wiernym, póki się nie zniechęcił. Zraził go Sejm polski w Paryżu, zraził Komitet Dwernickiego wraz z Konfederacją, zraził Ogół londyński. Wrażenie—po zawodach tych—wskazuje mu zasadniczej demokratycznej myśli jego, „dla ludu przez lud,“ wcielenie w Gromadzie Grudziądz, do której wchodzi w towarzystwie wyznawców socjalizmu tej miary, co Tadeusz Krępowiecki, Seweryn Dziewicki, Aleksander Gronkowski, Roch Rupniewski, Recess Wątróbka. Byli to ludzie w sile

wieku, wykształceni, uzdolnieni, przejęci tą samą, co Worcell, myślą: potrzeby reformy społecznej, na ludzie opartej lecz innego, odmiennego — że tak się wyrażę — niż on gatunku psychicznego. W myśli jego przeważała pierwsza połowa: „dla ludu“; w myśli ich druga: „przez lud.“ Myśl jego przenikał zaczyn ofiarności, nie uwzględniającej „ja“ własnego; w myśli ich jaźń nie pozwalała przypuszczać, by „on“ lepiej i piękniej „ode mnie“ czynić był w stanie. Typu tego osobnikiem wybitnym był Ludwik Mirosławski, który uwielbieniem samego siebie zakończył. Typ ten przebija się obecnie wśród Rusinów ukraińskich w Galicyi, działających „przez uszczowiany i hajdanaczony lud.“

Worcell służył zaagitowanemu ludowi w żołnierstwie gruzińskim; współpracownicy jego ludem tym się posługiwali i dlatego wśród nich urobiło się współzawodnictwo, podszyte podejrzliwością i wytwarzające intrygi, które ostatecznie zmusiły go do ustąpienia z Gromad. O tem szeroko i obiektywnie opowiada B. Limanowski w życiorysie (rozdz. XIII).

Zasługi Worcella w socjalizmie ograniczają się na zamieszczonem w całości w „Ludzie polskim“ (wydanym przez Zenona Świętosławskiego, a zawierającym wszystkie od 1835 — 1846 r. odezwy, korespondencye i protokoły Gromad Grudziądz, Humań — na wyspie Jersey i Praga w Londynie) opracowaniu p. t. „O własności.“ Jest to rozprawa na zadany temat, napisana poprawnie, nie zawierająca w sobie nietylko nic nowego, ale i nic takiego, coby, zalecając się urokiem stylowym, pozwalało autorowi zamianować „krzewicielem“ nauki. Miano to zapóźno mu przychodzi. Socjalizm polski, proklamujący ojcem swoim Mickiewicza w czasie przeprowadzania zwłok jego z Montmorency do Krakowa, wątpię, ażeby co wówczas o Worcellu wiedział. Drugiej zaś jego rozprawie, „O narodowości“, socjalizm ortodoksyjny do zarzucenia by miał dużo. Uznawanie przezeń w rozprawie tej państwa, jako gniazda ojczyzny dla narodów, do dogmatów socjalizmu nie należy.

Takim socjalistą był on przed wnijsciem do czyśca socjalistycznego i po wyjściu z onego dla powrócenia pod skrzydła „matwanin Lelewelizmu“¹⁾, przewodniczącego nominalnie demokratyzmowi szlacheckiemu Zjednoczenia.

¹⁾ Wyrażenie z Manifestu Gromady Grudziądz, który spowodował wstąpienie Worcella do Ludu Polskiego.

Takim był socjalistą, takim demokratą *pur sang*.

Takim go poznałem w 1850 r., kiedym w łachmanach, jako rozbitek podwójny (wojenny z Węgier 1848—49 r. i okrętowy z morza Śródziemnego w 1850 r.) przed nim, członkiem Centralizacji Tow. dem. pol., w Londynie stanął. Zaznajomiliśmy się. Spędziłem z nim — pod jego, powiedzieć mogę, dyrekcją moralną — miesiące piętnaście. Przystaliśmy do siebie tak, że mam prawo przyjaźnią jego się szczyć i o jego, we mnie przelanych, przekonaniach polityczno-społecznych ze świadomością rzeczy mówić.

Zadanie to ułatwi mi treściwe skreślenie stosunków naszych ze stronnictwami angielskimi i wychodztwami zagranicznymi. Ze stronnictw angielskich w stosunkach najściślejszych pozostawaliśmy z Chartystami; z wychodztw — z wychodztwem francuskim, któremu przewodniczył Ledru-Rollin i z osobami, wchodzącymi do Komitetu centralnego Demokracji europejskiej: Mazzini (Włochy), Ledru-Rollin (Francya), Arnold Ruge (Niemcy), Jan Bratiano (Rumunia). Socjalizm francuski przedstawiał Ludwik Blanc; z nim z Polaków trzymał Sawaszkiewicz, a sympatyzowała gromadka z resztek dawniejszych Gromad, bez znaczenia i wpływów, otaczająca Kryńskiego i wydająca od czasu do czasu nieczytywane odezwy. Nie liczono się z nimi wcale.

Garstka wrażeń Worcella z czasów służby jego w Gromadach przechowała się mi w pamięci, z racji poznania się u niego z człowiekiem wielkiego poświęcenia, bezgranicznej ofiarności, duszą całą i sercem całym oddanym idei zbawienia ludzkości przez Gromady Grudziądz i Humań: Zenonem Świętosławskim.

Zabranie z nim znajomości nastąpiło skutkiem niemożliwości wystarania się dla mnie paszportu do Paryża. Jako oficer z legionów polskich na Węgrzech, należałem do ludzi, pozostających w czasie owym pod interdyktem. Nie wolno mi było deptać gruntu francuskiego, gdyż na równi z kolegami moimi byłem posądzany o gotowość wzięcia udziału w rewolucyi, nieochoyonej w razie, gdyby owoczesnemu prezydentowi Rzeczypospolitej, księciu Ludwikowi Bonapartemu, synowcowi cesarza Napoleona, przyszła ochota o spadek po stryju się upomnieć. Podejrzewano go o to — słusznie, jak się później okazało; ale co do nas, nie miano cienia słuszności. Codziennie zdawałem sprawę Worcellowi z zabiegów moich, celem wyszukania paszportu; aż raz, gdym z niczem do niego przyszedł, oznajmił mi, że napisał do Świętosławskiego, polecając mu mnie, jako Ukraińca.

- Czyż to na niego podziała?...—zapytałem.
- O!... i jak... Humańczyk...—odrzekł.
- Z Humania rodem?...
- Gromadę „Humań“... założył.

O więcej szczegółów, z rodowodem jego styczność mieć mogących, nie dowiadywałem się ani wówczas, ani później, tem mniej później, spotykałem się bowiem z osobistościami, rodem z Ukrainy, noszącymi nazwisko Świętosławskich, do blizkiego z nim pokrewieństwa przyznającymi się. Na razie zaciekała mnie mocno „Gromada Humań.“ Worcell objaśnił mnie, że była to filia Gromady Grudziądz, nadanie zaś jej nazwy miało podkład ultra-socjalistyczny, oznaczający uznanie kary, przez szlachtę wywołanej, przez lud ruski wykonanej. W znaczeniu tem zbrodnia na Potoczkich, Młodziejowskich, nie na Żelezniakach i Gontach ciąży. Objasnienia swego nie akcentował Worcell uznaniem dla „sprawiedliwości ludowej,“ tylko znajdował dla niej okoliczności łagodzące w poduszczaniach z zewnątrz, wyzyskujących ciemnotę i krwiozercze natury dzikiej popędy.

Nazajutrz znaleźliśmy się w mieszkaniu Worcella we trzech, około 9 rano. Świętosławski osobiście dla mnie paszport przywiózł. Spędziliśmy razem godzin kilka. Poznałem z widzenia jeno tego surowego, groźnego sędziego pod postacią człowieka szczupłego, znękanego, cichego i głębokim nacechowanego sinutkiem. Gdym wszedł, wstał, rękę mi podał, cofnął się, usiadł i monosylabami lub krótkimi okresami odzywał się do Worcella, ze mnie zaś oka nie spuszczał—co mi mocno zawadzało. W rozmowie udziału prawie nie wziąłem. Na odchodnem z Worcellem się pożegnał, do mnie się zwrócił, za dłoń mnie ujął i w oczy mi ostro patrząc, z całej ją uścisnął siły.

Człowiek ten żywo mnie zainteresował.

Za udzielonym mi przezeń paszportem pojechałem do Paryża po to, ażeby po kilku dniach pobytu być z tego, wedle Wiktora Hugo, „miasta-słońca“ (*ville-soleil*) wygnanym. Do Londynu powrócić musiałem, a tak przed wyjazdem, jak po powrocie, wszystkich, z kim w bliższych znajdowałem się stosunkach, Worcella, Sztolznana, Feliksa Nowosielskiego, Ludwika Oborskiego i in., na opowiadanie mi o Zenonie Świętosławskim wyciągałem. W opowiadaniach tych przeważała strona anegdotyczna. Nie brano na seryo ani jego, ani Gromad Grudziądz i Humań. Wyjątku we względzie tym Worcell nie stanowił—Worcell, którego Z. Świętosławski przyjaciele i wielbiciele (jak się o tem w „Ludzie

Polskim“ przekonać można) był, a który, jak wszyscy inni, pozwalając sobie na żartowanie ze Świętosławskiego i z Gromad, sprawiedliwość mu we względzie tego wszystkiego, co cnoty i wiary miano nosi, oddawał. Był on wcieleniem wiary a socjalizm religią jego.

Na socjalizm inaczej, niż na wiarę dogmatami zasilaną, zapatrywać się nie można. Gromady, w dążeniu do uszczęśliwienia ludzkości, nakreśliły p. t. „Ustawy“ obraz wszechpaństwa teokratycznego, na modłę „jednej owczarni i jednego pasterza,“ pod nazwą „Kościoła Powszechnego“ („Lud Polski,“ str. 277), ze stolicą na przesmyku Suez (jeszcze wówczas nie przekopany). Państwo podzielono na „narody,“ narody na „województwa,“ województwa na „powiaty,“ powiaty na „gminy.“ Miało ono ludzkość uszczęśliwiać za pomocą ultra-katolicyzmu i ultra-socjalizmu. W zastępie dwóch gromad polskich na gruncie angielskim, Worcell lat kilka zajmował służbowe, Świętosławski zaś od początku do końca arcykapłańskie stanowisko. Worcell, jako służbista sumienny, pełnił swój obowiązek sumiennie, ku zadowoleniu służbodawcy, którym była zasuggestyjonowana przez wymownych agitatorów szczuplutka gromadka ludu. Istniała ona i zanikła, nie pozostawivszy po sobie ani ludowi, ani narodowi żadnego przekazu socjalistycznego.

I byłaby o niej pamięć znikła, gdyby nie Świętosławski.

Świętosławski w dobie, gdy dla przywiezienia mi paszportu do Londynu przyjechał, oderwał się był od żmudnej i ciężkiej pracy nad przekazaniem ludowi, narodowi polskiemu i ludzkości przekonań, którym życie poświęcił i dla których mienie stracił. Owoc pracy jego w cztery lata później (1854 r.) wyszedł w Jersey, w drukarni przezeń założonej, № 19 Dorset-Street. Więc—pytanie:

Kto słuszniej—Stanisław Gabryel Worcell czy Zenon Świętosławski—na zaszczytne miano „najpierwszego krzewiciela socjalizmu w Polsce“ zasługuje?

Wobec pytania tego i moje świadectwo coś, bodaj trochę, znaczy z tej racji, że Worcell, członek Centralizacji Tow. dem. pol., mnie na emisaryusza nie socjalistycznego lecz demokratycznego pasował.

Myli się przeto autor życiorysu Worcella.

Worcell, drogą wrażeń idąc, wypadkowo w gniazdko socjalistyczne zboczył i w niem, niby w czyścicu pobywwszy, do demokracji rzetelnej powrócił, do demokracji takiej, jakim

się w obcowaniu z nim przejąłem. On dwóch takich, jak Lelewel i Mazzini, mistrzów uczeń i wielbiciel, mógł od socjalizmu słuszne podniety i dodatnie postulaty przejąć, lecz w socjalizmie wytrwać nie mógł.

Tytuł krzewicielstwa socjalizmu nie jemu, lecz narzucającemu się uczonym naszym na postać, zasługującą na głębokie studyowanie psychologiczne, Zenonowi Świętosławskiemu się należy.

Z. MIŁKOWSKI.

Listy do Niej.

„...On był przeznaczony na ofiarę—nawet na ofiarę serca...“
(Słowacki: „Anielli“).

Pani Genowefa siedziała w oknie, otwartem na perspektywę wąskiej uliczki Gheerwijn, z wieżą Beffroie, majaczącą w głębi, we mgle deszczowej. Bruges układało się do snu, z sennym na cichych licach uśmiechem. Uliczka wypełniona była ciszą, niby muszla szumem; w powietrzu, wraz z przedzą deszczową, unosiła się nostalgia bez nazwy, bez końca. Wieczór smutny, październikowy, wieczór beznadziejnie długi i pusty, niosący w sobie żal rzeczy przeszłych, przypadłych na zawsze. Wieczór taki, jaki był wczoraj, i jaki będzie jutro w Bruges — umarłen.

Zda się, Czas zapomniał o cichem, martwym mieście, bo już oddawna jednostajna melodia wieżowego kuranta nie odmierzyła godzin smętnych i pustych. A może nie słyszała ich pani Genowefa, zasklepią w swej martwej zadumie? Może dzwoniły, jak zwykle, co kwadrans, z wysokiej wieży Beffroie, dając sygnał innym dzwonom we wszystkich starych kościołach, aż hen, po okopy miasta—dzwonom kurantowym, których jednostajny, mglisty głos, był jak ten deszcz nieskończony, zasnuwający miasto?...

Duszę pani Genowefy wypełniał smutek bierny, spokojny, jak spokojnym był kanał pod jej oknem, po którym nie przepłynęła łódź i wzdłuż którego od całych kwadransy nie przesunął się przechodzeń.

Była dzieckiem Bruges, nieodrodnem dzieckiem, które bierze z matki nie tylko rysy, ale i duszę. Zaiste, była jako wieża, jak most, jak bulwar, jak drzewo beguinage'u, częścią składową Bruges, niemą, kamienną w swym smutku; a smutek ten nie był in-

dywidualny, nie płynął z głębokich źródeł duszy—był raczej wielkim, powszechnym smutkiem miasta umarłych. Słodka i skupiona, jak niewiasty Memlinga, i tak młoda jeszcze w ramie siwających *bandeaux à la vierge*...

Dusza jej zapatrzona była w siebie, jako dom gotycki zapatrzony w swe odbicie, drżące w wolzie Reji. Było jej dobrze w tej wegetacyi, z tem zapatrzaniem się, które nie było niczem innym, jak estetycznym egoizmem. Lubiła tak trwać bez ruchu, bez woli, z beczynnymi rękami i dumać spokojnie o swojej żałobie.

...Martwe powietrze miasta przeszły dźwięk mosiężnej godziny, po którym, jakby płacząc po rzeczach i chwilach przemijających na zawsze, posypały się mnogie, kryształowe łzy cichego kurantu. Był to głos Beffroie, nieruchomej we mgłę deszczowej, w perspektywie wąskiej uliczki. Odpowiedziały mu głosy innych dzwonów — innych godzin, tak samo niepowrotnych...

Pani Genowefa drgnęła, jakby to był sygnał, który jej dało miasto, jakby to był głos, który budził jej wolę uśpioną, a przez sen czuwająca, jako czuwa ból chorego, choć chory śpi. A przecież to była godzina, jak inne, ta sama, która wczoraj biła i która bić będzie jutro o tym zmierzchu beznadziejnym, który w całość żałobny spowija miasto, miasto, w którym wszystko drzemie w odrętwieniu, w którym, zdawaćby się mogło, niema głębokich dramatów, wstrząsających kataklizmów, żywiołowych namiętności, niema miłości, ani śmierci, jest tylko przesmutna ciągłość trwania chwil i rzeczy szarych, sennych — jest Nuda...

Pani Genowefa otrząsnęła się.

Zrobi to *dziś*...

Dziś — dziwny, tajemniczy wyraz w tem mieście, które jest *wczoraj*, w tem Mieście Przeszłości, którego racją istnienia, poezją, duszą, jest *wczoraj* mistyczne, które jest piękne dlatego, że jest tak mało rzeczywiste, tak całkiem w marzenie zaklęte...

Dziś...

Podeszła do biurka. Na biurku leżała jeszcze ta sama paczka z książkami, którą otrzymał nieboszczyk w dzień swojej śmierci i ten sam list z kraju. Sznurek obwiązujący paczkę i koperta listu były rozcięte jeszcze jego ręką, ale ani książki, ani list nie były już czytane... Przez pietyzm, pozostawiła je tak nietknięte od owego dnia, i w całym pokoju od dwóch lat nie przesunęła ani jednego sprzętu. Był takim, jak w owej chwili, gdy Żywicki upadł na fotel w ataku śmiertelnego kaszlu. Czasami, wsuwała się do niego cicho, na palcach, jakby zbudzić nie chciała ducha

Żałoby, który w nim drzemał, i delikatnie ściereczką zbierała kurz z szaf bibliotecznych, w których książki w obcym dla niej języku patrzyły na nią, jak obcy ludzie, z półek, na których stały gipsowe biusty nieznanymi jej wodzów i wieszczów, z obrazów, przedstawiających nigdy przez nią nie oglądane krajobrazy ziemi dalekiej, smutnej i nieszczęsnej, z której pochodził Żywicki. Nad biurkiem, w ciemnych ramach, wisiąco kilka fotografii wypełzłych — młodych ludzi o bystrem, uduchowionem spojrzeniu, w czamarkach i konfederatkach, jakieś sylwety księży, parę sztychów ze scenami obozowymi, jakiś przesmutny krajobraz cmentarza w zimie, z przesuwanymi się w dramatycznym pochodzie pięciu trumnami. Nieraz stawał przed nimi w zadumie, szepcąc coś do tych mar młodości słowami, których nie rozumiała, wiedziała tylko, że są beznadziejnie żałosne. Z nich to kurz ścierała najostrożniej, czyniąc to tak, jakby zmywała krew z ran bolesnych, niezabliźnionych...

Otworzyła jedną z szuflad biurka z sercem struchlałem, namacała ręką, pod całym stosem papierów, listów, broszur, znajomą tekę. Wzięła ją w posiadanie dygocącymi rękami, jak łup; drapieźnie wyrwała z niej listy—kartki ulotne, zapisane ręką nieboszczyka. Nasyciła ich widokiem oczy cofające się i zarazem wrywające ku nim — ku listom do Niej...

*

*

*

Leżał owego wieczoru na fotelu, charcząc, konając i ostatnim wysiłkiem wskazał tę szufladę, kazał wysypać całą jej zawartość na swe kolana, które już wstrząsał dreszcz agonii. Pamięta każdy jego ruch, każde słowo, każde westchnienie. Zapadł jej w duszę na zawsze obraz tych godzin ostatnich, wraz z najdrobniejszymi, mało znaczącymi szczegółami, które majestat śmierci uczynił pełnymi wagi, symbolów, pełnymi niedocieczonego, głębokiego znaczenia. Widzi całą trywialną i całą wzniosłą prawdę śmierci, a dusza męża, ciemna dla niej zawsze, nieodgadniona, nabiera jeszcze więcej tajemniczości, przeraża ją.

— Nie znałam cię i nie poznam...—czuje w sobie wątpliwość tamtej godziny.

Wskazał te listy, uczynił ręką jakiś gest tajemniczy, usta chciały wymówić jakieś hasło, przed którym rozwarłyby się wreszcie bramy duszy milczącej... Ale nie zdołał już. Skonał w geście niezrozumiałym, zabrał sens jego tajemny ze sobą do grobu — ale pamięć o nim została jej w oczach, w duszy, we krwi — żyła z tą tajemnicą.

— Nie znałam cię i nie poznam...—czuje w sobie wątpliwość utrapioną, wątpliwość—mękę, wątpliwość—wyrzut.

*

*

*

Nie nauczyła się jego mowy, choć żyli ze sobą lat dziesięć i obcą jej była historia ziemi, której był synem. Ojczyznę jej było Bruges, zadumane o swej niegasnącej urodzie, o swym zewnętrznym, estetycznym smutku, gdzie ją poznał i pokochał, i pragnęła, aby umęczoną, zgorzkniałą, steraną swą duszę, miastu ciszy i modlitwy powierzył. Przyjęła bez uczucia szczęścia, bez olśnienia jego młodą miłość. Bezzmysłowe jej ciało oddało mu się bez żadnych zastrzeżeń, bez żadnych komplikacyj uczuciowych, ale też i bez ognia pierwszej chwili, w której odczuło jego pragnienie. Została jego kochanką biernie, bezmyślnie, z lekką dozą sentymentalizmu, jak zawsze czyniła wszystko. O wiele później, gdy Żywicki w momencie naiwnej ekspiacji chciał odkupić swoje młode uniesienie i pojął ją za żonę, poczęła idealizować to swoje bierne oddanie. Tkómaczyła się sama przed sobą, że uczyniła to z religijnej potrzeby poświęcania się, z głębokiej, bezbrzeżnej litości. Litość — ów blady, bezwonny kwiat serca, wyhodowała w niej cieplarniana atmosfera duchowego sybarytyzmu. Chciała go zbawić od cierpienia, od tego nieznanego jej cierpienia, które tało się na dnie jego dziwnie smutnych oczu, nawet w chwilach najgorętszych ekstaz miłosnych!

To cierpienie wyczuwała po kobiecemu, bez krytycyzmu, bez rozważań, serce swe, maleńką cząsteczkę swej sentymentalnej uczuciowości, a nie całą siebie, niosąc na pomoc — serce senne, zatopione w kontemplacji nad sobą, jako się kontemplują drzewa, odbite w kanale... Litowała się nad nim zupełnie powierzchownie. Nigdy nie pomyślała nad tem, jaką ulgą dla niego byłoby jej współcierpienie, jej rozumiejące słowo. Nie uczyniła nigdy

jednego kroku ku jego duszy mrocznej, gorzkiej zamkniętej w sobie, ku duszy wygnańca, którą zabija powietrze obcej ziemi. Była i pozostała córą Bruges — nie chciała innej ojczyzny. Nie ona iść winna ku niemu, ku jego ojczyźnie, ku jego miłości, która jest męką i niedolą, ale on winien iść ku niej, ku jej miastu Cizy, Litości i Zapomnienia.

*

*

*

Prawie nie znała jego przeszłości. Wiedziała tylko, że młodość miał burzliwą, szczytną i krwawą, że się bił za wolność swej ziemi i że go losy z tej ziemi na obczyznę wygnały na zawsze. To było wszystko, co wiedziała. Poznała go przypadkiem w jednym ze starych kościołów, w którym modliła się w ekstazie, zapomniawszy o całym świecie, a on z mądrym zamyśleniem oglądał rzeźby i obrazy, całą pyszną puściznę średniowiecza. Pokochał ją za to, że miała smutne oczy i chłodne, kojące ręce i że nosiła słodkie, archaiczne imię świętej mistycznej: Geneviève...

Osiadł w Bruges na zawsze, uczynił to bez żadnej logicznej przyczyny i celu, może tylko przez dobroć serca, aby jej z ojczyzny nie wyrwać, bo wiedział, jak gorzką jest tęsknota... Zresztą, gdzie zamieszka, było mu wszystko jedno. Wiedział, że pozostanie sam—do śmierci.

Żyli przy sobie, nie ze sobą. Każde z nich miało w sercu swoją własną miłość. Jej miłością było miasto mistyczne, w którym żył Memling ze swymi kolorowymi snami o św. Urszuli, które zostały na wieki w szpitalu św. Jana, miasto z cudowną, przebogatą w freski kaplicą Krwi świętej, która burzy się czasem na znak cudu w swym kryształowym kielichu, miasto, którego senne kanały i zaułki budzą się tylko na dźwięk muzyki świetnej, barwnej procesji ku czci Najświętszej Panienki, w której szeregach kroczy całe Bruges, chwając ją śpiewem; miasto, w którym dzwony z wysokich wież smętniej biją i zgodniej, niż gdziekolwiek na świecie... Miłością jej był cały przepych pięknych obrazów, nabożeństw, rytuałów — kult, który wyznawać się tu zdają nie tylko ludzie, ale i drzewa, i domy, bowiem drzewa, pochylone wiatrem, który wieje od dalekiego morza, pochylają się, korzą w modlitwie, a w wązkich uliczkach często madonna ze swej ka-

miennej niszy w narożnym domu, wyciąga ku przechodniom swe litosne ręce.

Jego zaś miłość milcząca była, gorzka, głęboko skryta w sercu. Nie mówił o niej nigdy wyraźnie, bo i po co? Jak mówić o niej w innym języku, niż w tym, w którym ją wielbili wieszczę narodu? Jak mówić do istoty, która języka tego nigdy uczyć się nie chciała, czyniąc z uporu tego niejako symbol wieczystego między nimi rozdziału?

— Obcą mi będziesz dopóty, dopóki nie nauczysz się mej mowy...—mawiał jej ze smutkiem.

I przywiązał się do tej myśli. Poprzysiągł sobie, że tego dnia, w którym ona do niego przemówi po polsku, duszę przed nią otworzy...

*

*

*

A ona, w swej bezmyślnej apatii i w odruchowej dobroci swego wiecznie dziecięcego serca, sądziła, że spełnia cały miłosny obowiązek, dając mu ciszę swego serca i łagodny smutek miasta — owe dwie rzeczy, które, zda się, posiadały wartość jedną i znaczenie jedno, które przetapiały się jedna w drugą, jak to czynią dusze rozkochane w sobie bez pamięci uczuciem prawdziwej miłości... Ona—i Bruges... Niby rodenbachowski sen o „Bruges la morte“, naprawdę w jej życiu wyśniony, w jej stosunek do duszy męża zaklęty...

Niechaj ją kocha i widzi w mrocznym, smętnym, dobrotliwym uroku miasta, a Bruges niech kocha przez nią, niech cichym domom, drzewom, dzwonom i wodzie, niby kobiecej duszy, bezmiernie oddanej i współczującej, powierzy swe skołatane serce...

I nie spieszyła się do chwili rozwarcia tej jego duszy niemej i gorzkiej. Zwlekąca z dnia na dzień naukę tego języka, w którym Żywicki mówił ze swym duchem w długie, nostalgiczne wieczory — samotny, choć siedziała przy nim ze swą twarzą matową, z beczynnymi rękoma.

Gdy śmierć go zabrała, wraz z tajemnicą jego żalosego milczenia, nie pogłębiło się jej przywiązanie tem wieczystem rozstaniem, nie wyblękitniała, wyszlachetniała tragiczna postać wygnańca w jej wspomnieniu, nie zapragnęła go poznać, aby go

odzyskać... A jednak postanowiła uczynić to, z czem się ociągała długich lat 10: postanowiła uczyć się po polsku. Nie czyniła jednak tego, by się do niego zbliżyć, bo przeciwnie, czuła, że posiadłszy tajemnicę duszy jego milczącej, będzie może musiała oddalić się od niego na zawsze... Czysto egoistyczne były pobudki jej czynu i nie miłość ją natchnęła, ale małostkowa niechęć i niewiara. Tak, nauczył się jego mowy, ale nauczył dlatego jedynie, by przeczytać te listy niewysłane, które zostawił, których zniszczyć nie zdażył... (tak sobie wreszcie wytłómaczyła jego gest ostatni, niezapomniany). Przeczyta je wszystkie sama, bez niczyjej pomocy. Ślęczyć będzie nad metodą języka, nad trudną, ciężką gramatyką, tak obcą jej mowie płynnej, śpiewnej, ¹⁾ i tej drugiej, jakby bardziej rdzennie ojczystej, ²⁾ w której stare dewotki szepcą po kościołach swe pacierze. Włożyła w tę pracę jakąś pasję, obcą dotąd jej duszy wpółsennej.

Wydało jej się, że na już w rękę klucz tajemnicy i że drzwi do niej wiodące na rozcież otworzy. Z tych paru wyrazów polskich, które znała, wnioskowała, że listy pisane były do jakiejś istoty bardzo kochanej, straconej i nieszczęśliwej, a której Żywicki na obczyźnie, nawet przy boku kochanej żony, zapomnieć nie mógł... Powtarzające się na kartkach słowa: Ty, Tobie, z Tobą, dla Ciebie, bez Ciebie i związany ze słowami temi obraz jakiejś precudownie pięknej twarzy kobiecej, napełniały jej drżmiące serce głuchą urazą...

Dziwna była ta zazdrość o przeszłość, zazdrość retrospektywna u tej starzejącej się już, siwiejącej kobiety, a niemniej mocna i żywiołowa, jak zazdrość zynysłów i młodej krwi. Było to uczucie zgoła beznadziejne, cóż bowiem mogło się zmienić dziś w jej duchowym stosunku do męża, który leżał pod ziemią Flandryi, na cichym cmentarzu Bruges, pod osłoną wierzb i topoli? Co mogło zmienić się dziś, jeśli nawet dowie się, kim była ta Daleka, co tak bolesną i gorącą miłością przepaliła serce wygnańca?

*

*

*

¹⁾ Francuskiej. ²⁾ Flamandzkiej.

Zapaliła lampę, która nie paliła się od dnia śmierci Żywickiego, ale po paru sekundach lampa zgasła w bolesnych drgawkach, które jej w ohydnie plastyczny sposób przypominały agonię męża. Więc zbliżyła się do otwartego okna, przez które sączyły się resztki bladego światła, uciekającego przed zmierzchem i pochyliła nad mętną wodą kanału. Przez chwilę marzyła z głuchą zaciekłością, że listy te, pisane ręką nieboszczyka, rzuci w martwą wodę, ciśnie je jednym ruchem ręki szalonej precz od siebie — i dalej nic wiedzieć nie będzie i dalej będzie się łudzić, że była jedyną miłością Żywickiego, bo może ułuda dawniejsza lepsza jest od prawdy, którą za chwilę posiadzie?

Sądziła przez krótką chwilę, że tak uczyni, przerażona myślą, że trzeba będzie całą przeszłość na zawsze przekreślić. Małenka, zapatrzona w siebie jej dusza, nie rozumiała, że tego, co było, w co kładło się swą duszę, swą wiarę, jeśli naprawdę *było* w tej duszy i w wierze, nietylko w rzeczywistości—niczem i nigdy przekreślić nie można...

Ale nie rzuciła listów...

Przemówiła do siebie parę wyrazów głośno, wyraźnie, w nowym języku, który z takim mozołem, z taką zawziętością posiadała. Powiedziała:

— Idę ku Tobie. Czekałam długo na tę chwilę. Chcę Cię zrozumieć.

Powiedziała je poprawnie, głośno i głos jej własny dobiegł ją jakby z zewnątrz. Zarazem miała wrażenie, że wstąpiła w nią jakaś inna mądrość, jakaś wyższa wiedza, jakby z brzmieniem nowych wyrazów zmieniał się duchowy jej stosunek do męża...

*

*

*

Pierwszy list, kreślony ręką Żywickiego, który wzięła do ręki, mówił:

... „Dusza moja przepełniona jest miłością dla Ciebie. Jedną żyłem myślą, a tą myślą była myśl o Tobie. Umierałbym z usniechem na ustach, gdybym wiedział, że Tyś to śmierć mi zadała, na polu bitwy, kulą w samo serce. Rozłączenie sprawiło, iż wyidealizowałem Cię, iż ujrzałem w Tobie Świętą Męczennicę, jaką w swych snach kolorowych kochał Memling. Może to i do-

brze, że już przed śmiercią do Ciebie nie wrócę i duszy Twej, zmienionej tragizmem lat ostatnich nie ujrzę. A jednak chciałbym przed zgonem pobiedz do tej ziemi, „gdzie pola kościmi siane, las szumi pieśń cmentarną, a rzeki, łzami wezbrane, przez ziemię płyną czarną“...

„Chciałbym Ci dalej służyć mą tęsknotą, mym bólem. gdy krwią Ci służyć nie było danem, Ty Kochanko mej młodości, o której zapomnieć nie mogę, choć odszedłem daleko. Serce me spocznie na cichym cmentarzu pod osłoną wierzb, które przerzuca swe gałęzie po przez mur cmentarny, aby mózż patrzeć wiecznie w smutne oczy kanału. Tym ruchem przerzuciły się wierzby przez mur mego ogrodu, aby szumieć nad raszyńskimi polami, które się rozciągały obok ziem moich... Dusza wróci do Ciebie, lecieć będzie w tęsknocie przez obszary świata i do stóp Ci padnie...

„Niezapomniane słowa Zygmuntowe ze „Snu Cezary!“ Odczytałem je dziś raz jeszcze:

„A gdym drugi raz spojrział, uczułem, że kocham ją — i zdało mi się, że idę za nią w świat mi nieznamy; gdzieś, pośród mgieł jesiennych, gdzieś w puszcze stroskane, kędy słycać potoków przesłonionych szumy, kędy liści żółkłych kręcą się tumany i orzeł jakiś krwią zboczony, mgłę przecinając, prowadzi panią swoją.

„A ona stąpa zawsze równie blada i lekka i piękna, zawsze równie samotna i smętna i dunna, zawsze do snu podobna, a jednak widna ciągle, ciągle błędząca w milczeniu, a ja strzegę jej wiecznie... I gdzie ona pójdzie, tam i ja pójdę, i gdzie ona spocznie, tam i ja usiądę, i gdzie ona zniknie, tam i ja zniknę z nią razem...“

.

... Pani Genowefa rozumiała każde słowo. Były wypukłe, wyraźne, zupełnie jasne. Rozumiała słowa... Ale dusza tych słów, jak wtedy, gdy ich jeszcze nie znała, pozostawała jej obcą...

Obcym jej był dalej ten człowiek, marzyciel i poeta, którego wykołysała doba romantyzmu, którego rozplomienily przykłady szczytnego bohaterstwa, ten emigrant, który, nie mogąc żyć na ukochanej ziemi, żył wśród swych egzaltowanych, pełnych patosu snów o tej ziemi... Obcą jej była ta dusza starca dziecięco naiwna, poetyczna do głębi, do dna. Zagadkową dla niej pozostała ta miłość namiętna, w której nie odczuła całej poezji, całej ab-

strakcyjności, całego tragizmu, całej wzniosłości—zobaczyła tylko—obrazę dla siebie...

Czytała dalej. Listów było dużo, pisanych na ulotnych kartkach, jakby rzeczywiście dojść miały kiedyś rąk, dla których były przeznaczone... Była to jedna więcej naiwność marzyciela.

... „Chodzę po Bruges — umarłem i o Tobie umarłej myślę, która nią jednak nie jesteś, bo żyjesz w meim sercu, w mej tęsknocie. Wybija godzina na wysokim Beffroie, którego korona lekka, kamienna, jest jakby koroną na zadumane czoło Bruges włożoną—wybija poważna godzina, a po niej płynie cały korowód cichych kurantów, cichych i białych, jak łabędzie, płynące wzdłuż śpiącej wody kanału Różańcowego...

„W mojem sercu nie biją godziny, odkąd rozstałem się z Tobą! Skazówka stanęła w godzinie rozstania—bo bez Ciebie niema dla mnie Czasu, ani Życia! Ale kurant serca mego dzwoni i dzwoni i jeszcze w godzinie śmierci nieść się będzie po przez najmroczniejsze zaułki duszy mojej—bo tym kurantem niemilkącym jest głos mojej tęsknoty!

... „Miłość ma wielka jest, sinutna i niewzruszona, jak woda *Minnewater*: jeziora miłości... Chodzę nad tem jeziorem, patrzę na wierzby pochylone nad wodą i myślę o wierzbach mojej ziemi, mego ogrodu, z którego był widok na raszyńskie pola...

... „Chwilami dobrze mi tu, w tem mieście, które jest symbolem Przeszłości, żyjącej wiecznie i wiecznie się odradzającej. Chwilami jest mi tu wprost dobrze... Niema kontrastu między mą duszą *pamiętającą*, a miastem, którego kaźden szczegół jest hymnem na cześć Przeszłości, miastem, które potęguje i uszlachetnia moją tęsknotę za Tobą...

„Z Tobą to chodzę wzdłuż kanałów Zielonego, Augustynów, Złotej Ręki, po kamiennych bulwarach, pod zadumanymi płatanami, które mają swój drugi byt we śnie, jakim jest woda, i Tobie mówię o mej tęsknocie... Blizki Tobie jestem tych chwil tułaczy, boś Ty jest Panią tego smutnego miasta, gdzie wieczny gości Zmierzch i wieczny Żal, bo o Tobie myśleć tu muszę, Ty stracona, a tak wierna, Ty nieszczęsna, a tak dumna!“

... Głowa pani Genowefy opadła na ręce, w których list trzymała. Papier zaszeleścił i to ją zbudziło. Z oczu, które czułościowość czyniła zawsze bezbronnemi, płynęły łzy na twarz zawiędlą, płynęły ciche, równe, żałosne, jak dźwięki melodyi wieżowej, która znów się ozwała gdzieś blizko, potem dalej, i jeszcze dalej, jakby odprowadzała Złudę, która bezpowrotnie odeszła...

Dziś już wie: nie ona była Jedyną... Tamtą kochał jedynie, tamtą kochał naprawdę. I jeszcze nie dosyć samoudręczenia: przeczyta je wszystkie, te listy miłosne do Niej... Stwierdzać będzie zmartwiałą od bolesnego zdziwienia duszą na każdej karcie, w każdym słowie, jak była dla niego niczem, ona, która się skuliła ze zgorzkniałym, zmęczonym, postarzałym przed czasem człowiekiem, i wierna, cicha, czujna na jego smutki, żyła z nim lata całe, patrząc mu w oczy.

... „Kochałem Cię tak, jak się kocha najpiękniejsze, najwznioślejsze sny młodzieńcze, jak się kocha ideał najczystszych lat młodości. Kochałem Cię taką czystą miłością, aż do ciężkich, smutnych lat wieku dojrzałego i po przez lata starości. Świeciłaś mi klejnotami ofiar, jakie bracia moi dla Ciebie ponieśli. Pragnąłem Cię ubrać w rubiny krwi z męczeńskiego pola i w diamenty łez za Tobą wylanych, byś była piękna, piękniejsza od wszystkiego, co jest Piękne!...

„Cóż ja, nędzarz, dać Ci mogę?

„Na poręczach mostu, nad kanałem, w wązkiej uliczce Gheerwijn, którą widać z mego okna, dwa lwy kamienne drzemią, owe lwy, które, jak chce legenda, raz do roku budzą się i odwracają swe głowy, aby zobaczyć spustoszenia, jakie w starym Bruges czyni Czas...

„Patrzę na lwy te nieruchome co dnia, czekam, czy się nie obudzą, czy kamiennych swych, martwych oczu i w moje serce nie wbijają, ruin pełne...”

... Jakto, był nieszczęśliwy, gdy ona stworzyła mu cichy dom, otoczyła go atmosferą tkliwości i miłosierdzia? Serce miał „ruin pełne,” gdy ona, co dnia, niestrudżonemi rękoma wznosiła swe gmachy uczucia i poświęcenia?

Posunie się aż tak daleko w swej zawziętości i urazie, ona, z duszą marzycielską, którą zazdrość, owa potęga niszcząca dusz małych, uczyniła złą i mściwą, że i na tej karcie tylko obrazę znajdzie dla siebie:

... „Przy boku mym drży serce kobiece, dobre, oddane, a tak mi obce! Inne niebo je wykołysało, inne powietrze je karmiło: niebo i powietrze ziemi wolnej. Czekałem na jej słowo zrozumienia, czekałem na nie tyle lat... A nie chciała widać, bym ją kochał, jako Cię kocham. Bom czułem, że zbliżyć się z nią mogę tylko w jednej miłości—w miłości do Ciebie...

Nigdy mi nie rzekła słowami Ellenai:

„Jeżeli wiesz, gdzie ludzie idą po śmierci, to mi powiedz, bo niespokojna jestem, choć mam nadzieję w Bogu...

„Oto ja polecę do krainy twojej rodzinnej i obaczę dom twój, sługi twoje i rodzice twoje, jeżeli jeszcze żyją?”

„I nawet miejsce to, gdzie stało twoje łóżeczko dzieciinne, mała niegdyś kołyska twoja...”

Tego mi nie rzekła nigdy. Przeto całkiem oddałem się Tobie, Jedyna, a smutek mój, jak mówi Juliusz przez usta Anhellego, „nauczył mnie w samotności milczenia.”

...Nie zrozumie i tego. Maleńka, zawiędła, choć sentymentalna jej dusza nie będzie w stanie objąć bezgranicznego idealizmu wygnańca, któremu oddalenie wyolbrzymiało i upiększyło miłość. Słowa, które podyktowała gorąca, egzaltowana tęsknota, wzięły ją swoją zewnętrzną, artystyczną stroną, ale ich prawdy nie rozumiała. „Więc był poetą i nic mi o tem nie mówić?”—pomyślała. I oto nowy motyw urazy... Był poetą, a ona nie wiedziała o tem, że był poetą. I winę tego, że nie wiedziała, przypisywała jemu... A jednak Żywicki był o tyle tylko poetą, o ile jest nim każdy w chwilach egzaltowanych, samotnych marzeń. Bezwiednie zupełnie miłość jego i tęsknota za krajem szukała obrazów, przenośni, symbolów, szukała głębokiego wyrazu, w którym najlepiej wypowiada się dusza człowieka. Znalazła je w miłości do istoty wybranej, wyśnionej, doskonałej, w miłości, jaką się czuje do ubóstwionej do łez kobiety... Żył abstraktem tego uczucia tak, jak żyć wtedy tylko można, gdy się ma duszę czystą i naiwną, jak dusza dziecka, nie dopuszczająca pojęcia złego. Wszak oddawał nawet gazety, niosące mu złe, ohydne, krwawe wieści z kraju... Chciał śnić bez końca swój sen nieszeszpecony, niezakłócony, o zwycięskim, cudotwórczem Pięknie Wymarzonej...

...Jeszcze dwie kartki:

...„Chodzę co dnia do kościoła św. Walburgi, bo tam poświęcone mszą codzienną me myśli o Tobie. Dziwne, wzniosłe nabożeństwo, jakiego nie spotkałem nigdzie, wśród mych długich wędrówek po świecie. Msza święta odprawia się za spokój wszystkich, bez względu na narodowość, żołnierzy, którzy polegli za wolność swej ojczyzny. Modłę się za duszę mych druhów, którym danem było zostać na polach Siemiatycz, Kobylanki, Węgrowa, podczas gdy mnie losy rzuciły daleko...”

„W październikowe, mgliste ranki, podczas solemnej „oktawy patriotów“ stoję przy katafalku żałobnym, na którym zatknięte są emblemata wojenne i chorągwie wszystkich narodów Europy. Stoję samotny w tłumie bezmyślnie szepczących pacierze dewotek w ciemnych płaszczach, stoję z duszą, pełną goryczy, której może nie rozumiałby i mój syn, gdybym miał syna... I powtarzam

słowa modlitwy Pielgrzyma: „Pozwól nam modlić się do Ciebie obyczajem przodków, na polu bitwy z bronią w rękę, przed ołtarzem zrobionym z bębnow i dział, pod baldachimem zrobionym z orłów i chorągwi naszych, a rodzinie naszej pozwól modlić się w kościołach miast naszych i wiosek, a dzieciom na grobach naszych...“

.....

...Poczynając już rozumieć całą „abstrakcyjność“ tej miłości, symboliczną, często zupełnie nie artystycznie, często zbyt naiwnie oddaną głębię marzeń wygnańca. Tą „abstrakcyjnością“ starała się uspić i ukoić urazę swą i gorycz. Ale mała, ciasna jej dusza, nie pogłębiona w życiu bezczynnym, kontemplacyjnym, w duchowym sybarytyzmie, upominała się o swe prawa wyłączności w sercu mężczyzny. „Więc nie kobieta? Symbol? Idea?“—myślała ze złośliwą radością. Ale buntowała się mimo to. Nie zasłużyła sobie na to, aby ustąpić przed Rywalką. Cóż to za dziwna miłość, która, zsyłając tęsknotę i cierpienie, dawała więcej szczęścia od niej, od której szło samo dobro i spokój... Buntowała się, jakby jeszcze coś dało się zmienić, coś utargować w tej Przeszłości... A Przeszłość była niezłomna, skończona, niewzruszona. Czuła to jej druga świadomość, ta trzeźwa, realna; czuła, że nic już nie da się zmienić w tym trójkącie: w stosunku jej do Żywickiego i Żywickiego do Tamej. Stało się...

Jako głos mosiężnej godziny, który zabrzmiał znowu z wieży Beffroie—i przepadł: *stało się*...

Kartka ostatnia, pisana może w dzień samej śmierci, a może na parę dni przed śmiercią, mówiła:

...„Czyż ujrzę Cię jeszcze, czy ujrzę Cię, Ty nieszczęśliwa, oddana na pastwę obcych żądzy, a niepokalana? W samej Tobie twój wróg, który Cię szarpie, jakoby wrogiem była Twoja własna dusza, sercu daleka... Chora jesteś, chora na ciężką chorobę, która jest ducha rozterką... Władze ducha poszczególne walczą o prawo pierwszeństwa, a tyś niemocna i tak pełna bólu... Słyszeć nie mogę o Twym cierpieniu, o gwałtach, które się dzieją... Biedzbym chciał do Ciebie, ale już konam. Wczoraj biedronka usiadła mi na palcach. Myślałem, że biedronki są tylko tam, u nas...“

...„Z wysokiej Beffroie zobaczyłem dzisiaj morze, owe morze dalekie, które przed wiekami było w Bruges i cofnęło się od niego kiedyś daleko. A oto budują kanały i porty, i morze do Bruges wrócić musi...“

„Odbiegłem od Ciebie wygnany, aleś mnie odszukała, Ojczyzno wielka, mocna jak śmierć i nieśmiertelna...—oto jesteś..“

*

*

*

Jakże przelotny jest byt dusz, wegetujących w oknach otwartych na senne uliczki martwego Bruges, jakże krótką jest chwila egzaltacyi, która poruszy senną duszę, aby dusza ta na nowo popadła w martwość!

Pani Genowefa włożyła listy napowrót do teczki, a teczkę wsunęła do szuflady.

Była spokojną, bo już *wiedziała*.

— Jednakże gorszą jest niepewność...—pomyślała z przebłytkiem uciechy.—A teraz oto wiem wszystko...

Zatrzasnęła szufladę tak, jakby zatrzasnęła na zawsze wieko trumny. Zakreśliła klucz w zamku, wsunęła go z całym pękiem innych kluczy za pasek fartuszka. Uczyniła to skrętnie, zbiegliwie, gestem dobrej gospodyni, która czuwa nad tem, by na biurku nie wałęsały się „niepotrzebne“ papiery. Nie pomyślała nad tem ani na chwilę, że oto po raz drugi złożyła do grobu własnymi rękami gorące, samotne i po śmierci serce Żywickiego.

Obejrzała się po pokoju z zabobonną trwogą, bojąc się ujrzeć ducha Żałoby, który zawsze w nim drzemał. Ale dostrzegła tylko kurz na obrazach i szafach, kurz — ów znak czasu na przedmiotach martwych, które trwają, żyją, starzeją się, choć organicznego życia w sobie nie mają. Wzięła ściereczkę i drepcąc po pokoju, mała, wątła, z twarzą zawiedłą, przypominającą mistyczne dziewice Memlinga, poczęła ostrożnie kurz zbierać.

Nie mogła znieść widoku kurzu. Tkwiły w niej tradycje owej przysłowiowej czystości Flamandów, był to niejako głos rasy, niezaprzeczony stygmat pochodzenia... Wszystko dokoła niej powinno być czyste, lśniące.

Jutro niedziela, porządków zrobić nie zdąży. Z samego rana trzeba iść na mszę do Nôtre-Dame, gdzie się zbiera całe mieszczaństwo Bruges, a potem zajrzeć jeszcze do cudownej kaplicy Krwi świętej na przerozkoszną, wśród kolorowych witraży, godziukę skupienia. Nie omieszka także wstąpić do schłodnego, skromnego kościołka w Beguinage'u, ale uczyni to jedynie dlate-

go, by mieć sposobność przejścia wśród zadumanych topoli cichego podwórca, obramowanego rzędem pobożnych domków, gdzie skoszona trawa ma przedziwnie głęboką, smętną woń... Weźmie się energicznie do roboty i wszystko przed czasem będzie gotowe...

Dusza jej, ocknięta na chwilę, popadła w dawną apatyę, po dawnemu poczęła wegetować, mechanizując się trywialnymi zajęciami dnia powszedniego, ulegając przeblyskom sentymentalizmu, który weń wszczepiło mistyczne miasto.

Krzążając się po pokoju, myślała o nieboszczyku, o jego przyzwyczajeniach, o agonii, którą przypominały szczegóły pokoju, ale myślała spokojnie, prawie odruchowo, godząc się raczej na te wspomnienia, niż wołając o nie siłą nieukozonej niczem tęsknoty. Wyobrażała sobie twarz starca skupioną i gorzką, niby portret, który patrzy dniem i nocą na przeżycia, zamknięte wśród czterech ścian pokoju, usłyszała jego głos w dźwięku rozplakanej melodii wieżowej, który był dla niej głosem rzeczy powszednich, jednostajnych, nudnych. Uczyniło jej się smutno, ale smutek ten był tylko smutkiem tych umarłych murów, smutkiem, który o wieczornej godzinie, z sennego Bruges, wpływał co dnia przez okno otwarte, ze zmierzchem...

...Zmierzch przyszedł o swej godzinie, jak kurz, i ułożył się na dachach, gzemsach, wodzie, na duszach śpiących...

Spowił w swe mgliste, żałobne szale wązką uliczkę Gheerwijn, z wieżą Beffroie, mającą we mgle deszczowej, szklistą wodę martwego kanału, jak oczy, które wszystkie swe łzy wypłakały, dwa lwy kamienne, drzemiące na poręczach mostu... Zawiesił się na sznurach dzwonów, które ciszej zdały się dzwonić, słabiej, jakby znieść nie mogły jego ciężaru: ciężaru zmierzchu rozpiętego wśród drzew, ukrzyżowanego wśród drzew, które tam, na dalekim cmentarzu, strzegły roz tęsknionego serca Żywickiego...

ZUZANNA RABSKA.

Z OBOZU KLASYKÓW.

I.

Rymotwórcy zapomniani: Michał Wyszkowski i Konstanty Tyminiecki.

Michał Wyszkowski i Konstanty Tyminiecki zawarli znajomość w pacholęcym wieku na ławie szkoły pijarskiej w Wieluniu. Trudno o bardziej sprzeczne usposobienia: Tyminiecki, o 3 i pół roku starszy od Wyszkowskiego (ur. 22 lutego 1767 r. w Ligocie, w województwie sieradzkim), syn miecznika sieradzkiego, potomek zamożnej rodziny szlacheckiej, był z usposobienia żywy i popędliwy, w obejściu szorstki i do przyjaźni niełatwy — Wyszkowski, kaliszczanin (ur. w Krupinie 14 września 1770 r.), z rodziny uboższej, miał naturę powolną, wiele wrodzonego sentymentu i czułościowej rozlewności. Mimo to — zapewne prawem kontrastu, wzajemnego uzupełniania się — Michał i Konstanty stali się przyjaciółmi od serca, na życie całe, mimo zmienne losu koleje i długoletnie rozłąki.

Wyjątkowy ten związek serc utrwalił się oczywiście dopiero później, kiedy młodzieńcami spotkali się powtórnie na bruku warszawskim. Po ukończeniu bowiem szkoły wieluńskiej rozeszli się na lat kilka. Tyminiecki udał się do Krakowa, ażeby tam z woli ojca poświęcić się stanowi duchownemu. Nie mając jednak powołania, nie długo potrafił wytrwać w seminaryum, zwłaszcza, że i świeckie wykłady niedawno przez Kołłątaja zreformowanego Uniwersytetu budziły w nim znacznie większe zajęcie, aniżeli studia teologiczne. Rodzice jednak nie chcieli mieć syna ani uczonym, ani tem mniej literatem; skoro więc nie udało się przy-

musić go do przywdziania duchownej sukienki, postanowił ojciec uczynić syna — żołnierzem. Polecenie to napotkało już znacznie mniejszy opór—Konstanty opuścił Kraków i wyjechał do Warszawy, gdzie zaciągnął się w szeregi wojskowe.

W Warszawie spotkał towarzysza z ławy szkolnej, Wyszkwowskiego, który już od roku 1786 zajmował bezpłatną posadę w Komisji skarbu koronnego, uzupełniając jednocześnie swoje wykształcenie pod kierunkiem Onufrego Kopczyńskiego. Odtąd przyjaźń obu stała się ścisła i nierozzerwalna. Tyminiecki wstąpił do pułku gwardyi konnej koronnej, Wyszkwowski zaznajamiał się ze skarbowością państwową; — lecz ponad szablę i fiskalne problemy przenosili obaj wspólną lekturę dzieł poetyckich. Wnet pod tym względem znaleźli towarzyszy: w 1789 r. przybył do stolicy w towarzystwie Czackiego Alojzy Feliński, odtąd przyjaciel obu dozgonny, powiernik w sprawach serca i literackich przedsięwzięć niezawodny; wnet grono przyjaciół powiększył Franciszek Skarbek Rudzki ¹⁾, zasłużony później współpracownik Czackiego w organizowaniu liceum krzemienieckiego, dyrektor gabinetu numizmatycznego tejże szkoły, komisji edukacyjnej wybitny członek, autor niewydanej rozprawy p. t. „Myśli o świecie i życiu,“ głowa niepospolita, człowiek czynu, popychający innych do działania i pozwalający, by innym „spełnionej idei zasługa się liczyła.“ ²⁾

Ci czterej, zwani wspólnie: Wyś, Tyś, Ruś i Felś—utworzyli związek, tak ścisłą przyjaźnią złączony, po jakiej przykłady chyba w dzieje młodzi filareckiej sięgaćby trzeba. Tem dziwniej odbija ta przyjaźń na osłębionym tle racjonalistycznych haseł XVIII wieku. Ale też połączyła ich młodość, zawsze jednaka i wspólna ku rymom skłonność. Do grona młodych adeptów sztuki rymotwórczej należał z dalszych jeszcze zmarły przedwcześnie Mikołaj Dzieduszycki († 1797), Ignacy Tański, późniejszy ojciec autorki „Pamiętek po dobrej matce,“ Raczkowski, oficer również gwardyi konnej, słynny w swoim czasie na całą Warszawę skrzypek—całemu zaś gronu mentorował Kopczyński, ceniony i wielbiony zarówno przez wszystkich, „niezrównany w gruntowności sądu o rzeczach, jędrny w myślach, jasny i dobitny w pełnym ognia ich wysłowieniu, głęboki mędrzec, prawdziwy filozof“;—tak ocenił mistrza w ćwierć wieku później wdzięczny uczeń, Wyszkwowski.³⁾

¹⁾ Urodz. w Warszawie 1766 r.

²⁾ Zobacz „Listy Franciszka Skarbka Rudzkiego.“ Rkp. Biblioteki Jagiellońskiej, l. inw. 4569.

³⁾ W przedmowie do wydania „Pism K. Tyminieckiego.“ Warszawa, 1817.

Była to prawdziwa „młoda Polska“ w murach sejmującej Warszawy: podczas gdy obiady czwartkowe gromadziły w salonie królewskim uznane powagi literackie,

Gdzie połowa nie gada, a połowa drzymie,
W których król wszystkie musi zastąpić ekspensa:
Dowcipu, wiadomości i wina i mięsa,

—schodzili się jednocześnie ci nieznani jeszcze światu, początkujący rymotwórcy w ubogiej izbie, najczęściej u Felińskiego, ażeby tam w swobodnej, niekrępowanej pogawędce wyrabiać „gust“ poetycki, odczytywać i oceniać nawzajem przynieszone utwory oryginalne i przekładane, i zazdrościć pocichu laurów Naruszewiczom, Krasickim lub Trembeckim. Nie wszystkim z tego grona było danem dojść do świątyni sławy: jeden z nich, Feliński, miał stać się chlubą literatury ojczystej — inni, jak Wyszkowski i Tymieniecki, rychło poszli w niepamięć, choć ani dla istotnego talentu, ani dla wpływu, jaki współcześnie wywierali, niezupełnie na to zasługują.

Te dwie też zapomniane postaci przyszłość, „korektorka wieczna,“ pragnie wywieść na światło.

*

*

*

Poezye Wyszkowskiego znamy ze zbiorku, który ukazał się dopiero w pół roku po śmierci autora, jako dobrze przebrzmiałe echo dawnej manieri literackiej. Zbiorek ten, dziś nieznany, nosi tytuł: „Poezye Michała Wyszkowskiego — wydanie pośmiertne,“ Warszawa, 1830 (8-o, str. XXXII + 181); poprzedza go życiorys, skreślony przez Krystyna Lacha Szymę, odczytany na publicznem posiedzeniu Warsz. Towarz. Przyjaciół Nauk dn. 9 listopada 1829 r.; na końcu dodano kartkę autografu Wyszkowskiego.

Obok tego życiorysu dostarczają szczegółów biograficznych dla poznania tej ongiś znanej i wpływowej postaci listy Felińskiego w wydaniu Kraszewskiego, ¹⁾ roczniki Warsz. Tow. Przyj. Nauk, K. W. Wójcickiego „Społeczność Warszawy w początkach

¹⁾ Kraków, 1872.

naszego stulecia,“ Kajetana Koźmiana „Pamiętniki“ (cz. I—III) — przedewszystkiem zaś biografia Felińskiego, ogłoszona w tomie VI „Rozrywek dla dzieci“ Hoffmanowej, oraz rękopiśmienna spuścizna tejże, będąca własnością p. Karola Radwana, adwokata w Kaliszu, ciotecznego wnuka autorki „Wiązania Helenki.“

Pierwsze próby poetyckie Wyszковского przypadają na owe czasy młodości, spędzonej w gronie przyjaciół w Warszawie. Już wtedy, w 1790 r., wydał bezimiennie zbiorek utworów p. t. „Rozrywki młodości wierszem i prozą“—już w trzecim dziesiątku XIX stulecia „mało znane,“ jak stwierdza w życiorysie Wyszковского Lach Szyrma. „W młodocianych tych płodach przebija—zdaniem Szyrmy — z pośrodku uczuć tkliwych i delikatnych duch naśladownictwa ówczesnych sielanek, osobliwie Gessnera. Filis, Mirtyl, Dafne, Chloe i tym podobne dawnych idyl osoby, odgrywają tam swą rolę.“ Rzecz ciekawa: młody poeta w pierwszym swoim wystąpieniu staje pod znakami nielicznych naszych „poetów serca,“ obok Karpińskiego i Książnina; czyni to zgodnie z wrodzoną skłonnością do sentymentalizmu, pod wpływem zapewne tragedyi, jaką u wrót życia przeszedł, a o której mamy zachowaną ułamkową wzmiankę — pod wpływem nieszczęśliwej, a tak stałej miłości, że ponoś skutkiem niej przez życie całe przeszedł w stanie bezżennym. Tym ostatnim epizodem tem bardziej przypomina egzaltowanego kochanka Justyny, którego „Zabawki wierszem i prozą,“ od 1780 r. w Warszawie wychodzące, podatny znalazły grunt w sercu młodego urzędnika Komisji skarbowej.

Pierwsza miłość i siostra jej, przyjaźń, atmosfera bratnia koleżeńskiego współżycia w gronie rówieśnem — one to włożyły lutnię w rękę młodego adepta poezyi. Któż bo wśród takich okoliczności nie próbuje rymu?

Z charakteru tych pierwszych prób możemy zdać sprawę dzięki temu, że kilkanaście wierszyków z 1790 r. przedrukowano na czele pośmiertnego wydania.

Wierszyki miłe i świeże—można je śmiało policzyć do bardziej udatnych utworów lirycznych poezyi stanisławowskiej. Autor ma w tym kierunku talent niewątpliwy: świeżość odczuwania, prostotę ujęcia i zgrabność formy. Przytem i skala talentu szeroka, zwłaszcza zważywszy, że liczba tych wierszy szczupła: mamy tu erotyki i wiersze o zakroju dydaktycznym, okolicznościowe, polityczne i na wzór Anakreonta; występują tu nieuniknione Milony i Korynny, Filony i Doranty, czuć Gessnera i Karpińskiego — lecz z tem wszystkiem ogólne wrażenie jeszcze i dziś korzystne. Wierszyki były odczytywane w gronie przyjaciół — im

też poświęcił poeta zbiorek w bardzo miłym wierszu dedykacyjnym p. t. „Do moich przyjaciół.“ Pisze w wiejskim ustroniu nie dla korzyści, ani dla laurów; niech o to inni się ubiegają — poeta:

. . . skromnie w miłe poranki
Pierwszych czasów pięknej wiosny,
W proste pastuszków multanki
Wygrywa sobie radosny.

Przyjaciołom „święci swe rymy“ — w ich „kochane ręce“ je oddaje:

Ten dar szczerzy, przyjaciele,
Przyjmijcie, proszę, łaskawie.

Z erotyków wymieniamy następujące: „Do szczygła,“ puszczając ptaszka na wolność z chwilą, kiedy zrozumiał, czym jest niewola, znalazłszy się sam „w więzach u Lucyny“ — „Niewinna Milona“; ten ostatni wierszyk, choć temat nie nowy, jednak przeprowadzony zgrabnie i z finezyą — przytaczamy w całości:

Pszczoły się roiły w ulu,
Ja się patrzyła, matulu,
I widziałam przez ciąg cały
Że parą zawsze latały.

Wczora właśnie, jak te pszczołki,
Zobaczyłam dwie kukułki,
A ponad wysokie dęby
Szukały par młode zięby.

I słowik, co śpiewa tkliwie,
Z samicą siedział na śliwie,
A choć zdziczałe kanarki
Razem leciały na tarki.

Dorant wierny swoiéy Lidy,
Koryl Chloi uczestnikiem,
Filon na łonie Dorydy,
Matulu! — a ia to z nikiem?!

W wierszach dydaktycznych występuje poeta przeciw pochlebstwu („Kto pochlebnik?“), prawi do wtóru z Karpińskim i Węgierskim o smutnej doli literata, któryby chciał być niezawisły („Przestroga młodemu poecie“), wreszcie w wierszu p. t. „Sen przerażający“ daje jakby allegoryczny obraz Salomonowego „va-

nitae vanitatum.“ Ten ostatni wiersz łączy się zapewne bliżej z osobistemi przejściami poety: w smutku i zgryzocie pogrążonego nawiedza we śnie starzec. Zawiódłszy go do ogromnej pieczary, w której leżą ciała braci i przyjaciół, wskazuje „popioły“ Milony, zapytując:

Gdzież iest iey umizg, gdzie wdzięk wesoły,
Gdzie piękne oczy, gdzie włos trefiony?

Otóż to takie przysze siedliska
Marnych zabiegów, czczych starań człeka;
Łudzi go chwila życia zbyt śliska
A nie pamięta o tem, co czeka.

Dzisiaj promyczek szczęścia zabyłśnie,
Dzisiaj o zwierzchniej myślím ozdobie,
A iutro srogie losy zawiśnie
Tu nas w tym strasznym umieszczą grobie.

Podobnież osobisty element widoczny w wierszu, zatytułowanym „Myśl moja:“ przyjacielowi zwierza się poeta z poglądów swoich na świat i życie — od świata trzymał się zdala, obce mu były „zdradne przyjaźni sidła, związki małżeńskie stargane, brzydkiej obłudy prawidła“; nie chciał znaczyć ani błyszczeć, nie poządał sławy ni bogactwa, dopóki... „miłości zapęd srogi“ i jego nie uwiódł.

I wierszy politycznych, okolicznościowych nie brak. Wyszkowski, przebywając wraz z gronem przyjaciół w ośrodku epokowych działań Wielkiego Sejmu, nie pozostał głuchy na odgłosy wielkich wydarzeń politycznych, jakie się w jego oczach rozgrywały — łączył się zaś całym sercem z postępowem stronnictwem reform. Tego rodzaju są wiersze p. t. „Na obywatelską uroczystość daną dla Stanisława Małachowskiego (dn. 14 maja 1789 r.),“ oraz „Do J. U. Niemcewicza, posła inflanckiego.“ Ten ostatni utwór jest późniejszy—do zbioru z 1790 roku nie wszedł. Napisał go Wyszkowski z okoliczności granego w Warszawie d. 15 stycznia 1791 r. „Powrotu posła,“ który, jak wiadomo, cieszył się niesłychanym rozgłosem i popularnością. Autor zastrzega się przeciw posądzeniu o pochlebstwo; nie myśli „podkurzać kadzidłem,“ lecz pragnie podnieść istotne zasługi tego, który nietylko umie skutecznie „w prawodawców gronie Rądzić o wspólnem szczęściu, oyczyzny obronie“—lecz również „święcąc pracę, dowcip na usłu-

gę kraiu, Chce bydź skazówką cnoty, wzorem obyczaiu.“ Ty to „zacny Julianie“:

Ożywiłeś szlachetne w narodzie zapały
I na gruzach rozpaczy wlałeś umysł stały.
Gromisz uporny przesąd, co zawadę czyni,
Wciskając się po stopniach aż do praw świątyni;
Śmieszne wady, nałogi sztydzisz dla poprawy.

Niechaj autor „Powrotu posła“ nie zraża się zjadliwością krytyków, tych „satyrów rogatych.“

Ta to główna zaraza każdego narodu
U nas nasiona swego zostawiła płodu,
I na ohydę Polski los nieszczęsny darzy,
Więcey mamy krytyków, niżeli pisarzy.

Oby każdy szedł w ślady Niemcewicza, otwierając „przed narodem zdania swe i rady.“

Niechay ohydny wstydem spłoną przeciwnicy,
Wypełnimy te owady, ten kąkol z pszenicy.
Szczera miłość oyczyzny odwagi nam doda,
Odtąd hasłem Polaka: „cnota i swoboda.“

Streściłem wiersz Wyszowskiego obszerniej, jako ciekawy a nieznaną przyczynę do literatury politycznej 4-letniego Sejmu, w szczególności jako poetyckie echo „Powrotu posła.“ Wiersz, jakkolwiek współcześnie nie wydany, krążył w odpisach. Autor „Powrotu posła“ czuł się zniewolony podziękować w prywatnym liście młodemu wielbicielowi. Przedrukowano list ten na zakończenie wiersza w wydaniu pośmiertnem; dziś godzi się to pismo ze względu na osobę „posła inflanckiego“ podać tutaj w całości: „Odbieram piękne, lecz nadto pochlebne i niezasłużone wiersze od autora, którego osobie i przymiotom im większy należy się szacunek, tem łaskawa aprobacya jego pochlebniejszą się staie. Bydź pożytecznym kraiovi memu, iedynym było zamiarem moim; intencye moje były czyste i do tey iedyney przyznaię się zalety. Jeżeli światłemu wierszów autorowi podobało się znaleźć w mem piśmie inne, biorę to raczey za zachęcenie, żebym dobrze pisał na potym, nie zaś za nagrodę, że m iuż dobrze dziś napisał. Chciey zacny autorze bydź przekonany o nazywyszey moiey wdzięczności i o wysokim i osoby i pięknych twoich przymiotów szacunku.“

Postępowe stanowisko, jakie zajął młody poeta wobec reformacyjnych uchwał W. Sejmu, znalazło poetycki wyraz w obszerniejszym, 29 zwrotek 4-wierszowych liczącym wierszu p. t. „Na odzyskane miast prawa.“

Pod charakterystycznym znakiem Woltera, dwuwiersz jego wzięwszy za motto, wielbi autor uchwałę sejmową, skierowaną ku podniesieniu miast i mieszczaństwa polskiego, wielbi jako zwyczajność światła i postępu nad ciemnotą i zacofaniem, tem bardziej, że stało się to bez rozlewu krwi, bez gwałtu i terroru, jak we Francji. Oto woła wolny przedstawiciel trzeciego stanu:

Ziemio! na nowo dla mnie odrodzona,
Na której przedtem gnuśniałem w ohydzie,
Z twego wolności kosztując dziś łona,
Biegnę, gdzie tylko o ratunek idzie.
O iak mi teraz dzień każdy wesoły,
Jaka się radość w czułem sercu nieci,
Milsze wkoło mnie wzrastają żywioły,
Słońce przyjemnie na ten okrąg świeci.

Odbiciem wewnętrznego życia kółka młodych poetów jest „Wiersz do Aloizego Felińskiego,“ z okazji imienin przyjaciela napisany. Przyjaźń ich łączyła:

Nie przez płochy przysięgi wymuszona pęta,
Nie ślepy losu obrót, nie interes podły,
Ale do niej iednakię skłonności nas wiodły —
Owa ufność bez granic, chęć nawzajem szczerą,
Która iedna prawdziwych przyjaciół obiera.
Na tych wsparta zasadach iak wiernie chowana
Da nam chlubne świadectwo *tłómacz Ossyana*,
Któremu bez pochlebstwa oba przyznać możemy,
Że jest związku naszego ozdobą i stróżem.

Owym *tłómaczem Ossyana*, ową ozdobą i stróżem związku młodych przyjaciół, jest nie kto inny, jak Konstanty Tyminiecki. Oto i dziś śpieszy złożyć w upominku przekład „*Temory*“ — za nim zaś podąża całe grono, każdy z jakąś „uczoną pracą“ na wiązanie. Jak żywo przypomina to owe uroczystości imieninowe w gronie *Filaratów*, z transparentem i odą na cześć solenizanta; zmieniły się warunki życia, przeobraziła atmosfera duchowa — tą samą pozostała młodość, do „czułych“ związków serc zawsze skora i o poezji czarownych *gnachach* zawsze śniąca.

Młodość zwykła chodzić w parze z wesołością: nie brakło jej i w tem gronie. Kilka tego rodzaju wierszy ogłoszono w zbio-

rze Wyszkowskiego: „Wesołość,“ z nastroju przypominająca Anakreonta, „Pochwała wiatru,“ napisana z okazji przekorności jednego z przyjaciół, utrzymującego — wbrew innym — że wiatr jesienny jest mu szczególnie miły, „Skromne żądania do przyjaciela,“ ograniczające się jedynie następującymi pragnieniami:

Te bym chciał mieć rzeczy same:

Pierścień soliter kracyzgo,

Biskupa Kuiaw smak stołu,

Ekwipaż Baranowskiego

I probostwo bez mozołu.

Coś z urzędu kapituły,

Bo nie myślę zostać panem,

Wolałbym niżli infuły

W Międzyrzeczu być plebanem.

Ani pański, ani mieyski,

Ni szeroki, ni też wązki,

Blisko miasta domek wieyski

Tak na przykład iak Powązki.

Owoce saskie na wety,

Pieróg, co go robi Różia

I dwa słodkie klarynety,

Skrzypce, gitarę i Józia...

Pod koniec zaś — jeszcze jedno pragnienie:

Jeśli przykrości nie czyni

I nie zatrudnia pamięci,

Przenayłaskawsza Bogini

Słuchay ieszcze iedney chęci:

Chciałbym nabydź świeże prawa

Od trzech przyiaznych sąsiadów

Na kraie, co im moc dawa,

Dziedziny naszych naddziadów.

Wtenczas kontent z mego losu,

W wybranem przyjaciół gronie,

Słuchając Apolla głosu,

Bluszczem wieńczyłbym me skronie.

A po długiem, czerstwem życiu,

Wolny od trosków, zabiegu,

Widząc Polskę w dobrem byciu,

Przy mych żartkach myśli zbiegu,

Na śmierć, by nie bydź iak w rogu,

Chcę w mem myślenia sposobie

Mieć ostatnią myśl o Bogu,

A przedostatnią — o tobie!

Żartobliwy wreszcie charakter noszą trzy wierszyki o Bielawskim: Powinszowanie Józefowi Bielawskiemu roku 1794, „Do Bielawskiego w kurtkę i szarawary przybranego“ oraz fikcyjna „Odpowiedź Bielawskiego.“ Bielawski, groteskowa figura poezji stanisławowskiej, grafoman, nadrabiający brak talentu naiwną pyszałkowatością, element humorystyczny obiadów czwartkowych, cel żartów i zjadliwych przycinków Węgierskiego i Trembeckiego zwłaszcza—dostarczył i tutaj tematu do wesołych żartów.

Literatura stanisławowska, tak obfitująca w przekłady, skłoniła i Wyszkowskiego do pracy w tym kierunku, jakkolwiek, podkreślić to trzeba, są to rzeczy już późniejsze, po 1790 r. powstałe. Próbkę z tego zbioru, przedrukowane w wydaniu pośmiertnem, noszą wszystkie charakter mniej więcej samodzielnej pracy. Pierwsze więc utwory Wyszkowskiego znamionowały talent niewątpliwy, twórczy, który mógł z biegiem czasu wzbogacić niepospolicie literaturę rodzimą. Niestety — stało się inaczej: po tragedji 1795 roku nastąpił w rozwoju twórczości oryginalnej Wyszkowskiego niemal zupełny zastój.

Ale już i w owem gronie przyjaciół z doby W. Sejmu przekłady stanowiły główną i zasadniczą część pracy. Wyszkowski tkomaczył z literatury klasycznej, z francuskiego, a wreszcie i z niemieckiego. Przed r. 1795 są to rzeczy drobne, wiersze i fragmenta: z Marcyalisa, Fontenelle'a, St.-Pavin'a, Menage'a, Woltera („Trzeba myśleć“), początek poematu La Fontaine'a, z niemieckiego „Do włosów Mirny“ i „Fiołek szczęśliwy.“ Przekłady te były podejmowane w gronie przyjaciół celowo, z odczucia ubóstwa poezji ojczystej i konieczności przyswojenia jej utworów literatury obcej, zwłaszcza francuskiej. Inicytywa w tym kierunku wychodziła od Felińskiego, który utrzymywał, że „polska literatura nie dorównywała francuskiej, angielskiej i włoskiej i w wielu rodzajach zostawiała miejsce próżne.“ Ta próżnia najwięcej dawała się odczuwać w literaturze dramatycznej, zwłaszcza od chwili otwarcia teatru w Warszawie (1765 r.) i powstania naglącej potrzeby stworzenia dlań repertuaru. Tej potrzebie zadośćuczynić choć w części postanowili w miarę sił młodzi przyjaciele pod przewodem Felińskiego. Miała to być praca zbiorowa, podjęta z pobudek obywatelskich, tak pięknie świadczących o intencjach grona przyjaciół—podobnie jak obywatelską była gorliwa pomoc, jakiej udzielili Kopczyńskiemu w porządkowaniu biblioteki Załuskich.

Jako wzory obrali sobie młodzi klasycy trzech mistrzów francuskiej tragedji: Kornela, Rasyne i Woltera. W twórczości Felińskiego, której pierwsze pędy w tem właśnie gronie młodych

adeptów sztuki rymotwórczej się zawiązywały, pozostał ślad tej pracy w przekładzie urywku (sc. 1) aktu I-ego „Tryumwiratu“ Woltera, czytany przez Wyszковского na posiedzeniu Warsz. Tow. Przyj. Nauk w dniu 3 maja 1820 r.; przekład ten należy, wedle słów prelegenta, do „pierwiastków“ poetyckich zmarłego kolegi, „które już wtedy, bo w 1791 r., nosiły cechę poprawności, gustu i wyższego w rymotwórstwie talentu.“

Najpilniejszym jednak w podjętej pracy okazał się Wyszkowski. Przyznawał to współcześnie sam Feliński w liście do przyjaciela z Krakowa 22 kwietnia 1792 r. Wspomina tam autor „Barbary“ jakąś Basię, która go w Krakowie zatrzymuje—tłómacząc w rymach:

Wszak od tego zawisła, bracie, nasza chwała,
 Żebyśmy tak czynili jak mistrzowie nasi;
 Kochał Rasyń i jego Champmelé kochała
 Ja się umizgam do Basi.

Wnet jednak na poły żartobliwie przeprasza tłumacza „Baiazeta“, że śmiał siebie przyrównać do mistrza Rasyńa; już jakoby słyszy okrzyk przyjaciela:

Co tam za młody synal Apollina
 Przywłaszcza sobie sławę, która mi należy?
 Ja tylko jeden z polskiej młodzieży
 Stanę się godnym następcy Rasyńa.

I z kurtuazją, wyręczając się trzecim z najbliższych przyjaciół, Tyminieckim, „który tak dobrym umie być przyjacielem i sędzią“—kończy:

Odpowiedziałby tobie pan dziedzic Ligoty:—(t. j. Tyminiecki)
 Każdy z was do swej części słuszne prawo rości;
 Ty naśladujesz Rasyńa przymioty,
 A tamten jego słabości.
 Gdybyś był mniej doskonały,
 Byłby z ciebie Rasyńa cały.

Przekładu „Baiazeta“ w wydaniu pośmiertnem pism Wyszковского nie znajdujemy; są tam natomiast następujące urywki, w owym czasie dokonane: z *Woltera* „Alzira“ akt I, sc. 1 i akt II, sc. 1—„Katylicyna“ akt I, sc. 1—„Meropa“ akt I, sc. 1—„Scyta“ akt III, sc. 2; z *Kornela* „Cynna“ cztery wiersze z aktu V—„Pompeiusz“ akt V, sc. 1 (cztery wiersze) i sc. 4 (w części); z *Rasyńa* „Bere-

nika“ akt II, sc. 4 (6 wierszy) i akt V, scena ostatnia. Przekład tych urywków staranny, dokonany z wielką dbałością, zwłaszcza o stronę formalną, która cechuje zresztą całą spuściznę literacką Wyszковского.

Co ciekawe jednak, że równocześnie z Kornelem, Rasynem i Wolterem, zajmują się młodzi poeci—Ossyanem.¹⁾ Przekładał w tym okresie Ossyana Krasicki i Książnin i mylą się ci, którzy utrzymują, że były to objawy przedwczesne, pozostałe bez echa (Pilat: „Historya literatury polskiej“ t. IV, cz. I, str. 161). Właśnie w gronie młodych poetów, pracujących w Warszawie w latach W. Sejmu, znalazły stosunkowo niedawno (1760 r.) wydane przez Macphersona „Pieśni Ossyana“ wielbicieli i tłumaczy. Przedewszystkiem zaś urokowi nowej poezji uległ — Konstanty Tyminiecki.

Postać to niemniej od Wyszковского ciekawa, choć nie ze wszystkim dla tych samych przyczyn. Skromność nadmierna, brak wiary we własny talent, sprawiły, że ten żołnierz-poeta wzbraniał się za życia ogłaszać cokolwiek; dopiero po śmierci, dzięki staraniom przyjaciół, wydano dwutomowy zbiór jego pism, poprzedzony przedmową Wyszковского.²⁾

Rzeczy to niemal wyłącznie nie oryginalne; Tyminiecki był ofiarą owego nadmiernego zapędu do tłumaczeń, który zabierał czas i energię tylu istotnym talentom owej doby, wpływając zresztą z najszlachetniejszych pobudek. A jednak mimo tego braku oryginalności, uchodził Tyminiecki w ścisłym gronie przyjaciół za głowę niepospolitą, za talent znaczny, za wytrawnego arbitra w rzeczach smaku, jak to już cytowane dotąd wzmiaki wskazują.

Przekłady z Ossyana, z którymi Tyminiecki na zebrania przyjaciół przychodził, stanowiły *clou* dyskusyj literackich młodego grona, temat ożywionej wymiany zdań, do czego powód dawał sposób, w jaki tłumacz do dzieła się zabrał. Sposób ten zjednał mu wśród przyjaciół opinię dziwaka, upartego ekscentryka, którego przekonać niepodobna — a i lekceważyć się nie da. Ze wszech miar warto o tym nieznanym dzisiaj tłumaczu i tłumaczeniu podać słów kilka.

¹⁾ Wspomina o tem Feliński w liście do Wyszковского z Wołosowa 15 kwietnia 1815 r.: „Pamiętasz w Ossyanie wieleśmy wierszów popisali...“; wzmianka ta odnosi się właśnie do owych czasów młodzieńczych pomiędzy 1791 — 1794 rokiem.

²⁾ „Pisma Konstantyna Tyminieckiego,“ T. I i II, w Warszawie, 1817, 8-o, str. 332 i 528.

„Dziwactwo“ Tyminieckiego polegało na odmiennych zapartywaniach na kwestye formalne. Jeżeli zważymy, czem była forma poetyckiego dzieła wobec kanonów pseudoklasycznej sztuki rymotwórczej—to odstępstwa od tych kanonów, odmienne odczuwanie tych spraw, tak istotnych dla ówczesnej twórczości, znamionują pewnego rodzaju modernistę w rzeczach sztuki poetyckiej. Jest też nim w tem znaczeniu Tyminiecki, zwłaszcza, że oryginalność jego polega już nietylko na odmiennej ortografii, na skłonności do neologizmów—te miał już stary Naruszewicz — ale sięga głęboko w kwestye wersyfikacyjne, to święte „tabu“ dla „strugających“ wiersze poetów pseudoklasycznych;—przypomnijmy wreszcie, że za temat owych liberalnych eksperymentów obrał sobie Tyminiecki nową, zaledwo na horyzoncie wyblaskującą gwiazdę — Ossyana.

W niemałym kłopotcie znalazł się Wyszkowski, zabierając się do wydania, między innymi, tych prób przekładu pieśni Ossyana, dokonanych wbrew protestom grona młodych klasyków przez najlepszego zresztą przyjaciela, doskonałego przytem znawcę i wielbiciela literatury klasycznej, wyborczego tłumacza wszystkich sześciu komedyj Terencyusza. Czy zatrzeć i nie wspominać o tej „nieprawomyślności“? Odradzał mu tego trzeci z przyjaciół, Feleński. Oto co pisze w tej sprawie w liście do Wyszkowskiego z Wołosowa 15 kwietnia 1815 r.: „Zgadzam się zupełnie z Osińskim, żeby po Tyminieckim drukować wszystko. Czuję nie mniej jak on, że wszystko po nim jest drogie, że nawet umyślne zboczenia z toru bitego tej myślącej głowy *mogą dać powód potomości do nowych szperań, nowych odkryć i nowych wydoskonalień*. Nie zadawaj sobie także pracy w gładzeniu w jego dziełach drobnych plamek, te obrazu Rubensa nie oszpecą. *Pamiętasz w Ossyanie wieleśmy wierszów popisali, które wszystkie zdawały się gładsze, niż jego i on sam się na to zgadzał, a jednak zostawił swoje rymy: zamknęła—zsyła i t. p.* Na cóż mamy to robić po śmierci, czego on nie chciał przyjąć za życia? Ta jakaś oryginalność, te nawet, jeśli chcesz, jego dziwactwa, z których niegdyś śmieliśmy się mu w oczy i on się śmiał z nami, stają się teraz dla nas szanowne, kiedy płacemy jego straty.“

Wzgląd na pietyzm dla pamięci zmarłego przyjaciela przekonał, jak się zdaje, wydawcę: zmienił tylko ortografię — inne „dziwactwa“ pozostawił na szczęście nie zmienione. Uznał jednak za stosowne sprawę tę w przedmowie objaśnić i, o ile możności, usprawiedliwić. „Podług niego — pisze — *dla myśli i obrazu wszystkie rymy poświęcać należało*, dlatego też mniej dbały

o ich dobitność, często i zbyt może wolnie rymował: e, ey z y, a nawet z i; jakoteż t z d; o z a; ó z u; en z ę etc. w mniemaniu, iż *rymy powinny służyć bardziej do ucha, jak do oka*. O toku wiersza szczególne także było jego wyobrażenie; pilnując jedynie właściwości wyrazów i przymiotników rzecz malujących, nie przypuszczał, *aby jednozgóskowe, w przestanku wiersza mieszczono słowa, dźwięk i harmonię psuć mogły*. Jeśli podobne zdania nie wszystkim się podobają, jeśli za chropowatość czy zaniedbanie poczytają to, co Tyminiecki prostotą i naturalnością nazywał; nie można go przecież obwiniać, zwłaszcza, że te i tym podobne, choćby też nawet uwidzenia, tysiącem innych niezrównanych piękności sowicie nagradzał.“

Takie przekonania głosił Konstanty Tyminiecki w 1790 r. (z tego czasu pochodzą przekłady Ossyana), w dobie pełnego rozkwitu pseudoklasycyzmu na ziemiach polskich—nie dziw, że wywołały namiętne sprzeczki; sięgają wszakże daleko poza swój czas, zgoła są współczesne.

W niesłychanie ciekawej enuncyacji Wyszковского podkreśliłem trzy zasadnicze punkty: 1) *stanowisko ogólne* — w dziele poetyckim idzie przedewszystkiem o myśl i obraz—rym jest rzeczą drugorzędną. Jak daleko odskakuje to od zasadniczych przykazań mistrza Boileau'a i La Harpe'a! Jest to poprostu zupełne odwrócenie wartości, radykalne przestawienie zasad. Punkt 2) dotyczy rymowania: rym jest zjawiskiem fonetycznym, nie zaś graficznym. Dzisiaj wydaje nam się to całkiem naturalne i oczywiście, przytoczone przez Wyszковского „nieprawidłowości“ Tyminieckiego w tym względzie, które jeszcze w 1817 r. należało wytknąć—nie rażą nas dzisiaj bynajmniej. Wreszcie punkt 3) to kwestya rytmiki: nie uchybia wcale dźwięczności i harmonii rytmicznej położenie przed lub po cezurze jednozgóskowego wyrazu—byle tylko właściwie rzecz malował. Znowuż więc przeniesienie punktu ciężkości na wewnętrzną treść słowa.

Był więc Tyminiecki w teorii bodaj najwcześniejszym modernistą w obozie klasyków; zapatrywania jego były nad swój czas postępowe i sięgały bardzo głęboko w jądro sztuki poetyckiej. Niestety, praktyka postępowała, jak zwyczajnie, w tyle za teorią; talent poetycki Tyminieckiego był snąć za nikły, ażeby zdobyć się na większą koncepcję samodzielną. Jedyne ślad praktycznego stosowania głoszonych w teorii zasad—to ułamki przekładu „Pieśni Ossyana.“ Są to następujące ustępy: „Oitona,“ „Karton,“ „Pieśni Selmy“—oraz trzy epizody: „Brassolis,“ „Galwina“ i „Minwana.“

O dążeniu do plastyczności opisowej świadczyć mogą następujące obrazy przenośne: „noc pnie *skrzydła* swoje,“ „łez *kryształy*,“ „ciebie żał *osepi*,“ „w zimnym *okrzepniona* grobie“ (z „Oitony“) — „ośet gór *kochanek*,“ „gdy słońce jeden *bełt* rzuci na skałę“ (z „Kartona“) — „*złotolite* obłoki,“ „powiekę rosiły drobnych łez *kryształy*,“ „strumień *ryczy*“ (z „Pieśni Selmy“) — „łza *perłowa*“ (z „Brassolidy“) i t. p. Skłonności do formowania nowotworów językowych, czasem wcale zręcznych, form nieużywanych lub wyrazów, wyszłych z obiegu — dowodzą następujące przykłady: „broń się przy moim boku raz po raz *pochwiwa*“ („Oitona,“ i „Kartona“) — „sarn,“ „parzchając,“ „powierzchni,“ „lic,“ „tarcz,“ „pękla mu *ratyszczą*“ (t. j. włócznia — „Kartona“) — „*zbreżne* skały“ (t. j. nadbrzeżne — „Pieśni Selmy“) i t. d.

Liberalizm wreszcie w dobieraniu rymów objawia się w takich naprzykład zestawieniach: zsyła—zamknęła, pocznie—włócznie, lichy—uśmiechy, mojej—zgoi („Oitona“); włócznie—widocznie, mówi—nieprzyjacielowi, skory—który („Kartona“); najmilej—chyli, gorze—porze, utuli—najnieczulej, brytańy—kochanej („Pieśni Selmy“); pióry — sfory („Galwina“).

O stosunku przekładu do oryginału oraz do tłumaczenia Krasickiego najlepiej objaśni zestawienie; za podstawę można tu obrać jedynie „Pieśni Selmy,“ przełożone przez obu polskich poetów.

Już sam początek poematu oddają oba przekłady odmiennie:

„Star of the descending night! fair is thy light in the west!
thou liftest thy unshorn head from thou cloud: the steps are
stately on thy hill. What dost thou behold in the plain? The
stormy winds are laid. The murmur of the torrent comes from
afar. Roaring waves climb the distant rock. The flies of evening
are on their feeble wings, and the hum of their course is
on the field. What dost thou behold, fair light?“¹⁾

Księżycu! światło nocy co schodzisz nieznaczenie,
Nim się blask twych promieni rozpościerać zacznie
I na dnie błękitnawem wyiskrzają się pocznie,
Aż się w skłeniu srebrzystem pokaże widocznie;
Cóż cię tu w te spokojne doliny przywodzi?

¹⁾ Cytuję wedle 9-cj edycyi „The poems of Ossian,“ wydanej w Edynburgu w 1792 r., str. 155 i nast.

Po burzy noc w zaciszy ponurej nadchodzi,
 Szum się morza uśmierzył, już wiatry ustały
 W brzeg skalisty, bałwanów szturmem zapieniały;
 Też same lekko biją i nazad wracają;
 Motyle, uniesione wietrzykiem igrają;
 Brzęk się bąków i muszek po wrzosach rozchodzi.
 Światło nocy, cóż cię w te doliny przywodzi?

(Krasicki).

O! towarzysko nocy gwiazdo! której głowę
 Żłotolite obłoki zdobią zachodowe,
 Co po niebios lazurach toczysz się wspaniała!
 Czegoż się na to pole będziesz oglądała?
 Już ucichł, co dał przez dzień, wichur burzy dziki,
 Już słychać sączące się opodal strumyki:
 Uspokojone wody liżą zbreżne skały,
 A kanarek na drobnem skrzydle rozbujały
 Brzmi w ściszonem powietrzu. O gwiazdo wspaniała!
 Czegoż się na to pole będziesz oglądała?

(Tyminiecki).

Już z tego zestawienia obu przekładów obrazu wieczoru, stanowiącego introdukcję do „Pieśni Selmy,” wynika, co następuje: przekład Tyminieckiego jest zwięźlejszy (liczy o 2 wiersze mniej), zbliża się przytem bardziej do oryginału i jest barwniejszy. Widać to przedewszystkiem w zachowaniu tropów oryginału: personifikacya „gwiazdy nocnej,” tulącej „głowę” w „żłotolite” tło wieczornych obłoków—jest u Tyminieckiego zachowana wiernie, podczas gdy Krasicki ją zatarał; nadto wierniej oddane są dalsze fazy zachodzącego po burzy wieczoru, uciszanie się wichru i szumu wody oraz wieczorna muzyka komarów, do której Krasicki pododawał rysy, nie znajdujące się w oryginale („motyle uniesione wietrzykiem igrają”). Nawiasowo zwrócę uwagę na załamania rytmiczne w wierszu Tyminieckiego:

„Już słychać sączące się || opodal strumyki.”

Jest to przykład na owo zapatrywanie poety, jakoby wyraz jednozłotkowy w połowie wiersza (w tym wypadku przed cezurą) nie psuł jego harmonii rytmicznej; w tym razie uważał tłumacz niewątpliwie „się” za enklitykę, akcentując ostatnią zglóskę wyrazu poprzedzającego, jak to graficznie starałem się zaznaczyć.

To, co powiedziałem o przekładzie początkowych wierszy „Pieśni Selmy,“ rozciągnąć można na całość: tłumaczenie Tyminieckiego jest wierniejsze naogół, aniżeli Krasickiego—zwłaszcza gorliwie zachowuje Tyminiecki poetyckie obrazy oryginału, raczej rozszerzając je własnymi dodatkami, aniżeli zacierając. Jest przeto i żywszy w tonie: dzięki odmiennym zapatrywaniom na dzieło poetyckiej sztuki wybija na swojej pracy piętno odrzynającej się od ogólnego tła indywidualności, której napróżno szukać w mdłych wierszach przekładu Krasickiego.

Za niepospolite dzieło uważali już współcześni przekład Tyminieckiego, choć nie omieszkali zastrzegać się kategorycznie przeciw temu, co dziś za największą tej pracy zaletę poczytać można. Miało to tłumaczenie dla młodych klasyków jakiś urok, z którego sprawy sobie zdać nie umieli: mówi o tem Feliński w cytowanym liście do Wyszowskiego, wspomina i ten ostatni w wierszu do Felińskiego, wymieniając jeszcze nie dochowany przekład „Temory“ szkockiego barda. Byłoby to dzieło dla nich łatwiej strawne, gdyby był tłumacz ogładził i ufryzował Fingalowego syna na modłę klasyczną—sam też on przyznawał słuszość przyjaciółom, a jednak, party jakąś wewnętrzną, podświadomą koniecznością, nie usiłował zacierać kolorytu pieśni Macphersona. I gdzieś, w najtajniejsze głębie duszy, poprzez grube pokłady literackiego konwenansu, zdołał przebić się promień nowej sztuki, który na razie pozostał bierny, lecz mimo to w późniejszej zmianie ogólnej atmosfery niewątpliwie zaważyć musiał, choć konkretnie tego uchwycić i zamknąć w formułkę się nie da. „Pamiętasz w Ossyanie — pisze Feliński — wieleśmy wierszów popisali, które wszystkie zdawały się gładsze, niż jego i on sam się na to zgadzał, a jednak...“

*

*

*

Rok 1794 i 1795, ostatnie odstępny strasznej tragedji dziejowej, wywarły na losy grupki młodych poetów warszawskich wpływ doniosły. Jak wichrem jesiennym porwane liście pędzą hen, daleko od pnia ojczystego — tak i przyjaciół porwała burza wypadków, gnając tam, gdzie nie słodki śpiew muz, ale dziki szcęk oręża rozlegał się w śmiertelnej rozprawie.

Feliński i Tyminiecki znaleźli się w obozie Kościuszki: pierwszy w charakterze sekretarza naczelnika do korespondencji francuskiej, drugi, jako żołnierz z fachu, kapitan lejbgwardyi. Wyszkowski, już od 1792 r. w złączonej komisji obojga narodów do kontrolerstwa generalnego bilansów siedzący, wysłany został z odpowiedzialną misją w Poznańskie. Tam, z niebezpieczeństwem osobistej wolności, w chwili zajmowania kraju przez wojska pruskie resztę zapasów pieniężnych i papierów uratował. Czy po wybuchu Kościuszkowskiej insurrekcyi znalazł się w obozie—powiedzieć nie umiemy. Rychło opuścił obóz Feliński, udając się przez Lublin na Wołyń w misji dyplomatycznej; nie mogąc się jednakże tamże przedostać, bawił czas jakiś w Galicyi dla utrzymania poleconych sobie związków z Wołyniem. Tymczasem Tyminiecki walczył mężnie. Pułk jego był przeznaczony do wymarszu na Litwę—jemu samemu zlecił wódz najwyższy organizację powstania na Podlasiu, czego zręcznie dokonał. W bitwie wreszcie pod Słonimem odznaczył się męstwem i zręcznością strategiczną tak, że na stopień majora posunięty został i pierścieniem udarowany. Donosiła o tem „Gazeta rządowa“ 11 sierpnia 1794 r. w następujących słowach: „Największe dowody męstwa, pomiędzy innymi, okazywali major Szot i kapitan Tyminiecki od Lejb-Gwardyi, którym cały korpus przyznać może zdatność i wielką odwagę.“ Po upadku powstania pośpieszył Tyminiecki do Dzikowa w Galicyi. Tam, w domu wychowanka Felińskiego i wspólnego wszystkim przyjaciela, Jana Tarnowskiego, zjechali się znowu trzech poeci, tułacze teraz i rozbitki: Feliński, Wyszkowski i Tyminiecki, których — jak mówi Koźmian — „i przyjaźń i równy smak w literaturze i w poezyi łączyły.“¹⁾

Wyszkowski przybył do Dzikowa, jak się zdaje, w towarzystwie Mikołaja Dzieduszyckiego (por. notatkę przy wierszu Wyszkovskiego p. t. „Na śmierć Mikołaja Dzieduszyckiego r. 1797“)—tak, że rezydencya Tarnowskich stała się nieomal punktem zbornym dla ciągnących z różnych stron rozbitków dawnego grona poetów. Jednak tylko na chwilę: wnet podążył Feliński na Wołyń, do Wojutyna, skąd już 15 kwietnia 1795 roku donosił o sobie w liście do Wyszkovskiego. Pozostali ruszyli do Sokołówka, pod Lwowem, majątności Dzieduszyckich, śpiesząc za falą emigrantów, ściągających do Lwowa. Z tego czasu dochowały się dwa wiersze Tyminieckiego, jedyne niemal oryginalne: jeden

¹⁾ „Pamiętniki.“ Poznań, 1858, t. I, str. 102.

króciutki, 6 wierszy ledwo liczący, rodzaj epigramu p. t. „Na koncert dawany przez znakomite damy we Lwowie dla wsparcia emigrantów polskich w r. 1795“ — drugi, dłuższy znacznie, pod enigmatycznym nagłówkiem: „Do K. R. P. P. K.. wiersz oryginalny, we Lwowie r. 1795 pisany.“ Myśl tego ostatniego utworu wiąże się ściśle z dopiero co ubiegłymi wypadkami: upadła Polska — nie zginie pamięć walecznych czynów; giną narody i państwa—

Sama tylko zasługa i cnota prawdziwa
 Nad wszystkie rzeczy ludzkie trwalsza zawsze bywa,
 Ostrzem swej broni przemoc zniszczyć jej nie zdoła,
 Ani ją zaćmi potwarz miedzianego czoła.

Smutna to pociecha; zadowolić mogła ona była Kochanowskiego — w ówczesnych jednakże warunkach...

Rozchodzą się odtąd drogi życia trzech przyjaciół—na zawsze. Czas jakiś przebywają Wyszkowski i Tyminiecki razem w Sieradzu—w lutym 1796 roku są znowu z powrotem w Dzikowie. ¹⁾ Następnie wszyscy trzej osiadają na roli: Feliński na Wołyniu, w Wojutynie, Osowej i Wołosowie, Tyminiecki w ojczystej Ligocie, Wyszkowski również zapewne w stronach rodzinnych. Z racji tejże okoliczności pisze ten ostatni wiersz do Jana Tarnowskiego („Do Jana Tarnowskiego z okoliczności zaczętego przez autora gospodarstwa“), w którym zapewnia:

Lecz choć lutnię położę, choć z lemieszem w rękę,
 Nigdy u mnie nie stracą Muzy swego wdzięku,
 W wolnej od domowego zatrudnienia chwili
 Miło zawsze przeczytać, co pisał Wirgili.

Od rządu pruskiego, jako były urzędnik, pobierał emeryturę, miał więc i chleb spokojny, a jednak — wena nie dopisywała, rozwój talentu nie postępował naprzód. Drobne wiersze okolicznościowe, w guście wspomnianego do Jana Tarnowskiego lub „Na śmierć Mikołaja Dzieduszyckiego roku 1797,“ lub przekłady, gładkie zresztą i wyrobione, wysoko współcześnie cenione, oto głównie owoce literackiej produkcji Wyszkowskiego w pierwszym lat dziesiątku po upadku kraju. Przekłady to następujące: „Hymn do milczenia“ z Desmahis'a, „Cefiza“ z Montesquieu'go, „Począ-

¹⁾ Por. listy Felińskiego w „Rozrywkach dla dzieci“ Hoffmanowej № 35 („O Al. Felińskim“).

tek zimy“ z „Pór roku“ Saint Lamberta, oraz „Świątynia nudów,“ przeróbka epizodu z poematu poety niemieckiego Zachariae'go p. t. „Chustka.“ Przekłady, którym odtąd Wyszkowski w najważniejszej części pióro swoje poświęca — to charakterystyczne „signum temporis,“ refleks ogólnej mody czasów porozbiorowych i Księstwa Warszawskiego, która dziwną bezpłodność na niwie oryginalnej twórczości zastąpić usiłuje ogromną masą w znacznej części mało wartościowych tłumaczeń i przeróbek z literatury obcej. To co w stanisławowskich czasach, w szczuplejszym zresztą zakresie stosowane, było poniekąd dodatnim i zdrowym objawem dążności do przyswojenia literaturze ojczystej arcydzieł obcych — staje się teraz szkodliwą manią i nałogiem. Przekłada się na wyścigi drugo- i trzeciorzędnych francuskich rymorobów, a do robót tego rodzaju przykładą się wagę niezwyčajną, darząc tłumacza pochopnie mianem mistrza nieśmiertelnego.

Z pod tego ogólnego pędu nie zdołał wyłamać się Wyszkowski. Górował jednakże smakiem i poczuciem artystycznym nad wielu innymi i śmiało można go postawić obok takiego np. Józefa Szymanowskiego, a choćby nawet — Osińskiego. Miał jeszcze i tę wyższość nad innymi, że na odgłosy nowych haseł bezwzględnie uszu nie zatykał i za „korzennego“ klasyka w tym stopniu co Osiński lub Kniaźnin, ujśćby nie mógł.

Z wymienionych tłumaczeń szczególnie ceniono współcześnie „Cefizę.“ Jest to utwór Montesquieu'go, którego „Le temple de Qnide“ przełożył i wydał był w Warszawie w 1778 r. Józef Szymanowski; tłumaczenie to Szymanowskiego, a raczej wolny przekład, uchodziło w swoim czasie bezinała za ósmy cud świata, zaś jego autor za mistrza nad mistrze. „Cefizę“ wydrukował Wyszkowski w III tomie „Nowego pamiętnika warszawskiego“ 1801 r. (str. 361 i n.), „zachęcony — jak pisze — pochlebnią odezwą autora „Pamiętnika“ (t. j. Franciszka Dmochowskiego), na powtórzone żądanie jego.“ Przekład poprzedził charakterystyczną uwagą, w której czytamy: „Ktokolwiek powieść tę czyta w oryginale, łatwo pozna, że jest dziełem nieśmiertelnego pisarza „Świątyni Knidejskiej.“ Ten sam wdzięk, ta miękka słodycz i gust delikatny rozlane są w tem małym piśmie tak, że je dopełnieniem pierwszego nazwać można. Szczęśliwe pióro w tłumaczeniu „Świątyni Knidejskiej“ wslawiło na zawsze pamięć *Józefa Szymanowskiego*. Znany mówca (mowa o Stanisławie Potockim) na pochwałę jego w Towarzystwie przyjaciół nauk pięknie powiedział: że w tem dziele potrafił on z języka rycerskiego zrobić język miłości.“ Kończy zaś Wyszkowski zgrabnym komplementem: „Przejęty tą prawdą

tłómacz *Cefizy* daleki jest od mniemania, że z wielkiego wzoru swego umiał korzystać. A gdy przed rychłym zgonem nie mógł małej swojej pracy poddać pod sąd tego uczzonego męża, dziś, składając ją na jego grobowcu, skromnie wyznaje: że jak na pochwałę *Cefizy* dosyć jest powiedzieć, że ją pisał *Montesquieu*, tak na naganę to tylko, że jej nie tłómaczył *Szymanowski*.“ Mimo tej skromności, która nietylko była zwrotem stylistycznym, ale i istotnym rysem charakteru Wyszковского, nie zawahała się Klementyna Tańska uznać, że tłómacz „w swej nadobnej *Cefizie* nietylko doszedł, ale przeszedł wykończone, delikatne i smakowne *Szymanowskiego* pióro.“ ¹⁾

Nas jednak zaciekawia dzisiaj więcej „Świątynia nudów,“ jako przeróbka epizodu z komicznego poematu *Zachariae*'go p. t. „*Chustka*.“ *Zachariae*, jakkolwiek w utworach swoich pozostawał pod wpływem *Boileau*'a i *Pope*'a, to jednak, jako pisarz niemiecki, przedstawiał dla nas w owym czasie pewnego rodzaju nowość. Należał też do pierwszego szeregu przewodników, którzy wpływom niemieckim w naszej literaturze torowali drogę. Stało się to dzięki staraniom Wyszковского, który powyższy epizod ogłosił w „*Nowym pamiętniku warszawskim*“ już w 1801 r. w tymże, co „*Cefizę*,“ roczniku (str. 98 i n.). Przekład poprzedza notatka, w której wskazano ogólnie wzrost literatury niemieckiej oraz zwrócono w szczególności uwagę na niemiecką poezję, „która w ostatnich czasach przyszła do wysokiego doskonałości stopnia.“ Tego rodzaju notatki, pomieszczone w prasie, nie mogły oczywiście pozostać bez wpływu na wyłamywanie się z pod hegemonii francuskiej. Ponadto pomieszczono w tejże uwadze wstępnej ogólną wiadomość o autorze „*Chustki*,“ podnosząc „oryginalność“ i „nowe obrazy“ w tłómaczonym ustępie. Przeróbka Wyszковского polegała na drobnych zmianach: na umiejscowieniu akcji utworu w Polsce, na Polesiu — oraz na spolszczeniu imienia bohatera utworu, hrabiego *Holda*, na *Wdziękosza*.

W tymże mniej więcej czasie dokonał Wyszkowski znacznie obszerniejszej pracy: przekładu poematu tegoż *Zachariae*'go p. t. „*Faeton*.“ Ogłosił go wprawdzie dopiero w 1809 r. w „*Pamiętniku warszawskim*“ (str. 135 i n.), jednakże w przedmowie wyznaje, że „owoc to przyjemnej życia dawniej wiejskiego zabawy, dotąd ukryty“ i dopiero teraz „na przyjacielskie wezwanie Redaktora „*Pamiętnika*“ ²⁾ ogłoszony.“ Tłómacz „zachęcony pochleb-

¹⁾ „*Rozrywki dla dzieci*“ n.º 35 „O *Al. Felińskim*.“

²⁾ Od 1809 r. był nim *Osiński*.

nem przyjęciem *Świątyni nudów* ośmielił się przełożyć *Faetona*,“ tym razem bez zmian, starając się „ile możności wiernie wydać myśli autora, nie mogąc nigdy przyjemności jego wyrównać.“ W przedmowie zaznacza tłumacz z naciskiem, że choć dziełko nie wyszło z pod pióra Francuza, jednakże odpowiada wszelkim warunkom klasycznej sztuki rymotwórczej: posiada więc „gust i rzadki dowcip,“ zachowuje „wszystkie prawidła Bohatyrskiego wiersza,“ „obrazy... są zwięzłe i wybornie malowane, charaktery osób właściwe, podobieństwa trafne. Uznali to Francuzi, skoro poemat Zachariae’go przyswoili w tłumaczeniu ojczystej literaturze.“

„Faeton,“ poemat rycersko-zartobliwy, składa się z pięciu pieśni, liczy razem do 800 wierszy; przekładu dokonano gładkim 13-zgłoskowcem, w rymach parzystych, najulubieńszej formie pseudoklasycznej poetyki. Na końcu dołączył tłumacz od siebie dwie zwrotki 4-rowierszowe „Do Polek:“ nie do was, Polki, odnosi się morał poematu — wy nie pójdziecie śladem Dyany, rwącej się do powożenia parą ognistych ogierów:

Poco wam szukać Rycerskich obrotów?
Zgubna was jeźdźców chwala nie omami,
Gdy samą mocą wdzięków i przymiotów
Będziecie zawsze panować nad nami.

W treści utworu Zachariaego, niesłychanie zresztą błahej i nikłej, wśród ściśle pseudoklasycznego ujęcia i prowadzenia akcji, jest wszakże pewien rys zwracający uwagę. Bohaterka poematu, Dyana, pędzi lekkim faetonem, nie chcąc zdać lejców obok siedzącemu baronowi. Lecz Zazdrość przygotowała zasadzkę. Oto droga prowadzi brzegiem jeziora:

Nad brzegiem, czesząc złote kędzioły na głowie,
Siedzi śliczna Syrena, co się Nixą zowie,
Zdrajczynna, niejednego z nieostrożnej młodzi,
Kiedy w szumiącą trzcinę za kaczkami wchodzi,
Albo na ryby wędkę zarzuca zwodniczą,
Naprzód wdzięcznego głosu przywabia słodyczą,
Potym do swego wciąga pałacu pod wodę,
Tam ponętną nieszczęsnym gotuje wygodę.
A jeśli można *mamek* uwierzyć *powieści*
W plackach ich ze słodkimi rozenkami mieści
I dopiero pożera utuczonych wściekła.

Zazdrość podjudza Nixę, ażeby pieniem swem zwabiła jadącego z Dyaną barona—w skutek czego spłoszone konie wywracają powóz do jeziora.

Ten obrazek złotowłosej Loreley, ta Świtezianka, wabiąca ku sobie młodzieńców, o której prawi baśń ludowa przez usta mamek, jest zjawiskiem ogromnie ciekawem. Obrazek ten zjawia się zresztą niespodzianie w ramach pseudoklasycznej manieri, w kombinacji z allegoryczną zazdrością — niemniej przecież jest Nixa we wszystkich rysach protoplastką balladowych uwodzicieli. Podnieść należy ludowe pochodzenie rusałki, wyraźnie przez autora zaznaczone (*mamek — powieści*), a więc jedno ze specyficznie romantycznych źródeł koncepcji.

W ten sposób spotykamy w poemacie Zachariae'go rys nowy, który zgoła nie mieści się w kanonach sztuki pseudoklasycznej, mimo zastrzeżeń tłómacza w przedmowie—tę to „nowość“ ze względu na czas i okoliczności, wśród jakich się zjawia, warto zaznaczyć.

*

*

*

W 1798 r. wybrał się Wyszkowski, zapewne dla poratowania zdrowia, do Carlsruhe na Śląsku, wycieczkę zaś tę opisał w liście do Jana Tarnowskiego, przeplatając prozę wierszem („Opis podróży do Carlsruhe w Śląsku wierszem i prozą w liście do Jana Tarnowskiego r. 1798“). To jakby odgałęzienie *épître'u*, rozpowszechnione przez Woltera, znalazło u nas naśladowcę w osobie Krasickiego („Wiersze z prozą,“ „Listy w ogrodach“). W pismach Wyszkowskiego znajdują się — oprócz wymienionego—dwa jeszcze w podobnym rodzaju utwory: „List do generała Xawerego Wyszkowskiego roku 1803“ i „Opis podróży do Gdańska, w roku 1803 odprawionej, w liście do przyjaciela.“

Choć zdala od obu przyjaciół, pozostawał z nimi Wyszkowski w żywej wymianie listów; świadczy o tem korespondencya Felińskiego, ogłoszona w cytowanym numerze „Rozrywek dla dzieci,“ oraz zeznania Klementyny Tańskiej, klasycznego świadka, który wiadomości te czerpie z pierwszej ręki, t. j. z papierów i opowiadań samego Wyszkowskiego. Obaj przyjaciele śledzili z uwagą rozwój talentu Felińskiego, któremu „do szczęścia zawsze było potrzeba albo ustnej, albo przynajmniej listownej z dwoma braćmi serca swego rozmowy“ (Tańska). Donosi im Feliński o każdym swoim przedsięwzięciu literackim, prosi o rady i wska-

zówki, posyła rękopisy do poprawy. Zwłaszcza Wyszkowski, choć o rok tylko starszy od autora „Barbary Radziwiłłówny,” staje się w literackich sądach jego mentorem i nauczycielem, którego zdanie Feliński ceni ponad wszystko i we wszystkim do niego się stosuje.

Wyszkowski tymczasem pisze rzeczy oryginalnych niewiele. W 1800 roku zjeżdża się na krótko z Tyminieckim w Warszawie (por. list Felińskiego z Helenówki 28 marca 1800), poczem wraca na rolę. Jednak:

Ceres, dla której biją poklony,
Małe ma związki z synem Latony.
Uprawa ziemi nauka długa,
Do niej nie rymów, lecz trzeba pluga.

(„List do Xawerego Wyszkowskiego“).

Wiele żądając od innych, jest sam dla siebie surowym sędzią:

Kto tylko wieszczym nieba nie natchniony duchem,
Niechaj prozy rymowym nie wiąże łańcuchem,
Lepiej się w niej, choć prosta, myśl wyda sto razy,
Niżli w niezgrabnym wierszu nadęte obrazy.

(„List do Xawerego Wyszkowskiego“).

Dwa tylko wiersze Wyszkowskiego z tego czasu zasługują na uwagę: „O Kazimierzu Wielkim“ i „O przyjaźni Leszka z Goworkiem,” oba powstały w 1803 r., oba noszą charakter dum historycznych. Duma lub „śpiew“ historyczny wedle nomenklatury współczesnej—jest poezji Księstwa Warszawskiego objawem pierwszorzędnej wagi, jako przejściowe stadium pomiędzy pseudoklasyką a romantyczną liryką. Rodzaj ten zawdzięcza powstanie wpływom nowszym, zwłaszcza zapoznaniu się z angielską romancą, oraz pieśniami Ossyana. Upowszechnił go u nas Niemcewicz, który już w 1791 r. wydał dwie „Dumy polskie“ (łącznie z „Powrotem posła“—również osobno), o Stanisławie Żółkiewskim pod Cecorą i Stefanie Potockim pod Żółtymi Wodami. W 1803 roku ukazuje się trzecia z kolei duma historyczna Niemcewicza „O kniaziu Michale Głińskim“ w „Roczniku Tow. Przyj. Nauk warsz.“ (t. II, str. 453).

Wiersze więc Wyszkowskiego, powstałe niewątpliwie za pobudką pierwszych dum historycznych Niemcewicza, należą do wczesnych objawów tego rodzaju poezji; świadczy to bądź co

badź o tem, że Wyszkowski wrażliwy był na postęp w rozwoju poezyi i rychło umiał przyswajać sobie jego zdobycze.

Oba wiersze pisane są formą jednakową: krótkim ośmiogłoskowcem, w czterowierszowych strofach, rymami krzyżującymi, rytmem przeważnie trochaicznym. Już ta forma, śpiewna, jakby pod muzykę pisana, wskazuje, że mamy tu do czynienia z czemś nowem i odrębnem. Wiersz „O Kazimierzu Wielkim“ liczy zwrotek 21—„O przyjaźni Leszka z Goworkiem“ zwrotek 24. Poeta usiłuje całkiem świadomie nadać obu wierszom charakter pieśni („Oby przy Kazimierza grobie Wnuki tę *pieśń* powtarzały“ „Przyjaźni! Twoje *śpiewamy* pochwały“). Warto zauważyć, że pod względem formy śpiewy Niemcewicz o Kazimierzu Wielkim i Leszku Białym¹⁾ mają niemal identyczną budowę: tażsama ilość zgłosek, tenże rym i rytm—jedyna różnica w budowie stroficznej, łączącej 6 wierszy, nie zaś 4 w zwrotkę. Można by więc sądzić, że Niemcewiczowi znane były i nie bez wpływu pozostały wiersze Wyszkowskiego, co wobec bliskich stosunków, łączących obu jeszcze od czasów Wielkiego Sejmu, nie wydaje się niemożliwe.

Kazimierz Wielki, władca pokoju i praworządu, ulubiona postać klasyków, zwłaszcza Krasickiego („Rozmowy zmarłych,“ „Życia zacnych mężów“), stał się również bohaterem „śpiewu“ Wyszkowskiego; historyczny przykład przyjaźni Leszka z Goworkiem pociągnął i stał się osnową drugiego śpiewu poety, który do przyjaźni szczególną umiał przywiązywać cenę.

Oprócz tych dwóch śpiewów historycznych nie dochowało się po Wyszkowskim nic więcej w tym rodzaju; być może zaniedbał pracy w tym kierunku, skoro z polecenia Warszaw. Tow. Przyj. Nauk rozpoczął Niemcewicz pisać systematycznie śpiewy historyczne, w miejsce zaniechanego „Pieśnioksięgu“ Woronicza.

W 1804 r. mianowano obu przyjaciół, Wyszkowskiego i Tyminieckiego, członkami Warszaw. Tow. Przyj. Nauk, założonego, jak wiadomo, w 1800 roku; rok 1806 powołuje obu z powrotem do służby publicznej. Wyszkowski zostaje członkiem Izby Administracyjnej departamentu warszawskiego i przenosi się do stolicy na stałe — Tyminiecki obejmuje na krótko urząd radcy departamentu kaliskiego, rychło jednak udaje się do odziedziczonego w spadku po rodzicach Prażmowa, gdzie aż do śmierci przebywa. Dwa lata pełni Wyszkowski bezpłatnie funkcje administracyjnego asesora, jednając ogólne zaufanie sumiennością, pracowitością

¹⁾ „Śpiewy historyczne z muzyką i rycinami.“ Warszawa, 1816.

i bezinteresownością w wypełnianiu służbowych obowiązków. Przymioty te wystąpiły najwyraźniej podczas spełniania mozolnych i odpowiedzialnych czynności członka komisji żywności wojska, która podczas wojny z Austryą dokonywała istnych cudów zabiegliwości. W uznaniu zasług proponowano Wyszkowskiemu dwukrotnie godność wiceprezesa komisji, którą w nadmiernej skromności stanowczo odrzucił. Po szczęśliwym zakończeniu wojny austriackiej i wcieleniu do terytorium Księstwa Warszawskiego czterech nowych departamentów, zamianowano Wyszkowskiego radcą w ministerium spraw wewnętrznych (6 czerwca 1810 r). Odtąd posuwa się szybko po szczeblach hierarchii urzędniczej: w nowym rządzie Królestwa Polskiego zostaje kolejno sekretarzem generalnym komisji spraw wewnętrznych i policyi, kawalerem orderu św. Stanisława 3-ciej klasy, referendarzem stanu,¹⁾ członkiem najwyższej komisji egzaminacyjnej, wreszcie radcą stanu.

W tym długim przeciągu lat, niemal ćwierć wieku obejmującym, pisze bardzo mało, głównie tłumaczy, a jednak zaliczają go do pierwszych w obozie klasyków, z jego sądem się liczą i oń zabiegają. Należy do tych, którzy w urabianiu opinii publicznej w rzeczach sztuki głos zabierają, ma swój udział we wszelakich towarzystwach i zebraniach literackich, rozrywają go ówczesne „salony“ warszawskie, jako wytwornego i dowcipnego „causeur’a“, oraz nieporównanego organizatora zabaw towarzyskich, mecenasuje wreszcie potrosze młodym adeptom Apollina, oraz własnym sumptem i zabiegiem wydaje pisma zmarłych przyjaciół.

Z nielicznych utworów Wyszkowskiego wymienić chyba potrzeba jeden: jest to przekład ustępu z poematu Delille’a „O Imaginacyi“ p. t. „Obraz człowieka podejrzliwego“, odczytany na posiedzeniu Warsz. Tow. Przyj. Nauk dnia 19 stycznia 1809 roku.

Ciekawy nadto jest współudział Wyszkowskiego w pracy nad „Barbarą Radziwiłówną“, oraz w redakcyi pośmiertnego wydania pism Tyminieckiego. Pierwszy ślad poczęcia się pomysłu „Barbary Radziwiłówny“ upatrywać można w liście Felińskiego do Wyszkowskiego z Osowy z 15 marca 1809 r. Feliński donosi przyjacielowi o przybyciu Ludwika Kropińskiego, który przywiózł ze sobą w rękopisie „Ludgardę.“ Ponieważ jednak klasycz-

¹⁾ Por. Wyszkowski M. „Przymówienie się referendarza stanu na posiedzeniu senatu dnia 23 kwietnia 1818 r. przy wprowadzeniu kodexu karzącego.“ Warszawa, 1818, 4-o, kart 2, (cf. Estreicher, t. X, str. 67).

ny pegaz nie uznawał galopu, lecz posuwał się wolno i z rozmysłem, przeto dopiero w dwa lata później zapytuje Feliński (19 marca 1811 z Osowy): „Czy była grana *Ludgarda*? jak przyjęta? Jeśliś dobry napisz mi długo o *Barbarze* Wężyka. Słyszałem, że i Osiński w tej materji pracuje — czy skończył? w czym się różnią?”

Te nieco nerwowo stawiane pytania wskazują, że już w tym czasie praca nad „*Barbarą*” była w pełnym toku. Istotnie, 20 sierpnia 1811 r. wysyła Feliński rękopis przyjacielowi, pisząc: „Posyłam ci ostatnią moją robotę... *Barbarę*. Mogeż ją z większą ufnością komu powierzyć, jak dawnemu i najlepszemu przyjacielowi, który jedną z pierwszych prac młodości mojej: „*Wiersz do Kościuszki*,” światu pokazał. ¹⁾ Przeczytaj ją sam najpierwej po cichu i spal, jeśli osądzisz, że nic z niej dobrego zrobić nie można. Jeśli zaś poweźmiesz o niej jaką pochlebną nadzieję, zrób mi nad nią swoje uwagi i daj pod krytykę osobom, do których listy przyłączam, *Tyminieckiemu* i innym. Przeszlij mi potem swoje i każdego z osobna uwagi, a ja zrobię wszystko, żebym wam dogodził.“ W liście z 28 grudnia 1814 r. z Osowy czytamy: „Spodziewam się niedługo waszych krytyk na *Barbarę*. Znam ja sam jej wady, już po jej wam przesłaniu wiele poprawiłem... Prócz twoich (na których najwięcej polegam), radbym jeszcze koniecznie mieć uwagi nad nią *Tyminieckiego*, którego światło, gust i szczerą przyjaźń my sami podobno najlepiej możemy ocenić. Jego skromność, samotność, może lenistwo nie wielu osobom da go poznać i prawdę rzekłszy, nie wielu jest tego wartych.“

Przyjaciele zarzucali „*Barbarze*” rozwlekłość i zbyt mało ożywioną akcyę, na co odpisywał Feliński (7 marca 1815 z Wołosowa): „Ze są długości w *Barbarze*, zgadzam się chętnie, czułem to i zostawiłem umyślnie dla was, żebyście kierowali mój wybór, co mam przekreślić. Co do drugiej krytyki, że w niej niema dosyć akcyi, ani sam się poczuwam, ani nikt mi tego jeszcze nie zarzucał;—może się nie rozumiemy... Czekam dowodów z rozbioru i albo ulegnę, albo was inaczej przekonam...“ Natomiast wysoko podnosił Wyszkowski dykcycę tragedji, utrzymując, że nic nie ma w tym względzie do zarzucenia — na co znowu Feliński

¹⁾ Jest to ciekawa, choć niezupełnie jasna wiadomość o młodzieńczym wierszu Felińskiego „*Do T. Kościuszki*,” który dochował się jedynie w ulamku (7 zwrotek) w rękopiśmiennych zbiorach biblioteki Ossolińskich (por. Pilał „*Historja literat. pol.*“ IV/2, str. 145).

odpowiada (15 kwietnia 1815 z Wołosowa): „Co? ty mi piszesz, że uwag nad dykcją *Barbary* nie przyszlesz mi żadnych. Strzeż cię Boże! łaskawe pochwały, a jeszcze od ciebie, który sam tak piszesz, pochlebiają mi bardzo, ale mnie nie omamią, ani ciebie nie uwolnią od wytknięcia mi każdego wiersza, każdego wyrazu, który ci się nie podoba, od oznaczenia mi wszystkich tyrad, które trzeba wyrzucić. Nie zawódź mojej nadziei.“

Przytoczyłem te wszystkie ustępy korespondencyi Felińskiego, ażeby okazać, jak wysoko cenił opinię przyjaciela i jak ważny jest współdziałanie Wyszковского w ostatecznem opracowaniu arcywzoru klasycznej naszej tragedyi, tworzonej wśród ciągłych poprawiań i przeróbek przez ciąg lat sześciu (1811 — 7, t. j. do wystawienia sztuki w teatrze warszawskim).

Oprócz Wyszковского zależy Felińskiemu również na zdaniu drugiego przyjaciela, Tyminieckiego. Niestety, ten ostatni nie wiele mógł mu być w tym względzie pomocnym: umarł bowiem 17 sierpnia 1814 r. w Prażmowie na gruźlicę, która już od szeregu lat w jego organizmie nurtowała.

Czem była ta śmierć dla obu pozostałych „braci serca“ — świadczą ich własne wyznania. Feliński, otrzymawszy smutną wiadomość od Wyszковского wraz z projektem wydania pism zmarłego przyjaciela—pisze w liście z 1 marca 1815 r. z Wołosowa: „Już go więc niema! niema naszego Tyminieckiego! Co za strata! ile słodkich i smutnych wspomnień, ile znikłych nadziei!... Nie, nie, on nie był stworzony na nasz wiek, wiek nieszczęść i odrętwienia, nadto był czuły, szlachetny i dumny. Jego pisma noszą na sobie tę cechę oryginalności, jak i jego dusza. Co za pisma! co za dusza! Niestety! żył i umarł nie dosyć znany, nie dosyć ceniony od niewielu dobrych; umarł ofiarą prześladowania złych i przewrotnych. Tak być musiało!... Zachowaj, zachowaj przynajmniej jego pamięć, imię i sławę daj Boże wiekom. Przedsięwzięcie wydania pism jego jest godne jego, godne ciebie. Ale pomnij, że względem przyjaciela, którego dusza leniwa może, kiedy szło o przyjaciół, najmniejsza oziębłość, opieszałość byłaby zbrodnią... Jeśli chcesz, wydziel mi jaką część pracy, która ci się zda najnudniejszą, i przyslij, a obaczysz.“ „Ach! czyż i ja nie cierpię?“—pisze, chcąc pocieszyć przyjaciela—„czyż nie czuję? ale jest u mnie lekarstwo... praca.“

Toż samo mniej więcej donosi Feliński w dwa dni później w liście do Rudzkiego, wspólnego uczestnika wspomnień młodzieńczych. Na żądanie Wyszковского układa nagrobek (w liście do Rudzkiego z 13 kwietnia i do Wyszковского z 15 kwietnia

1815 r. z Wołosowa): „Prawy Polak, poeta zachwycający i nie-naśladowany, w mniemaniach, w postępowaniu, w pismach, w swoich tłumaczeniach nawet noszący cechę oryginalności. Kochany z zapalem przez przyjaciół i dla nich wylany, ukrywał się przed innymi mniej może przez skromność, jak przez szlachetną dumę, nie zdolny wejść w przymierze z nieprawością ani z głupstwem; żył w wieku wielkich odmian, zaburzeń i nieszczęść, a mający zbyteczną tkliwość, padł jej ofiarą; od potomnych dopiero będzie, jak wart, oceniony, a cześć dla pamięci jego w Polakach rość będzie z ich oświeceniem, z ich cnotą i z ich sławą.“

Nie umieścił Wyszkowski napisu tego na nagrobku kościoła parafialnego w miasteczku Burzeninie, gdzie spoczęły śmiertelne szczątki tłumacza Ossyana; zacytował go tylko w przedmowie do pism przyjaciela. W miejsce proponowanego epitafium, którego długość motywuje Feliński zbyt mało znanem imieniem zmarłego poety, widnieje inne w następujących słowach: „Konstantemu Tyminieckiemu, jako walecznemu żołnierzowi, gorliwemu urzędnikowi, uczonemu mężowi, opiekunowi włościan, najlepszemu przyjacielowi położyli ten pomnik wierni przyjaciele.“

Ze łzami w oczach zabrał się Wyszkowski do ostatniej posługi przyjacielskiej, do gromadzenia i opracowania pozostałych rękopisów, pomny zdania ulubionego przez zmarłego poety rzymskiego Terencyusza, że „przyjaźni nie przerywa zgon.“ „W Tyminieckim straciłem wszystko — pisze w przedmowie do pism — co tylko w życiu jedyną pociechę dawać może, bo straciłem najdroższego i najdawniejszego przyjaciela, nauk szkolnych towarzysza, z którym mnie ścisłe i nierozzerwane związki od pierwiastków młodości łączyły... Zostawił mi on piękny do naśladowania przykład, którego nie dojdę i żal, którego czas nigdy nie strawi. Dzielcie żal ten ze mną wspólni jego przyjaciele! Feliński, Tarnowski, Kruszyński, Osiński i in.“

Cóż zawierają te dwa spore tomy pism zmarłego poety, które, zdaniem przyjaciół, miały mu zapewnić nieśmiertelność? Jest to dorobek pracy literackiej długiego szeregu lat, spędzonych niemal nieprzerwanie w wiejskiem zaciszu, zdala od wielkomiejskich gwarów, zdala od atmosfery sztuki i nauki. Spadek to jednak nie całkowity — wydawca wspomina kilka ciekawych prac, pozostałych w rękopisie: szkic komedyi „Herbomania“ na wzór „Metromanii“ Pirrona, naśladowanie „Duncyady“, „gładkie, lecz w drugiej zwłaszcza części niedokonane przekładanie z J. J. Rousseau'a *O umowie towarzyskiej*“, kilka satyr Juwenalisa, „wyjątki epok sław-

niejszych z dziejów naszych i obcych i inne," nadto niedokończona rozprawa „O sztuce dramatycznej w starożytności."

Z tego, co wydano, najciekawszy pozostanie przekład „Pieśni Ossyana," owoc pracy młodzieńczej — utwory późniejsze, wyłączenie niemal przekłady, dalszego stadyum w rozwoju talentu poetyckiego nie wskazują. Jest to tłumaczenie „Lata" z „Czterech pór roku" Tompsona (wedle wydawcy najwcześniejszy utwór po Ossyanie — napisany był w 1796), „Hymn do piękności" z Delle'a, ulubionego przez wszystkich trzech przyjaciół poety (Feliński tłumaczy „Ziemianina"), „Świątynia sławy" z Pope'a, a przede wszystkim pracowity, na klasyczną modłę wiele lat ostatnich „strugany" i gładzony przekład sześciu komedyj Terencyusza. Prace te dokonane zostały pod względem formalnym bez zarzutu, wiernie i gładko, współczesnym mogły istotnie imponować, dla nas przedstawiają one jedynie historyczną wartość. To, co w przekładzie Ossyana mogło być zapowiadać pewną indywidualność odrębną, owe „oryginalności" językowe, stanowiące przedmiot dysput w kole młodych klasyków — zjawia się w tych późniejszych pracach ledwo wyjątkowo: zrzadka zatrzyma uwagę niezwykła forma w guście „wiosna swój lic chowa," „przy strużku, co tocząc wody," „kiedy *par* się spuści" („Lato"), „*oblicz* wspaniały," „*waby* ciała" („Hymn do piękności"), niezwykły epitet, jak „wschód *dropiaty*," „*łudna* cichość" („Lato"), lub zestawienie metaforyczne, jak „zazdrosnych czasów *kieł* wszystkowiedy" („Świątynia sławy"), a wreszcie i rym nie „dla oka," jak „ciepło — okrzepłą" („Świątynia sławy"). Są to jednak zupełnie wyjątkowe i niezbyt szczęśliwe zboczenia od przepisów pseudo-klasycznej poetyki. Katastrofa 1795 roku wpłynęła, jak się zdaje, fatalnie na nerwową naturę Tyminieckiego. Od tego czasu usuwa się od życia, staje się dziwakiem i mizantropem, a przytem i rozwijająca się coraz bardziej choroba piersiowa kępuje w nim swobodę myśli. To wszystko zapewne przyczyniło się, że talent ten, tak dobrze się zapowiadający, zawiądnął i zmarniał przedwcześnie.

Choć w szerszych kołach za życia nieznany, przez przyjaciół, ludzi również nie tuzinkowych, uważany był za niepospolitą głowę. Oto jaką charakterystykę Tyminieckiego kreśli wydawca: „Był to mąż niepospolity, z rozległą nauką, żywym objęciem, gruntownym rozsądkiem. Poważna, lecz razem ozdobna jego postawa, twarz uprzejma i pogodna, na pierwszy rzut oka wydawały w nim duszę szlachetną i serce dla ojczyzny i przyjaciół wylane. Przy nieskażonych obyczajach, uczciwość we wszystkich postępkach była jedyną dla niego pobudką, lecz surowe jej

prawidła umiał łagodzić, szczęśliwym uprzejmości darem. W przedsięwzięciach i przyjaźni najstalszy, tkliwy na cierpienia i wybaczący błędy drugich, sam może zanadto drażliwy, lecz ani zawzięty, ani zazdrosny, żartobliwy bez uszczypliwości, wesoły bez zbytku, wyniosły bez pychy, czy to ważniejsze zdania otwierał, czy się do powabnego kraju imaginacyi przenosił, rozlewał tę osobliwszą w posiedzeniach słodycz i rozkosz, którą czuć tylko można i cenić, ale jej opisać, a tem bardziej posiadać nie łatwo.“

*

*

*

Niepodobna by nam było dzisiaj wieńcem nieśmiertelnej sławy ozdabiać tę zapomnianą postać, jakby tego pragnęli przyjaciele: lecz w plejadzie polskich poetów pseudoklasycznej doby nazwisko Tymienieckiego wymienić i w najważniejszych zarysach rysunek tej postaci podać—jak sądzimy—warto i należy.

*

*

*

Nie oszczędził los Wyszkowskiemu i drugiej, niemniej bolesnej straty: 20 lutego 1820 roku zmarł Alojzy Feliński. Z trójki poetów, którzy „przez 30 blisko lat żyli tak tkliwym węzłem spojeni,“ że wzajemności serc ich „ani oddalenie, ani zmiany okoliczności zmienić nie potrafiły“ (Tańska), pozostał jeden, „nadobnej *Cefizy*“ tłumacz. Ostatni raz widzieli się obaj w Warszawie w 1815 roku, uczestnicząc w posiedzeniach Ixów („Rozrywki dla dzieci“ t. VI, str. 256). Jeszcze 29 września 1819 r. pisał do przyjaciela Feliński z Krzemieńca, dokąd dla objęcia posady profesora zjechał: „Potrzebuję najwięcej pięknych kawałków; przyszliz mi więc swoje rękopisma i innych pisarzów, których wiersze szanuję.“ W pięć miesięcy później już nie żył.

Do ogłoszenia „pochwały“ zmarłego autora „Barbary Radziwiłłowny,“ zwyczajem przyjętym w warszawskim Tow. Przyjaciół Nauk, powołano długoletniego przyjaciela, Wyszkowskiego.

Prelegent postanowił odczytać kilka wierszy młodzieńczych Felińskiego, pochodzących z owych dobrych czasów wspólnie spędzonej młodości; była to: „Przemowa Kornelii, matki Grachów do Rzymian,” scena 1 aktu I-go z tragedyi Woltera „Tryumwirat,” oraz drukowany już w swoim czasie w „Pamiętniku wileńskim” „List do St. Trembeckiego.” Czuł jednak, że nie potrafi odpowiednią modulacją głosu oddać wszystkie piękności wiersza. Prosi więc zgromadzonych na publicznem posiedzeniu dnia 3 maja 1820 r. o wyrozumiałość: „głęboki cios sercu zadany — mówi — nie dozwolił mi rozrzewnionemu godnie (pochwały) wysłować;“ niechaj słuchacze usiłują nie „uronić żadnej piękności wiersza Felińskiego, jeśli głos mój przytłumiony żalem po stracie 30-letniego przyjaciela nie będzie zdolnym wydać zadziwiającego uroku, który pióru tego pisarza towarzyszył.“

Lat jeszcze dziesięć miał przeżyć Wyszkowski. Pisać zaprzestał niemal zupełnie; kilka wierszyków, wydrukowanych w wydaniu pośmiertnem, a które w tych ostatnich latach powstały, noszą charakter czysto okolicznościowych utworów, skierowanych pod adresem osób tego grona, z którym w ostatnich czasach wiązały go najzażywsze stosunki: jest to wiersz imienninowy do generała Wyszkowskiego z 1820 r., „Do mecenasa Tarczewskiego,” szwagra Klementyny Tańskiej z 26 listopada 1827 roku, na urodziny Helenki, tej samej, której poświęcić miała Hoffmanowa słynną książeczkę p. t. „Wiązanie Helenki,” „Pegazowski — na rocznicę urodzin bliźniąt Tarczewskich 28 lutego 1823” i „Na 12-stą rocznicę ślubu tychże 1 lipca 1827.“

Żyjąc ugruntowaną sławą jako wybitny talent poetycki, wśród powszechnego szacunku i uznania dotrwał końca dni swoich. Zmarł 4 maja 1829 r. w 59 r. życia. Podczas uroczystych obdukcij kazał w kościele wymownemi słowy ks. Szaniawski, „scholastyk warszawski.“

*

*

*

Talent posiadał Michał Wyszkowski mierny—to, co go z pośród wielu innych wyróżnia, zawiera jedynie zbiorek wierszy młodzieńczych: jest to owa świeżość odczucia w pewnym stopniu, ów sentymentalizm niezupełnie literacki, na który zwraca-

liśmy uwagę. W następnych jednak utworach cechy te zanikają; Wyszkowski staje się klasykiem „pur sang.“ „Prawda, jasność i zdrowa loika“—stają się wedle własnego jego wyznania („Charakter M. Wyszkowskiego przez niego samego skreślony“ w wydaniu pism), jedynymi dlań wytycznymi w życiu i poezji. W dziedzinie oryginalnej jest na równi z innymi klasykami mało płodny. Przeważnie tłumaczy, lecz po wzory zwraca się również i do poezji niemieckiej, którą czytuje w oryginale. Pod względem formy niewiele mógłby mu zarzucić najzaciętszy ortodoksa klasyczny, o czystość języka dba usilnie i niejednokrotnie tendencję tę z naciskiem podkreśla.

Cieszy się też współcześnie powszechną opinią wybitnego poety, jakkolwiek zbiorowe wydanie poezji wychodzi dopiero po śmierci (zbiorek wierszy młodzieńczych nie wielu był znany), jako objaw dobrze spóźniony. Opinia ta z dzisiejszego punktu widzenia musi wydać się przesadną, lecz wtedy inną mierzono miarą. Wszakże Osiński w ciągu długiej swojej karyery literackiej zdobył się ledwo na drobną wiązanek wierszy oryginalnych, oraz kilka gładkich przekładów, a współcześnie został ogłoszony poetyckim geniuszem. To też jeżeli na Wyszkowskiego spojrzymy z historyczno-porównawczego punktu widzenia (a jedyny to punkt w nauce dopuszczalny), musimy mu przyznać miejsce na ówczesnym Parnasie polskim; wieluż bo na nim widzimy takich, którzy w niczem, ani w zdolnościach, ani zasługach Michała Wyszkowskiego nie przenoszą.

Przypomnieć tu jeszcze należy jeden moment: pozostawał Wyszkowski w bliskich stosunkach z wielu najznakomitszymi, a nawet na głębsze od siebie talenta, jak Felińskiego, wywierał wpływ bezpośredni. Ważną też jest rola, jaką odegrał, zwłaszcza w ostatniemi dziesięcioleciu Królestwa Kongresowego, w literacko-towarzyskiem życiu Warszawy. Okażą to najlepiej dzieje nieznanego dotąd „Towarzystwa rozrywkowego,“ które istniało na bruku warszawskim w latach 1823 — 7; o tem pragniemy pomówić osobno.

D-R MARYAN SZYJKOWSKI.

JAN MORÉAS

(1856 — 1910).

Wieczorem, ulubionym zwyczajem samotnika, Moréas kołysze się na szeslongu i, paląc cygaro, wspomina sobie przeszłe lata: „Spędzam zimę na tem wybrzeżu wspaniałem, gdzie, jako mały chłopiec, chwytałem po dziurach morskie raki za wąsy. Żywię się rybami i piję to lekkie białe wino, co pachnie żywicą. Koło mnie mieszkają rybacy, starzy i biedni, jak rybacy Teokryta...

„Lubię schodzić na brzeg morski, gdy pierwsze brzaski dnia różowią szary widnokrąg. Kiedy się zbliżam, mewy, siedzące na trawach morskich, uciekają z biciem skrzydeł i wydają skargę tak miłą sercu memu ..

„Mam książki i notatkę do zapisywania wierszy...

„... Dom—gdzie mieszkam nad brzegiem potoku, który widział narodzenie Sofoklesa—jest biały i czysty mimo zmurszałych okiennic. Maj; w ogródku kwitną piękne róże pomiędzy dwoma drzewami oliwnymi, wielką morwą, maleńką winnicą i cembrowaniem studni. Świergotanie ptasząt wita mię rankiem, a zasypiam przy śpiewie słowika...

„... Co za mroźny styczeń. Nasza mieścina, położona u stóp ciemnej wyżyny Sewennów, jest cała pokryta szronem...

„... Wróciłem do Monachium. Cud Ezona odnowił się dla mnie: Patrz! na ulicy, jak dawniej, podziw kobiet waha się między kolorem moich włosów, a moją nóżką maleńką. Dziś wieczorem idę do teatru: będę słuchał „Zygfryda“...

„... Jestem w Bolonii, mam szesnaście lat. Moje ukłony więzy Garyzندی, która się tak szlachetnie pochyla; ale stokroć woleę dziewczęta, które mię zatrzymują na ulicy wieczorem, by mi sprzedać bukieciki hiacyntów...

„... Jestem we Florencyi, w Kascynach, w faetonie. Patrz na tę szlachetną damę, co przechodzi! Piękna jest i dumna, jak bohaterka Inci Pana Jana Boccaccio. Wiesz, jeżeli mię znajdą tej nocy pod jej bramą przebitego na wylot, to jej nie wykradnę!...

„... Jestem na granicy austriackiej. Złe spałem w pociągu; mam twarz przywiedłą i nie śniem pokazać się pani N., którą bawiłem przez dzień cały, a teraz opuszczam bez nadziei zobaczenia...

„... Jestem w Hiszpanii, może w Maroku...

„... Ależ, ależ ja się zamykam na cały rok w mojem kochanem Montrouge. ¹⁾ Nasza piękna katedra romańska jest dla mnie końcem świata. Oglądam przez okno, jak przechodzą pory roku na grządkach mego sąsiada, ogrodnika.“ ²⁾

Jak dym z cygara snują się bezładnie wspomnienia z życia, które było bardzo ruchliwe, a nawet trochę awanturnicze w młodości. Moréas (nazwisko rodowe Papadianantopulos) urodził się w Atenach w r. 1856. Przodkowie jego brali udział w walkach o niepodległość Grecyi i wstawili się na lądzie i morzu, pałac tureckie galery. Ojciec, znany prawnik, był wysokim dostojnikiem przy trybunale kasacyjnym w Atenach. Moréas otrzymał wykształcenie francuskie. „Z waszymi poetami — mówi do sprawozdawcy francuskiego dziennika — spędziłem najpiękniejsze chwile młodości; czytałem ich nieustannie, a nie miałem jeszcze dziesięciu lat, kiedy sobie przyrzekłem śpiewać, jak oni, po francusku. Bogowie spełnili moje śluby.“

Moréas czytał bardzo wiele, a rozwinął się wcześnie. Kiedy młodo opuszczał Ateny, pozostawił tam bibliotekę z dwu tysięcy tomów francuskich, przeważnie klasyków i poetów Odrodzenia. W Paryżu słuchał wykładów prawa z woli ojca, ale częściej odwiedzał koła artystyczne i literackie. „Brzegi Sekwany — mówi dalej — podbiły mię tak dalece, że nie mogłem już żyć w Atenach, wróciwszy między swoich po trzechletnim pobycie w Paryżu. Powróciłem wnet, by osiąść nad Sekwaną, i przez lat dwadzieścia nie widziałem Grecyi. Moja podróż ostatnia sięga roku 1897, w czasie wojny przeciw Turcyi.“ Nie zaraz osiadł stale w Paryżu. Jeździł po różnych uniwersytetach więcej dla przyjemności niż nauki; podróżował, bawił się, żył. Mieszkał w Frankfurcie i Heidelbergu, w Kolonii, Monachium i Genewie; zwiedził okolice nadreńskie i Szwajcaryę, zatrzymał się dłużej we Wło-

¹⁾ Montrouge jest przedmieściem i dzielnicą Paryża.

²⁾ „Esquisses et Souvenirs,“ Paris 1908, str. 191 i nast.

szech... Nie tracił czasu. Wabił ku sobie czarnym wąsem, włosami o niebieskawych refleksach i maleńką nóżką. Schylał się nad kwiatami, jakie spotykał na drodze, bo skłonny był do miłostek a płochy. W teatrze i kawiarni, na ulicy, przechadzce i w podróży—wszędzie chwycił w lot chwilę czułego wzruszenia. Wśród wspomnień znajduje się także Polka, którą poznał przełotnie, gdy wsiadł do pociągu w Weronie: „Siedziały ze mną dwie panie: jedna starsza, tłusta i czerwona, druga młodziutka, jasna i osłabiona, z oczyma lekko szaremi. Rozmawialiśmy, a pociąg pędził na torach. Były Polkami obydwie, matka i córka. Matka zaprosiła mię na kanapki z kawiozem, a w córce rozkochatem się zaraz na śmierć. Trwało to do rana nazajutrz, kiedy się rozstałiśmy. Miałem lat dwadzieścia, serce czułe i płochy.“¹⁾ Zewsząd przywiózł z sobą Moréas naręcza świeżych wrażeń życiowych. Kiedy osiadł w Paryżu i zaczął pisać wiersze francuskie, wracały te wspomnienia, jak migawkowe obrazy z młodości; przesuwały się pasmami czułych woni, w dreszczach krwi gorącej i wśród drobnych tragedij myślowych, jakie pobudziło czytanie.

„Syrty,“²⁾ pierwszy zbiór jego poezyj, powstawały w takich warunkach. Już zaraz na wstępie, w „Remembrances,“ wspomnienia snują się tajemniczo wśród żałobnego nastroju: ciemny pokój, zarzewie płonie różowo na kominku, a wichry zimowe huczą na dworze; w pokoju cisza, tylko kot wychudły ociera się o ściany, a w kącie wspomnienia szeleszczą po firankach, niby roje jakieś brzęczące:

C'est un bonheur que l'heure emporte
Qui chante sur un ton lassé.

Przechodzą wspomnienia jedne po drugich długim szeregiem: Grecya i dziewica o pięknych kształtach klasycznych; dama włoska, goudole i mandoliny; jakaś Małgorzatka jasna, naiwna i sentymentalna; Katalonka o czarnych włosach i oczach, jak smoła; wreszcie frou-frou paryskie, rozkoszne oczy, ukwiecone kapelusze, batysty i koronki... Wszystko to prawdziwe i szczerze przeżyte wypowiadało się z prostotą w chwilach twórczości odruchowej. Ale takie chwile były rzadkie. Większa część wierszy jest stylizowana, począwszy od samego tytułu. Bo „Syrty“ były to niebezpieczne zatoki, które pochłonęły tysiące statków i żeglarzy.

1) „Esquisses et Souvenirs,“ Paris 1908, str. 144.

2) „Les Syrtes,“ poésies, Paris 1884.

Symboliczne zatoki szczęścia! Ku nim płynął wszystkimi drogami, ale zawsze rozbijał się gdzieś o skałę. Każdy wiersz jest — niby szczątek rozbitego okrętu — echem jakiegoś serdecznego cierpienia. Jak łatwo w takich warunkach o dekorację i pozę; a skoro się raz weszło na tę drogę, trudno utrzymać jakąś miarę. Transpozycja wrażeń życiowych na obraz stylizowany komplikuje się z każdym wierszem, staje się coraz bogatszą, barokową. Oto obrazek dwornej zabawy, niby werlenowska „fête galante“: Stary, wspaniały park, pod wieczór pełen strojnych dam i sentymentalnych kawalerów; wymowne spojrzenia, łaskawe uśmiechy, szum jedwabiu, a wśród tej dwornej igraszki jakaś tragedia serdeczna, którą pokrywa grzeczny uśmiech. O kartę dalej znów dekoracja inna: Ciemnobłękitna noc, stare zamczysko ponure; na tle jego komnat rysuje się fresk kobiety zmysłowej i demonicznej, „o wargach bachantki, a oczach madonny.“ Sposób stylizowania występuje bardzo wyraźnie w „Conte d'amour,“ powiastce miłosnej jakich wiele, bez namiętności i bez tragedji; mogłaby być nawet bardzo miłą, gdyby nie dodatki teatralne, które z nią nie mają nic wspólnego. Moréas chce koniecznie być bardzo mistycznym i bardzo satanicznym; bierze w dłonie kadzielnicę, wyrzuca kłęby sinych dymów i zdobi swą ukochaną tak, że jest „strojna, jak ołtarz, a święta, jak relikwia;“ potem widzi w jej oczach mistyczne słodycze, kokietuje z białością lilij, świętością madonn i złotym blaskiem relikwiarzy. Za chwilę wszystko się zmienia; na miejscu mistycznego wniebowzięcia rozsiada się spleen i grymas przesyty, który się wypowiada w apostrofach naiwnego satanizmu:

Serce moje jest trumną pustą w ciemnym grobie...
Ma dusza, to zamczysko, kędy kraczą kruki..

Mistyczna i sataniczna komedia rozwija się w różne pozy, obrazy i warianty; stroi się w jaskrawy blask drogich kamieni, nimb złocisty i błękitny; roztacza się w długie wodne desenie o dziwacznych liniach i ozdobach, inkrustowanych gęsto tajemniczymi wyrazami niby mozaiki z fałszywych kamieni. Ale jest go zbyt mało i tak fałszywej jakości, że nie wystarcza nawet, by oszołomić mistycznie samego poetę, który kokietuje równie z białością lilij, jak z histeryczną erotyką, a tak łatwo przechodzi od Madonny do Astarte, że sam się wreszcie tem nudzi i wraca do naturalnej, zdrowej zmysłowości. „Dosyć już tych wstrzemięźliwości ponurych!“ Marzy mu się, że jest gdzieś hanem samowładnym i zasiada na złotej stolicy. Wokoło kobiety, wojownicy... Wystarczy tylko palcem skinać...

Dodatki mistyczne i sataniczne nie mają wiele wspólnego ze stanami wewnętrznych przeżyć Moréasa. To dekoracja i poza. Prawdy i szczerości szukać trzeba w tych wierszach nielicznych, gdzie mówi zmysłowość młoda i wesele, kędy się szasta rozkoszny urwisz, łatwy do miłostek a płochy. Prawdą jest tu inwokacja zmysłowa: „Seins des femmes! ô seins de lis! ô seins de nacre!“ a wszelkie skrupuły mistyczne są pozą nieszczerą, która opada, jak tynk stary tam, gdzie się nie szuka bohaterskiego gestu: „Nie lubicie z pewnością mgły, bo nie widzieliście jej, jak się unosiła nad jeziorem Czterech Kantonów, i nie zakryła was przed oczyma waszej przyjaciółki, podczas gdy całowaliście jej młodszą siostrę.“¹⁾

Zmysłowość i nieokreślone marzenia o wielkości są odgłosem wewnętrznych przeżyć; reszta, a więc bohaterski ton, pretensjonalna dekoracja i grymas przesytu—to echa czytanych książek Baudelaire'a, Verlaine'a, to wpływy literackie, które się jeszcze nie przetrawiły, ale gniją gdzieś w zapadłym kącie mózgu i co chwila dobywają się na powierzchnię kłębamii wyziewów, jak czkawka. Wszystkiego tu jest potrochu, a mieszanina nie wysokiej jakości. Mogła być białą, jak lilia, albo czerwoną, jak szkarłat, a teraz wydaje niemiły, zjęłczały zapach, niby przepoccona bielizna.

Większość tych wierszy powstawała w różnych czasach, kiedy w głowie piszącego nie było wcale porządku. Przy końcu dopiero występuje coraz częściej idealizm z bardzo lekką powłoką mistycyzmu. Spotyka się wtedy co krok lilie, gromnice, monstrancye, mszały o złotych klamrach i długie ręce wybladłe, jakby na starych witrażach. Zjawia się nawet przelotnie marzenie o jakimś rycerstwie ducha i żal, że się tyle lat straciło na marne rozkosze; za tem idzie misteryum pokutnicze i żalobny śpiew pośród gromnic w jakichś kryptach podziemnych. Są to już ślady symbolizmu, który się zaczynał kształtować w kierunku o wyrażnym charakterze.

*

*

*

¹⁾ „Esquisses et Souvenirs,“ Paris 1908, str. 199.

Moréas należał do twórców symbolizmu; a że był starszym od wielu i miał szerokie wykształcenie artystyczne, ceniono go i otaczano jako jednego z wodzów. On sam uważał się za kierownika tej grupy i występował publicznie jako jej przedstawiciel i obrońca. W r. 1886 ogłosił wraz z Paul Adamem pierwszy manifest symbolizmu w „Figaro“ z dnia 18 września.

Równocześnie napisał „Piosnki“¹⁾ o wyraźnym charakterze poezji symbolicznej. Dwa tematy powtarzają się tu w różnych ukształtowaniach: erotyka i rozmyślenia filozoficzne. Wiersze przygodne zebrał w jeden rozdział fatałaszek, „Toute la babiole,“ gdzie się spotyka często wypowiedziane bardzo pięknie przelotne drobnostki życiowe, wiele zmysłowości, szelest sukni wieczorem na spokojnej ulicy, gorąco ciała, dymki wspomnień i rozmyślenia z cygarem w ustach, kiedy się wraca z kawiarni do domu. Część refleksyjna powiększyła się znacznie, ale temat erotyczny wciąż jeszcze przeważa. To też nie w treści samej trzeba szukać symbolizmu, ale w sposobie wypowiedzenia. Moréas wszedł teraz stanowczo w średniowiecze; robił nad niem poważne studia, czytał wiele i znał je może najlepiej ze wszystkich symbolistów. Ogłosił nawet przełożoną na język współczesny—dłuższą powieść „Jean de Paris“ i wiele krótkich opowiadań awanturniczo-miłosnych p. t. „Powiastki i opowiadania ze Starej Francyi.“ Znał także lirykę średniowieczną i starał się ją naśladować. Jest w tej książce cały rozdział, „Arye i opowiadania,“ który zawiera piosnki o tematach średniowiecznych i egzotycznych. Są wiersze, naśladujące bardzo zręcznie piosnki, jakie niegdyś śpiewano do tańca; są straszne historye czarownic i dziwaczna wizya śmierci według średniowiecznych wyobrażeń; przeważają jednak opowiadania w rodzaju ballad romantycznych o tematach, wziętych z rycerskich romansów, sentymentalnych historyj średniowiecza, a nawet z pieśni ludowych. Wśród ostatnich znajduje się prześliczny nokturn, naśladowany z Heinego.

Stuk, stuk, stuk — cieśla młotkiem kuje,
 Stuk, stuk, stuk — trumnę mi gotuje.
 „Uściel mi trumnę, przyjacielu,
 Zbij trumnę z mocnych desek wielu,
 Uściel mi wielkie, mocne łoże,
 Bo w niem mą miłość na sen złożę.“

¹⁾ „Les Cantilènes,“ poésies, Paris, L. Vanier 1886.

Stuk, stuk, stuk — cieśla młotkiem kuje,
 Stuk, stuk, stuk — trumnę mi gotuje.
 „Białym jedwabiem wyściel całe,
 Błyszczącym, jak jej ząbki białe,
 Ubierz je w wstęgi, przystroj w wianki,
 Modre — jak oczy mej kochanki.“

Stuk, stuk, stuk — cieśla młotkiem kuje,
 Stuk, stuk, stuk — trumnę mi gotuje.
 „Nad czystą wodą, przy ruczaju,
 W cienistym gaju, chłodnym gaju,
 Kiedy kukułki się wołały,
 Obce ją usta całowały.“

Stuk, stuk, stuk — cieśla młotkiem kuje,
 Stuk, stuk, stuk — trumnę mi gotuje.
 „Uściel mi trumnę, przyjacielu,
 Zbij trumnę z mocnych desek wielu,
 Uściel mi wielkie, mocne łoże,
 Bo w nie mą miłość na sen złożę.“¹⁾

W tych piosnkach i opowiadaniach balladowych uderza przede wszystkim ton opowiadania i sposoby techniczne. Moréas, artysta o szerokiej kulturze i uczony znawca literatury, stara się naśladować ludową prostotę i naiwność; próbuje rytmów ludowych, posługuje się odpowiednimi formami, używa zwrotów a przede wszystkim powtarzań. Kilka razy udało mu się wejść w charakter pieśni gminnej i napisać wiersz bardzo miły; ale będzie to zawsze sztuczna prostota i naiwność, która może dowodzić tylko wielkiej zręczności i oczytania.

O wiele ważniejsze ze względu na samego Moréasa są wiersze, gdzie wypowiada swoje własne przeżycia. Tu zmienia się ton i forma tak gwałtownie, że kontrast jest nawet rażącym. Poeta występuje w pełnym stroju teatralnym. Zwiastuje to sam tytuł „Funérailles,” uroczystości pogrzebne, wśród których chowa się na spoczynek wieczny wspomnienia rozkoszy miłosnych i nadzieje o mistycznych refleksach. A grzebie się z największą pompą, na jaką się można było zdobyć. To wspaniały pogrzeb pierwszej klasy: ogromny karawan płynie w nadmiarze kwiatów, dziwnych kwiatów egzotycznych; czarne konie kroczą ciężko długim szeregiem, połyskują ich pióropusze i kapy srebrem tkane; płoną

¹⁾ Tłómaczył K. Rychłowski, „Współcześni poeci francuscy.“

kagańce na wysokich tykach, kłębią się dymy pochodni. Dziwni ludzie—dziwne stroje. Wokoło już późna jesień: dzień jasnoszary, wiatr zamiata z szumem zwiędłe liście po drogach, a z wiatrem zalatuje marsz pogrzebowy, który gdzieś na przodzie wygrywa muzyka. Zapach kwiatów, duszna woń gromnic płonących i jakieś milczenie ciężkie i tajemnicze...

Moréas grzebie swoje marzenia z wielką pompą.

Roses de Damas, pourpres roses, blanches roses...
Oiseaux miraculeux, oiseaux bleus, oiseaux roses...

Zwołuje na tę żalobną uroczystość całą przeszłość rycerską, krzykliwą i kolorową, wszystkie balsamy, cudowne napoje i mistyczne dymy kadzielnic. Aktorzy, biorący udział w tej pompie, przywdziali stroje uroczyste: szeleszczą suknie bogate i powłóczyste; głowy i ramiona zdobią dyademy i naszyjniki ciężkie od drogich kamieni; grube, barbarzyńskie pierścienie zakrywają palce. Wszyscy kroczą w marszu uroczystym, bo czują, że koło nich idą w górę słupy kadzidel; podnieśli głowy, bo to grzebanie umarłych po wielkich pogromach. Może i polegli prężą się w trumnach, robią marsowe czoła i z chrzęstem uderzają w karabele... Gdzieś jeszcze słyhać gromkie okrzyki zwycięzców... Muzyka gra, wciąż gra bohaterskiego marsza. Ohe!

Bohaterska maskarada! Wszystko się tu pręży w teatralnej pozie; kostyum jest ciężki, barokowy i barbarzyńsko bogaty, o fałdach twardych, jak krochmalne kornety zakonnic. Głos się podnosi i natęża, aż staje się metalicznie przeraźliwy i niemiły.

A pod tą dekoracją treść jest wcale uboga, dawna treść erotyczna, nieco mistycznie zabarwiona. Wątki szkielecik gniewu ku ziemi pod nadmiarem strojów. Wszystko to poza, dekoracja pompatyczna i teatralność, przy których tak śmiesznie i naiwnie wyglądają chwilowe marzenia o wianku, białej sukience i te westchnienia prostoduszne:

Niech prostem będzie serce moje,
Niechaj je wzrusza prostota...

Jak Moréas uzasadniał przed sobą samym prawo do takiej bohaterskiej maskarady? W tym tomie znajdzie się kilkanaście wierszy, poświęconych rozmyśleniom nad prawami i celem życia; ale są drobne i trudne do zrozumienia tak, że po kilkakrotnem czytaniu chwyta się za ledwie jakieś linie ogólnikowe, które z trudem można powiązać ze sobą. Przypominają się, nie wiedzieć dłaczego

go, stare mszały, oprawne w skórę lub pergamin i zamknięte na wielkie kłanry mosiężne; na kartach idą kilku rzędami wysokie litery gotyckie w dziwaczne zakręty; niewiele ich, a tak ciężko je odczytać, że pot ścieka z czoła. Podobnie wiersze filozoficzne Moréasa wyglądają tajemniczo zdaleka i ujęte są w trudną formę, niby kłanry mosiężne. Ale, gdy się oderwie zapory, znajdzie się wewnątrz niewiele treści i filozofię niezbyt głęboką. Całe średniowiecze, mówi, jego zapał i egzaltacya były bezpłodnem marzeniem. Dziś zawisły ponad nami tylko echa jego pogromów i podarte łachmany, bo i życie nasze dzisiejsze jest u kresu ostatecznego upadku. Drzewo życia spróchniało, a drobne odrośle, co się puszczaają miejscami, te nasze wysiłki ku wielkim rzeczom, młodość rzekoma krwi i uśmiech — to poza, róża w starej peruce. Zresztą wszystko próżne i zbyteczne. Czas stoi, życie nie idzie naprzód; nasze marzenia o postępie i celach dalekich są naszym największem złudzeniem. A jednak energia życiowa wciąż wre, dudni w żyłach, wdzięczy się ku nam cudownym uśmiechem wiosny, świateł, kolorów i szepce do ucha: miejcie nadzieję, bo złoto ziemi całej na waszą tylko chowam sławę i na waszą koronę, a z tej oto purpury płaszcz wam wykroję powłóczysty!... Życie zwodzi i wciąż się zieleni bez celu; ale trzeba je przeżyć — z musu, bo przewyciężyć nie można. Najciężej zaś tym, co — jak my — przyszli już pod zorzę zachodnią. Są niby skoszone siano, jak drzewo, z którego strąca się tyczką resztki owoców. Lepiej byłoby nie żyć. Ne pas vivre! wyrywa się okrzyk spleenu i zniechęcenia, któremu towarzyszy gorzkie a pogardliwe skrzywienie warg.

Ale nie trzeba rozumieć tego zbyt tragicznie. Tak często się spotyka i tak łatwo przybiera w młodych latach gest straceńca i pozę Hamleta, rozprawiającego nad żółtym czerepem ludzkiem. Pośród sieci intryg i miłostek, w szumie i pośpiesznem obracaniu się młyńskich kół życia, w drodze między schadzka a teatrem, pomiędzy teatrem a kawiarnią, w powrocie późną nocą do samotnego pokoju — myśl stawała dęba, jak narowisty koń. Moréas marszczył brew i rozpoczynał snuć podziemne myśli, które wnet przerywały odgłosy śmiechu wesołych towarzyszy albo młody, zdrowy sen.

Melancholia nie była tragedya, bo usposobienie poety było zmienne, jak niebo paryskie. Nie miał w sobie bohaterskiego ognia wewnętrznego, który płonie, bo musi, dopóki się nie wypali. Chwilami tylko mignął mu odblask ekstazy, jak promień mistycznej jasności przez szparę; chwilami cała przeszłość dzie-

wie, rycerzy, marzeń i gorąca krwi przepływała niby złota galeria... Wtedy na niej zasiadał, stroił się i puszył; marzyło mu się berło i purpura, które zapowiedziały niegdyś rusałki w zaczerpniętym lesie. A może to był tylko sen... Wszystko przechodzi jak sen!

Moréas nie miał w sobie wiary w dalekie cele idealne, ani egzaltacji duchowej, która usprawiedliwiłaby jego rycerską epopeję. Nie wierzy w średniowiecze i spogląda na nie tak, jak się patrzy z daleka na stary cmentarz. Sam również nie żyje takim życiem duchowym, które zbliżałoby się analogicznie do mistycznej egzaltacji średnich wieków. Lubi je tylko jako filolog-erudyta, którego interesują zagadnienia językowe, techniczne problemy literackie i wogóle stare książki; lubi, jako artysta o szerokiej kulturze, którego nęci czasem naiwność i nieudolna prostota; a wkracza w tę przeszłość, jako młody awanturник i zdobywca— w nadziei, że uda mu się tu wykroić szmat ziemi na samodzielne państewko. A że wchodził bez wiary, co sama jedynie ożywia, znalazł tylko groby. Zamiast pochodów tryumfalnych sunie procesya upiorów, a jego wizya średniowiecza podobna jest w części do barbarzyńsko bogatych scen z dekadencji bizantyjskiej, w części do wizyjnych witraży w stylu Wyspiańskiego: strzępy wyblakłej purpury i pogięte insygnia władzy; ręce pięknych dam rozsypują się w proch, a z każdego otworu wyglądają kości pożółkłe. Kupa piszczeli i popiołów, które dymią jakimś bólem nieokreślonym.

Pomiędzy stanami duchowych przeżyć poety a sposobem stylizowania ich w symbolach niema głębszej łączności wewnętrznej. To tylko igraszka wyobraźni i próby patetycznego stylizowania rzeczy powszednich; to poza literacka, spowodowana warunkami chwili, która jednak trwa za długo i wyradza się w teatralną maskaradę. Jej krzykliwy charakter reklamowy da się określić kilku zdaniem, które sam Moréas dobył ze starej księgi: „Ogłaszam wam dwa tuziny lwów czołgających i niedźwiedzi, zjadaczy miodu. Niechaj wszyscy żyjący mają się na baczności! bo chociaż fantastyczne, jednak nie przestają wzbudzać trwogi i wykonują prace Herkulesa z gołymi mieczami.“

W roku 1891 wyszedł „Namiętny Pielgrzym.“¹⁾ Okrzyknięto go pierwszym arcydziełem symbolizmu, urządzono bankiet z mowami, a Moréas chodził przez kilka dni w obłokach dymów kadielnych i zazdrości. Kiedy się dzisiaj patrzy na to z oddalenia, bierze zdziwienie i uśmiech, bo uznano za pierwsze arcydzieło symbolizmu książkę, która niosła z sobą wszystkie elementa przyszłej secesyi literackiej. Wlatywała, jak nietoperz na sejm ptasi, i została obwołaną królem.

Bywają takie nieporozumienia. To ostatnie usprawiedliwia w części technika poetycka, która się jeszcze nie zdecydowała, a przede wszystkim kilkanaście utworów początkowych z rozdziału *Autant en emporte le vent* i dwa dłuższe poematy. Wszystko w tych wierszach jest już wspomnianiem stanów przeżytych, a jako echo jest harmonijne i jasne. Szczególnie drobne piosnki w tonie ludowym, jakby z wiatrem zanucone, wonieją całe zapachem polnych kwiatów i wdzięczą się z kokieterią naiwną. Wśród nich jest maleńkie arcydziełko: *Une jeune fille parle*.

Nie trwóż się dziewczę—kminek polny
Mówił — on zdradzić cię niezdolny,
Powróci czuły, rozkochany.
— Ot — kminek jako kłamca znany!
Zmiłuj się Boże nad mą duszą!

Pierwiosnek rzecze: Dziewczę płochę,
Nie wierz ty jemu ani trochę,
Bo cię porzuci naostatku!
— Czemuż tak późno mówisz kwiatku!
Zmiłuj się Boże nad mą duszą!

Nie czekaj, rzekła macierzanka,
Inna go tuli już kochanka!
— Ach, biedne, smutne kwiatki moje,
Wami ja włosy me ustroję...
Zmiłuj się Boże nad mą duszą!²⁾

To wszystko jest już echem. Książkę przechodzi duch inny, jest nową i niemal programową, bo znajdzie się w niej nawet program w rodzaju „sztuki poetyckiej“ Verlaine'a. Ale mało jest znana poza kołami, które zajmują się literaturą prawie zawodowo, bo to książka trudna. Większość wierszy, a nawet całe rozdziały

¹⁾ „Le Pèlerin passionné“, poésies, Paris 1891, L. Vanier.

²⁾ Tłómaczył K. Rychłowski, Współczesni poeci francuscy.

czyta się mozolnie; trzeba powtórzyć dwa i trzy razy, opatrzyć własnym komentarzem, złączyć dla siebie myśli w łańcuch i rozbite obrazki w jedną całość, a gdy się już umie wiersz prawie na pamięć, można się nim rozkoszować często—nie zawsze. Ale na to trzeba wytrwałego czytelnika.

Trudności są przedewszystkiem techniczne, w części syntaktyczne. Te ostatnie bierze się dosyć łatwo; niestety, nie znajdzie się daleko! Zaraz po drodze roją się płoty, rowy wyciągnięte w zygzaki i jakieś wilczedoby, w których się gubi myśl jasna. Ani rusz się wydobyć! Stają murem nieznanne słowa o dźwięku często bardzo miłym, ale ciemnej treści; piętrzą się całe zwroty, jak zawory rozłożone po drodze. Trzeba być filologiem, by sobie dać z nimi radę, ale i filolog spotka orzechy trudne do zgryzienia. Z początku płacze się wśród nich z zainteresowaniem, rozwiązuje węzłki, ogania się na wszystkie strony i co chwila wyciąga strudzone członki, ciesząc się z pokonanej trudności. Ale potem—potem się męczy i zaczyna niecierpliwić.

Moréas archaizuje; myśli proste i jasne ubiera w kostyum dawny. Są tu słowa, zwroty i figury, zapożyczone od poetów Odrodzenia; spotyka się reminiscencye z Villona i Thibauda z Szampanii; a wszystkie razem łączą się z konieczności z językiem współczesnym i tworzą nową, dziwnie inkrustowaną, oniesmielającą mozaikę. Moréas „odkrył“ na nowo Plejadę, rozczytał się w jej poetach, wczuł się i tak na nich wykształcił, że może patrzeć na życie ich oczyma, że snują mu się ich obrazy i otacza go, kiedy zechce, ta pewna atmosfera, którą sobie tworzy wiek każdy. A umie żonglować ich formami z dużą swobodą, wdziękiem, misterną finezyą i uśmiechem. Dosiada Pegaza i puszcza się „ku źródłom kastylskim“; po drodze uśmiechają mu się Gracye, a kosmaty Pau szczyrzy zęby i kiwa w takt kozim ogonem. Innym razem poeta naśladuje sztuczki trubadurów i robi techniczne eksperymenta literackie, jakich wiele można spotkać u drobniejszych poetów Plejady. Słowem archaizuje z łatwością i wdziękiem, a nieraz żongluje z zadziwiającą zręcznością na tych polach obcych i starych.

Archaizowanie nie ogranicza się do języka. By się utrzymać w stylu poetów Odrodzenia, posługuje się ich sposobami technicznymi. Gołosłowna retoryka sieje się sama, jak oset po ugorach. I tak, gdy skarży się na kobietę, nie zapomni przejść po kolei wszystkich bohaterek, dawnych i nowszych, których obłuda i zła wiara stały się przyczyną nieszczęść; jeżeli chce uwielbiać, przechodzi po nazwisku trubadurów, co śpiewali miłość,

i porównuje się z nimi; jeżeli pisze „eklogi,“ stara się wejść w ton Wergilego i wprowadza Tyturyów, Menalków i Mopsusów. Wskrzesza nawet pogaństwo literackie; chodzi zawsze w otoczeniu Muz, dosiada Pegaza, modli się tylko do Apolla i Zeusa; wymawia z czcią dziwne imiona i odprawia do nich antyfony. Przepiętnia wiersze starzyzną nazwisk greckich, rzymskich i renesansowych; obciąża je tym zbytkownym balastem, który nie przynosi niczego dla harmonii wiersza, ani dla dekoracyi obrazowej, ani zbyt często dla treści, bo wiele tu nazwisk rzadkich, a tak mało znanych, że ich nie znajdziemy w największych encyklopediach swoich i obcych.

I często patrzy się na to, jak na wersety z Koranu po meczetach tureckich. Bierze żal i złość, że wyłożono tyle talentu, trudu, sztuczek i płasów linoskocznych, by zaszkodzić najbardziej wierszom samym. Bo kiedy Moréas zapomni na chwilę o forsownem stylizowaniu archaicznem i jest sobą, to jest gdy pisze, jak myśli, wychodzą z pod pióra wiersze tak piękne, jak „Eglogue à elle encore,“ tak lekko stylizowana, że nie zatraciła prostoty i szczerości. Podobnych wierszy spotyka się więcej rozrzuconych mimochodem, szczególne w „Bocage,“ gdzie jest kilka piosnek bardzo pięknych: „Les feuilles pourront tomber,“ „Je suis las, si las,“ a szczególnie: „Que faudra-t-il à ce coeur qui s'obstine...“ Ilekroć Moréas zapomni o swojej roli, piosnka rozwija się lekko, zwinnie i harmonijnie; a jest taka wdzięczna, śpiewna i uśmiechnięta, jak rozkoszne dziewczę młode, że trudno oczy oderwać.

„Namiętny Pielgrzym“ przedstawia się jako zagadnienie techniczne, zajmujące z pewnością dla wielu specjalistów. Nie może zniewolić do siebie, mimo że tyle włożono w niej pracy i talentu; nie może, bo to popisy erudycyi i zręczności, piękna igraszka na tle wieków i stylów artystycznych. To liryka stylizowana, a więc sztuczna.

*

*

*

Minęła rycerska maskarada, ale Moréas odgrzebał sobie nowych bogów i dobył z prochu dawne, połamane tablice. Nowy kierunek jest wyraźnie wskazany w „Pielgrzymie“;—*szkoła romańska* powstała dopiero później. Moréasowi przyszedł w pomoc Karol Maurras, namiętny Prowansal, monarchista, wielbiciel rasy

łacińskiej i francuskiego klasycyzmu. Trzech młodych poetów: Ernest Raynaud, Raymond de la Tailhède i Maurycy du Plessys— uznali się publicznie za jego uczniów. Opracowano wspólnie nowy program i ogłoszono go w „Figaro,“ gdzie pięć lat przedtem ukazał się manifest symbolizmu, podpisany przez Moréasa i Paul Adama.

Ze względu na twórcę, *szkoła romańska* zdaje się być secesją w szeregach symbolizmu; ale jej program, wręcz przeciwny, jest jasny, stanowczy i nie pozwala na żadne kompromisy. Cywilizacja, mówi, toczy się od wschodu na zachód pośród narodów mieszkających nad morzem Śródziemnem; jej środowiskiem były Ateny, Rzym, a obecnie Paryż. Muzy zamieszkały nad Sekwaną. W sztuce to tylko przedstawia wartość prawdziwą, co stworzyła rasa łacińska, oparta na kulturze Greków. Dlatego należy rozwijać tradycję klasyczną i bronić jej przeciw północy, bo północ jest barbarzyńską; ona wydała romantyzm i symbolizm.

To stanowcze rzucenie między granicznej pomiędzy południem a północą należy już do czasów późniejszych. W początkach Moréas trwał w stosunkach przyjacielskich z symbolistami, odwiedzał kawiarnie d’Harcourt i François I-er, spędzał wieczory w Côte d’Or, gdzie zbierało się liczne i wesołe towarzystwo. Rozprawiano tu, jak dawniej, i deklamowano; Moréas rozwijał spokojnie swoją schyzmę, mówił z dumą: „Ja i Ronsard...“ i przygotowywał nowe programy wraz z Karolem Maurras; tu nawet deklamował swoim głosem spiżowym nowe wiersze romańskie, a zebrani śpiewali na nutę torreadora z „Carmen“:

Jean Moréas a publié
Le Pèlerin passionné:
Buvons, amis, oui, oui, buvons avec excès
A sa gloire, à son succès,
Et célébrons, et célébrons
Son immortalité!...

W początkach był Moréas zupełnie oddany obowiązkom „ministra“ nowej szkoły poetyckiej. Lubił je bardzo, a nie był zbyt skromnym. Życie poświęcił poezji i mówił o tem głośno. Trafił swoje manifesty, rzucał przed oczy świata swe przyszłe drogi, dymiące od złotego pyłu pod stopami Muz. Sam zaś, jak Agamemnon w połyskliwej zbroi, z długą lancą, kaskiem i ogromnym pióropuszem szedł na czele nowej wyprawy i głosił prace, jakie miały być dokonane. Spełniał swoje posłannictwo z majestatyczną powagą, nieco krzykliwie i reklamowo, ale szczerze. Niema

dostatecznych powodów, by go podejrzewać o brak szczerości. Owszem, rozmyślał nad zadaniem często i poważnie, pracował nad sobą, by stanąć na jego wysokości. Utwierdzał w sobie posłannictwo artystyczne; wspominał swe pochodzenie, niebo i morze helleńskie, atawizm krwi, geniusz rasy łacińskiej... Starał się podnieść na wyżyny apostołstwa, ale był zanadto przesycony kulturą i sceptyczny, by się rozpaść do egzaltacji. W poczuciu tej słabości zanosił prośby do Ateny, Apolla, Muz i ofiarował się im cały, jak czynili poeci Odrodzenia.

Moréas wczytał się w poetów Plejady tak, że wszedł zupełnie w nastrój renesansowy. Był jak dobry aktor na scenie: przejął się rolą i grał ją sercem. Uczniom swoim tłumaczył wierszem tajemnice poezji romańskiej, zachęcał, przesyłał pozdrowienia mistrza i jakby listy pasterskie z przestrogą. Czasem z wojennym animuszem nakazywał kroczyć naprzód i przesyłał „w wierszu“ zbroję, wykutą dłońmi samego Wulkanu. Błogosławił i oddawał ich opiece wszystkich patronów szkoły, których w liście do Du Plessys naliczył aż dziesięciu, od Homera do Andrzeja Chénier.

A trzeba było wojować i bronić się na wszystkie strony, bo symboliści nie łatwo wybaczyli jednemu ze swoich, że chciał sobie utworzyć samodzielne królestwo. Moréas zachęcał uczniów do wytrwania i walki, a najczęściej sam stawał na czele i przepędzał za góry całe „barbarzyństwo północy“, wszystko co przeciwne tradycji klasycznej. Liczne są w jego poezji echa walki o szkołę romańską: wojenna nuta, górny ton wodza i mistrza, kaski, zbroje i kopie; cały Olimp wojujący walczy przy jego boku, a cały Olimp radosny płąsa po górach z uciechy. Przesuwa się tyle nazwisk nieznanymi, westchnień, modlitw, apostrof i dedykacyj, że w głowie szumi jak w młynie. Jest tego za wiele, zbyt za wiele i dlatego właśnie te lata są bardzo chude w twórczości poetyckiej Moréasa. Prawie trzy czwarte wierszy z „Sylw“ (razem około 50) poświęcone są sprawom organizacji szkoły romańskiej, techniki poetyckiej, sobie i uczniom; reszta dopiero może być wliczona do poezji czystej. Są to przeważnie drobne liryki miłosne, tematy stare w nowym ujęciu. Można się pośród nich błąkać z wielkim zajęciem, jeżeli się posiada ciekawość historia literatury albo znawcy stylów. W stosunku do „Namiętnego Pielgrzyma“, postęp jest bardzo wyraźny. Moréas wyzwolił się już w części z pod jarzma mistrzów i przewyciężył w sobie Odrodzenie. Nie naśladuje niewolniczo, ale posuwa się swobodnie, gawędzi i przechadza pośród dawnych czasów. Nie wyszedł jesz-

cze wprowadzie poza wiek XVI, ale forma i język zrównoważyły się i scharmonizowały prawie zupełnie. Umiał już nagiąć styl dawnych ludzi do potrzeb poezji własnej i dlatego mógł w tym czasie napisać małe arcydzieło, „Enona o jasnym obliczu,” która jest „ostatnią pieśnią mitosną” poety. Opowiedziana z wielką prostotą i łagodnym spokojem, zbliża się do sielanki w sposobie renesansowym. Otacza ją łaskawa cisza, radość rzewna i jakaś ciepła słodycz, tak bardzo podobna do owej „douceur angevine,” którą się spotyka w wierszach sielankowych Du Bellay’a. To jakby późny dzień jesienny pod wieczór: Słońce stacza się już ponad góry, w powietrzu letnio, cicho i bardzo jasno; wokoło rozrzucone sady, pola zielone i złotawe; pośród wyblakłej zieleni przycupnęły cichutko białe domki, spokojne domki wiejskie, białe wapnem, a kryte czerwoną dachówką. W powietrzu snuje się cicha a przejmująca łagodność; zdaje się, że to suną długie pasma szarej pajęczyny i złotawych włosów, a prześwieca je słońce jasne, lecz bez ciepła. Na pastwisku, pod lasem, fujarka pastusza wygrywa smętną piosenkę, a z nią płynie smutek łagodny i bez skargi, ale tak zmęczony życiem, że tylko chce się położyć w cichym kącie ogrodu pośród siana, liści więdnących — i już niczego nie pragnąć, o niczem więcej nie myśleć... zasnąć. Poprzez lekkie stylizowanie i łagodną tęsknotę przeziera odległa, ale jeszcze wyrazista Muza bukoliczna Du Bellay’a, o jasnej twarzy pasterki ubranej w letnie sukienki z perkaliku. Wszystko przybliżyło, znać tylko wyraźnie twarz w zawoju z jasnozłotawych włosów, twarz niegdyś bardzo piękną, a dziś wydłużoną i bladą; wielkie oczy błękitne otwierają się ciężko i patrzą mętnie wokoło; śmiertelnie zmęczone oczy, co już tylko o jedno proszą: pozwólcie nam zasnąć w spokoju.

W tym poemacie Moréas jest najbardziej sobą, to jest zbliżonym do poety dawnych piosnek szczerych, prostych, a tak harmonijnie śpiewnych. I teraz dopiero, kiedy się znów odnajdzie tę nutę dawniej przelotnie zasłyszaną, żal się robi, że poeta szedł tak długo wbrew swojej naturze i skłonnościom. Widzi się, jak zbyteczną i szkodliwą była cała maskarada średniowieczna, renesansowa dekoracja i stylizowanie; trzeba mu było tylko pozostać lirykiem szczerym, poetą piosnek i prostych wierszy, poetą z bożej łaski. Ale zdaje się, że najtrudniej być sobą samym.

*

*

*

Szkoła romańska upadła. Jedni pomarli młodo, inni rozeszli się w swoje strony. „Enfin seul,“ dobyło się wtedy z piersi Moréasa, jak westchnienie ulgi. „Nareszcie sam!“

Odtąd zaczynają się ostatnie lata jego życia i twórczości, najsmutniejsze i najpiękniejsze. Porzucił szkoły, programy, manifesty i wszystkie troski o rozgłos dziennikarski. Zrozumiał, że to — co daje chwilową sławę — zabija artystę na wieki. „Muzo, dla twoich synów dzisiaj — jutro wschodzi!“

Był teraz samotny, sam dla siebie i sam ze sobą. Odsunął się od przyjaciół. Spotykano go jeszcze, jak dawniej, na tarasach kawiarni ulubionych i na zebraniach literackich, ale był w sobie zamknięty i nie wypowiadał się szczerze przed nikim. Najchętniej spędzał dni samotnie w swoim mieszkaniu na Montrouge. „...Zamykam się na cały rok w mojem kochanem Montrouge. Nasza piękna katedra romańska jest dla mnie końcem świata... Nareszcie wstaje wiatr, który posieje śniegiem wokoło. Mocnej kawy, dosyć tytoniu—by przejść od cygara do fajki, a od fajki do cygara, wielkie ognisko z koksu — i oto wszystko, co trzeba, by pisać głupstwa przez całą noc...“ ¹⁾

Pisał — to była ostatnia rozkosz i obowiązek wobec samego siebie. Pisał „Stance,“ „Ifigenię,“ ²⁾ a w wolnych chwilach zbierał i uzupełniał świeżemi wrażeniami swoje „Szkice i wspomnienia,“ które są drobną odyseją z podróży po różnych kątach Europy i przez dzieła rozmaitych pisarzy.

Ale nie zawsze przesiadywał w Paryżu. W miesiącach wiosennych i letnich, a przede wszystkim jesiennych, wybierał się w okolicę na dłuższe, najczęściej samotne wędrówki. Rzadko wyjeżdżał dalej, chyba dla miłej konieczności z gromadą aktorów, którzy grali jego „Ifigenię“ po świecie. Wędrował z nimi po Francji, Algierze, Grecji i zbierał po drodze tryumfy. Były to chwilowe rozrywki i rozkosze, po których wracał w swoją samotność i zamykał się sam na sam ze smutkiem. Moréas był z natury smutnym i lubił ciszę samotną. W młodości — podróże, miłostki i nadzieja sławy podniecały krew młodą; marzył o nowych szkołach literackich, żonglował z historią i stylami. A kiedy

¹⁾ Esquisses et Souvenirs, Paris, 1908, str. 195 i nast.

²⁾ Les Stances, poésies (I-er et II-e livres), Paris, 1899; Les Stances (III-e, IV-e, V-e et VI-e livres), Paris, 1901. Iphigénie, tragédie en cinq actes, Paris, Mercure de France, 1904. Esquisses et Souvenirs, Paris, Mercure de France, 1908.

się przekonał, co one dać mogą, odszedł od nich i pozostał sam ze swoją myślą i pracą artysty. Był pośród obcego sobie społeczeństwa bez rodziny, prawie bez przyjaciół, jak badył na szerokim pastwisku. Zaczęły się już coraz gęściej przewijać po głowie siwe włosy; życie zawiodło; wielka sława, dla której wszystko poświęcił, nie przysła. Wiedział, że jego dzień już zachodził; przegrał walną bitwę z losem, na jaką się odważył. Wiedział o tem; widział również swoją drogę aż do końca:

Que ce soit dans la ville ou près des flots amers
Va, pars et meurs tout seul en récitant des vers...

Smutek wydobyl się teraz na powierzchnię; a był to szczerzy i żywiłowy smutek człowieka, który sterał siły i zniechęcił się do wszystkiego. Nie ma już wcale ochoty do życia, tylko myśli sobie: „Gdybym był zeschniętym liściem, chciałbym zgnieć w basenie pięknej fontanny marmurowej, którą znam. Stare platan-y ją otaczają; a kiedy wśród nocy sączy cicho swoją wodę, zdaje się, że słyszę Byblis, grzeszną siostrę, jak płacze nad swą straszliwą miłością.“¹⁾

Duma jeszcze mu pozostała, poczucie własnej wartości, które każe nieść głowę wysoko wobec życia, wobec śmierci nawet, i uśmiechać się z ironią wyniosłą. Ona go podtrzymuje, kiedy się zbyt przygarbi pod ciężarem losu; a gdy trzeba, to resztki energii przepłyną jeszcze przez żyły z tętentem, błysnie oko, zacisną się zęby i ze spokojem będzie sobie rozmawiał z kwiatami, co umierają późną jesienią na grzędzie ogrodnika naprzeciw jego okien: „O kwiaty ukochane! Śmierć nas szpieguje, mnie i was. Biedna Śmierć! Potrafimy jeszcze przed nią hardo podnieść głowę, jak mówi La Rochefoucauld.“²⁾

To też nie często spotyka się skargi w jego wierszach. Nie ma tu ani szerokiego wylania serca, ani włosów rozwianych, ni załamania rąk. Czasem tylko wyrwą się prawie przypadkiem zdania krótkie, długo przeżute i jakby wyplute z krwią czarną od wewnętrznej gorączki: „Nieszczęście nie jest dla psów“; albo: „Jestem bardzo chory, zapewniam was, pozwólcie mi zdechnąć spokojnie“; albo jeszcze: „Śmierć jest głupia i przychodzi nie

¹⁾ Esquisses et Souvenirs, Paris, 1908, str. 88.

²⁾ Ibidem, str. 187.

w porę: powinna była wziąć mię wtedy, gdy jeszcze wierzyłem w nią.“¹⁾

Rachunki z życiem były już zamknięte; trzeba się było jeszcze dopalić, a dogasanie stawało się coraz cięższe, bo ubywało sił, choroby dokuczały nieustannie, a wszystko zawiodło. Myśli kręciły się w kółko beznadziejne, najczęściej ponure, chwilami jaśniejsze, stosownie do pór roku, stanu zdrowia i powszednich trosk o życie. Zjawiały się i, zatoczywszy koła, przechodziły i znów powracały z innej strony, jak sprychy w odwiecznym kole przyrody; szeregowały się i tworzyły wiersz nowy, coraz to nowy wiersz, bo to był najlepszy sposób wyzbycia się ich choćby na chwilę.

W takich warunkach powstawały „Stance.“ Tematów zasadniczych jest w nich niewiele i dlatego powtarzają się w różnym ujęciu. Najlichniesze są ciche rozmowy człowieka z sobą samym i o własnym życiu; są wizye symboliczne i rozmyślenia na temat ogólny; znajdzie się kilkanaście pejzaży stylizowanych i liczne wiersze, poświęcone rozmyśleniom o poezji i własnym posłannictwie. Nastrój zmienia się prawie zawsze stosownie do pór roku. Wiosna, widok świeżej zieleni i kwiatów daje mu chwile radości i cichego spokoju; kiedy słońce przyświeca wesoło i grzeje, umie się jeszcze rozgrzać i z uśmiechem smakuje rozkosz życia. Zmienny jest jak niebo paryskie:

Paris je te ressemble: un instant le soleil
Brille dans ton ciel bleu, puis soudain c'est la brume...

Smutny jest na śmierć, a za chwilę radosny; wiosna z jesienią, słońce i deszcz, radość ze smutkiem płaczą się tak naturalnie, jak w przyrodzie, a z tego powstaje jego roztropna filozofia życia, którą wypowiedział w pięknym wierszu:

Nie mów mi: życie to huczne wesele;
Tak mówi głupiec albo dusza podła.
Lecz nie mów także: w niem klęsk nazbyt wiele;
To lichy rycerz, co wnet spada z siodła.
Śmieć się, jak szemrzą gałęzie wiosenne,
A płacz jak wichur lub fale strumienia;
Przeżyj rozkosze i bóle bezdenne,
I mów: to wiele, i — to cień marzenia.

(Stanca 12, ks. I).

¹⁾ Esquisses et Souvenirs, Paris 1908, str. 187 i 188.

Ale w ostatnich latach myśli stały się coraz bardziej chmurne. Znikły i te drobne pociechy, jakie przynosiła z sobą wiosna i lato. Jeszcze ogląda chętnie świeże trawki, kiedy się nad ziemią kołyszą; lubi młode mięsiste liście drzew, ale zaraz myśli sobie: Bujne liście tryskają z młodych pędów na wiosnę, by w jesieni zżółknąć, pokryć ziemię rdzawą miedzią i zamienić się w błoto. Na co to nieustanne błędne koło wiosny i zimy, narodzin i śmierci? Melancholia odziera mu wszystko z uroku młodości, ciała różowego i uśmiechu kochających oczu. Poprzez radosną zieloność wiosny ogląda wizję jesiennych drzew: zczerniały, ociekające deszczem miotły sterczą ku niebu, a cała nadzieja leży w błocie. Wszędzie przebija kościsty szkielet i szczęki, co rechoczą w przemądrym uśmiechu nicości i czarne jamy zapadłych oczodołów.

Zasadniczym elementem jest smutek, bo na dnie leży serdeczna tragedia artysty, którego życie zawiodło. Zamiast sławy wymarzonej dostało mu się, jak kość od stołu bogaczy, drobne miejsce w literaturze; zamiast pięknej i chwalebnej starości — samotność i choroba. Wiedział, że tak musi pozostać; nie zmieni z tego nic a nic; tak pozostanie już na wieki. To też gdy wracały brudnoszare dni jesieni, błota i mgły zimowe, a z niemi długie wieczory samotne i noce; kiedy choroba ciążyła, a ciało było jak dogasająca kłoda na ognisku — chwyciło go zupełne zniechęcenie i żywiołowy wstręt do życia; kurczył się w sobie, zasychał i czuł się nędznym, jak „zgniły liść“ na drodze. Czuł wstręt do samego siebie i rad byłby odrzucić ciało, niby stare, zniszczone ubranie. Walka wydawała się bezcelową, a ponad głową przelatowały myśli samobójcze. Ale wtedy przeżył się w sobie i prostował, mówiąc:

Nie będę naśladował jaskółki wędrownej...,

nie będę uciekał przed zimą, starością i nieszczęściem, kiedy minęła młodość i jej rozkosze. Trzeba się dopalić i czekać, aż życie samo zagaśnie. Świadomość wewnętrzna mówiła, że tak być powinno, że powinien odbyć swoją drogę aż do końca.

Ale skąd się wzięła ta świadomość? Światopoglądu, któryby obejmował całość życia, Moréas nigdy sobie nie wytworzył, ani żadnego stanowczo nie przyjął. Dopiero w ostatnich latach sztuka stała się jego religią; do jej wysokości starał się wszystko podnieść, bo sam miał w sobie pełną świadomość i mocne poczucie swego posłannictwa. Uważał się za kapłana, spełniającego podniosłą ofiarę. A że losem wszystkich niemal posłanników była nędza życia, cierpiał i on tak, jak inni; lecz chciał spełnić

ofiare, jakiej się podjął, którą los może nałożyć samowolnie... Wszystko jedno, należy wytrwać do końca.

U podstaw tego poglądu na sztukę tkwiła wiara w podniosłe cele życia. Może to było jakieś nieokreślone przeczucie łączności kosmicznej, może się nigdy nie uświadomiło wyraźnie jako skończony światopogląd—ale wystarczyło, by objawić cudowne skutki, jak zawsze. Stało się energią duchową, która dawała siłę wytrwania i moc twórczą. Ilekroć popadał w ostateczne zniechęcenie, kiedy wstręt do życia właczał go w koleiny dróg ludzkich, jak się wgniata w błoto zgniły liść jesienny—wystarczyło, by pomyślał o swoim posłannictwie. Myśl promienna przechodziła mu po członkach wraz z krwią, prostował się, stawał na wysokości swojego kapłaństwa i dodawał sobie otuchy: „Podnieś się duszo moja!“ Miłość sztuki kierowała całym życiem Moréasa, ale w uczucie religijne zmieniała się dopiero w tych ostatnich latach życia, kiedy człowiek częściej niż za młodu sięga okiem poza krawędzie horyzontu, na których przyjdzie mu się załamać. Szczere jest i bardzo intensywne. Wspomina o niem dyskretnie, niemal wstydliwie i w najpoważniejszych zamyśleniach, a nie nadużywa nigdy dla własnej chwały, by się rozeskrzydlić ekstatycznie. Trzeba z wielkim trudem wychwytać szczegóły rozprószone i złączyć je razem; ale kiedy się tego dokonało, znajdzie się myśl posłannictwa we wszystkich dumaniach, gdzie Moréas stawia—jak mówi—swoją duszę naprzeciw żywiołów stworzenia. Dzieje się to najczęściej wobec morza realnie lub wizyjnie, bo nawiedza go nieustanna tęsknota za morzem; zimą i latem, we dnie i nocy samotnej wraca wciąż jak natrętna myśl samobójcy. Marzy sobie, by usiąść nocą na skale samotnej, którą ocean podgryza, i słuchać jak fale idą z daleka w nieskończonym pogwarze; a może lepiej owinać się w długie trawy morskie i zasnąć na piasku; lub inne życzenia gorzkie i ostateczne, które zasyła jako przedśmiertną modlitwę: Niech ciało moje zejdzie na dno morza z powracającą falą; oczy zakryje piana, a nieszczęsną głowę otoczą wieńcem blade lilie morskie.

Sur ma tête fatale emmêlé et tords les hampes
Du pâle lys marin.

Moréas czuł się jak straceniec na skale samotnej, którą zalewało morze w przypływie. Drogi już były odcięte; za kilka godzin woda pokryje całą skałę i niema żadnego ratunku. Złamany na śmierć, ale spokojny siedzi na szczycie i czeka. Duma...

Zdala idzie nieustanne dudnienie morza; piana bryzga już na szczyt; jedna silniejsza fala, a zmiecie go na zawsze:

Kiedy w nocy usiędę na samotnej skale
Pośrodku wichru morskiego,
I gdy przy twoim szumie nie usłyszę wcale
Już bicia serca własnego;

Nie tylko oczy zamul pianą, Oceanie,
Oczy rozwarte bezwładnie:
Jednym mię rzutem fali weź na wieczne spanie
W twojej wodzie gorzkiej na dnie.

(Stanca 12, ks. V).

I w tej to godzinie ostatecznej zjawia mu się wizya świątyni greckiej w ruinie na tle błękitnego nieba; była wspomnieniem młodości i symbolem sztuki najwyższej, którą ukochał na śmierć. Wpatrzony w to widzenie, które łukiem tęczy wiąże młodość i chwile ostatecznej, schodzi na dno „smutny ale podniosły.“

Wielmożne jest i majestatyczne w swojej prostocie i ciszy to misteryum zapadającego dnia. Kiedy się czyta „Stance“ po wierszach poprzednich, zdaje się, jakby je napisał inny poeta. Idzie od nich mądrość spokojna, która umie panować nad sobą, i artyzm tak skończony, że imponuje i budzi szacunek. „Stance“ są jednym z klasycznie pięknych dzieł poezji francuskiej. „Ich forma — pisze znakomity krytyk, E. Faguet — jest cudowna, czystości najzupełniej klasycznej...“ Nie imponują wielkością, bo to przeważnie ośmiowierszowe utwory; ale prawie każdy z nich jest maleńkiem arcydziełem, ujętem w formę ostateczną w tej chwili, kiedy myśl i uczucie zbiegły się, przetworzyły wzajemnie i, przyjąwszy plastyczny kształt, już... już miały zastygać. Czasem jeden temat wraca kilkakrotnie w różnych postaciach i z rozmaitych stron, aż wreszcie ułoży się i zharmonizuje tak, że przyjmie formę ostateczną, której coś dodać lub zmienić zdaje się niemożliwym.

„Stance“ są krótkie, przeważnie ośmio- lub czternastowerszowe; ale w swej doskonałości klasycznej robią wrażenie kwiatów, zerwanych z łodygi u samej szypułki, lub kryształów, wyciętych ze skały. Trudziły się grube pnie i konary, pociły się długo całe góry kamieni; aż wreszcie skupiły się, zharmonizowały w piękne linie, kolory — i wyciekł kwiat z pędów drzewa, a kryształ wytrysnął z grzbietów skalnych.

W „Stancach“ doszedł Moréas do takiej doskonałości, że obydwaj ramiona wagi — myśl i forma — stanęły obok siebie prawie nieruchomie.

*

*

*

„Biada poecie, który przychodzi na świat w jednej z takich chwil niepewnych, kiedy tradycja sztuki stała się nikłą, gdy trzeba wywrócić porządek, by go potem odbudować na silniejszych podstawach. Sława tego poety może być godną zazdrości, ale jego życie jest zatrute do śmierci.

„Autor „Fausta“ urodził się w jednej z takich chwil oplakanych, kiedy prawdziwy talent, by stać się twórczym, skazany jest na tysiączne szaleństwa. Był tem z początku zupełnie olśniony i przyjął bez namysłu wszystkie nieszczęsne przypadki losu, jako dary nieba... Przeszedł tak całe lata młode aż do progu starości. Tu chwyciło go podejrzenie i rzucił bolesnym wzrokiem na piękne ruiny, jakie posiano wokoło przy jego pomocy. Wtedy zaczął odbudowywać z całą miłością i poświęcił temu dziełu swe siły ostatnie, jeszcze bardzo nerwowe. Smukłe kolumny stanęły wkrótce na błękitnym widnokregu sztuki, ale świątynia pozostała w ruinie, a jej szczątki wciąż jeszcze przygniatają chóry Muz.“¹⁾

To, co Moréas mówi o Goethem, streszcza historię jego własnego życia, jako artysty. Sam przyszedł w czasie, gdy trzeba było zburzyć dawne wartości artystyczne, a postawić nowe na ich miejsce. Brał udział w tych pracach i był pomiędzy pierwszymi. Stał się symbolistą, przybrał się w kostyum, ustylizował i pisywał wiersze trudne, ciemne często jak szyfrowane depesze. Ale szło mu jakoś ciężko, bo miał niewiele wspólnego z tym kierunkiem artystycznym. Zrozumiał to i poszedł w inną stronę, zostawiając poza sobą kilka lat prawie straconych dla swego dzieła. Symbolizm w duchu i formie był tylko młodzieńczą przygodą Moréasa; wszystko wzywało go ku innej sztuce: ukochanie życia i jego ruchu, żywy temperament i duże doświadczenie; miał jas-

¹⁾ Esquisses et Souvenirs, Paris, 1908, str. 115.

ny, ścisły i prostolinijny umysł klasyka; posiadał szerokie i subtelne wykształcenie artystyczne. Był typowym człowiekiem Odrodzenia i dlatego przesunął się ku sztuce owych czasów. Ale znów nieszczęście rzuciło mu na przełaj drogi ludzi, co pchnęło go do stworzenia nowej szkoły. Stał się mistrzem i apostołem, wrócił do francuskiej dyscypliny technicznej, operował formami lirycznymi, jak poeci Odrodzenia, pisał manifesty literackie, napomnienia, listy pochwalne i wiersze polemiczne. Nierychło dopiero spostrzegł, że tracił czas na tem apostołstwie. A kiedy to zrozumiał, gdy stał się klasykiem i pozostał sam z sobą, było już niemal zapóźno. Źródła twórczości były w nim prawie wyczerpane.

Moréas nie miał „szczęścia“ w życiu, tego dziwnego szczęścia czy przypadku, co czasem wyraźnie faworyzuje jednych, wprowadza ich zaraz na najlepszą i właściwą drogę, usuwa przeszkody, a nawet stawia po drodze bezinteresownych pomocników. W jego życiu wszystko zdaje się rozwijać na opak, wbrew najgłębszym intencjom jego ducha, pod działaniem zewnętrznych wpływów, ludzi i zdarzeń. Zadziwia to u człowieka o takiej kulturze duchowej i wysoko rozwiniętym zmyśle krytycznej analizy, a zadziwia tembardziej, że istotne racje jego życia, jako artysty, i zasadnicze linie ich rozwoju szły zawsze i wyraźnie ku swoim celom ostatecznym. Ale Moréas robił po drodze epizodyczne wyprawy awanturnicze po rozgłos i władzę; cieszył się zgiełkiem i wojenną maskaradą, a właściwą treść swojego życia zrozumiał dopiero późno.

Moréas urodził się Grekiem w Atenach, a umarł w Paryżu jako poeta francuski. Nie było to przypadkowym zbiegiem okoliczności, ale wynikiem rozwoju świadomie skierowanego ku pewnym celom. W młodości wychowywał się na starej literaturze greckiej i francuskim klasycyzmie; później przedsięwziął wędrowkę w poszukiwaniu środowiska kulturalnego, które byłoby najprzychylniejszem dla jego twórczości; mieszkał w Niemczech, poznał Szwajcaryę i Włochy, ale osiadł stale tylko w Paryżu. To miasto spełniało w zupełności jego wymagania artystyczne; później ukochał jego piękność ponad wszystko. „Jego niebo jest cudem subtelności; Sekwana płynie z prostotą greckiego heksametru, a gaje okoliczne są godne, by służyć na świątynię Muz.“¹⁾ Zamieszkała tu sama Pallas Atene: „Od wieków Paryż jest jej

¹⁾ Esquisses et Souvenirs, Paris 1908, str. 137.

siedzibą ulubioną, a od czasu do czasu pociesza łaskawie Londyn, a może i Berlin.“¹⁾ Paryż objął po Atenach zwierzchnictwo w sprawach sztuki; dlatego „w dniu, w którym Moréas pokochał Sekwanę, zrozumiał, dlaczego bogowie kazali mu się urodzić w Atenach.“²⁾ Głębokie racje artystyczne kierowały tą wędrówką Moréasa od wschodu na zachód. Złączył on w sobie kulturę, której początkiem były niegdyś Ateny, a Paryż ostatecznym kresem na dzisiaj; wykształcił po długiej pracy i błędzeniu zmysł klasycznej równowagi i utwierdził go długim łańcuchem rozważań. Odrzucił wszystko, co się nie mogło pomieścić w tych ramach, i stał się klasykiem wyłącznym w swojej miłości i upodobaniach. Uczucie najwyższej rozkoszy artystycznej wypowiedział w słowach, które streszczają zarazem jego pojęcia o sztuce: „Kontemplacya Sekwany i odczytywanie dwudziestej czwartej księgi „Iliady“ uczą najlepiej co to jest wzniosłość: chciałem powiedzieć *miara w potędze*.“³⁾

Naturalne warunki urodzenia i środowiska wywarły decydujący wpływ na ukształtowanie się poglądów Moréasa na sztukę, bo Paryż i Ateny zamykały—jako miedze graniczne—widnokrąg, w którym się okopał i urządził. Prócz nich działała jeszcze trzecia przyczyna naturalna, to jest fizyologiczna konstrukcyja jego mózgu. Pamięć dominowała tu ponad wszystkimi zdolnościami i władzami; drobnostka na pozór, ale ta drobnostka ma zasadnicze znaczenie w rozwoju całej twórczości i poglądów.

Moréas tworzył wszędzie i o każdej porze: w domu, na ulicy, w kawiarni, podczas przechadzki i w podróży; zawsze żuł jakąś myśl, próbował ją ukształtować i szukał najlepszej formy. Wszystko to spisywał w pamięci; tam układały się wrażenia, myśli, refleksye, wiersze, a nawet całe dziesiątki wierszy. Stawały jedne za drugimi i szeregowały się z czasem same, czekając na chwilę, kiedy poeta zechciał je przenieść na papier. Najlepiej można śledzić tę twórczą pracę mózgu w „Szkicach i wrażeniach.“ Są to karty z notatnika podróżnego pisane w różnych czasach i bez wielkich pretensyj literackich: opisy, wspomnienia, obrazki, wrażenia i rozmyślenia, dowcipne uwagi i nagłe, niespodziewane powiązania myśli. Czasem jedna myśl powtarza się często wśród tej włóczęgi swobodnej za wiatrem; powraca upar-

1) Esquisses et Souvenirs, Paris 1908, str. 62.

2) Idem str. 312.

3) Idem str. 311.

cie, jak nuta jakaś daleka, brzęczy w pamięci i naturalnie, najprościej w świecie zaplata się niespodziewanym zakrętem w inne myśli; zawija się jak wstążka przy wianku i zniknie, i znów błysnie z innej strony... Ta książka — w trzech czwartych częściach — składa się ze zdań pojedynczych i krótkich kompleksów zdań, które stanowią dla siebie całość zupełnie zamkniętą; dosyć rzadko rozwijają się w dłuższe rozdziały lub obrazy rzucone mimochodem. Kilkanaście kropek oddziela zaledwie jedno od drugich; te kropki, to miedze, co rozgraniczają jeden zagon od przyległych pól sąsiada; na każdym znów dziale rośnie co innego, a wszystkie razem tworzą wzorzystą, kolorową i dziwacznie połamaną szachownicę. Miedze graniczne rozwijają się awanturkowo i dziwacznie, bo myśli nie mają zdecydowanego kierunku. Jest to swobodne wałęsanie się za wiatrem po ulicach i polach, na wsi lub w mieście, pociągami, pieszo lub dyliżansem — rozkoszna włóczęga za przypadkiem dróg i dni, ludzi i zdarzeń. Biorą w niej udział wszystkie zmysły, myśl, wyobraźnia i uczuciowość; wszystkie razem wybierają się na wędrówkę, która trwa nie tylko dni, ale długie lata, bo cała twórczość Moréasa ma charakter swobodnej włóczęgi cygańskiej. A że miał dobrą pamięć, obchodził się najczęściej bez ołówka i papieru. Rozmyślenia i wrażenia notowały się na zwojach mózgowych, jak na wstęgach telegraficznego papieru; zdania, zwroty szczęśliwie wyszukane po drodze i całe wiersze utrwały się w pamięci aż do chwili, kiedy poeta mógł lub chciał przelać je na papier. Nowe myśli zapisywały się później kolejno coraz dalej i dalej. Dawne przechodziły tymczasem samodzielną pracę przygotowawczą i oczyszczającą; miały czas się ustać i osiąść na właściwe miejsca; odpadały drobne szczegóły i chwilowe dodatki, a pozostawały tylko rzeczy zasadnicze w ostatecznej, już skondensowanej formie. Pamięć Moréasa pracowała jak telegraficzny aparat; zapisywała wciąż depesze z rozmaitych stron, taśma odwijala się nieustannie, a wieczorem wystarczyło tylko odczytywać kolejno i prznosić na papier.

W „Szkicach i wrażeniach“ znajdzie się wiele takich notatek przepisanych, zdaje się, bez zmiany, a nawet całe rozdziały w stylu telegraficznym. Są tam obrazki i portrety rzucone mimochodem w kilku liniach wyrazistych i charakterystycznych; myśli wypowiadają się zwięźle i krótko, często tylko jednym zdaniem; dłuższe zamyślenia zbiegają się w drobny obrazek syntetyczny — i nic więcej. Nawet kiedy wypowiada się szerzej, używa tych samych środków: jedna kreska charakterystyczna, jeden

kleks, myśl zasadnicza, zdanie lakoniczne — a żadnych objaśnień zbytecznych; tu i owdzie tylko coś podkreśli ze szczególnym naciskiem, pociągnie linie łączne i cienkie żebra, które pozwalają odtworzyć później całość.

W tych „szkicownikach“ można oglądać swobodnie cały szkielec twórczej pracy Moréasa. Myśli on jasno choć niezbyt plastycznie; myśl ujmuje z najlepszej strony, zacieśnia ją szybko do tego, co jest konieczne, i łatwo znajduje dla niej formę najwłaściwszą, prostoliniijną i dlatego wyrazistą. Niema tam żadnych ozdób zbytecznych, szychu, jarmarcznych świecidełek i tej bezmyślnej dekoracyi bram tryumfalnych na powitanie dostojnego gościa—ale jest wszystko, co potrzebne, nie za wiele, ani za mało. Moréas utrzymuje się lekko i swobodnie na granicy gadulstwa i zwięzłości, to jest posiada zalety potrzebne, by się stać pisarzem dobrym i klasycznym.

Późniejsza praca techniczna przy biurku z piórem lub ołówkiem w rękę ograniczała się do swobodnego odtwarzania myśli i obrazów zapisanych w pamięci; nie była gorączkową, sztucznie podnieconą i ekstatyczną, ale mózgową i spokojną — olimpijską. Moréas wiedział dobrze, co miał pisać, bo myśli już dawniej ułożyły się w pamięci i nie potrzebował borykać się z niemi. Dlatego przy tworzeniu wysuwały się na pierwsze miejsce zagadnienia techniczne formy i stylu; zajmował się niemi od pierwszych lat twórczości, poświęcił im wiele, za wiele miejsca w swojej poezyi. Usiłował przywrócić formy zaginione, naśladował nieudolny, naiwny styl pieśni i opowiadań średniowiecznych; igrał formami Odrodzenia, wprowadzał dawne wyrażenia i zwroty; piętrzył przed sobą trudności, komplikował niepotrzebnie pracę twórczą, a na te igraszki mistrzowskie w zakresie stylów stracił najpiękniejsze lata. Ale zdobył władzę nad formą i językiem, wykształcił w sobie poczucie miary i harmonii, klasyczny zmysł równowagi. W pierwszych zbiorach jego poezyj znajdują się już wiersze bez zarzutu, a z biegiem czasu rośnie ich liczba w „Sylwach;“ „Enona“ i „Eryfila“ są małemi arcydziełami, a całe prawie „Stance“ i „Ifigenia“—to dzieła trwałe, klasyczne.

Odczuwa się wielką rozkosz estetyczną, gdy się czyta te ostatnie wiersze wymowne i harmonijne, bez cienia barokowych dekoracyj. Język w nich czysty, zdanie szmerze delikatnie jedwabistym poszumem, a wiersz rozwija się swobodnie, jak wstęga na wietrze, prawie bez szelestu; wargi szepcą melodyę płynącą powolnym, harmonijnym szmerem, a znajdują w niej tę „rozkosz łagodną,“ którą się odczuwa, czytając najpiękniejsze ustępy z tra-

gedyj Racine'a. Trudno ją określić jednym słowem; jest to uczucie podobne, jakby się oglądało z oddalenia piękną świątynię grecką na wzgórzu, na tle wyrazistego błękitu nieba — a była chwila podwieczorna ciszy, ciepła i słońca złotego.

*

*

*

Zagadnienia techniczne, jakie sobie postawił, rozwiązał Moréas stanowczo i najlepiej, jak można było uczynić. Zdobył doskonałą technikę, ale było już zapóźno. Wiedział o tem. „Zbliżam się do doskonałości i do śmierci,“ mówił o sobie, bo w chwili, kiedy miał w ręku dobry instrument, źródła jego twórczości były już prawie wyschnięte. Stało się to dosyć wcześnie w znacznej mierze z winy samego poety.

Jeżeli się przejdzie jego książki do końca i wniknie w najgłębsze pokłady tam, gdzie się układa czyste ziarno bez plew i śmiecia, a następnie zrobi obrachunek z jego myśli, widzi się wielkie ubóstwo tematów. Najliczniejsze są wzruszenia erotyczne, migawkowe wrażenia z życia i książek przeczytanych; za nimi idzie garść rozmyślań na temat ogólnych zagadnień życia i liczne wiersze poświęcone technicznym sprawom sztuki, z których niewiele można wliczyć do poezji czystej. W ostatecznem ujęciu plon jest bardzo szczupły, a ponieważ spichrze myśli są ciasne, tematy powtarzają się w zmienionej formie na różne tony i warianty. Braki pokrywa się „pożyczką,“ jak łysinę.

Moréas nie był wielkim myślicielem i nie zorał się nigdy daleko w ogólne zagadnienia bytu. W pierwszych utworach, gdzie — naśladując innych — chciał stać się mistykiem, a nawet trochę satanistą — daje jakieś zagadkowe aforyzmy, wikła się, gubi co chwila kierunek myśli i nie może go odszukać. Robił próby, ale gdy się przekonał, że to nie był zakres jego uzdolnienia, odszedł prawie bez żalu. Później, kiedy w godzinach samotnych wracał myślą ku tym sprawom, ślizgał się zawsze po tej samej twardej powierzchni, jak po spokojnych wodach morza o zachodzie. Fale były ciemne i połyskliwe jak stal; szły w głąb i w dal, a działy się w nich rzeczy dziwne. Wiedział o tem, ale nie próbował ku nim zejść może z braku ufności w swoje siły, może dla leniwej wygody artysty-sybaryty. Odchodził smutny i bez słowa,

by wrócić znów w pewnej chwili i odejść tak samo ze spuszczo-
ną głową, jak widz po tragedyi odegranej na scenie. Nie było
to jego pole, ale mógł przez odpowiednią pracę nad sobą rozsze-
rzyć miedze i zatoczyć szerokie koła myśli. Nie czynił tego;
kiwnął ręką ponad temi zagadnieniami i odszedł. Tu się zaczyna
jego wina! Szczupły z natury teren myślenia, nie zasilany przez
całe lata, zacieśnia się coraz bardziej i kurczy, jak żołądek gło-
domora; staje się później maleńki, niby sąsiek biedaka, co zbiera
zboże tylko z jednego zagona—aż wreszcie dochodzi do ideowego
pomoru. Przyszło to dosyć szybko i drogą zupełnie naturalną.
Po odrzuceniu ogólnych zagadnień filozoficznych pozostawał bar-
dzo obszerny i poważny zakres spraw bliższych, jak ojczyzna,
ludzkość i jej koleje—spraw godnych zając największego artystę.
Moréas podróżował wiele i miał sposobność oglądać kraje i na-
rody. W „Szkicach i wrażeniach“ pozostawił liczne zdjęcia mi-
gawkowe z podróży; przesuwają się tam góry, rzeki, okolice całe,
stacye, miasteczka, hotele i ulice... Są nawet szczegółowe opisy
obiadów i śniadań z dodaniem pobieżnych recept na krajowe spe-
cjalności w potrawach i sakramentalne, nigdy nie pominięte uwa-
gi o smaku wina. Ale poza tem zakres jego myślowych intere-
sów jest bardzo jednostronny. Patrzy na kraje i ludzi li tylko
jako artysta. Kreśli obrazki rodzajowe i pejzażyki w różnych
porach, tonach i odcieniach; chwytą portrety ludzi i szczegóły
charakterystyczne, jeżeli przedstawiają jakiś interes artystyczny;
z przeszłości Grecyi, Francyi lub Włoch wspomina tylko to, co
łączy się bezpośrednio z literaturą i sztuką. Rozprawia mimo-
chodem o bohaterach i bohaterkach dramatów literackich, zwie-
dza miejsca, gdzie mogły rozegrać się te sceny, umie się rozgrzać
do cytat poetyckich, a nawet rozpalić do lekkiej egzaltacyi. Pa-
trzy na to wszystko przez wspomnienia czytanych dzieł, jak przez
szyby panoramy, które dają obrazy świata gotowe i utrwalone
w pewien sposób w poezyi i sztuce. Ale wielkie ruiny historyi,
rozwój społeczeństw, dzieje czasów i ludów nie istnieją dla niego
prawie zupełnie. Z Grecyą łączyły go stare i naturalne węzły
krwi; przodkowie walczyli za jej wolność, a ojciec zajmował wy-
sokie stanowisko w Atenach. Miał on tam rodzinę, przyjaciół,
znaczenie i przyszłość, a mimo wszystko opuścił ojczyznę i jeź-
dził po Europie, szukając sobie odpowiedniej siedziby. Osiadł
w Paryżu. Od czasu do czasu znajdzie się w jego wierszach ja-
kiś przeblýsk wspomnienia o morzu greckiem, kolorze nieba,
o Akropolis lub zachodzie słońca nad Hymetem — ale to tylko
wspomnienia artysty. Wraca do ojczyzny dwa razy na krótko;

ostatni raz przybywa w czasie wojny grecko-tureckiej. Te wspomnienia są decydujące. Moréas chodzi po Atenach niby widz obcy, co przyjechał zobaczyć, jak wygląda stolica państwa w czasie wojny. Przechadza się po ulicach miasta, ogląda ruchy wojsk i zamieszki uliczne, słucha ludowych trybunów, charakteryzuje ich krótko i plastycznie — a następnie ...idzie oglądać wystawy sklepowe na drodze do portu. Robi później wycieczki do ruin historycznych, zwiedza miejsca najmilszych wspomnień z młodości, rozczuła się nad nimi i nad sobą, a wreszcie opuszcza Grecję właśnie w chwili największych nieszczęść, pośród wiadomości o klęskach i odwróceniu armii greckiej. Opuszcza ją bez słowa żywszego współczucia, a na okryciu pisze sobie elegie o wycieczce, którą odbył ze stryjem przed trzydziestu kilku laty, o przepiórkach, które jadł niegdyś za młodu, i o księżycu, co mu tak pięknie rzucał światło na okręt i morze. To zbyt za mało! W pewnej chwili sam Moréas czuje konieczność usprawiedliwienia swojego stanowiska: „Dobrze robię, czyniąc trudnym przystęp do serca mego; bo gdy się tam raz weszło, nie wychodzi się bez krwawego rozdarcia. Tworzy się rana, której nigdy nie można dobrze wypalić.“¹⁾ To nie wystarcza; są uczucia, którym trzeba otworzyć serce, choćby je miały rozerwać do krwi. To określa stanowisko Moréasa wobec całego zakresu myśli i uczuć, objętych nazwami ojczyzny, narodu, ludzkości: one wcale dla niego nie istnieją.

Moréas jest artystą kosmopolitą, który szuka dla siebie, dla swoich potrzeb życiowych i twórczości poetyckiej odpowiedniej atmosfery kulturalnej. Sławił niebo paryskie i Sekwanę dlatego, że spełniały jego wymagania kulturalne i artystyczne. Ale równie dobrze byłby osiadł w Londynie lub nad Sprewą i śpiewał o ich piękności, gdyby mogły mu dać to, co Paryż daje artyście.

Granice myślowych interesów zacieśniły się bardzo. Pozostawały jeszcze: rodzina, jako koło zamknięte, jej stosunek do społeczeństwa, walki stanów i cała ta kadz wrząca bezpośrednich zagadnień życiowych. One nie istnieją również dla Moréasa. To było do przewidzenia. Dobrowolny tułacz i artysta kosmopolita spędzał całe życie między pokojem „kawalerskim“ a kawiarnią, restauracją, wycieczkami i podróżą po świecie. Zerwał dobrowolnie wszystkie żyły, jakie go mogły łączyć z rodziną i życiem społecznym, a starał się bardzo, by to koło nie pochwyciło go

¹⁾ Esquisses et Souvenirs. Paris 1908, str. 286.

napowrót w swoje tryby. Izolował się zupełnie i w takim odosobnieniu wytrwał do końca.

W tych warunkach zakres jego myślowych zajęć skurczył się ogromnie. Pozostawały tylko sprawy najściślej osobiste i sztuka, a więc erotyka i techniczne zagadnienia twórczości. Liryka miłosna wydała drobne wiersze, przelotne gruchania i wspomnienia, a umilkła dosyć wcześnie; pozostawiła za sobą kilkanaście piosenek bardzo miłych i „Enone,” ostatni i najpiękniejszy z jego miłosnych poematów. Zagadnieniom technicznym poświęcił wiele miejsca, lecz niewiele z tych wierszy można wliczyć do poezji czystej. I pośród takich zajęć droga Moréasa przetoczyła się na drugą stronę pagórka. Znalazł się samotnym, izolowanym jako człowiek pośród społeczeństwa i narodu, z którym nie wiązało go nic, prócz kilku dalekich przyjaźni platonicznych. Miał poza sobą przeszłość pracy i twórczości, która nie dała mu wymarzonej sławy; przyszłość obiecywała już bardzo niewiele, a nadchodziła pora jesienna i lata ostatnich porachunków z życiem. Przeżył je niby arystokratka ze starego rodu, który podupadł i wymiera. Zrezygnował ze wszystkiego w stosunku do życia i ludzi, dla których ma zawsze łaskawy uśmiech; jeżeli jeszcze coś mówi i pisze, robi wszystko z godnością i naturalną dystynkcyą. Smutki zamknął w sobie, skarży się rzadko a dyskretnie. Niczego się więcej nie spodziewa, czeka tylko z godnością na swój koniec. Dlatego nadewszystko lubi samotność, ciszę pokoju o zachodzie słońca, ciszę wieczorną przy kominku, gdy można zapomnieć o wszystkich, o wszystkim i pogрузić się w senne rozmarzenie, daleki przedsmak wiecznego spania w mogile. Wśród takiego nastroju rodzą się powoli „Stance.”

Ostateczny obrachunek z myśli, zawartych w dziele Moréasa, kończy się wielkim niedoborem; ciasne i nieliczne koła myślowych interesów powodują ubóstwo tematów, a w końcu sprowadzają ogólny pomór idei. Tak się stać musiało. Moréasa nie mogła ocalić jakaś wiara w posłannictwo sztuki, którą się ratował w ostatnich latach; nie mogła, bo wszystkie wiązania z życiem były już dawno zerwane. Ta zupełna obojętność na najistotniejsze zagadnienia społeczne i kulturalne ma swoje źródła głębokie w stanowisku, jakie poeta zajął od początku wobec życia. Nie zaprzeczał go i nie przeklinał; owszem, lubił je i starał się, jako człowiek wysokiej kultury, korzystać w sposób wykwintny z jego dobrodziejstw. Ale żył tak, jak spadkobiercy wielkich majątków; żył z renty. Wiedział, że kiedyś pewnie przodkowie borykali się, przebijali pięścią i łokciami przez życie, gromadzili majątki—ale

to go już nic a nic nie obchodziło. Jedyną rzeczą, która go jeszcze łączyła ze sprawami życia wojującego i twórczego, była konieczność podejmowania procentów. Jak one się tworzą, jak się ułożą w przyszłości — niech sobie nad tem łamią głowę przedsiębiorcy, finansisci i urzędnicy bankowi. Kapitały są, jest bank, wypłaca procenta—i basta!

Moréas zajmował wobec zagadnień życiowych stanowisko spadkobiercy wielkiej fortuny. Życie przyjmował jako potęgę jakąś absolutną i od nas niezależną, która się rozwija sama z siebie i bez naszego współdziałania. Przyszedł do gotowego i nie troszczył się o to, co się działo lub dziać będzie w przyszłości. Na terenie, jaki znalazł, starał się urządzać wygodnie i pięknie, jako człowiek kulturalny i artysta. Stawiał swoją kapliczkę dla wyłącznych celów sztuki, a budował ją na ziemi obcej i nieznannej. Dlatego budowa musiała być słabą i pozostać nieskończoną, gdyż budowniczy nie zamyślił się nad tem, w jakim celu wogóle kładziono dawniej fundamenta. Nie wkopał się myślą tam, kędy się staje samotnym i czuje już tylko swoją własną odpowiedzialność wobec wieczności.

W poezji Moréasa nie znajdziemy rytmu epickiego. Nie jest to liryka bohatera, która sobie obiera pewne cele, dla nich walczy i kroczy wciąż naprzód w zbrojnym pobrzęku. Prawdziwie twórczą mogła być tylko czynna, zacięta postawa wobec świata; a Moréas był biernym. Okopał się i urządził poza miedzami historycznego życia; chciał żyć wyłącznie dla sztuki i dlatego izolował się od spraw, które mu się wydały powszednimi. Ale to odosobnienie stało się śmiercią artysty; źródła twórczości zacieśniły się i wyschły, a poezya stała się bezproblemową, wygodną w najlepszym znaczeniu słowa. W młodości była jak wieńiec różany na głowie biesiadnika, później niby badyle bluszczu, otaczające starą fontannę samotną, co się skarży dyskretnie metalicznym brzękiem wody.

JAN SZAROTA.

Jan Olrych Szaniecki

Szkic biograficzny.

Powstanie 1830 i 1831 r. miało wszelkie warunki powodzenia. Zapół powszechny w narodzie; wojsko bitne, karne, waleczne; skarb dobrze zaopatrzony w pieniądze; współczucie ludów europejskich — przedstawiały taką siłę materyalną i moralną, że powinnyaby ona była wystarczyć do zwycięstwa. A tymczasem bohaterska walka skończyła się klęską—i do tego haniebną. Złożono broń, mając jeszcze znaczny kawał kraju wolnego, kilkadziesiąt tysięcy dzielnego żołnierza i sporą sumę pieniędzy, którą naczelny wódz, Rybiński, wychodząc z wojskiem do Prus, odesłał do Torunia, by bankowi w Warszawie zwróconą została.

Zdawało się, że walka narodowa o byt niepodległy w końcu XVIII i na początku XIX stulecia powinna była przekonać o tem, że w granicach dawnej Rzeczypospolitej rewolucya polityczna mogła tylko rachować wówczas na zwycięstwo, gdyby się zespoliła z rewolucją socyalną. Zasada ta, promieniejąca silnie z naszych sztandarów rewolucyjnych, przygasła w ciężkiej atmosferze rządów reakcyjnych Królestwa Kongresowego. W starszem pokoleniu z latami słabła o niej pamięć, a nowe zaledwie z mgieł poetycznych wydobywać się poczęło. I kiedy wybuchło powstanie, postępowe rewolucyjne stronnictwo nie miało jasno określonego programu, któryby dał spójność i stanowczość jego działaniu i zapewnił mu przewagę w opinii publicznej.

Współuczestnicy powstania sami zeznają, że nasłuchawszy się wiele o tem, iż Polska skutkiem niezgody upadła, wzdygali się przed wszystkim, co zdawało się rozdwajać naród. Z tego usposobienia większości korzystala reakcya, która przed powsta-

niem o władnęła była sterem spraw publicznych. Złożona z „wyższej klasy mieszkańców“ — jak się wyraża Zaliwski ¹⁾ — i z wyższych urzędników, zepsuta wpływami obcymi, nieczuła ona była na klęski i poniżenie narodu. Od rewolucyi niczego dla siebie nie oczekiwała, a wiele stracić mogła. Dokładała więc od samego początku usiłowań, ażeby zatrzymać powstanie w granicach możliwej legalności, tak wobec panującego, jakoteż wobec rządów europejskich. A kiedy odezwały się głosy o konieczności rewolucyi społecznej, straszyla ona patryotów widmem wojny domowej i wołała, że powstanie jest rewolucją narodową a nie socyalną.

„Rewolucya narodowa“ — wyrażenie bardzo rozpowszechnione w 1830 i 1831 r. — zamknięta w granicach Królestwa Kongresowego i sprowadzona do rozmiarów zwykłej wojny, nie miała widoków zwycięstwa. Chcąc ją uczynić groźną, potężną i zwycięską, koniecznem było wywołany przez nią we wszystkich warstwach narodu zapał podtrzymać, podnieść do możliwie największej potęgi i rozszerzyć w kręgach dalekich. Sprawić to mogła jeno rewolucya socyalna, która by z impetem burzy wtargnęła do Litwy i Rusi i podniosła wszędzie z głębin morza ludowego walkę żywiołową o wolność.

Gdyby w 1830 r. na czele narodu stanął był, zamiast Chłopickiego, dyktator z prawdziwie rewolucyjnym poglądem, to, nie zwlekając, wtargnąłby z wojskiem polskim na Litwę, w grodzie Gedymina ogłosiłby dekret, znoszący poddaństwo i pańszczyznę, i zająłby się czynnie zorganizowaniem ludowego pospolitego ruszenia. Chłopstwo wolne i uzbrojone — byłaby to rewolucya społeczna, której fale rozkołysane mogłyby posunąć się aż do Pskowa, Nowogrodu, Smoleńska, Czernihowa, Połtawy. Być może, iż Łukasziński, w którym rozległość myśli społecznej towarzyszyła zdumiewającej mocy charakteru w pracy politycznej, właśnie zostałby był takim dyktatorem; lecz, niestety, książę Konstanty wprowadził go z sobą, odczuwając instynktownie wielkie znaczenie rewolucyjne tego przewodcy spiskowców.

Nie można powiedzieć, ażeby podczas rewolucyi 1830 r. nie było ludzi pojmujących, jak ogromne znaczenie miała sprawa włościańska dla powodzenia powstania narodowego. Pomiędzy nimi niezaprzeczenie pierwsze miejsce należy się Janowi Olrychowi

¹⁾ „Rewolucya polska 29 listopada 1830 r.“ przez Józefa Zaliwskiego. Paryż. Nakładem autora, 1833.

Szanieckiemu, który w dziennikarstwie pierwszy zażądał szybkiego jej rozwiązania i który następnie wciąż ją przypominał sejmowi, wyjaśniając jej polityczne znaczenie. Z sercem, pełnem gorącej miłości ojczyzny, sam zdolny do wszelkich ofiar, pobłażliwy z przekonania, łagodny z natury, przejęty silnie zasadą zgodnego działania, mniemał, że zdoła przekonać sejm i wywołać w nim szlachetny poryw do powzięcia uchwały, zbawienie ojczyzny przynoszącej.

Nie był to z usposobienia szermierz rewolucyjny i, trzymając się od pracy spiskowej zawsze zdaleka, nie zahartował się do ostrego zwalczania przeciwników. Należał jednak do tych ludzi, co szczerze poślubili zasady demokratyczne i w sejmach Królestwa Kongresowego był otwartym wrogiem wstecznictwa.

Jan Olrych urodził się 1783 r. w Wielkopolsce, w dzisiejszem Poznańskim. Rodzice jego mieli posiadłość ziemską. Kiedy miał lat pięć, odumarała go matka, a ojciec jego sprzedał swą posiadłość i zamieszkał w Poznaniu, ulokowawszy u miejscowego bankiera otrzymane ze sprzedaży pieniądze. Skutkiem upadłości tego bankiera, Olrychowie pozostali bez żadnych środków utrzymania. Stary Olrych wstąpił do klasztoru i wkrótce tam umarł. Jan miał wówczas lat dziewięć i, dzięki pomocy swoich krewnych, kształcił się w szkołach miejscowych. Lata jego dziecinne i pierwszej młodości upływały wśród bolesnych klęsk, które spadały na jego ojczyznę, i nieraz musiało go silnie zboleć butne i prześladowcze postępowanie nowych zdobywców jego ojczystego kraju. Radośnie więc witał w 1806 r. orły napoleońskie, przed którymi Prusacy unykali. I kiedy pod osłoną oręża francuskiego nad Wartą i nad Wisłą zaczęły się organizować pułki polskie, zaciągnął się do formującej się artylerji jako prosty kanonier. Zawód jednak wojskowy nie odpowiadał jego skłonnościom, i kiedy w nowoutworzonym Księstwie Warszawskim okazała się potrzeba prawników, przyjął w 1808 r. obowiązek sekretarza przy prokuratorze generalnym, a w następnym roku był mianowany podprokuratorem. Czując jednak większy pociąg do roli obrońcy, aniżeli do roli oskarżyciela, w 1809 r. został obrońcą przy sądach warszawskich.

W tym czasie Olrych się zajął sprawą sprzedaży części dóbr Ordynacyi Myszkowskich, która to sprawa w następnych latach miała ogromny rozgłos i silnie wzbudzała zainteresowanie w całym Królestwie.

Józef Jan Nepomucen hr. Wielopolski, margrabia Myszkowski, nie mógł podołać spłacaniu długów, którymi jego poprzedni-

cy obciążyli ordynacyę. Korzystając więc z tego, że zaprowadzony kodeks napoleoński nie uznawał różnicy płci lub pierworodztwa w spadkobranii, co zaprzeczało zasadniczej podstawie ordynacyi, oraz że na mocy Traktatu Wiedeńskiego z 14 października 1809 r. wolno było posiadającym ordynacyę, gdyby chcieli przenieść się do innego kraju, sprzedać je, Józef Wielopolski postanowił część dóbr ordynacyi użyć na spłacenie wierzycieli, na posag dla swojej córki, na zabezpieczenie wniosku swojej żony, oraz na zapewnienie sobie bytu spokojnego na stare lata. Fryderyk August, do którego się udał z podaniem w tej sprawie, dekretem z dnia 8 czerwca 1812 r. uznał, że „nie ma być, stosownie do wyraźnego brzmienia artykułu Traktatu Wiedeńskiego pod dniem 14 października 1809 r. zawartego, czyniona ze strony Rządu naszego Księstwa Warszawskiego żadna trudność, ani kładzona przeszkoda do sprzedania dóbr należących do powyższego majoratu Pińczowskiego “

Olrych podjął się przeprowadzić tę sprzedaż. Ażeby móżdż całkowicie poświęcić się tej sprawie, złożył swój urząd adwokata. Wszedłszy w układy z wierzycielami ordynacyi i osobistymi margrabiego, zobowiązał się spłacić długi hipoteczne, podatki zaległe, pretensye gruntowe i osobiste. W tym celu wyjednał przeniesienie i zapisanie na swoje imię pewnej części dóbr ordynacyi. Temi dobrami były: Pińczów ¹⁾ (miasto, folwark i 6 wsi), Szaniec, Rogów, Marcinowce, Kępie, Przyłyczek i dwa pałace w Warszawie. Wówczas to Olrych prosił króla, ażeby mu nazwisko Szaniecki od dóbr Szaniec przydane było, co też dekretem królewskim 20 sierpnia 1813 r. zostało zatwierdzone.

Sprzedaż tak wielkiej liczby dóbr nie mogła się odbyć pędkiem, a tymczasem potrzebne były znaczne pieniądze dla opłacenia zaległych podatków, procentów, oraz dla zaspokojenia najważniejszych pretensyj. Szaniecki więc obmyślił projekt utworzenia Towarzystwa rolniczo-handlowego w Pińczowie.

„Przedmiotem i celem Towarzystwa będzie—czytamy w tym projekcie —

„a) Przemysł rolniczy i handlowy we wszystkich — ile być może—gałęziach prowadzić i tenże udoskonalać, końcem osiągnięcia stąd majątkowych korzyści i sprawienia przez to—ile być może—dla kraju użytku ;

¹⁾ Miasto Pińczów w obwodzie Stopnickim, województwie Krakowskim, nad rzeką Nidą, 5000 ludności.

„b) Kredyt w kraju i zagranicą przez ścisłą rzetelność i skrupulatne w działaniach swych postępowanie oceniać;

„c) Fabryki i rękodzielnie, stosunek z rolnictwem mające, któreby płody dóbr Towarzystwa lub inne krajowe surowe produkta na twory przerabiał, zakładać;

„d) W dobrach Towarzystwa stan włościan do dobrego bytu własną ich pracą i oszczędnością doprowadzać, oświatę pomiędzy nimi rozkrzewiać, feudalne zwyczaje wykorzeniać, a natomiast do nabywania własności im dopomagać, ażeby przez to zmniejszył choć w części liczbę nędznych, a powiększył liczbę dobrego mienia ludzi.“¹⁾ Do polepszenia bytu włościan Towarzystwo miało się przyczynić przez zakładanie szkół, szpitali, kas oszczędności, śpichlerzów gminnych.²⁾

W celu utworzenia Towarzystwa miała być wypuszczona pewna liczba akcyj i każdy akcyonaryusz byłby częstkowym współwłaścicielem całej masy dóbr. Dawni wierzyciele na podstawie swych należności mogliby zostawać akcyonaryuszami, gdyby tego chcieli. Kapitał, uzyskany z akcyj, posłużyłby do spłacenia długów, ciężących na dobrach. A gdy dobra dla Towarzystwa czystymi zostaną, część dochodu przeznaczoną zostanie na udoskonalenie sposobu gospodarowania w nich, w dalszym zaś ciągu na to, ażeby dobra spustoszone nabywać, a ulepszone i na wzór Towarzystwa urządzone sprzedawać.³⁾ Dobra zostały nabyte za sumę 5,300,000 złp.; długów hipotecznych, licząc z procentami, było na tych dobrach około 4 milionów złp. Każda akcja wynosiła 1000 złp. W krótkim czasie zostało zapisanych akcyj 2225 czyli na sumę 2,225,000 złp.

Komisya rządowa spraw wewnętrznych i policyi uznała projekt Szanieckiego użytecznym i obiecała udać się do rządu o potwierdzenie onego, skoro dostateczną liczbę akcyonaryuszy zbierze; namiestnik także przyznał Towarzystwu użyteczność i mniemał, że rząd będzie mógł je zatwierdzić, skoro potrzebna liczba akcyonaryuszów zostanie zebrana.

Przeciw projektowi Towarzystwa wystąpił w pismach warszawskich w 1820 r. S. Węgrzecki ze swymi zarzutami, a zarazem podał w wątpliwość prawność zniesienia ordynacyi. Szaniec-

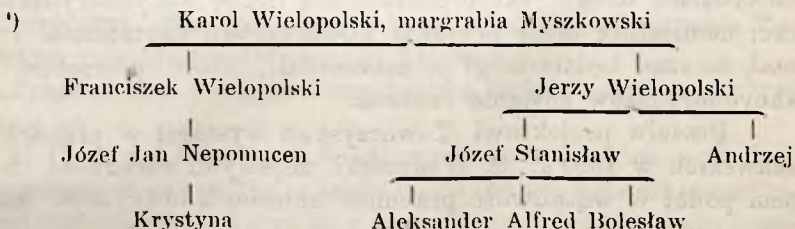
1) Str. 9. Projekt utworzenia Towarzystwa czyli Kompanii rolniczo-handlowej.

2) Str. 7. L. c.

3) Czasopismo warszawskie „Rozmaitości“ 1820 r., № 34.

ki w „Orle Białym“ i w „Rozmaitościach“ odpowiadał mu. Była to zapowiedź walki, którą musiał stoczyć z potężnym przeciwnikiem, potężnym przez swe skoligacenie z możnowładcami, potężnym przez obronę dawnych arystokratyczno-monarchicznych przekonań, które w tym czasie znajdowały u steru państwa silne poparcie. Przeciwnikiem tym był sławny później w latach 1861 i 1862 Aleksander hr. Wielopolski, na którego miała przypaść w spadku ordynacya.¹⁾ Rozpoczął on proces celem unieważnienia aktu sprzedania jej dóbr.

Walka zawzięta, jaka się wywiązała pomiędzy Aleksandrem hr. Wielopolskim i Szanieckim, zwróciła na siebie powszechną uwagę w Królestwie. Szaniecki w tej walce występował nietylko jako obrońca wielkiej liczby rodzin, którą miało skrzywdzić przywłaszczyicielstwo jednej osoby, lecz jako szermierz zasad demokratycznych przeciw podnoszącemu się z ruin feudalizmowi. Wielopolski wcale nie ukrywał swych dążeń reakcyjnych; przeciwnie, zaznaczał związek moralny, jaki istnieje pomiędzy zasadą monarchiczną i taką instytucją, jak ordynacya. Z pychą magnata wyrzucał Szanieckiemu dorobkiewiczostwo. „P. Wielopolski—mówił Szaniecki—utrzymuje, iż honorowem i dobrą sławę stanowiącem nabyciem są tylko majątki po przodkach odziedziczone. Na to odpowiadam. Każde majątku nabycie sposobem godziwym, to jest przez prawo dozwolonym i niezakazanym, jest honorowem, gdyż inaczej, nabywać podług prawa byłoby zakałem. Nikt od Adama nie posiada majątku. Jedni dorabiają się go sami, inni przez rodziców lub przodków nabyte, bez pracy swobodnie dziedziczą.“ Że doszedł do majątku przez pracę, to uważa sobie tylko za zaszczyt.²⁾



Ponieważ spadkobiercami mogli być tylko mężczyźni, więc spadek przechodził na potomków Jerzego Wielopolskiego, a pomiędzy nimi najstarszym był Aleksander.

²⁾ Rozprawy nad sprzedażą dóbr z ordynacji Myszkowskich. W Warszawie 1825. Dalszy ciąg dwa tomy—1827.

Dowody Szanieckiego trafiały silniej do przekonania ogółu i sędziów, aniżeli rozumowania Wielopolskiego. Pomimo wniesionego przez tego ostatniego sprzeciwu, komisya hipoteczna województwa krakowskiego na posiedzeniu 15 lutego 1826 r. orzekła: „Właścicielem dóbr Pińczowa z przyległościami Jana Olrych Szanieckiego do księgi hipotecznej wpisać i przenieść postanawia, zaś Aleksandra hr. Wielopolskiego z wnioskiem swoim oddalając, do właściwej drogi prawa odsyła.“ Ze swojej strony Trybunał Cywilny I Instancyi województwa krakowskiego, na posiedzeniu w Kielcach 27 listopada 1827 r., wyrzekł: „Znajdując żądanie powoda (Al. Wielopolskiego) bezgruntownem, onegoż z takowem we wszystkich kategoriach oddala.“ Wielopolski jednak, silny poparciem możnych, uzyskał w 1829 r. w Sądzie Apelacyjnym skasowanie tego wyroku. Sprawa więc miała pójść do Sądu Najwyższego, lecz wybuch powstania powstrzymał bieg procesu. W późniejszym czasie margrabia, kiedy Szaniecki był na emigracyi i majątek jego uległ konfiskacie, wznowił swe odwołanie się do Sądu Najwyższego, lecz napotkał nowe przeszkody i sprawę przegrał.

Barzykowski nazywa Szanieckiego gorliwym obrońcą ludu.¹⁾ I w samej rzeczy należy mu się ten tytuł w zupełności. Korzystał on — jak zobaczymy — z każdej sposobności, by przypominać sprawę włościańską, przedstawiając konieczność zniesienia pańszczyzny i zupełnego uobywatelnienia włościan. Sam, zostawszy nominalnym właścicielem Pińczowa, zajął się czynnie polepszeniem losu ludu wiejskiego w tych dobrach, znosząc wszędzie pańszczyznę, gdzie istniała ona jeszcze, i zaprowadzając oczynszowanie. Wybrany na deputowanego ze Stobnicy, uważał się przede wszystkim za rzecznika spraw gminu i w tym charakterze dał się już poznać na sejmie 1825 r. Z powodu wniesionego prawa o podpalaniach, przedstawiwszy, że szlachetniej i piękniej zapobiegać zbrodni, aniżeli po jej spełnieniu karać ją surowo, wykazał, że podpalanie bywa często czynem zemsty przeciw nadużyciom dziedzica, i z tego względu żądał słusniejszego obwarowania praw włościanina. Na tymże samym sejmie jeszcze raz przemawiał w sprawie włościan, wykazując słusność i konieczność przyznania im prawa wieczystej dzierżawy na gruntach przez nich uprawianych. Sprzeciwiał się też energicznie wnioskowi Lubeckiego, ażeby znieść artykuł 536-ty kodeksu Napoleona, dozwała-

¹⁾ Str. 262, III. „Historya powstania listopadowego.“ Poznań, 1883.

jący posiadaczom wieczno-czynszowym i emfiteutycznym spłacać czynsz i nabywać grunta posiadane na własność. Do kategorii bowiem włościan emfiteutycznych można było zaliczyć wszystkich staropolskich kmieci.¹⁾ Zniesienie więc powyższego artykułu kodeksowego, potrzebne dla Lubeckiego, ponieważ ułatwiało sprzedaż dóbr narodowych, było dla włościan wielce krzywdzące. Sprawę włościańską Szaniecki tak mocno brał do serca, że pomimo choroby przybył w czerwcu 1830 r. na zwołany sejm i nie mogąc sam osobiście, uprosił posła Wężyka, ażeby w jego imieniu odczytał petycję, w której upominał się o zupełne usamowolnienie włościan i nadanie im gruntów, wskazując przytem sposób wynagrodzenia właścicieli. Szlachta, mająca na czele Jana hr. Ledóchowskiego, uznała, że było to targnięciem się na jej prawa i nie dopuściła do dalszego rozważania tej sprawy.

*

*

*

Wiadomo powszechnie, jak wiele zaszkodził powstaniu 1830 r. dyktator Chłopicki, przeważając swoim wpływem i postępowaniem szalę stronnictwa zachowawczego i idąc w jego kierunku nawet dalej, niż ono zamierzało. Takim czynem kontrrewolucyjnym było zwołanie sejmu w tym składzie, w jakim on obradował w czerwcu. Sejm ten, wybrany pod silnem parciem wielkiego księcia Konstantego i najgorszego rodzaju reakcyi z nim współdziałającej, przepełniony był balastem ograniczonych umysłowo i nie mających własnego zdania posłów i deputowanych i przedstawiał kierunek tępego egoizmu szlacheckiego. Z wązkim widnokregiem przed oczyma, niezdolny do wychodzących ze zwykłego zakresu czynów, dawał się prowadzić przez partyę kaliską, doktrynerską, rozmiłowaną w parlamentaryzmie, dużo gadającą, ale rozważnie trzymającą się środka we wszystkim—partyę, która—jak słusznie ją ocenia Mochnacki—była istną plagą podczas rewolucyi, kiedy należało mniej rozprawiać, a natomiast szybko decydować i działać. Przeglądając protokóły tego sejmu, możnaby zapomnieć, że obradował on w czasie rewolucyi, podczas huku dział i szczerku

¹⁾ Str. 14. „O chłopach.“ Lipsk, 1847.

broni, taka szczegółowa i drobiazgowa odbywała się tam dyskusya, tyle czasu marnowano na kwestye formalne. Zwykle się uważa za najbardziej rewolucyjny krok tego sejmu—uchwałę o złożeniu z tronu króla Mikołaja. Jan hr. Ledóchowski, oskarżyciel dziennikarzy i członków Towarzystwa Patryotycznego, często powoływał się na to, że on pierwszy krzyknął: „Niema Mikołaja!“ Uchwała detronizacyjna była — można powiedzieć—czynem odruchowym sejmu, oburzonego pogardliwą i pełną pychy odpowiedzią cesarską. Tacy butni szlachcice, jak hr. Ledóchowski, wpadli poprostu w pasyę. Reszta dała się im unieść. Ale później wielu żałowało tego kroku, a niektórzy otwarcie wyznawali, że był to krok lekkomyślny. I istotnie, uchwała złożenie z tronu Mikołaja, a odrzucać lub odwlekać wszystko to, co mogłoby tej uchwale nadać istotne znaczenie, nie byłoż to lekkomyślnością?!

Skoro w grudniu zebrał się sejm, Szaniecki zawiadomił prywatnie posłów, że ma przedstawić wniosek o zupełnem usamowolnieniu włościan. Zaniepokojeni posłowie prosili go, by się powstrzymał z tym wnioskiem. Jest to bardzo ważna sprawa—powiadano — wymagająca spokojnego i gruntownego zastanowienia się, a czy to teraz czas po temu?! Mogłaby jeszcze wywołać rozdwojenie w sejmie, kiedy nam jest potrzebna jednomyślność i konieczna jednogodność działania; mogłaby zniechęcić litewską i ruską szlachtę, która w prowincjach zabranych jest jedynym świadomym czynnikiem patryotycznym. Wreszcie sam rząd przygotowuje projekt w sprawie włościan; zaczekajmyż więc, aż zostanie do sejmu wniesiony.

Trzeba przypuszczać, że Szaniecki był mocno zgorszony poglądami swoich kolegów. Umieścił on 6 stycznia 1831 r. w „Dzienniku Powszechnym Krajowym,“ organie rządowym, artykuł p. t. „O celach i środkach rewolucyi.“ „Przestańmy być braćmi szlachtą, a stańmy się braćmi Polakami“—wołał. Podnosząc rewolucyę, chcieliśmy się pozbyć jarzma i służalstwa; precz więc z jarzmem i służalstwem wszędzie! Jeżeli pragniemy, ażeby rewolucya miała powodzenie, trzeba w narodzie zjednać dla niej conajwięcej przyjaciół, a przedewszystkiem pozyskać lud wypadu, potrzeba więc „zainteresować lud rzeczą a nie słowy; potrzeba stan, w jakim zostaje, zmienić na lepszy.“ „Nieśmy mu zniesienie poddaństwa, pańszczyzny, wolność zarobkowania, własność gruntową, wynagrodzenie niewłaścicielom.“

Dopóki nie rozpoczęły się były kroki wojenne, ci, co objęli kierownictwo powstania, mieli silną nadzieję, że wszystko może się skończyć na układach i pewnych ustępstwach ze strony cesa-

rza Mikołaja. Kiedy jednak połała się krew z obu stron i kiedy po zawziętej bitwie pod Grochowem niebezpieczeństwo zagroziło było Warszawie, pokojowe złudzenia rozwiały się. Wtedy Szanieckiemu zdawało się, że to była chwila właściwa, ażeby wezwać sejm do kroku, któryby nadał rewolucyi charakter powszechnego interesu i podniósł zapał pomiędzy ludem wiejskim i miejskim. W dniu więc 28 lutego złożył do laski marszałkowskiej wniosek, zdążający ku temu, ażeby nadać włościanom własność gruntową, znieść zaprowadzone przez księcia Lubeckiego a znieprawidzone przez ludność miejską monopole i przyznać ogólne prawa obywatelskie wyznawcom religii mojżeszowej.¹⁾

Ani Rząd Narodowy, złożony z Czartoryskiego, Barzykowskiego, Lelewela, Teodora Morawskiego i Wincentego Nienojowskiego, ani kaliszanie nawet nie byli stanowczo przeciwni podniesieniu sprawy włościańskiej. Prawie wszyscy oni byli przeciwnikami pańszczyzny i w dobrach ich istniało już oczyszczanie. Ale pętała ich z jednej strony „święta zasada“ legalności — jak się wyrażał Teodor Morawski, a z drugiej strony lękali się urazić większość szlachecką sejmu. Pojmowali oni jednak, że niepodobna nic nie zrobić dla włościan; usuwając więc wniosek Szanieckiego, jako bardziej rażący szlachtę, wnieśli do sejmu projekt, zmierzający do nadania własności gruntowej gospodarzom rolnym w dobrach narodowych. Projekt ten, przedstawiony sejmowi przez ministra skarbu, Alojzego Biernackiego, znanego zwolennika oczyszczania włościan, przyznawał drobnym rolnikom w dobrach narodowych własność gruntową, znosił w zasadzie pańszczyznę, pozostawiając dziesięcioletni termin dla jej zamiany na czynsze, i dążył ku temu, aby większe folwarki, a przynajmniej znaczną ich część, podzielić na własności mniejsze. Urządzenie takie ludności wiejskiej w dobrach narodowych musiałyby — zdaniem projektodawców — wywrzeć dobroczynny wpływ pośrednio na cały jej ogół, albowiem „pańszczyźniani wszystkich dóbr prywatnych, oczywiście korzyścią zachęceni, byłiby przechodzili do dóbr rządowych, a dziedzice zmagleniby zostali do nadania włościanom tych samych ko-

¹⁾ W Protokółach sejmu 1831 r. nie znalazłem tego wniosku. Nie są one ani zupełne, ani dokładne. I tak, w dniu 28 lutego marszałek salwował poranne posiedzenie do wieczora, a tymczasem niema protokołu wieczornego posiedzenia. Wszakże wzmianka o wniosku lutowym Szanieckiego powtarza się podczas przebiegu sprawy włościańskiej w marcu i kwietniu. W dalszem mojem opowiadaniu opieram się przeważnie na protokółach i wyjątki z mów przytaczam, jak były zapisane, odznaczając to cudzysłowem.

rzyści; inaczej zostaliby pozbawieni rąk potrzebnych do uprawy gruntu.“¹⁾

W czasach spokojnych niezawodnie przedstawiałoby to ważny bodziec do dalszego postępowego przeobrażania się stosunków ekonomiczno-społecznych ludu wiejskiego, ale podczas rewolucyi był to środek połowiczny i nie wywołałby takiego wrażenia, któreby mogło rozniecić zapał wśród włościan i zespolić ich interes z walką rewolucyjną. A właśnie o to starać się należało. Po co przytem rząd wniósł tę sprawę do sejmu, kiedy—jak to zaznaczono kilka razy podczas rozpraw—mógł sam w drodze administracyjnej tego dokonać? Zasada własności gruntowej w dobrach narodowych była uznana jeszcze w 1784 r. Sejm Czteroletni w 1792 r. potwierdził ją. Wprawdzie, książę Lubecki podał ją w wątpliwość swemi rozporządzeniami, ale uznano je jako nadużycie. Zamiana pańszczyzny na czynsze wciąż się odbywała w dobrach narodowych i znaczna część włościan była tam już oczynszowana. Mógł więc zarząd skarbu, bez odwoływania się do sejmu, wszystko to zrobić, co nakreślił w projekcie. Widocznie chodziło rządowi o to, by nastreńczyć sejmowi sposobność do popisania się tanim kosztem najlepszemi swemi chęciami dla włościan, oraz wyjednać publiczne oświadczenie się przeciw pańszczyźnie. Za wiele jednak rachował na domyślność szlachecką. „Zanadto są ważne okoliczności—mówił na posiedzeniu 28 marca Słubicki—wiele trudności jest do usunięcia, lepiejby więc było odłożyć ten projekt do czasów pomyślniejszych, kiedy w rękę nieprzyjaciela będące prowincye odzyskamy, bo jakże mamy rozdarowywać grunta, kiedy jeszcze nie wiemy, czy będziemy ich właścicielami.“ I to mówił ten, który w pierwszych dniach rewolucyi zdawał się należeć do gorętszych jej wyznawców. Projekt dobry, zasada piękna—powiadali inni postowie—ale w każdym razie lepiej byłoby odłożyć tę sprawę na później. Ignacy Dębowski powątpiewał, czy małemu kompletowi przysługuje prawo stanowić o tak ważnej sprawie. Wytlómaczono mu jednak, że szlachta, wystraszona lukiem dział, wymierzonych z drugiej strony Wisły do stolicy, opuszczając ją, uchwaliła, że komplet 33, złożony z członków Izby poselskiej i Senatu, wystarcza do prawomocności uchwał. Ten że Dębowski na drugi dzień, zaczawszy od tego, że uważałby przeciwnika zasady projektu za zdrajcę ojczyzny, za zabójcę

¹⁾ Str. 75, t. III. „Kronika Emigracji Polskiej.“ Paryż 1833. Artykuł T. Morawskiego: „Sprawa włościańska na sejmie w r. 1831.“

narodu, skończył na tem, że należy się tak ważną sprawę odłożyć na później.

Nie zdoławszy zepchnąć sprawy z porządku dziennego, starano się ją ubić w długich i szczegółowych rozprawach. Traktowano ją wyłącznie ze stanowiska ekonomicznego, jakby nie miała ona ważnego politycznego znaczenia. Szaniecki przypomniał to sejmowi. Ponieważ niektórzy posłowie oświadczyli się przeciw rządowemu projektowi, tłumacząc się tem, że nie rozciągał się on na cały ogół włościan, deputowany ze Stobnicy na posiedzeniu 29 marca ponowił swój lutowy wniosek nadania własności gruntowej rolnikom. Odwołał się on do patriotyzmu sejmujących i chciał ich natchnąć szlachetną ambycją. „Idąc w ślady patriotyzmu, odznaczonego tyłu światłemi uchwałami, nieśmiertelną sławę dla Polski przynoszącemi, Sejmu Czteroletniego, odznaczmy—wołał on — sejm nasz terazniejszy uchwałą niemniej chwalebną, niemniej szlachetną, niemniej sławy narodowej godną, uchwałą, niszczącą ostatni zabytek feudalizmu, pańszczyznę. Uchwała ta postawi Polskę na stopniu odpowiednim cywilizacji europejskiej, na stopniu szczęścia i swobód prawdziwej wolności. Milion rąk podniesiemy ku obronie tej ziemi, na której milion wolnych utworzymy jej właścicieli. Milionem niepodległych obywateli wzmocnimy reprezentację narodową, bo milionowi niezawisłych obywateli nadamy prawa polityczne. W tem leży dobro kraju, w tem leży honor narodu...” Wskazywał on na wielkie znaczenie takiej uchwały na przyszłe losy narodu. „Gdyby nawet — mówił on — naród musiał uleść przemocy, to i w takim razie miałyby ona zbawienny wpływ na jego przyszłość. Wróg musiałby ją przyjąć, gdyż i han tatarski nie śmiałby się jej dotknąć. Zostałaby ona pomnikiem wielkiego cywilizacji postępu w narodzie polskim.“

Przemówienie takie mogłoby wywołać zapal w innym składzie sejmu, ale nie w takim, w którym zasiadali Słubicki, Dębowski, Konstanty Witkowski, Tymowski i inni wykrętni obrońcy pańszczyzny.¹⁾ Wniosek Szanieckiego odesłano do Komisji, a w sprawie projektu rządowego rozpoczęły się nanowo długie rozprawy.

¹⁾ Bonawentura Niemojowski przypisywał niepowodzenie projektu temu, że na nieszczęście w małym komplecie dzierżawcy i nabywcy dóbr narodowych mieli przypadkową przewagę. Str. 65. „O ostatnich wypadkach rewolucji polskiej“—przez Bonaw. Niemojowskiego. Paryż 1833. Walenty Zwierkowski mniemał, że „utrata propinacyi, tego szkaradnego monopolium,“ największą stanowiła przeszkodę do przyjęcia projektu („Nowa Polska,“ wydawana w Paryżu, tom II, str. 77.

Kasztelan Małachowski starał się opamiętać szlachtę. „Gdyby projekt był odrzucony—mówił on—rząd bez uchwały nawet mógłby w drodze administracyjnej wykonać takowy, lecz będzie to zaszczytniej dla nas, że o braciach, którzy całość kraju naszego zapewniają, o tej najważniejszej części narodu, nie zapominamy.“ Przestroga ta jednak nie podziałała.

Najważniejszą doniosłość w rozbieranym projekcie przedstawiało *zniesienie pańszczyzny*. Może nie zmieniłoby ono materialnego położenia włościan—jak to wielu utrzymywało—ale usuwało pozostałość poddaństwa, zmniejszało zależność społeczną włościanina i musiałoby w ludzie sierniężnym podnieść poczucie godności ludzkiej. Uchwała sejmu narodowego, znosząca pańszczyznę w dobrach skarbowych, byłaby jej potępieniem, skazaniem na śmierć w opinii publicznej.

Właśnie z tego powodu Szaniecki nastawał na ogłoszenie takiej uchwały, a w tym względzie nie był zrozumiany i poparty przez takich nawet posłów, jak Walenty Zwierkowski, który gotów był dla powodzenia sprawy narodowej ponieść jaknajwiększe ofiary i który rzetelnie sprzyjał ruchowi demokratycznemu. Kiedy w głosowaniu został przyjęty pierwszy artykuł projektowanej ustawy, że wszyscy włościanie dóbr, nieruchomą własność publiczną składających, lub pod zarządem albo pod opieką rządu zostających, uznani są za dziedzicznych właścicieli gruntów i budowli przez nich posiadanych—powstało w dalszym ciągu pytanie, czy spłata kapitału, wartość gruntu wyobrażającego, ma się odbywać pieniędzmi pod postacią czynszu lub też robocizną w formie pańszczyzny? Rząd, wykazawszy przez swego referenta, Brodzkiego, wyższość czynszu nad pańszczyzną z punktu ekonomicznego, żądał, ażeby zostało uchwalone zniesienie tej ostatniej. Szlachta, mocno zaniepokojona, zaczęła wołać: dlaczego niema być pozostawiona włościaninowi wolność wybierania pomiędzy pańszczyzną i czynszem? Dlatego—odparł Szaniecki—że pańszczyzna a przymus są równoznaczne, że zniesienie pańszczyzny jest przywróceniem wolności osobistej. A „wolność nie jest to towar, żeby nim frymarczyć, zastawiać, sprzedawać go, jest to własność narodowa.“ „Naród ma prawo powiedzieć, że nikomu w Polsce nie wolno być murzynem...“ Ustanawiając czynsz, uświęcamy zasadę wolności osobistej, ale to wcale nie przeszkadza temu, ażeby włościanin, nie mając pieniędzy, nie mógł całej należności lub jej czynszu spłacić robocizną, lecz w tym wypadku staje się ona najmem i utracą charakter ciągłego przymusu, a przytem obliczo-

na na pieniądze, nie może być tak wyzyskiwana, jak w formie pańszczyzny.

Jakkolwiek przekonywające były te dowodzenia, nie zdołały one przełamać uporu szlacheckiego. Nawet przedstawienie ministra przychodów i skarbu, że wolność wyboru pomiędzy pańszczyzną a czynszem spowodziłaby wielką niedogodność w urządzeniu dóbr narodowych—nic nie pomogło. Pańszczyzna została uratowana. Szaniecki, widząc, że nie udało się jej obalić, chciał ją przynajmniej piętnem moralnem niewoli napiętnować. W tym celu na posiedzeniu 8-go kwietnia wniósł poprawkę następującego brzmienia: „Gdyby właściciel tak uregulowanej posiadłości oświadczył życzenia zaspokojenia raczej robocizną, aniżeli płacenia pieniędzmi ustanowionego z niej dochodu, wolno mu będzie ułożyć się z posiadaczem lub rządcą folwarku o robocizną stałą od trzech do czterech lat, za którą tenże posiadacz lub rządcą folwarku wnosić będzie do skarbu gotowiznę z jego posiadłości. Lecz przez czas trwania układu takowego, właściciel jako w służbowe stosunki wchodzący, zawieszonym będzie w używaniu praw obywatelskich i politycznych.“ Jakto—krzyknęła szlachta, a najgłośniej Dębowski Ignacy—praca ma hańbić?! Na to odrzekł Szaniecki: „Nie w tem leży hańba—jak mi zarzucał J. W. Dębowski—że kto jaki rodzaj pracy odbywa, ale w tem, że kto nie pracę, lecz wolność swoją sprzedaje.“ Wyjaśnienie to jeszcze bardziej przyczyniło się do odrzucenia poprawki.

Pobity na jednym i drugim punkcie, Szaniecki nie zrażał się i swoim głosem dopomagał do uratowania projektu, chociaż mocno okaleczonego. Na posiedzeniu 14-go kwietnia daremnie obstawał za przyjęciem zasady dzielenia wielkich folwarków na małe własności, ażeby w ten sposób ułatwić włościanom nabywanie ziemi. Po tygodniowych długich rozprawach, wreszcie załatwiono się z projektem i pozostawało mu tylko dać ostateczną sankcyę. Tymczasem, wskutek wezwania sejmowego z dnia 30 marca, przybywali do stolicy nieobecni dotąd posłowie. Na posiedzeniu 18 kwietnia zażądano rozłączenia izb, a Kaczkowski, poparty przez Słubickiego, odmawiając małemu kompletowi prawa stanowienia w tak ważnej sprawie, jak włościańska, domagał się, ażeby izby rozłączone ponownie przedyskutowały cały projekt. Z oburzeniem oświadczył Bonawentura Niemojowski, że wniosek taki ma na celu unieważnienie wszystkich uchwał w sprawie włościańskiej i w smutny sposób przypomina *liberum veto*. Ależ to znaczy—wołał z goryczą Szaniecki—„niszczyć trzytygodniowe nasze prace!“

Właśnie to miała na celu szlachta, przybywająca na pomoc obrońcom wyzysku pańszczyźnianego. Pokazało się to na posiedzeniu dnia następnego w Izbie poselskiej. Wniosek włościański szczegółowo przedyskutowany i uchwalony już częściami, przy dobrej woli mógł być prędko załatwiony. Stał on na pierwszym miejscu na porządku dziennym. Świdziński zażądał szczegółowej nad nim dyskusji, a Walichnowski, ażeby dwa inne wnioski, stojące na porządku dziennym, jako ważniejsze, wziąć pod obrady sejmowe. Większość posłów poparła te żądania i w dalszym ciągu posiedzeń wciąż się okazywały ważniejsze sprawy, jak np. regulaminowe, dotyczące wyboru senatorów i t. d. Projekt włościański zaprzepaszczone. W ten sposób większość sejmowa złożyła sobie okropne świadectwo złej woli i żadne wywody Barzykowskiego nie są w stanie jej usprawiedliwić. Klasowemu interesowi poświęciła ogólny interes narodowy.

Co się stało z wnioskiem, złożonym przez Szanieckiego w dniu 29 marca? W Protokółach sejmowych czytamy, że na posiedzeniu 7 kwietnia złożył on jeszcze raz u łaski marszałkowskiej projekt, „ułożony w myśl objawionych w Izbach życzeń względem ustalenia losu włościan w dobrach prywatnych bez naruszenia własności a narażenia na straty właścicieli dóbr;“ a na posiedzeniu 4 czerwca wniosek, „jeszcze w miesiącu lutym do komisjów odesłany, a teraz stosownie do okoliczności przerobiony, mający na celu, aby naród jaknajprędzej wywalczył niepodległość.“ Szaniecki stracił już wiarę w dobrą wolę sejmu i ostatni wniosek podał do wiadomości publicznej w „Dzienniku Powszechnym.“ Ponieważ — pisał on 16 czerwca — „komisyje sejmowe, do których projekt w dniu 4 b. m. pod rozbiór odesłany został, zbyt są zajęte innymi także pilnymi projektami, przeto nim się doczeka kolei i nim komisye przystąpią do jego rozbioru, podaję go pod rozbiór całego narodu, którego opinia najlepszą będzie wskazówką dla mnie, czy go popierać lub cofnąć, gdyż mi go nie dyktowała miłość własna, lecz miłość ojczyzny.“¹⁾

Wniosek ten Szanieckiego zasługuje na przytoczenie go w całości. Z motywów, uzasadniających go, przytoczę najważniejszy: „Zważając, iż gdy przez tak długi przeciąg boju doświadczenie

¹⁾ Przedrukował to „Przegląd dziejów polskich“ (str. 153 i 154, część trzecia, Poitiers, 1839). Mierosławski w swojej „Historji“ wysmiewa ten projekt. Czy słusznie jednak? Czy sam on, opisując powstanie litewskie, nie zalecał coś podobnego?

nauczyło, że ilość wojska narodowego, jakkolwiek znaczna i męstwem nadludzkim ożywiona, do prędkiego i zupełnego pokonania nieprzyjaciela okazuje się być jeszcze niedostateczna,“ Izby stanowią:

„Art. 1. Królestwo Polskie ogłasza się za będące w stanie ogólnego powstania w masie.

„Art. 2. Każdy, bez żadnego wyjątku, ktokolwiek zdolnym jest uchwycić za oręż, obowiązany jest opatrzyć się w broń bez względu na jej rodzaj.

„Art. 3. Każdy właściciel dóbr, zastawnik, posesor lub prezydent miasta, zostający przy zdrowiu i sile, obowiązany jest stanąć na czele włościan lub mieszkańców miast, opatrzonych w kosy, piki, widły, cepy, siekiery, lub jakiebądź narzędzia, do walki i obrony zdadne.

„Art. 4. Starców, dzieci i niewiasty zostawiwszy przy domowych ogniskach, reszta ludności, zabrawszy z sobą potrzebną żywność na wozy z zaprzęgiem wołowym, udadzą się naprzeciw nieprzyjacielowi.

„Art. 5. Województwo krakowskie wkroczy do województwa sandomierskiego i razem z niem pójdzie w lubelskie; kaliskie wkroczy w płockie i mazowieckie i razem z sobą wejdą w województwo podlaskie i augustowskie; a tak coraz dalej, obok wojska regularnego, parując nieprzyjaciela, zniszczyć go zupełnie, otoczywszy zewsząd dokoła, lub cofającego się wypierając z województwa do województwa, aż za ostatnie dawnej Polski granice.

„Art. 6. Lud wyznania mojżeszowego, skoro z równym zapalem i poświęceniem należeć będzie w masie swej do tej wyprawy, uzyska albo prawo obywatelstwa, albo osobne narodowi swemu najstosowniejsze przywileje, jak to za ogólnem porozumieniem się, za najdogodniejsze uznanem zostanie.

„Art. 7. Włościanie uzyskają własność gruntową bez naruszenia własności prywatnej.

„Art. 8. Sposób podzielenia tych mas na kolumny i roty, onych uorganizowania i całego ruchu uskutecznienia rządowi narodowemu, wodzowi naczelnemu i gorliwości wszystkich prawych Polaków poruczonem zostaje.“

„Rodacy! — pisał dalej Szaniecki. Wystawmy sobie chwilę okropną, gdyby nas wrogi pokonać miały! Krew braci naszych, nadaremnie przelana, spłynęłaby na głowy nasze! Byt nasz—na wieki stracony! Nie czekajmy tej chwili! Korzystajmy ze sposobności! Uprzedźmy ją! Niech nas ogarnie rozpacz szlachetna. Wczesna doprowadzi nas do zwycięstwa, niewczesna—do grobu.“

Oczywista rzecz, że większość sejmowa nie zgodziłaby się na takiego rodzaju pospolite ruszenie. Wszak to byłby początek tej „rewolucyi socyalnej,” która ją takim strachem przejmowała. Rząd Narodowy jednak był odważniejszy i — jak Barzykowski opowiada—decydował się na ten krok. Postanowił on „cały naród do walki i obrony powołać i z niego ostatni szaniec uczynić, aby naród albo wywalczył swoją niepodległość, albo zginął i razem z ojczyzną do grobu wstąpił.“¹⁾ Ma się rozumieć, nadawano pospolitemu ruszeniu bardziej umiarkowaną postać, a o uzyskaniu własności gruntowej przez włościan przemilczano. Chciano jednak poprzednio zasięgnąć zdania wodza naczelnego. Skrzynecki wszakże sam nie przybył na sesję Rządu Narodowego, lecz przysłał generała Łubieńskiego. Ten w rutynie wojskowej wykształcony generał, przeciwny wszelkim objawom rewolucyjnym, nieprzychylny sąd projektowi wygłosił. „Kiedyś—mówił on—kiedy sztuka wojenna więcej na siłach fizycznych polegała, kiedy osobiste męstwo tak przemożny wpływ wywierało, wtenczas pospolite ruszenie mogło znaczne usługi oddawać, lecz dzisiaj prowadzenie wojny do wysokiej nauki i sztuki jest podniesione, przeto nie człowieka, nie ludzi do wojny, lecz żołnierza potrzeba, aby umiał spełnić, co sztuka nakazuje. Masy ludu nagromadzone nie tylko tej usługi oddać nie są zdolne, ale przeszkodą i trudnością stać się mogą.“²⁾

Jak widzimy, Szaniecki, „czcigodniejszy niż fortunny trybun interesów włościańskich“ — jak Mierosławski o nim się wyraża—korzystał z każdej sposobności przypominać sprawę włościańską i przedstawiać jej ogromne znaczenie w walce o wolność narodową. Starał się on w sejmie wytworzyć stronnictwo przyjazne włościanom i z jego inicjatywy 1 czerwca powstało *Towarzystwo polepszenia bytu włościan*. „Gdyby oręż polski—powiada były sekretarz tego towarzystwa — przy fatalnym obrocie, jaki wzięła sprawa powstania, mógł być zostać zwycięskim, stowarzyszenie w mowie będące przyspieszyłoby było niewątpliwie chwilę ogólnego usamowolnienia i uwłaszczenia ludu wiejskiego.“³⁾

¹⁾ Str. 325, t. IV. „Historja powstania listopadowego.“ Poznań, 1884.

²⁾ Str. 326. L. c.

³⁾ Str. 11. „O początku demokracji polskiej“—krótka wiadomość przez J. N. Janowskiego. Paryż, 1862. Teodor Morawski w swojej historii podaje inną nazwę i datę założenia tego towarzystwa. Sądzę jednak, że wiadomość podana przez Janowskiego, jako byłego sekretarza tego towarzystwa, jest wiardodniejsza.

Rozprawy sejmowe o sprawie włościańskiej przyczyniły się do żywszego zainteresowania się tą sprawą. Już poprzednio Mochnacki, Żukowski, Janowski, Krępowiecki wskazywali na konieczność połączenia rewolucyi politycznej ze społeczną, z wcieleniem w organizm narodowy i uobywatelnieniem włościan. Lecz największe wrażenie sprawiła mowa Lelewela w Towarzystwie Patriotycznym. Rozjątrzyła ona posłów szlacheckich, tembardziej, że wypowiedział ją członek Rządu Narodowego. Naczelný wódz, Skrzynecki, którego niedołęzne działania wojenne surowo krytykowano w kołach demokratycznych, chciał skorzystać z tego rozjątrzenia i wyjednać ograniczenie słowa i pisma. Zaproponował więc reformę rządu, któraby mu nadała większą jedność, sprężystość i władzę. Jan Ledóchowski, popularny sprawą detronizacyi, z całą gwałtownością swego temperamentu wystąpił przeciw rządowi, że toleruje rewolucyę jakobińską, która przestrasza rządy europejskie, i z tego powodu nie chcą one nam pomagać, ani nawet traktować z nami. Trzeba więc ustanowić rząd silny, jednowładny. Szaniecki odważnie wystąpił w obronie wolności i tą razą odniósł zwycięstwo. W mowie swej znakomitej, wygłoszonej na posiedzeniu 9 czerwca, wykrył prawdziwy cel, do którego dążyli reformiści. Było to zmuszenie demokratów do milczenia. Przechodząc do mowy Lelewela, rzekł: „Myli się, kto mniema, że rewolucya narodowa obejść się może bez socyalnej; socyalna jest środkiem do narodowej, przez nią ostatnia istnieć tylko może.“ Dzisiaj już cały świat cywilizowany dzieli te zasady socyalne, które wam się wydają straszne. Wciąż nam tu przedstawiają—mówił dalej—konieczność usuwania wszystkiego, co by mogło trwożyć rządy europejskie. I pomimo to, cóż nam pomogły te rządy? Czyż nie lepiej i właściwiej byłoby starać się o to, aby mieć ludy za sobą? „Jeżeli jednak mamy poddać się znowu jednemu, to obierzmy—powiadał on bardzo słusznie—lepiej odrazu króla, a nie małpujemy króla.“ Wybór króla — jak to zaznaczyłem gdzieś indziej ¹⁾—byłby ostatecznie zakończeniem tylko bezkrólewia, ponieważ sejm uchwałą swoją z dnia 8 lutego w imieniu narodu oświadczył, „iż uznaje monarchię konstytucyjną reprezentacyjną z prawem następstwa wybrać się mającej rodziny, jako jedynie odpowiadającą potrzebom swoim; że form jej w tem nawet bezkrólewiu przestrzegać będzie i nikomu ich bezkarnie przekroczyć nie

¹⁾ Str. 180. „Historya demokracji polskiej w epoce porozbiorowej.“ Zurych, 1901.

dozwoli.“ Nie był Szaniecki za przesądzeniem przez sejm, jaką ma być przyszła forma rządu. Kiedy toczyła się dyskusya w tym przedmiocie na posiedzeniu Izby poselskiej w pierwszych dniach lutego, był tego zdania, że trzeba poprzednio odzyskać niepodległość, a naród niepodległy sam ustanowi formę rządu. „Nie jestem za rzeczpospolitą, lecz za monarchią konstytucyjną“—mówił na posiedzeniu 4 lutego. Ale monarchia ta konstytucyjna powinna być — podług niego — opierać się na rzetelnych demokratycznych zasadach. Mowa jego wywarła takie wrażenie, jakoby się oświadczył za formą republikańską. ¹⁾

Zasada demokratyczna — podług niego — nierozdzielna była z wolnością obywatelską. Ilekroć więc popełniono gwałt, nie wahał się wystąpić ostro z jego potępieniem. Kiedy gubernator warszawski kazał, bez poprzedniego sądu, uwięzić Krępowieckiego za obrazę wodza naczelnego, Szaniecki na posiedzeniu 6 sierpnia napiętnował ten krok jako nadużycie władzy. „Użalamy się—mówił on—często na nadużycia wolności druku. Czemże one są? Oto obrazą miłości własnej, obrazą dumy. Czemże jest nadużycie pióra w porównaniu z nadużyciem władzy? To ostatnie zagraża wolności osobistej, a nawet życiu.“

Ostra krytyka zachowania się wodza naczelnego była zupełnie usprawiedliwiona. Skrzynecki tak niedołąźnie prowadził wojnę, że graniczyło to niemal ze zdradą. Pozwolił bezkarnie wodzowi rosyjskiemu przeprowić się przez Wisłę i zbliżyć się do Warszawy. Wprawdzie, odebrano mu ostatecznie naczelne dowództwo, lecz było już zapóźno. Paskiewicz ujrzał się także w nader niebezpiecznem położeniu. Mochnacki, nawet Czartoryski wskazywali, że wojsko rosyjskie mogło tam pozostać na wieki pogrzebane. Szybkie zajęcie Warszawy stało się dla Paskiewicza rzeczą konieczną i w tym celu, ażeby osłabić energię obrony ze strony polskiej, rozpoczął 4 września przez Dannenberga układy z prezesem rządu narodowego, generałem Krukowieckim. Podstęp znakomicie się udał. Myśl układów tak silnie zaprzętnęła umysł Krukowieckiego, że nietylko nie okazał tej sprężystości wojennej, z jakiej słynął był dawniej, ale nawet tak się zachowywał, jakby życzył sobie, ażeby wojsko polskie poniosło porażkę, któraby napędziła strachu ministrom i sejmowi i uczyniła ich do ustępstw skłonniejszymi.

Generał Prądzyński, obałamucony przez dyplomatów rosyjskich, chwycił się także myśli układów, jakby deski ocalenia,

¹⁾ Str. 191—193. „Historya powstania listopadowego.“

i w chęci ich przyśpieszenia siał trwogę w umysły. Zdawało się mu, jak i Krukowieckiemu, że sprawa porozumienia się z wodzem rosyjskim byłaby ułatwiona, gdyby sejm opuścił Warszawę. Starając się skłonić postów ku temu, Prądyński przedstawiał stan rzeczy w czarnych kolorach. „Generale—ozwał się Szaniecki—przypomnij, że na początku rewolucyi przysięgałeś na pałasz i pamięć Kościuszki zbawić ojczyznę lub umrzeć za nią. Teraz chwila spełnić tę przysięgę. Zamiast pchać nas do ustępstw, śpiesz na pole bitwy i swemi zdolnościami i walecznością służ sprawie narodowej.“ A widząc, że większość postów wystraszona skłaniała się już do czynionej propozycji, oburzony do żywego, podniesionym głosem upominał Izbę, ażeby okazała więcej odwagi i mocy ducha. Historia—mówił na posiedzeniu 7 września—nie uwierzy, że Izba opuściła Warszawę przez wzgląd na dobro narodu. Powie ona, że Izba uczyniła to z obawy o siebie, lecz nie dla ocalenia honoru narodowego. Środki obrony nie są jeszcze wyczerpane. W obronie stolicy może stanąć conajmniej 30 tysięcy głów. Mając taką ludność, jak warszawska, mając takie wojsko, jak nasze, i takich generałów, możemy mieć wszelką nadzieję, że nieprzyjaciela odeprzeć zdołamy. Teraz nie sejmować, lecz walczyć należy. Zamiast więc radzić tu w sali, stańmy raczej na czele ludności warszawskiej i prowadźmy ją na okopy. A podług licznego świadectwa, Warszawę można było obronić. „Na łożu śmiertelnem utrzymywać będę—powtarzał nieraz później generał Bem—że Warszawa była nie do zdobycia, gdyby był Krukowiecki komenderował lub komu innemu komenderować kazał.“

Większość jednak trwożliwa przemogła i opuszczono Warszawę. Mianowany przez sejm na miejsce Krukowieckiego prezesem rządu Bonawentura Niemojowski uzupełnił skład rządu, powołując z Izby poselskiej Lelewela na ministra oświecenia i Szanieckiego na ministra spraw wewnętrznych: „obydwóch reprezentantów stronnictwa *popularnego* i przez toż stronnictwo za najzdatniejszych i najgodniejszych ufnosci publicznej uważanych.“¹⁾ Szaniecki wolał jednak objąć kierunek sprawiedliwością, jako działaniem lepiej mu znanym.

Na posiedzeniu Izb połączonych w Płocku 23 września Szaniecki stał się ponownie z dawnym swym przeciwnikiem, margrabią Wielopolskim, który, popierając wniosek Świdzińskiego, przemawiał za odroczeniem sejmu i zdaniem władzy cywilnej na

¹⁾ Str. 59. „O ostatnich wypadkach rewolucyi polskiej“—przez B. Niemojowskiego.

wodza naczelnego. Szaniecki sprzeciwił się mocno odroczeniu sejmu, albowiem wywarłoby to najgorsze wrażenie na żołnierzy. „Co do wniosku względem zdania władzy cywilnej na wodza naczelnego, należałoby dodać, że mu się władzę traktowania odbiera. Zbawienie ojczyzny lub zgon, tego hasła trzymać się należy.“¹⁾

Zdaniem jego — wódz i wojsko mieli przed sobą jedyną powinność: bić się za ojczyznę. Kiedy przywołany generał Bem w sprawie rady wojennej w Słupni, która zamierzała była wysłać deputację do Petersburga, starał się ją usprawiedliwić tem, że jej nie o wojsko chodziło, lecz o to, ażeby zasłonić sejm przed zemstą cesarza Mikołaja.—Szaniecki w imieniu sejmu oświadczył: „Iż rzeczą wojska jest bronić ojczyzny, nie sejmu; jakikolwiek los spotka ojczyznę, sejm go podzieli i nie przyjąłby nigdy do brodziejstwa, któreby przyszło szkodą ojczyzny okupić.“

Opuściwszy wraz z wielu innymi postami ziemię ojczystą, Szaniecki przebywał przez lat kilka w Niemczech i dopiero zwabiony widokami szerszej działalności politycznej, w 1835 r. przybył do Paryża. Tu wydawał przez czas pewien czasopismo: „Polskę,“ starając się skłonić walczące z sobą stronnictwa do wspólnego porozumienia się i działania. W tymże duchu przemawiał na obchodzie listopadowym 1838 r. Słowa jego nie mogły jednak trafić do przekonania tych, którzy uważali myśl „wydobycia Polski z pod wpływu kierunku ludzi, na których leży przekleństwo historyi“—jak pisał, zdając sprawę o tym obchodzie, „Demokrata Polski“—za najbardziej patryotyczną. W tymże roku został Szaniecki wybrany na prezesa Komisji funduszków emigracyjnych, albowiem będąc przez kilka lat jej członkiem i funkcyjaryuszem, pełnił gorliwie swe obowiązki i dał się poznać z bezstronności w niesieniu pomocy tułaczom.

Z zarodem choroby piersiowej, potrzebował spokoju i wygód. Burzliwe życie emigracyjne nie dawało mu pierwszego, a dzieląc się po bratersku z tułaczami tem, co miał, był już zadowolony, że nie cierpiał niedostatku. Umarł 19 lutego 1840 r.

Zwłoki jego złożono na cmentarzu Mont-Parnasse. Nad grobem jego przemawiali: deputowany Wołowski, J. Kr. Ostrowski i pułkownik Chotomski.

Nieugięty charakter, gorąca miłość ojczyzny, szeroki widok krag myśli społecznej zapewniają mu zaszczytne miejsce wśród wolnościowych szermierzy ówczesnych.

BOLESŁAW LIMANOWSKI.

1) Protokół posiedzeń sejmowych w Płocku.

ROMA—AMOR.

I.

Wyprowadzano ongi nazwę *Roma* od greckiego wyrazu oznaczającego siłę. Dzisiaj lingwiści odrzucają tę etymologię; wszelako niezależnie od wszelkich względów etymologicznych, nazwa wiecznego miasta przez samą treść życiową, jaką nam uprzytomnia, czyż nie stała się synonimem siły, najpotężniejszej siły społecznej i politycznej w dziejach cywilizowanej ludzkości? A przeczytajcie odwrotnie imię: *Roma* — wyczytacie: *amor*. Szczególne spotkanie brzmień i znaczeń, niby jakaś ukryta ironia przypadkowo złączonych przeciwieństw.

Siła i miłość! Jakże często jawią się nam one w tragicznych kolizjach życia; jakże często siła bywa bezmiłosna, a miłość—bezsilna. W drobnych faktach bytu powszedniego, w wielkich zdarzeniach dziejowych, ten, co posiadał siłę, jak wagnerowski Nibelung Alberich, wyrzeka się miłości; ten, co żyje miłością, wyrzeka się siły, lub daremnie kusi się o jej zdobycie, by zwalczać władnącą światem potęgę nienawiści.

Jedno z arcydzieł naszej poezyi nie mało się przyczyniło do wyrobienia w nas poczucia tych tragicznych przeciwieństw życia. W „Irydyonie“ Krasińskiego mamy wspaniały, o wielkiej głębi duchowej, obraz ujemnych, bezmiłosnych żywiołów siły rzymskiej. Ale czy tylko rzymską siłę miał tu poeta na myśli? Wiemy, że zbrodnicza przemoc Rzymu nad Grecyą jest tu symbolem innej, nowoczesnej przemocy, straszmem brzemieniem ucisku gnębiącej polskie serce poety; wiemy, że tragiczny upadek „syna zemsty,” to symbol upadku mściwej, w siłę jedynie wierzącej nienawiści i przerodzenia się jej w świętą, ofiarną moc miłości.

„Idź na północ, do ziemi mogił i krzyżów; idź i czyn, aż męki tysięcy wciela się w jedno serce twoje.“

Tak brzmi w zakończeniu poematu wyrok Boży, ogłoszony „synowi zemsty,“ mającemu stać się synem ofiary.

Znamienne przeciwstawienie dla wieszczki Polski Chrystusowej, wierzącego niezachwianie w zwycięską moc jej męczeństwa. Nie dziw, że rzucał on gromy zemsty irydyonowej na siłę rzymską, męczycielkę ludów. Ale siła rzymska, z głębi wieków przemawiająca majestatycznymi ruinami swych pomników, jakże odmienne budziła uczucia w „poecie ruin,“ jak zwał Słowacki twórcę „Irydyona.“ Śpiewak zemsty nad Rzymem był pono jednym z najzarliwszych miłośników Rzymu i tyle poświęcił mu przedwznie pięknych kart swej poezji. Niedarmo woła nań Słowacki w dedykacji „Lilli Wenedy“: „Obudź się rzymski w złotej zbroi z ognistym pancerzem rycerzu!“ Nie co innego pono, jeno rzymska rycerskość burzyła się w duszy Krasińskiego przeciw rzymskiej przemocy. Oto klasyczny nieomal przykład wiekuistych harmonij i rozdzwięków, zaklętych w imieniu Roma—amor. Siła staje często przeciw miłości, ale czyż miłość może mieć godniejszy ponad siłę przedmiot ukochania?

Wszakże kochać można tylko życie, a życie w sile się objawia— w słabości gaśnie, zamilcza. Aż nadto często zdarza się, niestety, że wytworzona przez pełnię życia siła przeciw niej się zwraca, idzie na usługi wrogich jej, krępujących swobodny jej rozwój potęg, zdziczałych namiętności, zwyrodniałych żądz, skostniałych mechanizmów. Otchłani rzuca wezwanie otchłani. Nienawiść zastępuje wtedy miejsce miłości.

W każdym skupieniu i wybijaniu wielkiej siły dziejowej mamy te dwoiste dodatnie i ujemne jej objawy i wzbudzoną przez nie przeciwstawną sobie dwoistość uczuć miłości i nienawiści. Nienawidzono rzymskiej siły w ciągu wieków, nienawidzono jej całą potęgą dusz namiętnych, od Hanibala aż do Lutra, całym szaleństwem żądz mściwych, fanatyzmów zdziczałych, buntów niewolniczych. Ale miłowano ją też z niemniejszą mocą ogromem uczuć patryotycznych, humanitarnych, ofiar bezmiernych, heroizmów nadludzkich. Miłowali ją dawni Kwiryli wyteżoną energią swych serc niezłomnych, odrodzoną jako duchowa siła chrześcijańska, uniesieniem entuzjazmu miłosego pozdrawiali pielgrzymi, ze wszystkich stron świata ciągnący do stolicy Piotrowej, podniesioną do apoteozy w dwoistej potędze cesarskiego i papieskiego majestatu umiłował, uwielbił, wysławił największy w poezji wszechświatowej rzecznik duszy chrześcijańskiej, Dante.

Siła rzymska w myśli Dantego to najwyższy objaw zrzadzeń Bożych w dziejach świata — Rzym to wyrocznia po wsze wieki stolica ludzkości. Myśl ta, rozwinięta teoretycznie w łacińskim traktacie o monarchii, wspaniale zobrazowana w „Boskiej Komedyi,” stanowi podstawę politycznych i społecznych przekonań poety, a wysnuta została z najistotniejszych dążeń ideowych epoki średniowiecznej, można nawet rzec całej epoki chrześcijańsko-nowożytnej. Święte cesarstwo rzymskie, zjednoczenie świata chrześcijańskiego pod świecką władzą cesarza i duchowną papieża! — wysoka idea, najwyższa pono, najpiękniejsza ze wszystkich, jakimi zakwitła myśl nowoczesnego człowieczeństwa.

Dzisiaj zdaje się ona należeć już do przeszłości, na wieki zda się pogrzebioną na ideowym cmentarzysku historii. Ale czy tak jest istotnie, czy nic z niej nie pozostało w obecnej naszej ideologii społeczno-politycznej, w biorących z niej początek prądach myśli, uczuć, pragnień? A skądże rodem marzenia o powszechnem rozbrojeniu, o wiecznym pokoju, o zjednoczonych stanach Europy, o socjalistycznym państwie przyszłości?... Jeśli nie wprost wywodzą się one od świętego cesarstwa rzymskiego, to niewątpliwie pozostają z niem w pewnem pokrewieństwie ideowym. Czemże ono było, jeśli nie marzeniem o powszechnem braterstwie, a nawet o powszechnej wolności i równości w świecie chrześcijańskim? — marzeniem zapewne *nierziszczalnym* w rzeczywistości naszego bytu, ale też pono *niesziszczalnym* w pragnieniach naszych serc i dusz, odradzającym się w nich wciąż jako jeden z objawów naszej kultury duchowej, chrześcijańskiej ostatecznie u swych źródeł, jeśli nie w swym obecnym rozwoju.

Różne ów objaw w kolei czasu przybiera postacie, często, za dni naszych najczęściej, tak dalekie od chrześcijaństwa lub zgoła całkiem obce mu i wrogie. W średnich wiekach idea braterskiego zjednoczenia ludzkości czyż mogła być inną jak chrześcijańsko-religijną a cesarsko-rzymską w swej zewnętrznej formie politycznej? Toż chrześcijaństwo stanowiło naówczas główny i najwyższy ton serc ludzkich, a rzymskość w swej ostatniej imperyalistycznej postaci tak była przytomna myśli i pamięci ówczesnych ludzi, w takich jaśniała im blaskach kultury po przez mroki początkowej barbarzyi średniowiecznej! Zresztą nie trzeba zapominać, że widniała ona im też stale w organizacyi kościoła katolickiego, we wszechświatowem jego znaczeniu i odżywała wciąż w światowładczych uroszczeniach różnych mocarzy, poczytujących się za spadkobierców cesarskiej Romy.

Jak zawsze, rzeczywistość o tysiące mil była od ideału. Wszelkie realne zjednoczenia religijne i polityczne, jakie usiłowali przeprowadzać średniowieczni papieże i cesarze, odmiennie wyglądały od pięknych snów, co się roiły w głowach entuzjastów idealnej Romy cesarskiej i papieskiej, świętego przybytku pokoju, braterstwa, miłości. Zresztą same owe sny, sam ów wzniosły ideał rzymski niejasno, mętnie zazwyczaj, czasem zgoła krzywo, przewrotnie zarysowywał się w umysłach ciemnych, mało wyrobionych, co tylko wyszłych lub zaledwie wychodzących z mroków pierwotnego barbarzyństwa. Nieliczne tylko umysły wyższe lub genialne zdolne były ogarnąć go w całej ideowej jego treści i duchowej mocy. Czyż potrzeba dowodzić, że naczelne między nimi miejsce zajmował umysł Dantego, że w jego sercu, w jego duszy rzymski ideał średniowiecza chrześcijańskiego najwspanialsze, najczystsze osiągnął odbicie?

Było to pierwsze odbicie, sięgające poza widnokreśli średniowiecznego światopoglądu a ostatnie przeniknięte żywiołową mocą średniowiecznej wiary. Snadź silnie, głęboko wierzył poeta w opatrznościowe posłannictwo cesarskiej Romy, skoro tak ją wywyższył, uświęcił w swej „Komedyi,“ a tak strasznie poniżył jej wrogów. Oto w ostatniej pieśni Piekła pomieszcza Brutusa i Kasyusza, zabójców Cezara, na równi z Judaszem w paszczęce samego Lucyfera. Uśmiercenie zdradzieckie założyciela cesarstwa rzymskiego wydało mu się nie mniejszą zbrodnią, jak zdradzieckie wydanie na śmierć boskiego założyciela chrześcijaństwa. A w 19-ej pieśni Raju zjawia mu się orzeł cesarski w najwyższej chwale niebios wystawiany, jako symbol doskonałej sprawiedliwości.¹⁾

Szlachetni bohaterowie republiki potępieńcami — drapieżny ptak rzymski uosobieniem sprawiedliwości! Dziwne zestawienia, dziwnymi rozdźwiękami brzmiące w uszach człowieka nowoczesnego. Ale, dobrze zważywszy, czyż nie usprawiedliwione ze stanowiska średniowiecznego poety. Rzym był mu mytem raczej, aniżeli historią, krytyka nie tknęła jeszcze jego sądów o przeszłości. Co za dziw, że ta ostatnia przemawiała doń nie rzeczy-

1)

Per esser giusto e pio
 Son io qui esaltato a quelle gloria
 Che non si lascia vincere a disio
 Ed in terra lasciai la mia memoria
 Si fatta che le genti li malvage
 Commendan lei ma non sequan la storia.

Paradiso XIX, 13—18.

wistością, którą żyła, ale ideałami, którymi żyć mogła — co za dziw, że całą swą wiarą i całą miłością przyłgnał do ideału siły rzymskiej, utożsamiającej mu się z wzniesioną ponad wszelkie słabości rzymską cnotą. To też ostateczne jej wcielenie pod postacią cesarstwa rzymskiego, sięgającego tradycjami i instytucjami swemi w czasy chrześcijańskie, uwielbił i wysławiał jako istotny wyraz opatrnościowego jej posłannictwa, potępił zaś z całą bezwzględnością ludzi, co przez zabójstwo głównego jej działacza, Cezara, stali się zdrajcami świętej sprawy i dziejowego jej dopełnienia. W tym duchu już Michał Anioł w swym komentarzu do Piekła starał się usprawiedliwić krzywdę, wyrządzoną przez Dantego szlachetnym cieniem Brutusa i Kasyusza.

Jeżeli ludziom odrodzenia dziwną się zdała ta wygórowana cześć poety dla cesarskiej Romy, to cóż dopiero nam, obznajmionym tak dokładnie przez nowszą historję krytyczną z potwornymi jej zbrodniami i okropnym upadkiem. A jednak jest w tych ideałach poety nie tylko wyłączenie średniowiecznego, przeżytego stanowiska, lecz także jakby przecucie i zwiastowanie jakiejś bardzo nowoczesnej i dziś jeszcze w daleką przyszłość zwróconej dążności.

Zapomnijmy przedewszystkiem o historycznej stronie doktryny dantejskiej, dziś oczywiście pozbawionej wszelkiego uzasadnienia, weźmy czysto ideową jej stronę: tkwiący w niej ideał społecznej i religijnej organizacji człowieczeństwa. Rzymskie cesarstwo, jak je sobie wyidealizował twórca „Boskiej Komedyi,” jest niewątpliwie mytem, ale jednym z tych mytów, które socyolog współczesny, Jerzy Sorel (a przedtem jeszcze Ryszard Wagner), uznał za pełne żywotnego znaczenia skryształowanie najwyższych w danym momencie postulatów rozwoju społecznego. Chodzi nie o to, czem była w przeszłości wysławiana przez Dantego monarchia rzymska, lecz o to, czem stać się ma wymarzona przezeń z jej idealizacji wszechświatowa monarchia przyszłości. Jest to zapewne li-tylko piękny myt-marzenie, ale patrzmy, jak wiele zawiera on w sobie realnych, po części nawet zrealizowanych historycznie pragnień, jak wiele w nim podniosłej ideologii, wysnutej z najżywotniejszych dążeń ducha nowoczesnego! W epoce przemocy panów feudalnych i teokratycznych uroszczeń papieżstwa ten ideał państwowości rzymskiej, jako najwyższej legalnej władzy w zorganizowanym cywilizacyjnie społeczeństwie ludzkim, jakżeż to śmiały, wyraźnie zaznaczony rzut nowoczesnej myśli politycznej. Państwo, jako naczelne przedstawicielstwo interesów, potrzeb i zadań życiowych: pomysł daleko sięgający poza stosunki ustroju

średniowiecznego a zbliżony do dzisiejszych naszych stosunków społecznych. Z drugiej strony przecież jakże im obcy, w jak odległą przyszłość wybiegły wyższą idealną swą treścią. Dantejska teoria monarchiczna nic niema wspólnego z dzisiejszym zachłanym absolutyzmem państwowym i z żarłocznym międzypaństwowym i międzynarodowym kanibalizmem. Ten ostatni wyłączony już jest przez ideę jednej jedynej monarchii powszechnej, mającej ogarniać w sobie całą ludzkość, wzniesionej przeto ponad wszelkie współzawodnictwa i walki wzajemne narodów, plemion, rządów—tanteń uniemożliwiony byłby przez ograniczający wpływ władzy papieskiej, w swoim zakresie zupełnie samoistnej, niepodległej, mającej stać niewzruszenie na straży duchowych skarbów ludzkości wobec wszelkich możliwych zamachów przekraczającej swe prawa władzy cesarskiej.

Równoległe współdziałanie obu tych władz przy zupełnym ich rozdzieleniu i zupełnej niezawisłości wzajemnej: oto główna zasada politycznej teorii Dantego, głoszona wielokrotnie tak w wywodach racjonalnych traktatu o monarchii, jak i w obrazowaniu poetyckiem „Boskiej Komedyi“:

Ten, co ku dobru ród ludzki wieść jest wezwany,
Dwa Słońca Rzym ma, oświecające dwie drogi:
Do Boga jedna, druga prowadzi do świata.¹⁾

Tak brzmi jedno z najdobitniejszych orzeczeń powyższej zasady. Dwa słońca, nie słońce i księżyc, jak niektórzy określali wzajemny stosunek władzy papieskiej i cesarskiej, stwierdzając zależność drugiej od pierwszej. Dwa słońca, czyli równorzędne światłe przewodnictwo na drogach ludzkości, jako istotne zadanie obu władz. Cała doktryna dantejska streszcza się w tem zestawieniu,—doktryna wielkiej jasności, w swem ścisłem sformułowaniu i niewzruszonej konsekwencji, niewątpliwie jeden z najdoskonalszych wytworów umysłowości łatyńskiej, a w swem wystawieniu Rzymu, jako opatrnościowego ogniska najwyższej w świecie materyjalnej i duchowej siły człowieczeństwa, główny, najwspanialszy objaw umiłowania świętej, wieczystej stolicy plemienia

¹⁾ Soleva Roma, che il buon mondo feo
Due Soli aver, che l'una e l'altra strada
Facean vedere, e del mondo, e di Deo.

(Purgatorio XVI, 106—108).

latyńskiego, w której geniusz plemienny wszechludzką wzbił się mocą i wszechświatowym zajaśniał blaskiem.

Wielkie imię: Roma nigdzie nie brzmi z większą siłą, jak w spiżowych tercynach pieśni dantejskiej i nigdzie nie odrzynie-
wa mu potężniej ukryte w niem i w szlachetnem sercu poety imię: amor—miłość wszelkich rzeczy górnych i głębokich, wszelkich najwyższych potęg bytu.

...Amor che muove il sole e l'altre stelle—

...Miłość, co porusza słońce i inne gwiazdy—

jak głosi ostatni wiersz „Boskiej Komedyi.“

II.

Jakże brzmi w naszych nowoczesnych sercach to dwoiste miano: Roma—amor? jakże my odczuwamy miłość dla rzymskiej siły — duchowej i materialnej siły, zakłętej w rzymskich pomnikach i rzymskich ruinach?

Jeśli *my* ma oznaczać ogół dzisiejszych turystów, komiwojażerów kultury, ogół światowców kulturalnych i — wyrzeczmy brzydkie, ale prawdziwe słowo Fryderyka Nietzschego—kulturalnych filistrów, to, zaiste, ci niezbyt skłonni do miłowania rzeczy silnych, wielkich, wzniosłych, przekładają w swych sercach rzeczy małe, poziome, duchowo bezsilne, a umieją też przedziwnie zniżyć do swej miłości, przystosować do swych upodobań niekiedy nawet największe rzeczy, najwznioślejsze sprawy.

Dowodem Rzym współczesny.

Hipolit Taine niegdyś w przystępie złego humoru, który nieraz go pono nawiedzał podczas pobytu nad Tybrem, powiedział, że Rzym to ostatecznie nie co innego, tylko jeden wielki magazyn starzyzny. Od bytności Taine'a zmieniło się nie mało w stolicy papieskiej, która tymczasem stała się stolicą zjednoczonej Italii. Nowych rzeczy, nowych ludzi, nowych stosunków przybyło w niej dużo, ale starzyzna pozostała, a nawet wzrosła w liczbie, szczególnie podrabiana, tandetna starzyzna, aż nadto wystarczająca dla zaspokojenia wyszukanych, ale niewybrednych gustów napływającej zewsząd do wiecznego miasta rzeszy turystycznej.

Owóż pytanie: co należy tu rozumieć przez starzyznę?

Oczywiście zowiemy tak wszelkie rzeczy stare, dla których nie mamy ani czci, ani miłości. Jest to więc krańcowe przeciwieństwo czcigodnej starożytności, uniołowanej tęsknotą wspomnień serdecznych dawności. Skoro ta lub tamta takich wyższych uczuć w danem sercu ludzkim niezdolna jest obudzić, starzyzna staje się dla niego, choćby nią nie była dla innych serc ludzkich. Oto rzeczywisty stosunek do pomników i zabytków rzymskich wielu, bardzo wielu wytrzeszczających na nią oczy wszechświatowych gapiów-turystów. Starzyzna, ale starzyzna osobliwa, jedyna w swoim rodzaju, od wieków wzbudzająca podziw i zachwyt ludzki. Zachwycajnyż się i my, „hipogryfując na wykrzykniku,“ jak mówi Słowacki, roniąc łzy rozczulenia na widok ukazującej się zdala kopuły św. Piotra, rozplywając się w marzeniach podczas nocy księżycowej wśród murów Kolizeum.

„Od czasów niepamiętnych—mówi Stendhal—jest zwyczajem ludzi przesadzonych odczuwać wzruszenie w chwili przybycia do Rzymu.“

Znamienity sceptyk z właściwą sobie nieufnością patrzył na różne rozczulenia rzymskie, chociaż sam niekiedy im ulegał. W każdym razie trafnie pochwycił zdarzające się w nich aż nadto często tony nieszczeroci, powierzchownych przyzwyczajęń lub bezwiednego komedyanctwa. W ciągu stu lat od czasów Stendhala tony owe nie zmilkły, lecz owszem wzmogły się liczebnie wraz ze wzmagającym się wciąż napływem rzesz turystycznych do wiecznego miasta. Czoło jej stanowią po dawnemu mniej lub więcej kulturalni światowcy, szukający nad Tybrem, jak wszędzie, nowych podniet i sposobów używania, nowego środowiska towarzyskiej zabawy i towarzyskiej nudy.

Był czas, około połowy zeszłego wieku, kiedy Rzym miał dla tych sfer znaczenie zimowego salonu Europy. W listach Krasieńskiego, w „Niepoprawnych“ Słowackiego znajdujemy między innymi odbicie tych stosunków. Odtąd zmieniły się one dość znacznie. Dziś Europa wielkoświatowa nowo sobie wytworzyła salon na francuskiej Rivierze: w salonach montekarłowskiego kasyna, na nicejskich bulwarach! Szanujący się wykwinąć jedzie dziś do Rzymu z Rivierzy dla dokończenia sezonu, dla urozmaicenia wrażeń: od ruletkowych stołów na obrzędy wielkotygodniowe u św. Piotra — kontrast ten pożądańszy, im skuteczniej zdolny podniecać stępienie od nadmiaru używania nerwy. I wszelkie wogóle wrażenia, wzruszenia i rozczulenia rzymskie znaczne w tym kierunku oddać mogą usługi. A przytem to malownicze, osobliwe, jedyne w swoim rodzaju tło miasta wiecznego, ta wspa-

niała dekoracya wiekopomnych pomników i ruin!—jakże to wszystko pożądane i potrzebne szczęśliwym wybrańcom losu, którzy świat cały uczynili sobie różnobarwnem tłem swych używań i przesytów, różnokształtną dekoracyą swych zabaw, uciech i nudów. Wszechświatowa widownia dziejowej tragedyi ludzkości staje się burżetowskiem „Cosmopolis“¹⁾, widownią pustej tragicomedyi, rozgrywającej się w różnoplemiennem środowisku wielkoświatowych zbytków, intryg i—amorów.

Czy nie istna parodia zamkniętego w nazwie Roma imienia amor? Nie miłość rzeczy silnych i wielkich tą nazwą objętych, lecz miłostki, kręcące się w zaklętym kole małostek i słabostek: oto co jedynie zdołał wydobyć w środowisku rzymskiem z serc kulturalnych światowców uprzywilejowany ich znawca, badacz i malarz.

Co budzi się pod działaniem tegoż środowiska w sercu drugiego z rzędu przedstawiciela napływającej do Rzymu fali turystycznej, w sercu kulturalnego filistra, odkrytego w życiu współczesnem przez autora Zaratustry?

Wraz z rozwojem i ułatwieniem środków komunikacyi, oraz z rozkwitem zamożności mieszczaństwa, szczególnie mieszczaństwa niemieckiego, ten prawowity syn jego coraz częściej i w coraz większej liczbie zjawia się na wszystkich głównych drogach i we wszystkich wielkich centrach turystyki wszechświatowej i zwiedza, ogląda, rozpatruje wszystko, co tylko jest do widzenia w muzeach, galeryach i zbiorach całego świata cywilizowanego.

Jakżeby go miało braknąć w Rzymie, największym zbiorniku zabytków i pomników wszechludzkiej kultury. Jakoż pełno go tam wszędzie, pełno jego ciekawości, podziwu, wykrzykników, czy i miłości jego, miłości dla przedziwnego miasta, w którym dwukrotnie w ciągu dziejów uderzało serce człowieczeństwa?

Tutaj zarysowuje się wielki znak zapytania, można rzec nawet znak przeczenia. Naprzód filister kulturalny z natury swojej, ze swego charakteru filisterskiego nie jest wcale skłonny do miłowania rzeczy tak wielkich i górnych, jak te, co w imieniu Roma zostały zaklęte. A następnie—i to jest wzgląd główny—czyż turysta-zwiedzacz może być rozmiłowanym w celu swej wędrówki pielgrzymem? Sądzę, że dwa te charaktery wyłączają się nawzajem. Turysta może mieć zamiłowanie do swej turystyki, do wra-

¹⁾ Słynny romans Pawła Bourget'a p. t. „Cosmopolis“, osnuty na tle życiowem zgromadzonego w Rzymie kosmopolitycznego towarzystwa.

żeń, jakie mu ona następuje, do miejsc, przedmiotów, zbiorów, jakie przez nią poznaje, ale wyłącznego umiłowania miejsca, miasta, do którego zdąża, które za cel podróży sobie obrał, mieć nigdy nie będzie i nie będzie narażał się na trudy lub niebezpieczeństwa, by cel ten osiągnąć, by dojść do upragnionego kresu. Dajcie mu wygodę, dajcie komfort, bez tego wogóle niezwykle puszczać się w drogę, ani rozczulać się nad spotykanymi po drodze cudami przyrody i sztuki.

Nie myślę tutaj krytykować, ganić kogobądź. Nie krytykuję, lecz stwierdzam i zaznaczam różnicę, zachodzącą między dawniejszym a obecnym zwiedzaczem Rzymu, między dawniejszym pielgrzymem a dzisiejszym turystą. Ten ostatni nieskończenie oczywiście kulturalniejszy od tamtego, nierównie więcej od niego wie o Rzymie, więcej widzi w nim z rzeczy godnych widzenia, więcej poznaje z tego, co jest do poznania; ale czy tamten nie więcej czuł, nie goręcej miłował tych rzeczy silnych i górnych, które od wieków poruszały serca ludzkie w nadtybrowym grodzie, które promieniowały z niego dokoła na świat daleki blaskiem wielkości i chwały? Szedł on, ten pielgrzym pobożny, do świętego miasta pomodlić się u grobu apostoła, pokłonić się jego następcy na stolicy świętej, oczyścić z grzechów duszę, umocnić ją w cnocie i wierze—i w tym swoim nastroju duchowym, przez te wierzenia, któremi go pobudzał i umacniał, wchodził niejako w bezpośrednią łączność z religijną duszą miasta, odczuwał bijące w niem od wieków serce świata chrześcijańskiego. Ten stosunek mniej lub więcej świadomy, czasem zupełnie bezwiedny, zawsze jednak był czemś żywym, realnem, zadzierzgającym poprzez liczne stulecia i rozległe przestwory węzły zbiorowego życia religijnego w świecie chrześcijańskim. Trzeba było i dziś trzeba jeszcze niezliczonych takiego pielgrzymstwa zastępów, choćby mało uświadomionych lub zgoła ciemnych, byle w masie swej jednolitą wolą dobrą przejętych, aby Rzym, jako główne ognisko chrześcijaństwa utrzymał się niezmiennie na stanowisku jedynej stolicy ludzkości—i to nie tylko Rzym papieski, ale i dawny cesarski Rzym w papieżwie wciąż się odradzający.

Jakiż jest stosunek do tego i tamtego nowoczesnych turystów, zawodowych zwiedzaczy, rozgapionych po wszystkich muzeach, galeryach i kościołach rzymskich?

Jak już wspomniałem, wiedzą oni i widzą tysiąc razy więcej od swych poprzedników w wędrówce. Znają dzieje, znają z nich dawnych ludzi, dawne fakty i stosunki, uprzytomniają sobie minione wieki, ich życie i kulturę w pomnikach i zabytkach muzeal-

nych, wyliczonych systematycznie w różnych Bedeckerach i Murayach, objaśnianych umiejętnie przez niezliczonych przewodników i profesorów, zawsze gotowych do usług turystycznej klienteli. Zdawałoby się, że w tych warunkach można dokładnie poznać miasto, przeniknąć je na wskroś w jego życiu dziejowym i znaczeniu cywilizacyjnym. A jednak...

Czy nie prawdziwie mówi Goethe w „Fauście“?

Kto coś żywego chce rozpoznać i opisać,
Naprzód ducha wypędzić słusznie mu się zdaje.
Wszystkie części posiada, mocno w dłoni trzyma,
Niestety, duchowego węzła mu nie staje.

Tym duchowym węzłem, łączącym w jedną żywą całość rozproszone po muzeach i kościołach muzealnych części starej Romy, jest pono to coś, co odbzmiewało żywym, choć może czasem i zupełnie bezwiednym tonom w duszach dawnych pielgrzymów rzymskich, a co zupełnie pono obce jest dzisiejszym rzymskim turystom. Wszystkie części trzymają w swych dłoniach, rozpatrują, rozpoznają starannie—Fehlt, leider, nur das geistige Band.

Żadnemu chemikowi nie udało się dotąd utworzyć z martwych elementów najdrobniejszej choćby okruszyny żywego jeźstestwa; — jakże chcecie, aby z martwych elementów muzealnych mogła powstać w duszach rozmuzeowanych ludzi współczesnych kolosalna całość żyjącego Rzymu, żywej rzymskiej siły, żywego ducha rzymskiego. Daremnieby szukać czegoś podobnego w tych nie na modlitwę, ale na gapia nastrojonych turystycznych duszach. A gdzie niema odczucia życia, tam i miłość nie może być odczuta. Nic tam *amor* nie ma do czynienia, co najwyżej jakieś *amatorstwo* się rozpościera. W danym razie amatorstwo rzymskich osobliwości, nie miłość rzymskiej mocy.

Z takiego punktu widzenia Rzym nie czem innym jest, tylko jednym wielkim muzeum starożytności, albo zgoła jednym wielkim magazynem starzyzny. To, co u Taine'a było wybrykiem humoru czy kaprysu, bywa niewątpliwie stałym, normalnym rysem wielu współczesnych zamiłowań, nie umiłowań rzymskich. Wszakże można mieć zamiłowanie do wielu rzeczy wcale nie wysokiego poziomu, dlaczegoby go nie mieć do rzymskiej starzyzny? Niewinna sobie pasyjka, jak wiele innych, która do niczego nie obowiązuje i nikomu nie zawadza, a najmniej temu, co nią obdarzony, tyle się o nią tylko troszczy, ile znajduje w niej przyjemnej rozrywki i miłej podniety wrażeń.

Jesteśmy tu na stanowisku krańcowo przeciwnym entuzjastycznej czci i miłości dla wiecznego i świętego miasta, uczuć, jakimi przeniknięty musiał być Dante, gdy, rozmyślając o wyrocznem jego posłannictwie, po raz pierwszy w mury jego wstępował, jakie czytał na twarzach niezliczonych pielgrzymów, co w jubileuszowym 1300 r. ze wszystkich stron świata doń podążali.

Nie mówię, że jest to stanowisko wyłączone lub choćby powszechne w dobie obecnej, utrzymuję tylko, że jest ono charakterystyczne dla licznych rzesz turystycznych, nawiedzających Rzym współczesny. A czyż każdy za dni naszych z mieszczańskich, czy arystokratycznych sfer kulturalny gość Rzymu nieodzownie typowym ma być turystą? Mickiewicz powiedział, że można chodzić we fraku i należeć do ludu — podobnie powiem, że można mieć wszelkie zewnętrzne pozory turysty, a jednak nie jako turysta z turystycznym amatorem, lecz jako pielgrzym z pielgrzymim pietyzmem witać święte mury Rzymu, czcić wiekopomne jego zabytki. Wszystko tu zależy nie od stroju i wyglądu, lecz od serca i duszy.

Zobaczmy, jak te w głębszem szczeroludzkiem poruszeniu zdolne są odczuwać działanie siły rzymskiej i umiłować żywą jej prawdę, w znacznej części, niestety, na martwe, muzealne rozbitą elementy.

III.

Są tedy ludzie, dla których Rzym jest li-tylko *użyciem*, jak inne użycia mniej lub więcej przyjemnem, mniej lub więcej żywo odczutom; są jednak i tacy, dla których bywa on też *przeżyciem*, mniej lub więcej głębokiem przeżyciem, podnoszącem i wzbogacającym duszę.

Są to przedewszystkiem ci, co szczerze religijnym ożywieni duchem, z uczuciem wiary, czci i miłości po staremu zdążają do stolicy świętej, *ad limina apostolorum*. Naiwne, proste, często zgoła prostackie dusze, mało rozwinięte, słabo wyrobione, ot, zwyczajni pielgrzymi z niższych klas społecznych, co tłunnie, wielkimi partjami pod przewodnictwem księży przybywają do Rzymu, modlą się u grobu apostoła, obchodzą pobożnie siedem uprzywilejowanych bazylik, zwiedzają inne kościoły, o ile czasu i sił im starczy i powracają do miast, krajów rodzinnych z poczuciem spełnionego obowiązku religijnego, niewiele zdając sobie

sprawy z tych wrażeń, jakich poza jego obrębem doznali lub doznać mogli w odwiecznej stolicy świata.

Rzymskie ich przeżycia różne mogą mieć znaczenie, różny stopień siły, zależnie od indywidualnych usposobień duchowych, trudno jednak przypuścić, aby się zbliżały do tych potężnych wstrząśnień wewnętrznych, jakie przed wiekami w stolicy apostołskiej stawały się udziałem dusz ludzkich, rozkwitłych w atmosferze przemożnie władającej światem wiary. Naówczas w entuzjazmie religijnym skupiały się wszystkie nieomal wyższe siły psychiczne chrześcijańskiej ludzkości — dzisiaj jakże się one rozproszyły na różne dziedziny życia duchowego, jak nieznaczna stosunkowo ilość dusz wyżej rozwiniętych w religii znajduje jedyne lub choćby główne ujście dla swych ponad powszedniość wzniesionych uczuć, pragnień i dążeń. Wobec tego, rzymskie przeżycia dusz, nawet szczerze i głęboko religijnych, o wiele mniej są dziś jednolite, nierównie zawilszy muszą mieć przebieg. Wchodzi tu w grę wspomnienia dziejowe, wrażenia artystyczne, przeróżne refleksje życiowe: tysiączne, jednym słowem, myśli i uczucia, jakie w każdym człowieku kulturalnym nieodzownie wzbudzać musi oddziaływanie takiego, jak Rzym, wszechświatowego ogniska kultury. Niełatwe to zadanie dojść do ładu z całym tym chaosem wrażeń, wzruszeń, idei, zdać sobie sprawę z ogółu swych rzymskich przeżyć. Mówię oczywiście o tych, co Rzym naprawdę przeżywają, a nie używają go tylko, i co go przeżywają w całości jego różnorodnych oddziaływań religijnych, artystycznych, dziejowych, ogólnokulturalnych, nie zaś w jednej tylko stronie, w jednej dziedzinie jego olbrzymich bogactw cywilizacyjnych.

Dodać tu jeszcze trzeba, jako warunek utrudniający w dość znacznym stopniu pełnię przeżycia, zaznaczony powyżej rozkład żywej całości rzymskiej na martwe elementy muzealne. Gdybyż te ustawione w bezduszne szeregi po muzeach dzieła sztuki i zażytki historyczne można widzieć na miejscach pierwotnych ich przeznaczeń, w otoczeniu, dla jakiego były stworzone, w nastroju, jaki miały wzbudzać — gdybyż te czcigodne, starodawne kościoły napełnione były atmosferą wiary, wzbijającą się z tysięcy żywych serc ludzkich, nie zaś stęchlizną tak zda się nikomu na nic niepotrzebnej starzyzny! Jakżeby inaczej można odczuwać wtedy żywe życiotwórcze działanie rzymskiej mocy, o ileżby wyraźniej przemówiła w sercach naszych budząca się pod tem działaniem potęga rzymskiej miłości.

Niestety, węzła duchowego tu nie staje — raz jeszcze pozwolę sobie powtórzyć głębokomyślnie słowa Goethego — węzła, za-

dzierzgniętego przez życie, przez śmierć wciąż rozwiązywanego. Gdzie rzucić okiem na klasycznych wzgórzach nadtybrowych, wszędzie widać koniec jego na cztery wiatry rozwiany. Tyle tu rzeczy martwych lub zamierających, takie na każdym kroku *dissecta membra*, rozrzucone członki pięknie ongi uczłonkowanych i żywych całości kształtów, iż możnaby wnosić o przemożnej dziś w tej bujnej ongi dziedzinie życia gospodarce śmierci. Wniosek byłby mylny i bywa faktycznie mylny u wielu nazbyt pochopnych grabarzy Rzymu. Trzeba mieć tylko oczy ku patrzeniu, aby na starej glebie dopatrzeć się pędów nowego życia, aby ujrzeć Rzym nowy, powstający na ruinach i wśród ruin starego. Nowy świt...

Nie powtórzę tu z naszym „poetą ruin“: „Ale mnie już nic do niego.“ Owszem, bardzo i bardzo mi do niego. Z największym zajęciem gotów jestem wpatrywać się w budzące się jego brzaski i blaski i nieraz jeszcze w następstwie do nich powrócę. Tymczasem jednak zamknijmy na nie oczy, byśmy tem lepiej widzieć mogli zorze dawnych zachodów, gasnącymi promieniami swymi grające na strunach naszych dusz pieśni tylokrotnie ośpiewane, a zawsze jakby świeże, zawsze chętnie słuchane przez tych, co wrażliwi są na wiekowe melodye i harmonie ludzkości.

Co zamiera w życiu, niech odżyje w pieśni, nietylko w brzmiającej pieśni poety, ale też w cichej, bez słów pieśni, co zakwita nieraz najcudniejszymi melodyami w ciszy i milczeniu skupionych w sobie dusz ludzkich. Gdzie, jak gdzie, a w Rzymie, wobec bijących tu na nas zewsząd harmonii wieków, skupienie i milczenie wewnętrzne jest naturalnym, nieodzownym prawie stanem dusz mających się w czym skupiać, o czym przemilczeć. Wtedy odwieczna pieśń życia tych miejsc tysiąckrotnie uświęconych zaczyna pobrzmiwać i wzmaga się, rośnie do wysokości najgórniejszych tonów, najpotężniejszych akordów niemilknącej nigdy wszechmuzyki ludzkiego istnienia.

Prawdziwie jest coś muzycznego w oddziaływaniu Rzymu na natury żywszą w tym względzie obdarzone wrażliwością. Może to zależy od bogactwa różnorodnych oddźwięków, jakie budzą w nas tu niezliczone głosy, dochodzące nas z przestworzy tylu wieków, tylu ludów. Wskutek wielkiego ich natłoku nie zawsze mogą one uświadamiać się nam oddzielnie, łączą się tedy w rozmaite współbrzmienia, mniej lub więcej harmonijne, z czego powstają ogólne, jakby muzyczne stany i nastroje o bardzo różnych tonacjach i barwach dźwiękowych. Realne, z zewnątrz oddziaływające wrażenia muzyczne, jakich w Rzymie nigdy nie braku-

je, przyczyniają się też w swojej mierze do spotęgowania tej wewnętrznej gry idei i uczuć.

Było to w samo święto Wielkiejnocy. Miałem niezwykle tymi czasy szczęście wysłuchania mszy, odprawionej, jak zwykle, bardzo wczesnym rankiem w kaplicy sykstyńskiej przez Piusa X z towarzyszeniem przepięknych chórów, prowadzonych przez znamenitego ich kierownika i odnowiciela ks. Perosiego. Przed godziną 9-ą nabożeństwo było już skończone. Mogłem wyjść na Pincio i napawać się cudnym, słonecznym rozbłyskiem dnia wiosennego. W powietrzu spokój ogromny. Gwarry zwykle i rojny od ludzi ogród o tej godzinie zupełnie pusty i cichy. Mgły poranne unoszą się jeszcze ponad miastem, jak na dłoni widnem z tej wyniosłości — falują pomiędzy wierzchołkami drzew przyległego parku Borghese, gęściejszem pasmem snują się ponad krętem łożyskiem Tybru i fantastycznymi festonami obwieszają stoki widniejącej zdala monte Mario. Ale już słońce wybija się ponad mgły, prześwieca je swymi promieniami, złoci wyłaniające się tu i owdzie z mglistego morza kopuły kościołów. Powstaje przedcudna gra światła i cieniów, istna symfonia słoneczna, rozwijająca się we współbrzmieniu z heroiczną symfonią świętych murów rzymskich.

Nagle z zamglonego jeszcze w części przestworza dochodzi mię nieskończone poważny, uroczysty i pełny dźwięk. To dzwony św. Piotra, głoszący z przedziwną mocą chwałę Zmartwychwstania Pańskiego. Wnet odzywają się dzwony innych kościołów, coraz liczniejsze, w coraz bogatszych harmoniach; cała orkiestra dzwonów brzmi, gra ponad miastem potężnymi akordami. A z głębi tej dzwonnej harmonii, jako jej ton zasadniczy, podstawa, motyw przewodni, wciąż dochodzi mię równy, miarowy, nieskończenie pełny, poważny, uroczysty dźwięk, brzącający w kopule bazyliki piotrowej. Tymczasem słońce zwyciężyło ostatecznie mgły, rozbłysło pełnym blaskiem, zalało nim cały dookoła przestwór. Wystąpiły na jaw świątynie, gmachy, pałace—zabielały zdala marmurowe wille na szczycie monte Mario, zamajaczył wśród błękitów na janikolskiem wzgórzu majestatyczny konny posąg Garibaldiego. A dzwony grały wciąż swą tryumfalną pieśń Zmartwychwstania; a kopuła piotrowa podawała wciąż ton zasadniczy tej rozśpiewanej w słońcu i błękitach modlitewnej symfonii wieków. A w duszy mej w ideowym współbrzmieniu z tą przedziwną harmonią światła i dźwięków odżył na nowo obraz papieskiego nabożeństwa w Sykstyńce. Wszakże to także zasadniczy, nieskończenie głęboki, pełny, uroczysty ton rozbrzmiewającej na świat

cały symfonii czei bożej — ów biały starzec, następca piotrowy, w ciszy i skupieniu dusz, z arcykapłańskim namaszczeniem odprawiający święte obrzędy przy dźwiękach tych cudnych, jakby z głębi wieków płynących śpiewów religijnych, wśród tych murów czcigodnych, zdobnych bezcennymi tworamii religijnej sztuki, pod słynnym plafonem Michała Anioła, z którego cały bezmiar jego geniuszu przemawia kształtami i barwami istnej epopei religijnej człowieczeństwa.

Oto jeden fragment czy jedna strofa owej odwiecznej pieśni Rzymu, rozśpiewanej tysiącnymi głosami natury, sztuki, wiary, historyi i odbrzmiewających im głębin dusz naszych. Dźwięki dzwonów rzymskich należą niewątpliwie do najsilniej działających zewnętrznych jej motywów. Przychodzi mi na pamięć dwukrotne jeszcze wrażenie nader suggestyjnego ich oddziaływania.

W jaskrawo rozświetlone południe znalazłem się wśród olbrzymich zwalisk termów Karakali. Jedna z najogromniejszych ruin w świecie—ruina kolosalnego zbytku panów świata, bezniernego kultu ciała i materyalnego użycia wszechświatowych rozkoszników. Dziś jeszcze wskazują i nazywają poszczególne części gmachu: caldarium, brigidarium, sale do gimnastyki, gier, wykładów publicznych, ogrody, portyki, galerye. Ale całość—bezkształtny ogrom. Trawa porasta tam, gdzie rozpościerały się przepyszne posadzki mozaikowe; ¹⁾ tu i owdzie ułamki marmurowych kolumn i posągów, gdzieniegdzie dziury lub zagłębienia w ziemi, jedyne ślady kunsztownych, drogocennymi marmurami wykładanych wanien i basenów kąpielowych. Wyniosłe, potężne, fantastycznie poszczerbione złomy murów ogromne rzucają cienie, odrzynające się wyraźnie swą gęstą, posepną czarnością w żywych blaskach południowego słońca. Jakaś ponura, obca, niesamowita groza w tym zamęcie ruin, światła i mroków. Nagle zabrzmiały dzwony w południowej godzinie — cały chór dzwonów, naprzód w kilku pobliskich, następnie w coraz dalszych kościołach — zabrzmiały dziwnie miłą, swojską harmonią, przywodzącą na pamięć tyle myśli, tyle uczuć różnymi czasy przedumanych, przeżytych. Harmonia wiekuistej chwały bożej ponad ruinami pychy człowieka—oto myśl, jaką mi nasuwa ten w blaskach południa rozdźwięczony akord dwóch tak różnych motywów odwiecznej pieśni Rzymu.

¹⁾ W znacznej części przeniesione do muzeum willi Borghese, dziś rządowego pod nazwą Umberto I. Resztki tych mozaik widzieć można na miejscu wśród ruin.

Jeszcze silniej uderzyło mnie podobne wrażenie w innej okolicy, pobudzone również przez dzwony rzymskie.

Przeszedłem wzdłuż Forum Romanum od Kapitolu i łuku Septyma Severa do wznoszącego się na przeciwległym krańcu łuku Tytusa. Stałem pod wyniosłym jego sklepieniem. Jest to punkt nieco wzniesiony, z którego dobrze ogarnąć można okiem całe Forum, a poza którym nieopodal wznosi się ogrom Kolizeum. Droga święta wkracza tędy na Forum, tryumfatorzy w uroczystych pochodach przeciągali tędy przed oczami rozentuzyzmowanych tłumów. Wspomnienia, myśli, obrazy tłoczą się, piętrzą jedno nad drugim. Wieczór się już zbliżał. Słońce ogromne, czerwone zachodziło poza Palatynem, rozrzucając ostatnie swe promienie wśród mnóstwa otaczających mnie zewsząd pomników i ruin. Z jednej strony krwawiło się jaskrawą czerwienią Kolizeum, z drugiej czerwieniały potężne łuki i filary bazyliki Konstantyna. Przedemną w dali rysowała się wyraziście na tle błękitów smukła, wyniosła wieża pałacu senatu na Kapitolu, po lewej stronie widniały na tle zorzy zachodniej zlewające się jedno z drugim w bezkształtną masę ruiny pałaców cesarskich na palatyńskim wzgórzu. W dole, na Forum, cień zmierzchu wciąż się posuwał w kierunku tryumfatorskich pochodów od łuku Tytusa do Kapitolu, chłonąc stopniowo zwałiska i ślady świątyń, przed którymi przeciągali ongi uwieńczeni laurem, witani okrzykami ludu zwycięzcy, wiodąc za sobą w pętach zwyciężonych wodzów, królów, bohaterów.

Zmierzch bogów, przyszło mi na myśl—bogów wiary rzymskiej i bogów rzymskiej sławy. Po jednych i drugich nic nie pozostało w świecie zjawisk krom tego chaosu gruzów i kamieni. Sic transit gloria mundi!

W tem zadzwoniono na Anioł Pański. Potężnie zabrzmiał chór dzwonów. Forum otoczone jest wieńcem kościołów, a nieopodal znajdują się też wielkie, starożytne kościoły św. Jana Laterańskiego, św. Klemensa, św. Maryi większej krom wielu innych. Nie dziw, że szeroko, donośnie rozległa się bijąca naokół z ich wieżyc i kopuł harmonia powietrzna. Dźwięki jej po szeregu potężnych akordów zdawały się już milknąć, gdy nagle znowu się wzmagaly dochodzącymi zblizka lub zdala nowymi odgłosami. Na dole mrok coraz gęstniał jakby zalegającym coraz bardziej dziedzinę dawnej chwały zmierzchem bogów, w górze pociemniałe już błękity zdawały się rozświećlać na nowo jasną harmonią dzwonów wiekuistej chwały bożej. W tych odgłosach po-

zdrowienia anielskiego brzmiały jakby chóry anielskiego pastezom zwiastowania: „Gloria in excelsis Deo!

Nie wiem, czy jest na świecie miasto, któreby rozbrzmiewało tak cudnemi, jak Rzym, harmoniami dzwonów.¹⁾ Zależy to nie tylko od wielkiej ilości kościołów, ale też od otaczających je dość znacznych zazwyczaj przestrzeni, wolnych od hałasu miejskiego. Rzym, choć od lat czterdziestu bardzo szybko rozwija się i rośnie, nie staje się jednak, jak inne wielkie miasta współczesne, jedną masą bruków i kamienic, jakby zamkniętym w sobie światem miejskim, oddzielonym zupełnie od swobodnej przyrody, nie z nią nie mającym wspólnego okrom wymuszonych jej naśladownictw w ogrodach i skwerach. Jest to jednym z nienajmniejszych uroków miasta wiecznego, iż przyroda w niem jakby bliżej zesostunkowana z ludźmi, otacza ich bezpośrednio, wnika swobodnie do miejskiego ich bytu. Różne się na to składają okoliczności. Naprzód istnienie w pośród terytorium miejskiego znacznych obszarów ruin starożytnych, które nie mogą być zabudowane, owszem, nowszymi czasy oczyszczane są i rozszerzane; następnie rozmieszczenie miasta na wzgórzach, sprawiają, że z wielu jego punktów wzrok sięga swobodnie poza obręb murów i widzi pola, lasy, góry; wreszcie właściwe Włochom poczucie dobrego smaku, dzięki któremu żadne z ich miast nie jest bezładną kupą domów, żadne nie jest pozbawione ustosunkowań artystycznych do otoczenia przyrodzonego.

Z tych, czy z innych względów, dość, że Rzym, rzecz można, to nie tylko miasto, lecz i otaczająca je natura. Posiada ona tu tak odrębny charakter, taką wyrazistą fizyognomię, że kto jej należycie nie odczuwa, ten nie odczuje, nie zrozumie i miasta, co wśród niej przed wiekami wzrosło i przez wieki kwitło. W pieśni Rzymu głos natury rzymskiej stanowi nieodzowny czynnik zbiorowej harmonii.

IV.

Jak samo miasto, i otaczająca je przyroda odznacza się jakimś szczególnem, wyjątkowem, bezprzykładnem istic bogactwem kształtów, zjawisk, wspomnień. Czegoż bo w niej niema!

¹⁾ Istne pod tym względem przeciwieństwo naszej Warszawy, w której wśród nieustannej wrzawy ulicznej dźwięk dzwonu wyjątkowo chyba dojdzie uszu ludzkich.

Stańmy oto na jednym z wielu wyniosłych punktów Rzymu (np. na słynnym tarasie przy kościele san Pietro in Montorio) i ogarnijmy okiem roztaczający się dookoła widok. Czegoż tam nie widać: góry, skały, wzgórze, śnieżne, podniebne szczyty, łagodne, półnagie stoki, wesołe, miastami usiane doliny; w innej stronie pola, łąki, lasy, rzeki, rzeczki, strumienie, dostrzegalne lub domyślne na skraju widnokregu, morze z podnoszącymi się zeń wciąż przejrzystymi zasłonami mgły i oparów; wreszcie największa, jedyna w swoim rodzaju osobliwość: tuż u bram wielkiego miasta poczynający się i szeroko rozpostarty pusty, głuchy, bezludny step Kampanii rzymskiej, ale step szczególny: cały usiany pomnikami, ruinami, wspomnieniami, w którym każda stopa ziemi deptana była stopami historyi, kurz, podnoszący się z pod nóg naszych, zawiera w sobie prochy narodów. Przyroda rzymska łączy w sobie najrozmaitsze żywioły, najsprzeczniesze cechy, krańcowo przeciwstawne piękności, czary, uroki i nieprzejrzane okiem równiny i wyniosłe ściany górskie, groza urwisk skalnych i łagodne falowanie zielonych wzgórz i dolin, tu cisza bezwodnej pustyni, a tam, opodal, ogłuszający huk strumieni i wodospadów górskich.

A owe niewysłowione czary oświetleń słonecznych!

„Podziwialiście zapewne—mówi Chateaubriand—w krajobrazach Klaudyusza Lorrain'a to światło tak idealne, zda się piękniejsze od natury—owóż, jest to światło Rzymu.“

A w tych oświetleniach, jakie też cuda krańcowo przeciwstawnych piękności!

Czasem, gdy powieje od gór wiatr suchy, rzeźwiący — Tramontana, *sorella del soli*, jak się wyrażają poetycznie Rzymianie, słońce jaskrawo rozbłyśnie, niebo oczyści się, nieprawdopodobnie niemal rozbłękitni i kryształowo-przejrzystą kopułą szafiru nakryje ziemię. Jakież to wtedy świetliste powodzie zalewają przestwór, żywy ogień, zda się, płonie dokoła, wszystko w nim jaśnieje, błyszczy, mieni się, każdy przedmiot z niebysową w naszych północnych strefach wyrazistością rysuje się przed oczyma—*„pomarańcz blask zielone złoci drzewa.“*

Innym razem przyleci od morza ciepły, wilgotny Siroco, nie sie deszcze, ulewy albo mgły tumany rozwłóczy po przestworzu rzymskiej Kampanii. Słońce dzierzga je swymi promieniami, wywołując najcudniejszą grę światła, barw, cieniów, czasem przypominającą słoneczne igraszki naszego nieba, czasem zupełnie inną, nigdy u nas niewidzianą, południowym krajom tylko właściwą.

Istne cuda zachodu i zórz zachodnich zdarzyło mi się wtedy oglądać!

Pędziłem pociągiem kolei żelaznej koło owych monumentalnych wodociągów, co niezliczonymi arkadami od wieków zdają się wędrować i wędrować po przez Kampanię. Krwawa czerwień zachodu przeświecała po przez migające przed oczami arkady i zdało mi się, że widzę jakiś bezmierny, potwornych rozmiarów gmach, błyskający jaskrawo oświetlonemi oknami.

Ileż razy zdarzyło mi się widzieć ze wzgórza Pincio słońce zachodzące poza kopułą św. Piotra wśród przejrzystych obłoków i oparów wieczornych. Zazłociły się w promieniach słonecznych rozciągnięte na zachodnim widnokręgu białe, długie, smużyste obłoki. Złoto zalało cały widnokrąg i na tem tle zarysowała się najpiękniejsza w świecie kopuła, tworząc niby jakiś olbrzymi w bezmiar rzucony obraz symboliczny niewysłowionego majestatu.

Odmienne, a niemniej wspaniałe cuda zachodu widywałem z placu rozciągającego się przed kościołem św. Jana Laterańskiego (zwanego placem bramy św. Jana) i z przyległego mu pięknego tarasu. Cudny stąd widok na Kampanię i na góry Sabińskie. Słońce zachodzi na wprost gór, na przeciwległym krańcu szeroko rozciągniętej równiny, prześwietla wieczorem tunany, zawsze prawie o tej porze unoszące się ponad wilgotnymi przestworami Kampanii, rzuca na zbocza i szczyty górskie swe promienie, a te odbijając się od nich, tworzą na wschodnim ponad górami skłonie niebios takie nadzwyczajne dziwy opalizacyi, takie falowania światła, przelewania się barw, jakich ani piórem opisać, ani pędzlem odmalować, ani wyobraźnią nawet nikt sobie uprzytomnić nie zdoła.

Daję tu tylko małe próbki i urywki wrażeń przyrody rzymskiej, mówię tylko o tych, których doznać można w samem mieście lub tuż u bram jego; gdyby opisywać to, co się widzi, czego się doznaje, co się odczuwa w pobliskich, choćby parogodzinnych wycieczkach w okolice Rzymu, nieprzebrany materiał wrażeńowy cisnąłby się pod pióro. Frascati, Tivoli, Subjaco, Palestrina, villa Adriana, Tre fontane, Albano, Ostia — ile imion, tyle cudów natury, tyle wielkich wspomnień, wielkich pamiątek dziejowych, kulturalnych, religijnych. Nie wiedzieć co tu więcej podziwiać, twory przyrody, czy dzieła człowieka. Studya całe trzeba by pisać, aby wyliczyć, zbadać skarby tych i tamtych, poematy całe, aby wyrazić wrażenia, uczucia, jakie one wzbudzają. Nie wdając się w szczegóły, rzućmy jeszcze kilka myśli, kilka uwag o charakterze ogólnym tej rzymskiej przyrody i o jej sto-

sunku do życia ludzkiego, co z niej wykwitło i pod wpływem jej się rozwinęło.

Niewielka nad brzegami Tybru między morzem Śródziemnym a górami Sabińskimi i Albańskimi równina, wśród której Rzym się znajduje, owa pusta dziś i głucha Kampania rzymska, to siedziba największej w świecie potęgi i sławy, starożytne Latium, gniazdo rodowe przesławnego plemienia łatyńskiego, najbardziej historycznego z plemion ludzkich, najwyraźniejszymi w dziejach ludzkości zaznaczonego śladami. Stąd ono wyszło na podobój Italii, Europy, Azji, Afryki, świata całego, tutaj wyrobiło sobie te niezrównane przymioty rzymskiej siły, rzymskiej cnoty, rzymskiego heroizmu, co dały mu panowanie nad sobą i nad światem — tutaj wreszcie po wiekach chwały i wielkości popadło w ten stan rozstroju i zwyrodnienia, jakiemu równego nie znaleźć też pono w historyi.

Przyroda, na której łonie rozwinęły się takie olbrzymie siły życia, z której wyszła natura ludzka tak olbrzymio spotęgowana w dobrem i złem, w cnotach i zbrodniach, w objawach zdrowia i choroby—ta przyroda, ojczysta dziedzina bezmiernej rzymskiej mocy, musiała też zawierać w sobie jakieś wyjątkowo potężne żywioły, ujawniające się w jej rozwoju. Jakoż istotnie, podobnie jak życie ludzkie, co z niej wykwitło, miała ona swą historję burzliwą, tragiczną, w której zmagały się olbrzymie moce, walczyły twórcze i niszczące siły ziemi. Odczytują dziś przyrodnicy owe dawne przeddziejowe dzieje w licznych i różnorodnych śladach, jakie po nich pozostały na łatyńskiej równinie. Pewną jest rzeczą, że w dość późnej stosunkowo epoce geologicznej była ona dnem morza i wyłoniła się z fal morskich, dzięki kolosalnym wstrząśnieniom i przewrotom wulkanicznym, których skutki liczne i dziś jeszcze dają się wykazać, w części nawet bardzo są widoczne w kraterach wygasłych wulkanów, napotykanych w górach Albańskich, a także w formie wielu dolin i jezior (np. pięknych jezior Albano, Nemi, Bracciano, doliny Ariccia i t. d.), najoczywściej też utworzonych przez dawne kratery wulkaniczne.

W dobie pierwotnych dziejów rzymskich, a może nawet w poprzedzających ją czasach przedhistorycznych rolnictwo kwitło na równinach Latium. Znane są podania o owych starorzyskich rolnikach, wodzach i bohaterach, jak słynny Cincinnatus, co powołany przez lud wprost od pług na dyktatora, objął władzę najwyższą nad wojskiem i nad krajem, w przeciągu szesnastu dni zwyciężył groźnych wrogów i, pomimo zdobytych łupów bogatych, powrócił do przerwanej pracy rolnej. Tacy to pełni pro-

stoty rolnicy-wojacy byli istotnymi twórcami siły rzymskiej, ugruntowanej na moralnej podwalinie obywatelskich cnót mężów i domowych cnót niewiast, na wojnie czy w pokoju zbrojnej surowem poczuciem obowiązku i rozporządzającej nieprzebranemi zasobami pracy, dzielności i poświęcenia dla sprawy publicznej. Kwitło naówczas Latium wytrwałą pracą swych rolników, pokryło się mnóstwem bogatych posiadłości, will i ogrodów, zaroilo się liczną i zamożną ludnością.

Skoro jednak następnie zdobywcy i zaborczy Rzym daleko wyszedł poza obręb pierwotnej prostoty i pierwotnej cnoty, skoro siła rzymska nie z wewnątrz lecz z zewnątrz roić poczęła cudzemi bogactwami i cudzą ujarzmioną potęgą, poszło w zaniechanie ojczyście Latium, ustała na niem praca dzielnych rolników; właściciele rozległych obszarów ziemi (latifundi'ów) jęli je zamieniać na pastwiska, na których hodowali liczne stada bydła i owiec, lepsze im przynoszące dochody, aniżeli uprawa roli, niechętną, niewolniczą, bez udziału właściciela prowadzona ręką.

Skutki tej gospodarki po dziś dzień oglądamy.

Nizka, nadmorska, u stóp gór rozciągnięta równina, zalewana wciąż wodami, z wyżyn na nią spływającemi, gdy zbrakło pracowitej ludności rolniczej, co je wytrzymałym trudem swym usuwała, przesycona została wilgocią, gromadzącą się w licznych zagłębieniach, pozbawionych odpływu. Obok wielu jezior, potworzyły się błota, trzęsawiska, pełne gnijących roślin, ziejące dokoła chorobą, zarazą, śmiercią. Ludność jęła uciekać z tych miejsc zapowietrzonych i w końcu istna pustynia rozpostarła się na miejscu dawnych zbożami falujących, licznemi siedzibami ludzkimi pokrytych obszarów.

Szukano nieraz rady i środków na ten smutny stan rzeczy. Podejmowali nieraz papieże, podejmował nowy rząd włoski pracę osuszenia rzymskiej Kampanii—dotąd bezskutecznie. Nawet dzisiejsza udoskonalona technika inżynierska nic nie może poradzić na te skutki wiekowego zaniechania. Kraj na tem niewątpliwie traci dużo, ale urok Rzymu bodaj zyskuje. Kampania rzymska, jaka jest obecnie, pusta, głucha, zasiana ruinami, często mgłami, tumanami zasnutą, w blasku swych cudownych oświeleń, swych przedziwnych barwnych odcieni, pełna jest rzeczywiście jakiegoś osobliwego czaru. Poeta romantycznych tęsknot i melancholii, Chateaubriand, pierwszy odkrył i opisał specyficzne jej piękności. Odtąd mnóstwo ma ona miłośników, nie mogących się nacieszyć wiejącym od niej smutkiem. Jest w tych zachwytach (podobnie jak u pierwszego literackiego ich inicjatora) dużo sentymentalnej

pozy, a nawet czułościowego komedyanctwa, ale jest w nich też jakiś refleks prawdziwej myśli, szczerego odczucia.

Ktokolwiek się znajdzie na tem dziwnem rzymskiem pustkowiu, choćby nie miał wspólnego z chateaubriandowskim, romantyczno-sentymentalnym nastrojem, byleby był obdarzony odpowiednią miarą wrażliwości, nie zdoła się opędzić ciszącym mu się do głowy myślom, budzącym się w sercu uczuciom. Ostatecznie Kampania rzymska, to jakby jedna niezmiernie rozległa ruina, jedna wielka pamiątka po dalekiej, dalekiej, a tak bogatej w treść przeszłości. Gdyby ona była zagospodarowana i zamieszkała od czasów rzymskich, znikłyby zapewne na niej wszelkie zabytki przedwiekowej przeszłości, może nawet wszelkie ich ślady, a przynajmniej usuniętaby została znaczna ich ilość, odpowiednio do wymagań i potrzeb gospodarskich różnych epok. Wobec nieistnienia podobnych względów, stare zabytki, o ile oparły się niszczącej potędze czasu, stały sobie spokojnie, stopniowo tylko zapadając w ruiny. Kraj zachował swą odwieczną fizyognomię i zapewne dziś widzimy go w stanie niewiele różnym od tego, w jakim się znajdował za czasów wielkiej wędrówki narodów. Tuż za bramami Rzymu widzieć można okrągłe ze stożkowymi dachami szałas pasterskie, które za swoje rodzone mogliby uznać towarzysze Romulusa. A ludzie, co je zamieszkują?—bardzo też chyba podobni do pierwotnych, przedhistorycznych osiedleńców tego kraju:—przez pół dzicy pasterze, czarni, zarosnięci, odziani jakimiś bezkształtnymi łachmanami, obuci w chodaki jaknajprostszej, najpierwotniejszej formy. A życie ich wewnętrzne odpowiada pono zewnętrznemu wyglądowi. Z ubolewaniem mówił mi świątły dominikanin, O. Beothier, o ich okropnem zapuszczeniu duchowem, o zupełnym u nich braku elementarnych choćby wiadomości chrześcijańskich, jak to dowodnie miał sposobność stwierdzić, gdy usiłował oświecić ich w rzeczach wiary i podnieść moralnie. Nie jest tu bez winy zapewne i duchowieństwo miejscowe, ale działalność jego utrudniona ogromnie przez sposób życia tych ludzi pierwotnych, koczujących wciąż ze swemi stadami. Skoro na wiosnę słońce zagrzeje, opuszczają równiny, na których powietrze staje się zabójcze, i przenoszą się w góry. Kampania jeszcze bardziej wtedy pustoszeje. Pozostają na niej gdziegdzie tylko biedni, wynędzniali, trapieni przez chroniczną malaryę chlopi miejscowi, uprawiający zaledwie $\frac{1}{10}$ tych rozległych przestrzeni.

W tym stanie opustoszenia i zastoju Kampania rzymska jest jakby żywą pamiątką zwyrodnienia i upadku starej Romy, jakby

ciągnącym się niezmiennie, po przez wieki zdziczałym i zapuszczonym pasem granicznym między światem starożytnym i nowożytnym. Główną linią tego pasa, tej strefy pamiątek i wspomnień jest słynna Via Appia, droga Appijska, zbudowana na 312 lat przed Chrystusem, a nazwana od swego fundatora, cenzora Appiusa Claudiusa. Nigdzie pono natura rzymska nie łączy się ściślej ze wspomnieniami Rzymu pogańskiego i chrześcijańskiego, nie daje się ogarnąć lepiej jednym rzutem oka w większem bogactwie różnorodnych swych czarów i uroków. Dostajemy się na tę znamienitą „królowę dróg,” jak ją słusznie nazwano, ulicą św. Sebastjana, wiodącą od Kolizeum między wzgórzami Palatynem i Celiumem, obok Aventynu, Termów Karakali, kilku odwiecznych kościołów, wielu grobowców i pomników starorzymskich. Tuż za bramą św. Sebastjana, skąd droga Appijska się poczyna, mały kościółek, zwany Quo Vadis Domine, złączony ze znaną legendą o zjawieniu się postaci Chrystusa uchodzącemu z Rzymu przed męczeństwem św. Piotrowi; dalej słynne katakumby św. Kaliksta. A dalej ruiny i ruiny grobowców, pomników, na przestrzeni wielu kilometrów ciągnące się nieprzerwanemi prawie pasmami po obu stronach drogi. Króluje między nimi wspaniały, doskonale zachowany grobowiec Cecylii Metelli z dodanymi doń (jak się to zdarza przy wielu pomnikach starożytnych) murami forttecznymi feodalnych panów. A opodal drogi, na prawo i na lewo, przed sobą i za sobą widziny wciąż zwaliska wodociągów, pomników starorzymskich, kościołów, zamków, fortyfikacyj średniowiecznych. Wieki wciąż tu przytomne naszym oczom, wiekami rozdzieleni ludzie, narody, plemiona, nieprzerwanym szeregiem zdają się wędrować po tej dwutysiącioletniej przeszło drodze. Legiony Rzeszypospolitej idą na podbój Italii, Grecyi, Azji, legiony cesarstwa wracają z podboju świata, pędzą złociste rydwany imperatorów, powolnym krokiem stąpa sędziwy książę apostołów i otrzymuje napomnienie niebiańskiego zjawiska, pierwsi wyznawcy Chrystusa małemi gromadkami skrycie podążają do pobliskich podziemi na święte obrędy — ciągną hordy barbarzyńców, z dalekiej przybyłe północy, w żelazo zakute zastępy na rycerskie śpieszą boje.

Czyjeż stopy nie deptały odwiecznych kamieni i dziś jeszcze wystających gdzieniegdzie z pod gruzów stuleci! ¹⁾ — czyjeż oczy nie patrzyły na roztaczający się dokoła widnokrąg! Natura rzym-

¹⁾ Droga Appijska, przez długi czas zupełnie zasypana gruzami, dopiero w latach 1850 — 1853 częściowo została oczyszczona.

ska rozpacza tu przed wzrokiem wędrowca całe bogactwo, całą nieskończoną rozmaitość swych kształtów i zjawisk. Naokół falująca w ciągłych zagięciach i zagłębieniach gruntu równina Kampanii; dalej zielone stoki gór albańskich i sabińskich, a na nich malowniczo rozłożone, pełne czarów niewysłowionych Tivoli, Frascati, Castel Gondolfo, Rocca di papa i tyle innych miejsc głośnych z piękności; w głębi majestatyczne śnieżne szczyty Abruzów, a z przeciwległej strony, już poza linią widnokregu, białawym tumanem znaczące się na nim tylko morze.

Niewysłowione są zaiste uroki przyrody rzymskiej, same przez się zdolne zająć i porwać duszę ludzką, nie mogą jednak całkiem jej pochłonać wobec przemożnych na nią oddziaływań pomników życia, co tu przez tysiącolecia zakwitło i wciąż jeszcze na nowo zakwita. Tutaj przyroda jest, że tak powiem, przepojona życiem, nad wszystkimi jej zjawami unoszą się obrazy niezmiernie wytężonych jego prądów dziejowych, każdy nieomal jej kształt i twór złączony jest z jakimś dziełem lub czynem człowieka, opromieniony jest aureolą sławy, tragicznym blaskiem wielkich poświęceń, krwawą łuną wielkich zbrodni. A życie samo w sobie, w swej przyrodzonej pełni i mocy zawsze ponad wszystko i przedewszystkiem pociągać będzie umysły ludzkie, poruszać ludzkie serca choćby nawet dalekimi swymi śladami. Nie dziw, że tak potężna jest wymowa wiecznotrwałych śladów rzymskiej mocy we wznoszących się nad Tybrem ruinach i pomnikach.

V.

Ruiny i pomniki—świadczenia przeszłości niejednakiego znaczenia. Pierwsze mówią nam o tem, co w niej było, przemknęło i nie powstanie na nowo, drugie, o ile trwają i zachowują się nie samą tylko zewnętrzną siłą inercyi, głoszą to, co z przeszłości przez teraźniejszość w przyszłość wiecznie dąży.

Rzym starożytny jest i pozostanie na zawsze wielką, majestatyczną ruiną. Nie brakło, jak wiadomo, powtarzających się różnymi czasy usiłowań wskrzeszenia znamienitych jego instytucyj. Nic trwałego stąd nie powstało. Jakaś sztuczność, wymuszoność była zawsze w tych wskrzesicielskich zapędach. Znikome tylko powstawały z nich twory, beztreściwe formy i formuły, czy to za czasów trybuna średniowiecznego, Coli Rienzi, czy nowoczesnych efemeryd republikańskich, czy wreszcie obecnego

królestwa włoskiego, usiłującego różnymi sposobami nawiązać nie starorzymskich tradycyj. ¹⁾

A jednak owe zwaliska starej Romy i w obecnej dobie wciąż jeszcze odgrzebywane, choć należą do zapadłej w sobie przeszłości, są czemś więcej, aniżeli archeologicznym zabytkiem, lub turystyczną ciekawostką. Inne mają dla nas znaczenie, aniżeli np. zwaliska Balbeku lub tak stosunkowo nam blizkie malownicze szczątki średniowiecznych zamków rycerskich. Ruiny rzymskie nie tylko ogromem swym uderzają naszą wyobraźnię, nie tylko zachwycają nas niezmiernie urozmaiconą malowniczością przewspaniałych i przebogatych swych kształtów. Aby sobie uprzytomnić wyjątkowe ich znaczenie pomiędzy innymi ruinami wszechświatowej sławy, dość z jakiegokolwiek wynioślejszego wśród nich punktu widzenia, np. ze wzgórza Pałatynu, ogarnąć okiem rozciągający się dokoła przestwór miasta.

Stoimy oto na gruzach potęgi, chwały i rozszalałego zbytku cesarów. Nieopodal na zachodnim skłonie wzgórza dostrzedz można szczątek odwiecznego pierwotnej budowy z wielkich bloków kamiennych muru Serwiusza Tullusa, ślad, jaki pozostawiła po sobie najdawniejsza *Roma quadrata*. U stóp wzgórza Forum Romanum z najszacowniejszemi pamiątkami Republiki i początków cesarstwa. Tuż obok Kapitol z wysmukłą wieżą pałacu senatu. Nieco dalej ciężka masywna „wieża milicji“ („torre delle milizie“, niesłusznie przez pospólstwo rzymskie wieżą Nerona zwana), potężny zbytek Rzymu średniowiecznego. Dokoła w bliższej i dalszej odległości niezliczone kopuły i wieżycy kościelne, między którymi króluje przewspaniała kopuła św. Piotra. Wreszcie tuż przy kapitolu dzielący z nią panowanie nad miastem olbrzymi, najmłodszy ze wszystkich rzymskich pomników, nieskończony dotąd pomnik zjednoczenia Włoch.

Pomyślmy ile wieków, ile epok, ile pokoleń ludzkich, ile momentów wszechświatowego rozwoju ogarniamy tym jedynym rzutem oka. Wspomnijmy na ścisły związek tych ruin i tych pomników, które na nich i wśród nich wznoszą się w nieprzer-

¹⁾ Charakterystyczny pod tym względem do dziś dnia od epoki Republiki rzymskiej po przez cesarstwo, średnie i nowe wieki przechował się zwyczaj umieszczania na urzędowych publikacjach miasta Rzymu słynnych liter: S. P. Q. R. (Senatus Populusque Romanus) oznaczających coś, czego od upadku Republiki nigdy już nie było, niema i nigdy zapewne nie będzie i co nie ma żadnego związku ze stosunkami późniejszymi ani dzisiejszymi.

wanem pasmie wieków od z początku dziejów aż do chwili obecnej. Jesteśmy tu w miejscu jedynym na ziemi—jedynym pod względem skupionego tu ogromu wszechświatowej doniosłości zdarzeń dziejowych. Wieki wiekom, plemiona plemionom podawały tu złote wiadra życia w bezmiernym kołowrocie czasu. Ani na chwilę życie tu nie zamarło: wciąż wrzało i burzyło się żywiołową wybujałością swych sił, wciąż przelewało się nadniarem swej pełni.

Wszystkie uczucia i namiętności ludzkie, wszystkie cnoty i zbrodnie spotykały się tu i skupiały w długim szeregu wieków. Nigdzie na świecie nie znaleźć wyższych wzlotów i głębszych upadków natury ludzkiej, nigdzie nie ujawniła się ona w takim rozległym zakresie różnorodnych swych wad i przyniotów, swych heroizmów i swego upodlenia. W bogactwie skupionego tu życia czyż nie jest to Roma — siła, najpotężniejsza siła w znanych nam dziejach świata, a w szczytowych swych na widowni dziejowej wzniesieniach czyż siła owa nie objawia nam się zarazem jako Roma—amor, miłość rzeczy najwznioślejszych, do jakich serca ludzkie wznieść się zdołały?

Zaznaczone na wstępie niniejszej pracy ze średniowiecznej idei świętego cesarstwa Rzymskiego przez Dantego wysnute opatrnościowe posłannictwo Rzymu okazuje się usprawiedliwionem i z nowoczesnego stanowiska. Można nie wierzyć w nieprzerwany ciąg tego posłannictwa od Rzymu pogańskiego do chrześcijańskiego i w przygotowanie dróg chrześcijaństwu na obszarach zjednoczonego pod panowaniem rzymskim świata starożytnego; można nawet powątpiewać o wszechświatowem apostołstwie rzymsko-katolickiego kościoła, ale czyż podobna nie uznać historycznie stwierdzonej wszechświatowej ciągłości życiowego ogniska rzymskiego?

Z pośród wielu możliwych weźmy tu jeden bardzo wymowny tej ciągłości przykład i dowód w architekturze monumentalnych kościołów rzymskich.

Z bardzo nielicznymi wyjątkami są one budowane bądź w czystym zupełnie, bądź w mniej lub więcej typowym stylu bazylikowym. Odziedziczony został ten styl po bazylikach starożytnych, wznoszonych szczególnie za cesarstwa, jako miejsca zebrań i narad ludu. Dawniej za czasów większej prostoty, a zarazem istotnej pełni swobód obywatelskich lud zbierał się na Forum, gdzie na prawdę o sprawach publicznych radził. Cezarowie, odjąwszy mu te swobody, przez czas długi, a w pewnej mierze aż do końca istnienia państwa rzymskiego, zachowali ich pozory, a przede wszystkim pozór szerokiego, swobodnego życia

publicznego, które stanowiło tak charakterystyczny wytwór i objaw starorzymskiej obyczajowości. Dogadzając wynikającym stąd upodobaniom ludu, wznoszono z wielkim kosztem te ogromne i wspaniałe budowle publiczne, w których obywatele rzymscy zbierali się bądź dla załatwiania różnych swych spraw i interesów, bądź dla wspólnych zabaw i rozrywek. Przechowały się jeszcze dotąd przy Forum Romanum potężne filary i arkady bazyliki Konstantyna, kilka pięknych kolumn z wzniesionej przez Juliusza Cezara bazyliki Julii i drobne zaledwie szczątki z tak zwanej bazyliki Emilii.

Skoro następnie uznane przez władzę państwową chrześcijaństwo z katakumbowych cieniów wyszło na światło życia publicznego, zmodyfikowane odpowiednio przez urządzenia z katakumb wyniesione starodawne bazyliki stały się kościołami. Zbierano się w nich już nie dla załatwienia różnorodnych spraw światowych, lecz dla tej wielkiej sprawy religijnej, którą wyznawcy Chrystusa poczytywali za *unum necessarium*, która skupiała ich i łączyła w powszechnym kościele Chrystusowym. Odżyły stare budowle zapadające już w części w ruinę w epoce powszechnego upadku, nowe podobnym kształtem poczęły się wznosić jako świątynie chrześcijańskie coraz wspanialsze, coraz bogatsze w miarę szerzenia się po świecie religii wszechświatowej. Ale zasadniczy ich kształt przez pierwotne pochodzenie uwarunkowany bardzo charakterystycznie zaznaczał się zawsze i do dziś dnia się zaznacza odrębnym stylem bazylikowym.

Odrębność jego bardzo dobitnie się uwydatnia w zestawieniu ze stylem architektonicznym innych świątyń, bądź pogańskich, bądź chrześcijańskich, z jednej strony np. świątyń starogreckich, z drugiej kościołów gotyckich. Architektura tych i tamtych, pomimo wielkiej różnicy a nawet przeciwieństwa ogólnego ideowego jej charakteru, wspólne ma pochodzenie z kształtów roślinnych, stylizowanych w duchu potrzeb i zadań odnośnych kultów religijnych. Są to jakby skamieniałe w tej stylizacji święte gaje i lasy, w których odbywały się pierwotne praktyki i obrzędy kultu religijnego u ludów pozostających w bezpośredniej łączności z przyrodą, jest to utrwalenie w kształtach architektonicznych na tle życia społeczno-miejskiego zewnętrznych warunków kultu, przeniesionych wprost z przyrodzonego środowiska, z którym one początkowo u ludów ściśle z nim zespolonych zupełnie się utożsamiały.

Inaczej przedstawia się pochodzenie i stylizacja bazylik rzymskich. Świątynia z życia społeczno-miejskiego wprost tu nie-

jako wyrasta, odziedzicza gotowe już kształty architektoniczne, w ciągu wielu wieków urobione i wystylizowane na tle starodawnej cywilizacji. Praktykowany w niej kult religijny jest czemś absolutnie nowym przez ducha co go wewnątrznie ożywia, ale przez swe upostaciowanie zewnętrzne, a bardziej jeszcze przez swe ustosunkowanie do całokształtu zadań życiowych, wśród których się rozwija, staje się spadkobiercą wielkich tradycji wszechświatowego władztwa rzymskiego i wszechświatowego w nim na gruncie wyższej kultury zjednoczenia ludów i plemion.

Tak pojmowali uniwersalizm chrześcijańsko-katolicki wszyscy wielcy, najbardziej powołani jego rzecznicy, tak go pojął i z przedziwną mocą wyraził największy z nich autor traktatu o monarchii powszechnej, piewca „Boskiej komedyi.“

Bazylika rzymska jest przedziwnem w wiekuistych kształtach architektonicznych ujawnieniem tej wszechświatowej dążności. Nie jest ona jak katedra gotycka kamienną wizją mrocznych, mistycznych głębin duszy, rozjaśnionych spadającymi z górnych stref tajemniczymi blaskami wiary — to raczej jasna, przestronna widownia powszechnego Kościoła Rzymskiego, na której publiczne jego życie ujawnia się w całej swej pełni i w całej wspałości przed obliczem cywilizowanego świata, jak niegdyś w wielkich instytucjach Republiki i Cesarstwa ujawniało się przed nim publiczne życie powszechnego Imperium Rzymskiego: jest to też sama idea powszechności, podniesiona do nieskończonego wyższego tonu, oderwana od ziemi, zaczepiona o niebiosa.

Jest w Rzymie siedem głównych bazylik, czyli świątyń górujących ponad innemi wielkością wspomnień i tradycyj religijnych, jakie się z nimi łączą, rozmiarami i wspałością kształtów architektonicznych, w jakich się ukazują oczom wiernych. Naczelne między niemi miejsce zajmuje oczywiście watykańska bazylika św. Piotra; sześć pozostałych świątyń (św. Jan Lateraneński, św. Marya Większa, św. Krzyż Jerozolimski, św. Paweł za murami, św. Wawrzyniec za murami i św. Sebastyan), mają przysługujący im wyłącznie tytuł bazylik, połączony z pewnymi przysługami kościelnymi. Wszystkie one wyrażają głównie określone wyżej ideowe znaczenie bazyliki, jako centralnego w całej jej jawności i pełni ogniska kultu kościelnego.

Inne kościoły rzymskie, nie mające tytułu bazylik, w bazylikowym jednak przeważnie trzymane są stylu. Godne są uwagi kolejne fazy rozwojowe tego stylu, odzwierciedlające wiernie charakterystyczny do różnych epok chrześcijańskiej kultury stosunek stolicy świata chrześcijańskiego. Są w Rzymie stare bazyliki

o nader pierwotnej i prostej konstrukcyi, odpowiadającej prostaczemu zaczątkom nowej kultury na gruzach upadłej starorzymskiej świetności. Niektóre z nich zostały dziwacznie przyozdobione w bardzo wyrafinowanym guście późniejszych epok renesansu i baroku. Prostota kształtów zasadniczych kłóci się w nich z przesadą i przeładowaniem niezmiernie wykwintnego zdobnictwa i w tym przeciwieństwie odrazu rzuca się nam w oczy odległość wielka epok historycznych, które w kolei czasu przepłynęły ponad wiecznym miastem i uderzają rozliczne bardzo znamienne zboczenia w kulturalnym ich rozwoju. Więcej jeszcze zasługują na uwagę prostotą swą lepiej harmonizujące z pierwotnym stylem, a jednak pełne artyzmu średniowieczne upiększenia tych starych świątyń: mozaikowe ołtarze, absydy, chóry, ambony (szczególnie ze słynnej szkoły Cosmas'ów, która swemi pracami ozdobiła wiele kościołów rzymskich), świadczące o stopniowym samodzielnym rozwoju nowej sztuki chrześcijańskiej, której nie było przeznaczonem jednak osiągnąć pełni rozkwitu, bo oto wnet ustąpić musiała przed zwycięską sztuką renesansową, wkraczającą do bazylik rzymskich w całej wspaniałości swych bujnych kształtów na wzorach starożytnych urobionych.

Rozkwitający renesansową pełnią styl bazylikowy staje się nowym łącznikiem pomiędzy Rzymem klasyczo-pogańskim i chrześcijańskim. Wprawdzie wznoszące się wspaniałe świątynie czasów odrodzenia pochłonęły nienależo artystycznych skarbów przeszłości. Rujnowano bez ceremonii dawne świątynie, aby dobrać z nich materiał architektoniczny użyć na budowę nowych kościołów. Dzisiejsi esteci z oburzeniem mówią o tej rabunkowej gospodarce papieży renesansowych. Zapewne, taka w dziedzinie oryginalnej stylowej twórczości bezpłodna epoka jak nasza słusznie czyni, że z pietyzmem przechowuje dawne zabytki: kto nic nowego nie tworzy, niechże przynajmniej uszanuje to, co inni przed nim utworzyli; ale kto porywany jest przez samodzielny pęd twórczy, czyż może z równą żarliwością stać na straży artystycznych skarbów przeszłości?

Epoka odrodzenia zrobiła więcej ponad to stróżowanie. Z materiałów dawnych, wedle wzorów dawnych tworzyła rzeczy nowe, w których te, co przeminęły, odżywały jakby spotęgowaną mocą i pełnią ducha. Rzymski uniwersalizm odradza się w sztuce odrodzenia pod nową postacią, wzbogaconą wielowiekowym dorobkiem kultury chrześcijańskiej i stwarza w watykańskiej bazylice św. Piotra najbardziej uniwersalną budowlę na całym obszarze cywilizowanego świata. Ale ta największa i najwspanialsza w świe-

cie świątynia, wznoszona i wykończana w ciągu blisko półtora wieku nie jest dziełem jednej epoki, wytworem jednego stylu. Wśród przepysznych harmonij renesansowych rozpościerają się tu barokowe dysonanse. Różne wybujałości i cudactwa czasów artystycznego przekwitnięcia wyrosły pod kopułą i wśród murów, w których nowoczesna sztuka budownicza zakwitła najwspanialszymi cudami swego arcyzmu.

Za przykładem stołecznej bazyliki papieskiej większość bazylik i bazylikowych kościołów rzymskich gruntownemu w ciągu XVII wieku uległa przebarokowaniu. Barok wszzechwładnie zapanował w tej epoce nad wszystkimi pomnikami stolicy świętej i wycisnął na nich do dziś dnia trwające artystyczne swe znamię. Mistrz jego naczelny, niez mordowany, niewyczerpany w pomysłach Bernini (o którym napis na jego domu rodzinnym w Rzymie z właściwą tej epoce napszysztością głosi, że był czczony przez narody, królów, papieży), wysiłał cały swój wielki talent, całą swą nadzwyczajną pracowitość i nieporównaną biegłość w sztuce na tworzenie coraz to nowych dziwów, osobliwości i cudactw. Stare, odwieczne świątynie, co tysiącolecie nieomal przetrwały w surowej powadze swych kształtów pierwotnych, teraz zabłysły różnobarwną wzorzysztością marmurów, zaludniły się mnóstwem posągów o niespokojnych, dziwacznie wymuszonych pozach i gestach, napełniły się nieprzebranem bogactwem przeróżnych ozdób, w których drogocенność materiału współzawodniczy z nadzwyczajną kunsztownością opracowania.

Ze stanowiska czysto artystycznego można ubolewać nad tem zwycięstwem baroku nad renesansem, zwyrodnieniem nad odrodzeniem, ale ze stanowiska historycznego czyż nie wydaje się ono niedozownym momentem w rozwoju sztuki? Wszystko, co kwitnie, przekwita. I bujny rozkwit renesansowy uledez musiał temu losowi. Przyszedł czas kiedy jego bogactwo stało się nadmiarem, jego pełnia—przepełnieniem, jego wykwię—przerafinowaniem. W Rzymie wszakże wśród wszystkich tych niekorzystnych przemian stylowych zachował się zawsze — styl rzymski, styl szerokich, uniwersalnych zakresów, ogromnych, wszzech-ludzkich zamierzeń.

Dość rzucić okiem na wielkie bazyliki rzymskie jak św. Jan Lateraneński lub św. Paweł za murami. Uległy one znacznym przeobrażeniom w epoce barokowej i w późniejszych czasach, a w wieku XIX, szczególnie za dwóch przedostatnich papieży Piusa X i Leona XIII gruntownym odnowieniem i rekonstrukcyom. Niewiele w nich pozostało z pierwotnych zabytków, ale

z ducha pierwotnego dochowało się to właśnie, co w nim najistotniejsze. Gdy otworzą się przed nami te niezmiernie przestwory marmuru, gdy nas otoczy istny las wyniosłych kolumn lub potężnych filarów, a w głębi absydu zamajaczą odwieczne mozaiki, początkami swymi sięgające najdawniejszych czasów chrześcijaństwa — jakże żywo uprzytamnia się nam ogromne rozpostarcie w czasie i przestrzeni wszechświatowej jego instytucji kościelnej. Wieleż wieków oddziela surowe, sztywne, hieratyczne postaci ze starej, niedawno odnowionej mozaiki w absydzie św. Jana od owych w patetycznem upozowaniu żywo gestykujących postaci apostoelskich, co dwoma szeregami olbrzymich barokowych posągów zdobią dwie główne, przeciwległe ściany kościoła. Tak dalekie epoki sztuki, tak różne jej style, a ta sama zawsze idea przewodnia, powszechna, katolicko-rzymska, idea znajdująca wyraz w jej twórcach! U św. Pawła jeszcze większa odległość, jeszcze większe przeciwieństwo czasów i stylów. Mozaiki z V wieku (odnowione również), średniowieczny nad wielkim ołtarzem baldachim Arnolfa di Cambio z wieku XIII, a cały kościół, odbudowany wspaniale po pożarze w r. 1823, zupełnie nowoczesny, choć ściśle w starym bazylikowym utrzymanym stylu. Oto otwiera się przed nami jakby olbrzymia bezmierna sala, wsparta na gęstym kolumnowym lesie, połyskująca dokoła precudnie wzorzystą różnobarwnością drogocennych marmurów. Wszystko lśni i błyszczy nowością, a wszystko zarazem przemawia urokiem odwiecznej dawności tych miejsc pamiętnych, na których stoimy, tych starożytnych kształtów budowlanych, które nas tu otaczają. Zawszeż to ta sama starorzyska bazylika, przestronna widownia życia publicznego, gdzie ongi różnowierczy lud pogański załatwiał rozliczne swe sprawy, gdzie później jednowierczy lud chrześcijański dla jednej jedynej gromadził się sprawy, dla jedynej istotnie chrześcijaninowi potrzebnej, *unum necessarium*. I oto teraz jak przed wiekami, jak po wsze czasy, dźwignięta z gruzów świątynia blaskiem swych nowych marmurów, wspaniałością swych odwiecznych kształtów zdaje się wzywać lud wiernych pielgrzymów-bogomodłców: przyjdźcie, napełnijcie moje przestwory, uczcijcie miejsca święte, wspomnienia święte we mnie upamiętnione!

Czy z tem samem, co niegdyś, sercem śpieszy lud pielgrzymi do tych i innych uświęconych miejsc miasta wiecznego?

Cokolwiekby o tem powiedzieć, to pewna, że śpieszy zawsze tłumnie ze wszystkich krańców świata. Z wiarą gorącą czy z zimną, żądzą poznawczą, z hołdem pokłonnym, czy z pustą światową ciekawością, dość że napływa wciąż licznie w odwiecz-

ne mury rzymskie, rozpatruje, podziwia, niekiedy wielbi nagromadzone w nich pomniki wieków, cuda sztuki, skarby wiary.

W starożytności zwano Rzym wprost miastem: *urbs*, nie dodając imienia własnego. Owóż to znaczenie miasta jedyne w świecie, miasta-stolicy świata, zachował on i w czasach nowożytnych. Każdy kraj, każda prowincya, każda okolica nawet, wzięta jako jednolity w sobie okrąg, ma takie miasto, ognisko różnorodnych promień życia, główne skupienie miejscowych sił życiowych, serce i mózg jakowejś żyjącej, organicznej zbiorowości. Po wszystkie czasy też bywały miasta-stolice międzynarodowego znaczenia, w mniejszym lub większym zakresie niejako węzłowe stacye w dziejowym pochodzie ludzkości. Był takim miastem w całym znaczeniu tego słowa Paryż za najświetniejszych swych czasów, a i dziś jeszcze w znacznej mierze niem pozostaje, nadaremnie pono usiłuje stać się niem parweniuszowski dorobkiewicz świeżej daty Berlin; jest niem dla ogromnych przestworów świata brytańskiego Londyn, dla austryackiej rzeszy narodów Wiedeń; ale gdzie, kiedy w świecie widziano taką stolicę ludzkości, takie ognisko wszechludzkiego życia jak Rzym — ognisko, co przez tysiącolecia wysyła swe promienie w przestwór, a nie wyczerpuje się, nie gaśnie, wciąż świeci i grzeje. Mięwało ono wprawdzie chwile częściowego zastygnięcia, przemieniało i przeobrażało się wielokrotnie; ale z pod starych gruzów nowe zawsze tryskały iskry, nowemi rozpałały się płomieniami, a we wszelkich przeobrażeniach zawsze to samo centralne ognisko ludzkości.

Staropogański, czy chrześcijański, renesansowy, czy barokowy, we wszystkich swych przemianach i przeobrażeniach, we wszystkich nawet zboczeniach i wybrykach, Rzym zawsze jest Rzymem, ogniskiem mocy, zawsze to Roma—siła, skupiająca w sobie główne w najwyższym ich natężeniu wszechświatowe prądy kulturalne. Jakże nie miłować tej mocarnej władczyni dusz, co czasu nawet niszczące potęgi czarem swym zdaje się zwycięzać i z ruin wciąż do nowego powstaje życia. Ale ruiny trwają w majestatycznej swej martwocie. Żadna siła ludzka nie zdolna ich podźwignąć. „Przeżytych kształtów żaden cud nie wróci do istnienia.“ Ta ciągła współobecność kształtów przeżytych i kształtów odżywiających, ten przeogromny na świat cały brzmiący akord życia i śmierci stanowi jedyny w swoim rodzaju urok miasta ruin i miasta pomników, a odbrzmiewa w naszej myśli jakimś bezmiernie potężnym i głębokim symbolem bytu.

Zazwyczaj bytujemy sobie w tępej bezwiedności lub w głuchym tylko poczuciu związku naszego z ogółem istnienia w przestrzeni i w czasie, tego, co, poza nami, przeminęło, tego, co, dookoła nas, szerokimi w bezmiar roztacza się kręgami. Tutaj, na świętym gruncie rzymskim, chyba i najtępszy myślą, najbardziej na głos duszy zagłuchły człowiek odczuje, uświadomi sobie niekiedy swą łączność z tem, co wieczne i co nieskończone w istnieniu. Dość, że pomyśli trochę wśród ruin Forum, wśród ogromów Koloseum, dość, że skupi się nieco w sobie pod kopułą św. Piotra lub pod wyniosłym sklepieniem św. Jana Laterańskiego. Tu uprzytomni sobie chyba — nietylko we frazesie, lub martwej abstrakcyi, lecz także w żywej prawdzie serca i myśli — że jest jakaś realna, żywa, ród ludzki potencjalnie wyobrażająca całość, w tych oto przewspaniałych unaoczniona nam pomnikach; tam przesuną się mu może w myśli ulotne obrazy wielkiego, potężnego życia, co tu niegdyś wrzało, dziś przebrzmiało, odżywa jednak wciąż w dziełach wiekopomnych, co po nim pozostały.

Oczywiście mówię tu o ludziach, co czasem myślą wznoszą się, nietylko pełzają, czasem i do duszy własnej zajrzeć są zdolni. To pewna, że tacy nie stanowią głównej masy kulturalnych światowców i kulturalnych filistrów, turystycznemi rzeszami nawiedzających miasto wieczne. Jeśli jednak wśród tych rzesz się znajdują, czy gdzie na świecie usłyszą potężniejszy aniżeli w Rzymie głos, przypominający im o wielkich wspomnieniach przeszłości i wielkich sprawach terażniejszości?...

WALERY GOSTOMSKI.

PIŚMIENNICTWO.

K. BOŁSUNOWSKI. (Kijów). *Nowoodkryte herby na ceramice w horodyszczu Łutawa* (powiat osterski, gub. czernihowska). „Miesięcznik heraldyczny.“ Lwów, grudzień, 1909, str. 171.

O artykule tym należy powiedzieć słów kilka nie tyle ze względu na rezultat badań autora, ile ze względu na metodę badania.

Na starem horodyszczu Łutawie, niedaleko Ostrza, znalazł autor dwa dna od skruszonych naczyń glinianych, na których dostrzegł odciski, na jednym „niby Kościeszę“, a na drugim „przypominający herb Kroje, czy Dragomir lub Trąby.“ Ponieważ w wiekach średnich cechy były pod opieką panujących książąt (na Zachodzie) „niewątpliwie to samo musiało mieć miejsce i u nas, a przeto i na krańcach Polski.“ Tak przypuszcza, bez dowodów, autor. Na tej podstawie tworzy cały budynek — bez fundamentów: ponieważ w pierwszych wiekach naszej ery Gotowie wędrowali, między innymi, przez porzecze Dniepru i Desny, pozostawili po sobie nazwy gockie: Łutawa, Połtawa, Neplawa i in. P. Bołsunowski przypuszcza tedy, że herby „niby Kościeszę“, i „przypominający Kroje“ są pozostałością po Gotach.

Nasuwają się pytania: czy nazwy miejscowości, przytoczonych przez autora, są istotnie gockie? Jaki związek mają owe herby z Gotami? Dlaczego autor używa nazwy Oster? Jaką drogą mogły powstać znaki, widziane przez p. Bołsunowskiego?

Na nieprawdopodobność łączenia nazw przytoczonych przez autora z Gotami zwróciła już słusznie uwagę redakcja „Miesięcznika heraldycznego“, utrzymując, że i temat i końcówki są słowiańskie. Według teorii autora, należałoby takie miejscowości,

jak Pilawa, Uszawa, Tarnawa, Tyrawa, Rusawa, Skwarzawa, zaliczyć do gockich. A co robić z Bałakławą (a) w Krymie, która tak ściśle wiąże się z nazwiskiem jednego z carów zawolskich — Bałakłaja? (Gwagnin: „Z kroniki Sarmacyi Europ.,” 55). To wszystko wymaga badań lingwistycznych i nie da się rozwiązać twierdzeniem bez dowodów.

Nie mają również żadnego związku z Gotami tak zwane przez autora herby, jeden „niby Kościeszka,” drugi „przypominający Kroje.” Przedewszystkiem autor nie oznacza różnicy między herbem a znakiem rodowym — godłem. Herby dopiero w XII w. poczęły się rozpowszechniać w Europie zachodniej, skąd przyszedły do nas; miały w głównym temacie swoim różne przedmioty natury, a niekiedy nawet fantastyczne, gdy znaki rodowe były — tylko znakami i, według badań Piekosińskiego, brały swój początek od run. I ta hipoteza, w odniesieniu do znalezisk p. B., nie jest dość uzasadnioną, o tyle, że znaki, podobne do runicznych, tam, gdzie może o istnieniu run nie wiedziano nawet. Znaki, w których p. B. widział podobieństwo do Kościeszki i do Kroju, dadzą się odszukać w pierwotypach runicznych: pierwszy w runie tŷr, drugi — ȳr, a odmiany tych, wynikłe z przekształcania się, spotykamy już w herbach Kościeszki, Kołodyn, Lis (linia senioracka) co do pierwszego znaku („niby Kościeszka”) i Cielątkowa odmienna (co do drugiego — „przypominający Kroje”). „Uczony” tedy hr. Goblet d’Alvielle mógł sobie w triscèle upatrywać „niewątpliwie symbol słońca” (fantazya prawdziwie galijska!), ale, niestety nie znał naszych badań o runach i dla tego szanownego autora bałamucił symbolami, tam gdzie były rzeczy jasne, proste i dostępne dla umysłu każdego. Z runy ȳr, jak słusznie utrzymuje Piekosiński, powstały późniejsze podkowy, rogi, trąbki, półpierzście, rzeki i w. in.

Do swojej hipotezy gockiej przystosowuje autor i nazwę Ostrza — zmieniając ją ze staropolskiej na nowożytną pisownię — Oster, przypominającą Wester i Gotów. W naszej geografii historycznej Oster nieznany. Najwcześniejsze lustracye starostw (1616) piszą Ostir, niekiedy Ostrsk (1622), z łacińska Capita-neaus Ostrensis, ale po polsku zwało się S-two Ostrzskie, bojarowie Ostrzcy, a osadę pod starym zamkiem zwano nowy Ostrzec — mgdy zaś Oster. Nestor raz tylko wspomina późniejszy Ostrz (jeżeli latopis jego zakończymy rokiem 1113) i to pod rokiem 1097: „toho-że lieta założy Wołodimir Monomach gorod na Ostri” — nic więcej. „Gorod” ten leżał w klinie między Desną a rzeką Ostr-em i prawdopodobnie od charakteru swego

położenia, a może i od rzeki otrzymał nazwę Ostr—ostrzy, trudny do zdobycia, leżący w klinie.

Pozostaje jeszcze odpowiedź na pytanie: skąd powstać mogły znaki, widziane przez p. B. na dniskach czerepów, znalezionych na starem horodyszczu w bliskości Ostrza? Przypuszczenie, że tu „władali Gotowie,“ jest równie niestałe, jak piaski nad Desną, a przez autora niepoparte niczem. Pewniejszym jest, z ogólnego historycznego stanowiska „władanie Normanów lub Waregów“—czy to wyrazy jednoznaczne?—ale z tego bynajmniej nie wynika, że „jakiś miejscowy dynasta musiał upoważnić cech garncarzy swego grodu do tłoczenia swego herbu na ich wyrobach.“ Same wątpliwości. Nie wiem, czy istniał cech garncarzy na owem horodyszczu; o herbach w owe czasy wśród puszczy Czernihowszczyzny, porośłych sosnowymi borami nie mogło być mowy; jedynym dynastą, do którego gród nad Ostrem należał, był Włodzimierz Monomach, który, o ile wiadomo, nie posiadał herbu „niby Kościesza,“ ani „przypominającego Kroje.“ Jeżeli nawet to, co autor nazywa herbem, będziemy uważać jako znaki rodowe, to i w takim razie ani w dynastyi Rurykowiczów, którzy tym krajem władali, ani wśród Wojewodów i Tysiączników z ich ramienia, nieznane są jakiegokolwiek, a tembardziej widziane przez autora, znaki rodowe, którymi-by się oni posługiwali. Wobec tego musimy szukać innego rozwiązania zagadki, innej hipotezy, jeżeli nie uzasadnionej, to prawdopodobnej.

Znaki rodowe, staniczne, jak je nazywa Piekosiński, mogły istnieć w najgłębszych zakątkach Rusi, bądź jako przyniesione z gniazdowej Polski przez ciągle napływającą w te strony falę kolonizacyjną, bądź istnieć samodzielnie. Wiemy, że w miarę rozszczepiania się rodów, pierwotypy ich pochodzenia runicznego, jak chcą niektórzy badacze, przekształcały się także w rozmaity sposób. Ale to do rzeczy nie należy. Czy ta teoria da się zastosować w tym wypadku? Stanowczo nie. Ludzie, uprawiający garncarstwo, byli rzemieślnikami i mogliby tylko wówczas posługiwać się wyciskanyym znakiem rodowym, gdyby istotnie należeli do jakiegoś rodu, mającego swój znak, lub gdyby pamięć o tem należeniu zachowali. Trudno to przypuścić u rzemieślników, stojących na niskim stopniu kultury, posługujących się pierwotnymi narzędziami swego rzemiosła, gdzie ręce były jedynym warsztatem, a paznogie u ręki jedynymi narzędziami do wykonywania ornamentu artystycznego. Boć przecie to horodyszcze leżało wśród dzikich borów, puszczy i błot.

Ale jak miały swoje znaki rody wojowników, tak, z innych względów tylko, musiały je mieć i warsztaty rzemieślnicze, musieli mieć i rzemieślnicy sami, jako właściciele tych warsztatów. Garnki gliniane były już w owe czasy konieczną potrzebą codziennego życia, a każda osada posiadała jednego lub kilku zdunów. Każdy pragnął naznaczyć swój wyrób, ażeby i sam mógł poznać i inni poznali. Przemysł i dziś jeszcze posługuje się marką, znakiem, na który powołuje się, ażeby swój wyrób od innych odróżnić i kupującym zalecić. To samo niewątpliwie, tylko w formie bardziej pierwotnej, działo się i w XII w. na starym horodyszczu Włodzimierzowem, na starej osadzie, która przed horodyszczem już może istniała. Każdy zdun kładł tedy na swoim wyrobie swój znak. Skąd go brał? Mógł to być znak runiczny, który świadomie lub nieświadomie, nie wiedząc co oznacza, wygniółł. Może go już gdzie widział i powtórzył, może widziany zmodyfikował, może wreszcie zrobił znak dowolny, nie wiedząc o tem, że jest podobny do innego i że już ma jakieś znaczenie. W ten sposób dziś jeszcze włóścianie na Rusi znaczą nie tylko narzędzia, wyrabiane przez siebie, ale własne przedmioty. Dowolna kombinacja linii lub kótek nie ma żadnego związku ani z herbami, ani ze znakami runicznymi, a jednak jest znakiem własności, na który w danym razie strony powołują się, ale posiada niekiedy podobieństwo do jakiegoś herbu lub znaku — i bałamuci.

Zdaje mi się, że taką prawdopodobną genezę powstania, tworzenia się, a niekiedy przekształcania znaków i w tym wypadku przyjąć można bez uciekania się do symbolów, herbów dynastów i migracyi Gotów.

F. R. G.

D-R BRONISŁAW PAWŁOWSKI: *Lwów w 1809 r.* Biblioteka lwowska III, wydawnictwo Tow. miłośników przeszłości Lwowa. Str. 82. Lwów, 1909.

Pamiętną dla Lwowa i całego zaboru austriackiego była wiosna 1809 r. Po 37 latach absolutystyczno-policyjnych rządów miała stolica kraju zaczerpnąć na chwilę świeżego tchu, który do niej wtargnął z Księstwa Warszawskiego, od dwu lat pulsującego pełnią narodowego życia. W ciągu tego krótkiego czasu zdołała Warszawa nie tylko odrobić ciężkie lata pruskiego ucisku, podnieść się i zorganizować, ale co więcej, było jej danem życie to ponieść dalej i rozpalic w odrętwiałej, wyczerpanej moralnie i materialnie Galicyi.

Wczesną wiosną 1809 r., korzystając z niefortunnej kampanii Napoleona w Hiszpanii, zerwała się Austria do odwetu. W trzech równocześnie zaatakowała go punktach: na zachodzie w sprzymierzonej z nim Bawaryi, dokąd rzuciła główne swe siły, na południu we Włoszech i na północy w Księstwie Warszawskiem. Arcyksiążę Ferdynand d'Este z 30-tysięczną przeszło armią ugodził w Księstwo, które zaledwie kończyło stawiać na nogi swą młodą 14-tysięczną armię. Po całodziennym, morderczym, chlubnym dla broni polskiej chracie raszyńskim, utrzymawszy się na placu boju, nie mogąc jednakże obronić Warszawy wobec przeważających sił nieprzyjacielskich, tembardziej, że zaraz po bitwie raszyńskiej opuściły korpus polski wojska saskie, cofnięto się ku Modlinowi i tam na radzie wojennej powzięto śmiałą choć ryzykowną bardzo inicjatywę przeniesienia walki do Galicyi, zaatakowania nieprzyjaciela w jego własnych granicach. Plan ten błyskawicznie uskuteczniiono. W dwa tygodnie po bitwie pod Raszynem, 4 maja 1809 r. stanęły pierwsze oddziały wojska polskiego w Galicyi. Po krótkim oporze zdobyto austriacki wówczas Zamość i Sandomierz i wśród ogólnego zapału „Galicyan“ posuwano się do Lwowa, bo na zajęciu stolicy kraju przedewszystkiem księciu Józefowi Poniatowskiemu zależało. Austriacy nie zamysłali jej bronić. 23 maja opuścili Lwów, kierując się ku Stanisławowi. W cztery dni później, 27 maja witali już rozpromienieni lwowianie straż przednią zbawczych znaków polskich. Był to oddział piątego pułku dzielnych strzelców konnych pod dowództwem porucznika, Jerzego Starzeńskiego, poprzedzający główną kolumnę generała Roźnieckiego. Ten ostatni wjechał nazajutrz do iluminowanej i nieposiadającej się ze szczęścia stolicy. Natychmiast upadł dawny system. W ciągu dni kilku uformowano nowy rząd, który pod przewodnictwem eks-marszałka litewskiego, Ignacego Potockiego, rozwinął gorączkową działalność organizacyjną. Jakby z pod ziemi wyrósł jedenasty pułk ułanów, rekrutujący się z ludności lwowskiej, chlubnie w następstwie zapisany w kampanii 1812 r. Skrępowana w 37-letnim okresie rządów austriackich Galicya, w której zdawały się rwać ostatnie nici tradycji polskich, budziła się obecnie do nowego życia, tryskającego, zwłaszcza w stolicy, z żywiołową siłą. Niestety wszakże, dni swobody i uniesienia miały trwać niezmiernie krótko. Mieszkańcy nieszczęśliwej Galicyi zaledwie mogli przetrzeć oczy i ocknąć się z ciężkiego przygnębiającego snu i apatii politycznej; losy ich bowiem nie leżały w ręku armii Księstwa Warszawskiego, ale zawisły od współczesnych wypadków na zachodzie, rozgrywają-

cych się na głównym terenie wojny w pobliżu Wiednia. Właśnie wtedy, gdy wojsko polskie zajmowało Galicyę, stoczył Napoleon z główną armią austriacką krwawą dwudniową i w dodatku nierozstrzygniętą bitwę pod Aspern. Fakt ten odbił się bezpośrednio na kampanii galicyjskiej. Znikała nadzieja dla armii polskiej otrzymania jakiegokolwiek pomocy od Napoleona, która zwłaszcza w tej chwili była dla niej pożądaną, ze względu, że arcyksiążę Ferdynand d'Este podejmował na nowo z całą energią przeciw niej kroki wojenne. Wskutek tego ks. Józef Poniatowski był zmuszony pościągać do głównej kwatery pod Sandomierz wszystkie nieliczne swe siły tem więcej, że znalazł się wówczas w szczególnym a ze wszech miar krytycznym stosunku do armii rosyjskiej. Wprawdzie Rosya od zjazdu erfurckiego, na którym zacieśnione zostało przymierze, zawarte z Napoleonem w Tylży, zobowiązana była do udzielenia pomocy Napoleonowi na wypadek wojny z Austryą, w istocie przecież prawdziwe swe sympatyje zwracała ona nie ku Francyi i Napoleonowi, ale w stronę wręcz przeciwną—ku Austrii. I kiedy teraz nadarzyła się pierwsza sposobność wystąpienia przeciw Austrii i posiłkowania armii Księstwa Warszawskiego, nietylko że tego nie uczyniła, ale, wprost przeciwnie, zawarła z Austryą tajną umowę, której mocą przyrzekła wstrzymać się jak najdłużej od kroków wojennych a w ostatecznym razie, gdyby była zmuszoną je rozpocząć, działać tak, by do starcia wojsk rosyjskich i austriackich nie dopuścić. Tym sposobem ks. Józef, który co do dwulicowego stanowiska Rosyi od samego początku nie żywił najmniejszych złudzeń, miał teraz do czynienia nietylko z otwartym wrogiem, t. j. armią austriacką pod arcyksięciem Ferdynandem, ale także z daleko niebezpieczniejszym, bo zamaskowanym sprzymierzeńcem w postaci korpusu księcia Golicyna, wkraczającego obecnie z rozkazu cesarza Aleksandra do Galicyi, oczywiście nie tyle w celach sprzymierzeńczych, co w nadziei zeskamotowania na własny rachunek zdobyczy oręża polskiego. Dla sparaliżowania tych zamysłów i ochrony Galicyi przed zaborem rosyjskim wydał ks. Józef 2 czerwca 1809 r. rozkaz dzienny, którym mianował „Rząd wojskowy tymczasowy“ i oddawał cały kraj pod protekcję Napoleona. Krok ten nie ocalił jednakże odsłoniętej i огоłoconej z żołnierza polskiego stolicy, z której „Rząd tymczasowy“ niebawem był zmuszony ustąpić (19 czerwca), równocześnie bowiem zaczęła się fikcyjna kampania między armią austriacką a korpusem ks. Golicyna, polegająca na wzajemnem unikaniu się rzekomych przeciwników. Według z góry oznaczonego programu, ułożonego na podstawie tajnych rokowań, pozwolił

ks. Golicyn Austryakom na chwilowe zajęcie Lwowa, pod warunkiem, że w kilka dni później wydadzą go w ręce rosyjskie. Taką to wyjątkową zaiste losów koleją kalendarz polityczny Lwowa zmieniał się jak szkiełka kalejdoskopu. W przeciągu jednego niemal miesiąca po czterykroć dostawał Lwów innego pana: z austriackiego stawał się polskim (od 27 maja do 19 czerwca), z polskiego, po dwudniowym żywocie na podobieństwo owej „res nullius,” przedzierzgał się na kilka dni znowu w szatę austriacką (od 21 do 30 czerwca), a nakoniec (30 czerwca) szedł pod znak rosyjski. Wytworzyła się też obecnie jedyna w swoim rodzaju sytuacja. W mieście polskim, będącem pod panowaniem austriackim a z załogą rosyjską, obchodzono uroczyste imieniny cesarza rosyjskiego, a równocześnie część ludności lwowskiej spieszyła na dzień 15 sierpnia do sąsiedniej Żółkwi, by pośród załogi polskiej wiwatować na cześć Napoleona w dniu jego imienin. Stan taki nie mógł trwać długo, zwłaszcza, że Rosya, ten jawny, jak się nazywało, sprzymierzeniec Księstwa Warszawskiego, a w istocie tajny sojusznik Austrii, pracowała przedewszystkiem z całym poświęceniem na swój rachunek i dążyła, nie bez zdziwienia generalicyi austriackiej, do zajęcia jak największej połaci Galicyi, zwłaszcza tak nęcącej części wschodniej. I znowuż błysk genialnego oręza kładł tamę powszechnej niepewności. 6 lipca odniósł Napoleon nad Austryą świetne zwycięstwo pod Wagram. Nastąpiło zawieszenie broni w Znaim, niebawem pokój w Schönbrunie (14 paźdz.). Austrya płaciła ogólny rachunek. Oprócz dotkliwych strat na południowym zachodzie na rzecz Francyi i jej sprzymierzeńców, zmuszona była odstąpić Księstwu Warszawskiemu część tego, co jego armia z bronią w ręku zajęła, t. j. dwa okręgi, krakowski i zamojski. Jeśli jednak śmiała taktyka ks. Józefa Poniatowskiego nie pozostała bez rezultatu dla Księstwa, to nie mniej i podwójna robota rosyjska święciła tryumf przez nabycie tanim kosztem części Galicyi wschodniej, t. zw. Kraju Tarnopolskiego, który w jej ręku pozostał do kongresu wiedeńskiego. Lwów pozostał przy Austrii. Rosyane opuszczali go z wielkim żalem dopiero po dwu miesiącach, unosząc ze sobą, jako symboliczną zdobycz wojenną, klucze miejskie, złożone w następstwie w soborze kazańskim.

Dla stolicy zaboru austriackiego wracały dawne czasy bezwzględnych rządów biurokracyi niemieckiej. Wiosna roku 1809 była jedynym jasnym promieniem, jaki oświecił szary widnokrąg dziejów tej dzielnicy Polski od chwili podziału. Drugą podobną chwilę miał przeżyć Lwów dopiero w 39 lat później, w r. 1848,

z budzącą się „wiosną narodów,“ torując sobie drogę do nowej, szczęśliwszej ery.

D-r Pawłowski dał w swej pracy żywy obraz tych zmiennych losów, przez jakie przeszła stolica Galicji w owym pamiętnym roku. Opowiedział wypadki ówczesne językiem potoczystym a jędrnym i wzbogacił cennym tomikiem wydawnictwo „Biblioteki lwowskiej.“ W badaniu swem nie ograniczył się tylko do wyzyskania literatury drukowanej przedmiotu, z którą zapoznał się bardzo sumiennie, ale także sięgnął do archiwów krajowych i obcych, drukując w przypisach szereg pożytecznych dokumentów. Tekst ozdobiony 20 rycinami podnosi zewnętrzną szatę książki.

MACIEJ LORET.

JABŁONOWSKI ALEKSANDER. *Pisma*. Tom I. „Ziemie ruskie Rzeczypospolitej.“ Warszawa 1910. Skład gł. w księg. E. Wende i S-ka.

Do doskonałą myśl mieli wielbiciele Aleksandra Jabłonowskiego, składając w jego ręce, ku uczczeniu półwiekowych godów z nauką, znaczniejszy fundusz na wydanie zbiorowe dzieł jego wszystkich. A dorobek tyloletniej pracy historyka Rusi jest tego rodzaju, że wzbudza entuzjazm w młodszem pokoleniu historyków, wśród których nie jeden żywi te same ideały naukowe, co twórca „Atlasu historycznego Rzeczypospolitej.“ Większość prac naukowych Jabłonowskiego, rozproszona po czasopismach peryodycznych, była dotąd mało dostępną, co utrudniało wywieranie wpływu na młodszych badaczy. Teraz, gdy dzieła Jabłonowskiego zaczęły wychodzić w wydaniu zbiorowem, staną się one szkołą i wzorem dla historyków, pracujących nad dziejami gospodarczemi i społecznemi. Czego też my nie możemy się nauczyć z dzieł Jabłonowskiego! On nam przykładem swym wskazuje, jak badania historyczne konieczne jest dopełniać studjami etnologicznemi; on jest żywym dowodem, że można pisać obiektywnie nawet o najdrażliwszych kwestiach; on wreszcie nauczyć nas może, w jaki to sposób stanowczy a jednak spokojny prowadzić należy polemiki naukowe.

Właśnie artykuły polemiczne, będące echem długoletniej szermierki prowadzonej przez Jabłonowskiego z kijowskim uczonym, profesorem Władimirskim Budanowem, rozrzucone ongi na łamach „Ateneum,“ „Kwartalnika Historycznego,“ wreszcie „Przeglądu Historycznego,“ stanowią część zasadniczą pierwszego tomu dzieł

Jabłonowskiego, który ukazał się przed paru miesiącami. Przedmiotem tej polemiki było zapatrywanie się na pochodzenie etniczne ludności ukraińskiej, na wpływ, jaki wywarły rządy Rzpltej na stosunki społeczne prowincyj ruskich, na genezę kozaczyzny i na powstanie Chmielnickiego. Spór z prof. Władimirskim Budanowem, dedukcyonistą, dalekim od obiektywizmu, nie był rzeczą ani łatwą, ani przyjemną. Trzeba było niezwykłego taktu, niezwykłej równowagi, aby walcząc z takim przeciwnikiem, nigdy się nie unieść, nie wypowiedzieć ostrzejszego słowa. Jakże też rycerskie polemiki Jabłonowskiego odbijają od sarkastycznych, a często nawet grubijańskich sporów naszych naukowych z lat ostatnich!

Oprócz obszernej polemiki z Budanowem w pierwszym tomie dzieł Jabłonowskiego znalazło się jeszcze parę samodzielnych studyów. Przedwszystkiem piękny zarys etnograficzny poświęcony małorusinom. Jabłonowski nie zaprzecza w nim, podobnie jak w swych innych pracach, że małorusini pochodzą bezpośrednio od Rusi Włodzimierzów, Jarosławów, ale podkreśla wpływ, jaki wywarły na nich żywioły polski, tatarski i wołoski. Wpływ żywiołu polskiego, krwi polskiej, był najrozleglejszy, najgłębszy. Wlew krwi polskiej w żyły ludu ruskiego odbywał się od niepamiętnych czasów z wielką szkodą dla naszej narodowości; polonizacya bowiem wyższych sfer społeczeństwa ruskiego nie mogła zrównoważyć faktu, że chłopci, czy mieszczenie polscy, dostawszy się na Ruś, wynaradawiali się w krótkim czasie. Dopływ krwi tatarskiej do żył małorusów rozpoczął się, według Jabłonowskiego, od chwili, „gdy wielka horda kipczacka rozpadła się na kilka drobnych, a te, zwalczając się wzajem, wywoływały nieraz tłumne nawet wychodźtwa.“ Później „proces przyływu krwi tatarskiej odbywał się nieustannie przez kozactwo, jak i najemne chorągwie petyhorskie czy tatarskie.“ Co się tyczy krwi wołoskiej, to silniejszego jej dopływu dopatruje się Jabłonowski tylko „na wazkiem pasmie nadbrzeża Dniestru, szczególnie zaś na wierzchowisku Prutu.“

Etniczną postacią Ukrainy w epoce zjednoczenia jej z koroną zajmuje się Jabłonowski w specjalnem studyum, które również znalazło się w pierwszym tomie. Chcąc na przykładzie scharakteryzować tu skład etniczny ukraińców, analizuje Jabłonowski poczet kozaków Jana Orysowskiego z roku 1581. Okazało się, że w poczcie tym było 83% Rusinów, z Małej Rusi przeważnie, 10% przypadało na Polaków, 7% na inne narodowości, a więc Tatarów, Mołdawian i t. d.

Stan socyalny i ekonomiczny, nie etniczny, społeczeństwa był głównym i ulubionym przedmiotem badań Jabłonowskiego. Stan ekonomiczno-społeczny mianowicie uważał nasz uczoney „za podwalinę polityczno-narodowej budowy, u nas zaś, według niego, przy rozpamiętywaniu zmiennych kolei ubiegłej przeszłości potrzeba dokładniejszego rozjaśnienia zaciemnionych stron tego zakresu życia stała się tem żywsza, iż dotąd nawet najbardziej to może zaniedbana dziedzina w naszym dziejznawstwie. Szczególniej też losy dziejowe i dola ludu włościańskiego w Rzpltej pobudzają pracowników historycznych coraz natarczywiej do wszechstronniejszych poszukiwań.“ Studium też nad dziejami włościan jest poświęcony szkic: „Ludność rolnicza ziem ukraińskich,“ będący owocem mozolnych poszukiwań archiwalnych. Jabłonowski, rozważywszy w tej pracy stosunek wzajemny poszczególnych warstw rolniczych na Ukrainie, opisuje położenie prawne włościan, ich obciążenie na rzecz dworu, wprowadzenie systemu włótkowego i t. d.

Następnie idą prace drobniejsze, a więc cenna krytyka studyum prof. Łuczyckiego o „Siabrach“ czyli „uczestnikach,“ wreszcie polemika z prof. Bujakiem w sprawie opracowanego przez Jabłonowskiego atlasu ziem ruskich. Zbiorowe wydanie dzieł Jabłonowskiego zdobi doskonała podobizna autora, poprzedzająca biografię pióra Jana Kochanowskiego.

I. B.

Kronika miesięczna.

Otwarcie sesji jesiennej Izby Państwowej. — Słówko pamięci. — Rządowy projekt szkolny. — Obrona posłów polskich. — Fałszywy argument w rozprawach. — Jak było naprawdę w Żulinie? — Nowa ustawa wyjątkowa. — Prace podkomisji. — Projekt ziemstw w Królestwie. — Z prywatnych obrad nad samorządem. — Żydzi, liberali rosyjscy i my. — Prace sejmku galicyjskiego. — Do wtóru trąbek i piszczałek. — Uroczystości szopenowskie we Lwowie. — Dziko-nie wolnomysłna młodzież w Krakowie i jej wybryki.

Szósta sesja Izby Państwowej trzeciego powołania rozpoczęła się od wypadku charakterystycznego. Wniosek uczczenia znakomitego uczonego, dobrego obywatela swego kraju, b. prezesa pierwszej sesji prawodawczej w historii państwa rosyjskiego nie został poddany pod głosowanie, aby nie wywoływać skandalu protestowego części Izby. Muromcew był wybitnym prezesem pierwszej Izby; na każdym kroku składał dowody bezstronności; wysokie stanowisko w trudnych warunkach piastował z wielką godnością. Jeżeli popełniał błędy, dzielił je ze swoim stronnictwem; nieraz taktyki jego nie podzielał, ulegając tylko partyjnej karności. I taką szlachetną postać prześladuje dzika nienawiść pozagrobowa.

Po tym incydencie gorąco zabrała się Izba do pracy. Na pierwszy ogień poszła ustawa nauczania początkowego w opracowaniu komisji oświatowej. Niepodobna streszczać na tem miejscu obszernego projektu. Wystarczy stwierdzić, że ze stanowiska ogólnego, w porównaniu z istniejącymi stosunkami, stanowi on niewątpliwie krok naprzód. Przedewszystkiem — ułatwia zakładanie szkół; ziemstwa, miasta, gminy zawiadamiają tylko radę szkolną o otwarciu szkoły; osoby prywatne lub stowarzyszenia zawiadamiają o zamiarze otwarcia szkoły, a jeżeli w ciągu mie-

siąca nie otrzymają odpowiedzi odmownej, szkoła może być otwarta. Dalej — do nadzoru i kierownictwa szkół powołane zostają czynniki społeczne; dla każdej, lub dla kilku stwarza projekt t. zw. „opieki“ szkolne, w których, prócz nauczyciela religii, dyrektora, względnie nauczyciela szkoły, uczestniczą przedstawiciele ciała, utrzymującego szkołę, oraz rodziców. W miastach, w ziemstwach powiatowych i gubernialnych mamy rady szkolne, w których uczestniczą przedstawiciele właściwych organów samorządnych. Rady te posiadają kompetencję dość znaczną, nadzorują szkoły w okręgu, mianują i usuwają nauczycieli, rozstrzygają w sprawie otwierania szkół, stanowią władzę nadzorczą wyżej wymienionych „opiek“, rozpatrują skargi i zatargi różne.

W zastosowaniu do naszych interesów i stosunków, reformy te znaczenia nie mają, bowiem w tych częściach państwa, gdzie samorządu niema, członkowie rad szkolnych są mianowani przez ministra oświaty. A co najważniejsza—język polski, jako wykładowy, jest uprawniony jedynie w szkołach prywatnych, zatem dla nas jest ten projekt zjawiskiem wstecznem, dzisiejsza ustawa bowiem przewiduje obowiązkowe nauczanie języka polskiego w szkołach ludowych ministerjum oświaty. I dlatego projekt powyższy na bliższe, bardziej szczegółowe rozpatrzenie nie zasługuje.

Walka o język polski wypełniła tedy pierwsze posiedzenia Izby; Koło Polskie zmobilizowało do niej kilka sił wybitnych. Pierwszy wystąpił poseł stołeczny, Władysław Jabłonowski, z mową namiętną, która wywołała szerokie echo w całym kraju. Zaznaczył on, że projektowana szkoła jest nam w zasadzie „wroga“, a w organizacji „obca“, bo „należenie do państwa rosyjskiego włącza nas mechanicznie w ramy tej szkoły, lecz niema tu i być nie może łączności organicznej z podstawami.“ Autorowie projektu wychodzą z założenia, że „państwo nie jest zbiorowiskiem istot ludzkich, mających różne interesy i potrzeby, lecz jakąś ideą abstrakcyjną, której składa się w ofierze wszystko, co żyje, jakimś bajecznym, wszystko pochłaniającym Lewiatanem.“ I dlatego—w ich mniemaniu—„olbrzymia część obywateli nietylko nie ma prawa czynić zadość swym legalnym potrzebom, lecz owszem, winna współdziałać swemu własnemu unicestwieniu.“ Tej olbrzymiej części pozwolono tylko korzystać z prawa dawania „pieniędzy na taką szkołę,“ w której „na pierwszy plan wysunięto interesy państwowe i dopiero na drugim umieszczono nauczanie i oświatę...“ „za swe pieniądze otrzymają oni szkołę, która ma na celu unicestwienie ich odrębności i dążeń narodowych, zapomnienie języka ojczystego, a wychowywać moralnie i uszlachet-

nić się pozwala jedynie w duchu cerkwi prawosławnej. Z tego wynika, że ci obywatele-obcoplemieńcy mają jedynie prawo kopać sobie grób własnymi rękami.“ Odpowiadając na twierdzenie pana prezesa ministrów, że Rosya potężnieje, mówca zgadza się z nim, o ile „potęgę Rosyi mierzyć będziemy mocą tej stale zaciąganej pętlicy na szyi podwładnych jej narodowości.“ A konkluzya brzmi, że szkoła ta, o ile wprowadzona będzie w życie, zniewoli nas jedynie do wytężenia wszystkich sił naszych, aby zrzucić z siebie ten martwy balast nauki rządowej.

Zadaniem drugiego z kolei mówcy polskiego, posła ziemi łomżyńskiej, Harusewicza, było wykazanie bezpłodności systemu rusyfikacyjnego, którego objawem jest projekt szkolny, na zasadzie głosów urzędowych rosyjskich. Z zadania tego wywiązał się gruntownie i szczęśliwie. Przypomniał zdanie ministra oświaty, Uwarowa, o nicości rusyfikacji przez szkołę za panowania Mikołaja I, zacytował zdanie Milutina, że w ciągu lat trzydziestu „nauki nasze (rosyjskie) nie przerobiły żadnego Polaka,“ że ten mąż stanu doszedł do wniosku, iż „należy wyrzec się chybionego w praktyce projektu, aby nauka skarbowa mogła być w Polsce propagatorką przekonań politycznych.“ Pomimo, że pogląd ten zyskał uznanie cesarza Aleksandra II, w siedem lat potem, w roku 1871 ogłoszono rozporządzenie o przymusowem nauczaniu czytania i pisania po rosyjsku. Potem nastąpiły rządy w szkole Apuchtina, tak charakteryzowane w raporcie generał-gubernatora Hurki: „W szkole rządowej dziecka polskiego nietylko nie traktuje się z miłością, lecz wprost wrogo. Czyni mu się zarzuty z powodu jego pochodzenia polskiego, obraża jego uczucia narodowe, jego religię traktuje się z pogardą. Taki nielitościwy stosunek do dziecka, oczywiście, nie może w niem rozwinąć miłości do Rosyi, owszem, może od lat najmłodszych budzić w niem nienawiść do wszystkiego, co jest rosyjskie, do tego, co w najpiękniejszych latach jego życia było powodem tylu niezasażonych zniewag i gorzkich łez.“ Mimo to wszystko, ten tylekroć potępiany system szkolny trwa, a rezultatem jego jest niesłychane obniżenie poziomu nauczania we wszystkich szkołach rządowych początkowych w Królestwie. I znajduje swój wyraz w najnowszym projekcie. Czytamy tam: „W szkołach dopuszczone jest używanie języka polskiego, jako wykładowego, przez pierwsze dwa lata nauki.“ Jak dalece wyrażenie „jest dopuszczone“ nie odpowiada doniosłości przedmiotu i godności prawodawstwa, jak dalece to wyrażenie jest elastyczne w smutnych warunkach naszej realnej rzeczywistości, w których u nas wogóle wegetuje szkolnictwo,

o tem świadczą szeregi okólników, które poseł Harusewicz odczytuje z trybuny; świadczą one, że władze szkolne Królestwa potrafią poradzić sobie z tem, co jest tylko „pozwolone i dopuszczalne.“ A motywy projektu? Opierają się na konieczności poznania języka urzędowego przez wszystkich obywateli państwa, przy umyślnem zapomnieniu, że, jak stwierdza życie, przymus tej znajomości nie daje. Opierają się dalej na tem, że wszystkie języki ojczyste nazwane zostały „obcymi“ i tak np. w Polsce, wedle autorów projektu, „ojczystym“ językiem ludności jest język rosyjski, „obcym“ zaś—polski. Rezultaty są niewątpliwe. Przyłączenie do kultury rosyjskiej narodu polskiego, narodu historycznego, z taką wielowiekową kulturą narodową, jest niemożliwe. A czyż możliwe jest wogóle wytępienie wielkiej kultury, skoro w Polsce niema innej kultury, oprócz narodowej polskiej, tak pod względem swojego ducha, jak i formy?“ Takie pytania rzuca poseł polski. A odpowiada mu źródło urzędowe, dziennik komitetu ministrów: „Naturalnie, celem rządu nie może być rusyfikacja Polaków, ani ich wynarodowienie. Takie zadanie wobec narodu, który długo żył życiem samoistnem i oddawna przyłączył się do kultury zachodnio-europejskiej, który za jej pomocą wytworzył swoją samobytność i rozwinął w wysokim stopniu swój język i literaturę, jest niewykonalne. Trudno wskazać, jakimi środkami można przymusić do utraty swojej narodowości naród wielomilionowy, który zbitą masą żyje na terytoryum kraju, w którym przedstawiciele innych narodowości nie dosięgają znacznej liczebności.“ Tak mówił komitet ministrów... w r. 1905-ym. A dziś... przedstawia streszczony wyżej projekt szkolny. Czy my zmieniliśmy się, czy czasy?

W imieniu najbardziej, bo bezpośrednio zainteresowanych w projekcie warstw ludu polskiego mówił poseł Nakonieczny: „I przy rozpatrywaniu obecnego projektu wynika pytanie: czy i w jakim stosunku i mierze obecny projekt urzeczywistnia głośne i powszechnie znane konieczności reformy szkolnictwa w Królestwie Polskiem w zestawieniu z żądaniami i naturalnemi, nieodzownemi potrzebami ludu polskiego? Otóż w odpowiedzi na to, z treści projektu widzimy, że potrzeby i wymagania ludu naszego zupełnie pominięte zostały, a twórcy reformy nawet pod uwagę wziąć ich nie raczyli. Głos ośmiu milionów ludu polskiego pozostał głosem wołającego na puszczy! Ciężko zapracowane i płacone przezeń pieniądze w postaci podatków—nie na jego pożytek, nie na jego dobro duchowe i nadal obracane będą! Nad mocnem wezwaniem ludu polskiego, by sprawiedliwe i naturalne

jego prawo przyznane mu było, projektodawcy przechodzą do porządku dziennego! A tymczasem prywatne nauczanie u nas było karane, jako przestępstwo! Elementarz polski był uważany, jako narzędzie zbrodni! Towarzystwa oświatowe zniweczono, niby siedliska zarazy!... Pomiędzy narodem a dążnością jego do kształcenia się rząd wytwarzał przegrodę, dzielącą go od nauki w postaci muru chińskiego, którym był obcy ludowi naszemu język rosyjski, i tym murem, jak gdyby czarnym kirem, przesłaniano mu to światło wiedzy, olśniewające swym blaskiem wszystko na świecie. I krzywdzono nas tem bezmiernie, bo pomiędzy życiem i nauką nie powinno być żadnej ściany. I nie tylko przez całe minione dziesiątki lat wrywano nam, wypaczano to największe, najświętsze, Najwyższym Ukazem Cesarskim zatwierdzone prawo do życia i rozwoju — lecz nowe prawo świadczy wymownie, że i nadal to samo dzieć się będzie.“

Wreszcie ks. Maciejewicz szeregiem argumentów zwalczał tendencję rusyfikacyjną projektu, zwracał uwagę, że język państwowy nie jest cementem, spajającym różne ludy państwa w jedną potężną budowlę, lecz raczej tynkiem zewnętrznym, maskującym jednolitością tonu tworzące się w murze szczeliny, z jakich powstają przepaście.

Mowy te posłów naszych może dlatego, że na niewzruszonych fundamentach oparte, nie znalazły odgłosu ani na lewicy, ani na prawicy zgromadzenia. Bo lewica zajęta była walką z klerikalizmem prawosławnym, ze stosunkiem nowego ustroju szkolnego wobec szkół cerkiewno-parafialnych, prawica zaś coraz częściej, w coraz większej ilości spraw, mając zapewnioną większość dla wszelkich projektów nacyonalistycznych, trzyma się taktyki lekceważenia głosów opozycyjnych. Jedynym jej mówcą był głośny poseł Aleksiejew; wśród powodzi banalnych i kłamliwych insynuacyj i utyskiwań poruszył on sprawę głośną, przez prasę nacyonalistyczną rosyjską dla wytworzenia w rozprawach wrogięgo Polakom nastroju sztucznie rozdętą, której obszerniejsze uwagi poświęcić trzeba.

*

*

*

O kilkanaście wiorst od Stryja, nad rzeką Stryjem, w Galicyi wschodniej leży wieś Żulin. Przeważają tu znacznie Rusini, to też szkoła miejscowa posiada język wykładowy ruski na wszystkich szczeblach i we wszystkich przedmiotach; język polski, jako drugi język krajowy, wykładany jest trzy, cztery razy tygodniowo. Nauczycielami szkoły są p. Greiss i jego żona, pedagogzy starej daty, a więc surowo przestrzegający karności wśród dzieci, prowadzący jednak szkołę tak dobrze, że, chociaż nie Rusini, otrzymali jednak, na wniosek inspektora okręgowego, Rusina, pochwałę i nagrodę pieniężną. Miejscowym działaczom było jednak nie na rękę, że nauczyciel nie był Rusinem i postanowili go skompromitować.

Między innymi dziećmi, uczęszczał do szkoły mały Kochańczyk, dziecko wątłe i słabowite. Kiedy po krótkiej chorobie zmarł, śmierć jego wydała się podejrzaną miejscowemu żandarmowi, nieprzyjacielowi nauczyciela, który zameldował o tem władzy swojej. Równocześnie rozpuszczono pogłoskę, że dziecko zmarło skutkiem katowania przez nauczyciela. Czy było nawet—jak opowiada matka—lekko karcone przez p. Greissa za niewłaściwe zachowanie się podczas lekcji—to stwierdzi dopiero śledztwo dyscyplinarne; dziś już obdukcya sądowo-lekarska stwierdziła, że Kochańczyk zmarł na zapalenie mózgu na tle gruźliczem, a więc na chorobę, pozostającą bez żadnego zgoła związku z takim czy innym zachowaniem się nauczyciela.

Tak się przedstawia sprawa żulińska w świetle niezbić stwierdzonych faktów i danych urzędowych. Tymczasem „Nowoje Wremia“ rozdeło kłamliwie wypadek do rozmiarów „polskiej Wrześni,“ do męczeńskiej śmierci dziecka rusińskiego, skatowanego przez nauczyciela Polaka za odmowę modlitwy polskiej! Podniesiono falę sztucznego oburzenia, biskup Eulogiusz odprawił nabożeństwo za „ofiare“ polską, z biednego, Bogu ducha winnego, chłopczyzny chorego zrobiono męczennika idei. Rzecz charakterystyczna, że do miejscowych (lwowskich) gazet rusińskich, oburzenie przedostało się *via* Petersburg, na miejscu bowiem opinia była zupełnie spokojna; charakterystyczne jest jeszcze i to, że Kochańczykowa sama ogranicza się tylko opowiadaniem o pobiciu i nastraszeniu dziecka; o „odmówieniu modlitwy polskiej“ nie mówi nic, bo niktby jej oczywiście nie uwierzył; wszyscy wiedzą, że w szkołach ruskich w Galicyi modlitwa odmawiana jest po rusku.

Z uznaniem stwierdzić trzeba, że społeczeństwo polskie zrobiło wszystko, co zrobić mogło dla zupełnego wyświecenia spra-

wy. Obowiązek swój spełniły i władze krajowe i urzędowi przedstawiciele społeczeństwa, posłowie po tej i tamtej stronie granicy, i prasa wreszcie, która delegowała na miejsce wypadku umyślnych sprawozdawców. I okazało się, że śmiało, bez żadnych wyrzutów sumienia, możemy prawdzie spojrzeć w oczy i uznać się zbiorowo za zupełnie niewinnych. Płynie stąd tylko zadowolenie sumienia własnego, bo wrogowie nasi są potężni i, o ile zechcą, kłamliwe wieści o „polskiej Wrześni“ po świecie kolportować będą, tembardziej, że mimo wielokrotnych prób i usiłowań, nie zdołaliśmy dotąd stworzyć agencji informacyjnej polskiej, pozwalając, aby świat dowiadywał się o wypadkach na ziemiach polskich ze źródeł zawsze nam obcych a najczęściej wrogich.

*

*

*

Tę właśnie sprawę żulińską poruszył w mowie swojej w dyskusyi oświatowej poseł Aleksiejew, uważając za wielki atut polemiczny twierdzenie, że w dziejach szkolnictwa rosyjskiego nie ma ani jednego podobnego, bezprzykładnego, strasznego wypadku. Spotkał się on ze świetną repliką posła Zukowskiego, który z dokumentami w ręku stwierdził kłamliwość pogłosek, rozpuszczanych o sprawie żulińskiej. Działacze rosyjscy zajmują się tu „niechlujną polityczną garkuchnią“: „ustawa antypolska—to potrawa; odpowiednie nastroszenie opinii rosyjskiej, rozbudzenie nienawiści względem Polaków, to—przyprawa.“ „Sprawa żulińska i wogóle kwestya szkół początkowych w Galicyi—mówił dalej poseł piotrowski—napróżno została przez posła Aleksiejewa wciągnięta do rozpraw w Dumie, i dlatego napróżno, panowie, że właśnie w galicyjskiej szkole początkowej nie ma tego ostrego momentu narodowościowego, z którym my walczymy tu, przy projekcie prawa. W Galicyi wre zacięta walka narodowościowa o władzę polityczną, o rozwój ekonomiczny, o szkołę wyższą, ale właśnie o szkołę początkową nie ma tam wcale walki zaciętej.“ Stwierdził wreszcie, że „Rusinom w Galicyi powodzi się lepiej, aniżeli nam w Królestwie Polskiem“ i na poparcie swego zdania przytoczył opinię gen. Kuropatkina z książki jego „Zadania armii rosyjskiej“: „Sądzę — mówi on—że gdyby Rusinom w Galicyi zaproponowano do wyboru albo zostać pod władzą Austrii, albo przejść wraz z zie-

nią do poddaństwa rosyjskiego, to przy powszechnem głosowaniu wypadłby rezultat dla Rosyi niekorzystny. Wypowiedziano by wiele pięknych słówek, ale odmówiono by zerwania łączności z tem otoczeniem historycznem, w jakim Rusini żyją po za poddaństwem rosyjskiem, nie tracąc swej narodowości, już z górą 600 lat.“

Z następnych wystąpień, już w szczegółowej debacie szkolnej, przy tych artykułach, które traktują o językach miejscowych w szkole, na podniesienie zasługuje świetna mowa bar. Meyendorffa, którego o separatyzm nikt chyba posądzić nie może, zważywszy na pochodzenie jego z rodziny, która wydała licznych działaczy państwowych. I jego, jako przedstawiciela zawsze lojalnej Kurlandyi, mógł przestraszyć nacyonalizm projektów rządowych, nie czytanego zwłaszcza, ale już wypracowanego projektu o szkolnictwie prywatnem. Zawiera on liczne ograniczenia, nawet w stosunku do istniejących, zezwala bowiem na wykład wszystkich przedmiotów w języku ojczystym uczniów, tylko w zakładach niższych, do których uczęszczają dzieci tylko; w wyższych zakładach (jakich, projekt nie mówi; wolno przypuszczać tu wyższe klasy szkół średnich) wszystkie przedmioty, prócz religii i języka uczniów, mają być wykładane po rosyjsku; wreszcie w średnich zakładach naukowych mamy ograniczenie już stosowane obecnie, o wykładzie historyi i geografii po rosyjsku, przez prawosławnych jedynie. Dla nas to nie nowość, jak i nie są niespodzianką ograniczenia dalsze; ale jest nowością dla Kurlandyi. Zrozumiałe jest zatem zaniepokojenie mówcy, który przestrzegał, że w ograniczeniach szkolnych nie można opierać ograniczeń, na płatnych siłach nauczycielskich, na *prawomyślnych czynownikach*. Ze względu na osobę mówcy słuchano go uważnie, oklaskiwano nawet, ale oczywiście i te słowa są grochem, o ścianę rzucanym.

Point de réveries! — oto okrzyk bojowy, który rozlega się nieustannie w stosunku do nierosyjskich narodowości państwa. Rozległ się także z ust nowego ministra oświaty, Kasso. Ironia losu chce, żeby i p. Kasso był obcoplemieńcem (Rumunem z Besarabii), zresztą zupełnie przystosowanym do wymagań państwowości; pierwszy występ nowego ministra w tak ważnych rozprawach szkolnych zrobił ogólnie dosyć nikłe wrażenie. Jakiegoś popchnięcia sprawy oświaty w olbrzymiem państwie spodziewać się po nim niepodobna.

Ponieważ wśród ludów obcoplemiennych najwybitniejsze stanowisko zajmują Polacy, na nasz koszt przedewszystkiem święcą

tryumfy zastępy nacyonalizmu państwowego. Do kancelaryi Izby wpłynęła nowa opracowana przez rząd ustawa wyjątkowa przeciw Polakom. Jest to obostrzenie przepisów z r. 1895-go, dotyczących zakazu nabywania ziemi na Rusi. Zakaz dotyczy osób wyznania nie prawosławnego, a wniosek różni się tem od stanu obecnego, że rozciąga się nietylko na nabywanie ziemi, ale i na spadkobranie. Mianowicie, spadkobranie dozwolone jest tylko w linii zstępnej i między małżonkami; we wszystkich innych wypadkach spadkobierca musi sprzedać majątek w ciągu lat trzech. Nowy projekt zakazuje dalej zawierania umów dzierżawnych z przybyszami z poza granic gub. kijowskiej, podolskiej i wołyńskiej, o ile ci nie wyznają religii prawosławnej. Skoro zatem stanie się prawem, tysiące umów dzierżawnych nie będą mogły być odnowione, co się da we znaki nietylko właścicielom majątków, ale i nader licznym, zwłaszcza na Wołyniu, dzierżawcom-osadnikom czeskim i niemieckim. Takie będą jego skutki; ale ostrze skierowane jest przedewszystkiem przeciw ekspansji polskiej, przeciw możliwości parcelowania majątków między włościan polskich.

Dwie komisye zajmują się sprawami naszymi: samorządowa i chełmska. Ale jakaż różnica w postępowaniu! Mimo wszelkich usiłowań na samorządzie miejskim kraj nasz zyskać może, zatem wskazane jest możliwe odwlekanie sprawy; stąd komisya samorządowa traci możliwie odwieknie czas na rozprawy jałowe i nieustannie odwołuje się do różnych instancyj i podkomisyj o rzekome nowe wyjaśnienia szczegółów. Komisya chełmska — przeciwnie — pracuje z szybkością gorączkową; zwolennicy wyodrębnienia niechętnie słuchają uwag przeciwników, a chcąc za wszelką cenę oszczędzić czasu, zupełnie na nie nie odpowiadają. Uchwały ograniczające sypią się, jak z rogu obfitości: zniesiono prawo z r. 1881, nakazujące szanowanie świąt katolickich według nowego stylu; zniesiono wszystkie, tak szczupłe zresztą, prawa języka polskiego, jako to: nauczanie go w szkołach miejskich, fakultatywność w szkołach średnich; podkomisya idzie tu dalej, niż ograniczenia, obowiązujące dziś w stosunku do języka polskiego na Litwie i Rusi. Nowa gubernia nie ma należeć do żadnego z istniejących generał-gubernatorstw, lecz ma być wprost zależna od władz centralnych; pod względem wymiaru sprawiedliwości ma być zaliczona do okręgu izby sądowej kijowskiej. Taki jest plon pracy dotychczasowej, której przeszkadzają — jak twierdzi „Nowoj Wremia“ — tylko polscy.

Wedle dawniejszych oświadczeń rządu, zaprowadzenie samorządu ziemskiego w Królestwie jest uwarunkowane wyodrębnieniem ziemi Chełmskiej. W zakresie ogólnopaństwowym słyśleliśmy także lapidarny program: „uspokojenie, a potem reformy.“ Uspokojenie nastąpiło już dawno, zapowiadanych reform nie widać. Zapewne można będzie zastosować to samo do wymienionych obietnic. Tymczasem zaś wystąpili z projektem własnym—październikowcy. Wedle jego brzmienia ma obowiązywać w Królestwie ustawa o ziemstwach z r. 1890, z tą tylko różnicą, że wybory będą bezstanowe, dokonywane częściowo przez zebrania gminne, częściowo zaś przez specjalne zgromadzenia wyborcze; ziemstwa mają być gubernialne i powiatowe, przyczem Warszawa i Łódź mają być wyodrębnione w osobne jednostki ziemskie, z prawami ziemstw powiatowych; w biurowości wewnętrznej ziemstw dopuszczalny jest język polski. Projekt ten, zupełnie nie opracowany, nie pogłębiany, przytaczamy tu jako *curiosum*, na zakończenie kroniki Izby. Znaczenia praktycznego nie posiada ten krok żadnego. Jako manewr polityczny, jest bardzo wątpliwej wartości. Czyżby październikowcy uważali dotąd jeszcze Polaków za tak naiwnych, że projekt powyższy zyska ich uznanie? Gdyby tak było, wystawiliby *testimonium paupertatis* swemu rozumowi politycznemu. Nie pierwsze zresztą i z pewnością nie ostatnie.

*

*

*

W czasie gdy w Petersburgu komisya samorządowa odwleka sprawę samorządu miejskiego, a kadeci obdarzają nas nieziszczalnym samorządem miejskim, w Warszawie zdarzyła się sposobność do ciekawego wysondowania opinii co do ograniczeń Żydów w samorządzie. Przy Towarzystwie Pracy Społecznej istnieje komisya spraw krajowych, której skład jest dowolny. Na ostatniem posiedzeniu tej komisyi, po długich rozprawach na temat ograniczenia Żydów w samorządzie, ktoś zaproponował głosowanie próbne, do niczego nie obowiązujące, a rezultat był taki, że na 47 obecnych członków 33 oświadczyło się za ograniczeniami, a tylko 14 przeciw.

Nasze stanowisko w tej sprawie uzasadniliśmy już poprzednio, więc powracać do niego nie będziemy. Nie nadajemy specjalnego znaczenia owemu głosowaniu; rozumiemy przeciwników, którzy przerazili się następstw oświadczenia się Polaków za jakimkolwiek ograniczeniem wogóle; nie przeceniamy inwektyw, inspirowanych przeważnie przez Żydów; chodzi nam o coś zgoła innego: o nieprzyzwoity ton wobec spraw naszych ze strony prasy liberalnej rosyjskiej, zwłaszcza organu urzędowego kadetów, „Riechi.“ Ton ten jest taki arogancki, tak widoczne wtrącanie się do naszego życia wewnętrznego, że wywołał protesty wybitnych Polaków, pochodzenia żydowskiego, którzy zrozumieli, że wystąpienia podobne mogą tylko zaognić zatarg i nie przyczynią się bynajmniej do polepszenia położenia Żydów w Królestwie.

Właściwością każdego doktryneryzmu liberalnego jest przykładanie jednej miary do wszystkich stosunków, nawet tak bezprzykładowych, jakie panują w Królestwie. Zwrócić jeszcze wypadnie uwagę i na przemożny wpływ Żydów w obozie liberalnym rosyjskim. Na terytorjum ziem dawnej Rzeczypospolitej wymieciono proletaryat żydowski, drobne i średnie kupiectwo, w rdzennej Rosyi zaś zostali bogacze i Żydzi, posiadający dyplomy uniwersyteckie. Bogactwo otworzyło im drogę do prasy; dyplomy—do stanowisk wyzwolonych. Stąd objaw na pozór dziwny: olbrzymia rola, odgrywana przez Żydów w państwie. Przez prasę, przez ofiarność, zawładnęli częścią opinii i partjami politycznymi; a wpływ swój wyzyskują na swoją korzyść.

Za głosami idą czyny. W Izbie poczynają kadeci polskiej polityce przeszkadzać. Przy dyskusyi szkolnej poprawka, żądająca większych praw w szkołach dla języków polskiego i niemieckiego obalona została głosami lewicy, rzekomo w imię sprawiedliwości, choć przecież te dwa języki posiadają chyba nieco donioślejsze znaczenie, niż inne narzecze *inorodcze*. Kiedy teraz Koło Polskie nie chciało głosować przy wyborach na prezesa Izby przeciw Guczkowowi, lecz wolało wstrzymać się od głosowania, rozpuszczono pogłoskę, że stało się to wzamian za obietnicę odwlekania sprawy Chełmskiej, pogłoskę świadomie złośliwą, ponieważ może wyrzucić skutek wręcz przeciwny. W komisyi samorządnej kadeci stawiają poprawki nader radykalne, aż do głosowania powszechnego włącznie, jakby w nadziei, że tą drogą uda się ubić samorząd miejski dla Królestwa.

Nie wpłyną te fakty oczywiście na stanowisko opinii naszej w stosunku do najżywotniejszej sprawy naszego życia wewnętrznego, natomiast mogą i muszą jej otworzyć oczy na prawdziwą

rolę liberalizmu rosyjskiego w stosunku do nas. Podlegamy zewnętrznemu, materyalnemu naciskowi rządu; wewnętrzne, moralno-ideowe życie nasze pragniemy uchronić od wpływów obcych i regulować je względami na interes własny. Objawiająca się teraz żądza liberalizmu rosyjskiego panowania nad nami, rządzenia u nas, interesom żydowskim nie pomoże, a stanowisko tego liberalizmu w opinii naszej podkopie.

*

*

*

Po długich naradach zdecydowały się stronnictwa Sejmu galicyjskiego na kompromis w sprawie reformy wyborczej. Według projektu Sejm ma liczyć 192 posłów, z których 46 Rusinów, a mianowicie: 15 wirylistów (1 Rusin), 44 z kuryi większej własności (1 R.), 36 z kuryi miejskiej (2 R.), 3 z izb handlowych, 2 z izb rękodzielniczych, 10 z kuryi głosowania powszechnego w miasteczkach (2 R.), 80 z kuryi gmin wiejskich (38 R.). Jakiegokolwiek zarzuty możnaby stawiać temu projektowi, przyznać trzeba, że jest pożądanym krokiem naprzód. A zdawało się, że zostanie przyjęty, wobec nastroju pojednawczego, jaki w przedwstępnych naradach okazali Rusini.

Stało się inaczej. Zjazd delegatów stronnictwa ukraińskiego polecił posłom, aby zażądali dla Rusinów 40% ogółu mandatów, trzech miejsc w wydziale krajowym, z których jedno urzędującego zastępcy marszałka, wreszcie podziału na kurje narodowościowe wszystkich ogólnokrajowych instytucyj kulturalnych. Warunki te były nie do przyjęcia i zostały też odrzucone. Wskutek tego rozpoczęli posłowie ruscy barbarzyńską obstrukcyę, polegającą na przeszkadzaniu obradom przez piekielny hałas, muzykę na trąbach, piszczałkach, dzwoneczkach, rozrzucanie pękających kul lek z siarko-wodorem i t. d. Nic to nie pomogło. Po regulaminowych pięciu posiedzeniach, na których posłowie przemawiali tylko dla stenografów, budżet został uchwalony. A kiedy spełżyli na niczem błagania przez posłów ruskich marszałka i namiestnika o pośrednictwo, zwłaszcza gdy nadeszło z Wiednia stanowcze ostrzeżenie, że taktyki tej rząd centralny przeciw Polakom popierać nie będzie, a zaraz potem, jakby na skinienie różdżki czarodziejkiej, zmieniła odrazu front przeciw Rusinom cała prasa

wiedeńska — obstrukcyi trzeba było zaniechać. We względnym spokoju przyjęto uchwałę, że komisya reformy wyborczej ma opracować projekt na podstawie przytoczonego wyżej kompromisu, ale tymczasowo jeszcze bez rozdziału mandatów na rzecz obu narodowości, poczem niezwłocznie Sejm zostanie zwołany, burzliwą sesyę 18 listopada zamknięto. Można by dodać: wszystko dobrze, co kończy się dobrze. Niestety — do końca jeszcze daleko.

*

*

*

W ubiegłym miesiącu stwierdzić można było barbarzyństwo obyczajowe w Galicyi, niestety, nietylko ze strony ruskiej. Część młodzieży polskiej dała ujście dzikim instynktom i to ta część właśnie, która w swoim przekonaniu kroczy na czele społeczeństwa polskiego, nazywająca się wolnomyślną, a nie uniejąca szanować wolności słowa i poglądów.

Na katedrę socjologii chrześcijańskiej zaprosił senat uniwersytetu Jagiellońskiego ks. d-ra Zimmermana, znanego i zasłużonego działacza poznańskiego, jednego z pomocników nieodżałowanego ks. Wawrzyniaka. Każdy człowiek cywilizowany, jakiegokolwiek byłyby jego przekonania, uchyla w takim wypadku czoła przed decyzją senatu, najbardziej chyba kompetentnego w ocenie kwalifikacyj naukowych kandydata, którym w danym wypadku jest wybitny praktyk społeczny, mogący właśnie nauczyć młodzież dróg i środków praktycznej polityki społecznej. Inaczej oczywiście rozumują dzicy — w danym wypadku wolnomyślni studenci uniwersytetu Jagiellońskiego. Sutanna działa na nich widocznie, jak czerwona chustka na byka. Więc na pierwszy wykład nowomianowanego profesora zeszła się zgraja studentów i nie studentów, aby hałasami i wrzaskiem wykładowi przeszkodzić. Profesor wytrwał na stanowisku, a rezultatem była bójka, wywołana przez manifestantów i skandal niebywały.

Mamy tu wymowny przykład tolerancyi t. zw. żywiołów wolnomyślnych; daje on przedsmak tego, czem byłyby ich rządy opinii: wolność myśli tylko dla siebie, dla innych, miast argumentu — gwałt i kij. Organizatorem burdy było „towarzystwo etyczne“; etyka jest wprawdzie synonimem moralności, ale od czasu, kiedy w naszym języku w pewnych kołach zastąpiła wyraz „mo-

ralność," stała się sztandarem, pod którym wolno przemycać wszelkie nadużycia. Ostatnie burdy krakowskie są wymownym dowodem obniżenia poziomu obyczajowego. Nieposzanowanie swobody słowa i myśli jest wystąpieniem haniebnym, bez względu na to, skąd wychodzi i przeciw komu jest wymierzone.

Pośrednia odpowiedzialność za wypadki spada oczywiście nie na młodzież, która dała tylko folgę instyngtom tłumu, ale na tych, którzy systematycznym szczuciem na kościół i księży stwarzają atmosferę rozjuszenia, w której zajścia podobne stają się możliwe. Mają oni oczy ku patrzeniu, a nie widzą. Nie widzą, że ostatnie lata walk religijnych we Francji podzieliły naród francuski na dwa zaciekle zwalczające się obozy, że dziś radykałiści, którzy to wywołali, o ile są mądrymi politykami, sami zmierzają do uspokojenia. A społeczeństwo francuskie bogate, oświeczone, nadewszystko niezależne, może sobie ostatecznie pozwolić na pewną utratę sił w wojnie domowej. Cóż dopiero my, słabi, podlegli, ubodzy intelektualnie? Ci z nas, którzy dla takiego rozdzielenia naszego narodu pracują, pracują naprawdę tylko... dla króla pruskiego — symbolu wszystkich naszych licznych i potężnych wrogów.

*

*

*

Mistrza pieśni polskiej, Francuza z pochodzenia, Polaka z duszy i uczucia—czcił Lwów w stuletnim roku jego urodzin. Stolica nadpęłtwańska wysuwa się coraz bardziej na czoło w uroczystościach narodowych. Szopena—uczciła świetnie i godnie, w tłumie licznych gości z całej Polski.

Sławiły go jej pierwsze usta, znakomici mówcy, sędziwy, szanowny starzec, głośny z porywającego krasomówstwa, Stanisław Tarnowski i równie wielki orator, jak muzyk, Ignacy Paderewski. Więc mówiono o Szopenie, że jest uzupełnieniem i streszczeniem trzech wielkich wieszczów narodowych, że muzyka jego od duszy idzie do duszy, zawsze równie świeża, zawsze równie natchniona, że jest wiecznotrwałym dowodem, jako u nas „pieśń uszła cało...“ A Ignacy Paderewski w natchnionych słowach podnosił cechy narodowe twórczości Szopena, snując piękne porównania, obrazy, jakie nasuwają się słuchaczowi jego utworów, na

bardzo wysokim poziomie, potrącając nieustannie o najżywotniejsze sprawy narodowe...

Rozległy się potem tony starego *Te Deum* Elsnera, pisane na uroczystą chwilę obwołania Królestwa Kongresowego przez nauczyciela, który w uczeniu swoim pierwszy geniusz rozpoznał... I tak złączyły się w obchodzie lwowskim stare i młode lata. Jak w pieśni...

Potem koncerty, przyjęcia, zjazd muzyków. Mniejsza o nie; znane są wszystkim ze sprawozdań obszernych. Ważniejsza, że na całym obszarze ziem polskich, gdzie tylko rozlega się dźwięk pieśni ojczystej, wszystkie serca biły zgodnie ze szczęśliwymi uczestnikami obchodu, w głębokiej czci dla mistrza. Szopen umiał osiągnąć dwa rezultaty, zazwyczaj sprzeczne, a nie dla wszystkich nawet geniuszów dostępne, że, będąc jednym z największych muzyków świata, jest również jednym z najpopularniejszych, najbliższych sercu każdego. Tajemnica tkwi w bezpośredniości wyrazu uczucia. Czy dzieło jego rozbrzmiewa tryumfalnym akcentem poloneza, czy łka szlochom żalu wiecznego rozstania, czy niza perły uczuć smętnych, figlarnych w mazurkach, czy głęboki oddaje smutek w nokturnach i preludyach—zawsze wydobywa z duszy słuchacza ukryte głęboko, nieświadome siebie uczucia, dochodzące dopiero do świadomości pod jego czarodziejskim wpływem. I dlatego — obok wykwintnych znawców — wolno hołd złożyć i profanom, złożyć hołd, jako duszy blizkiej, choć wielkością niedosiężnej, braterskiej przeciw. I za Paderewskim powtórzyć wyrazy hołdu temu, co „na niwach pokoju zapewnił zwycięstwo myśli polskiej,” co „działami okrytymi kwieciami najcudniejszym świat zdobył dla Polski.“

„O wielka, święta przeszłości, któraś go wydała, bądź błogostawiona!“

WSPOMNIENIA POZGONNE.

ś. p. ks. Piotr Wawrzyniak.

„Niemczyznę oraz ideę państwową zwalczał czynami. Szkodził niemczyźnie i państwu więcej, niż któryby inny Polak, bo był organizatorem stanu średniego Polaków. On wspierał ten dźwigający się stan, on wzmacniał go finansowo i dawał mu gospodarczą tężyznę, on w tej samej mierze, o ile mógł, szkodził niemieckiemu stanowi średniemu i położenie jego pogarszał.“

Tak o zmarłym przedwcześnie proboszczu z Mogilna pisze pismo hakatystyczne, *Posener Tageblatt*. I pisze słusznie. Wieść o śmierci ks. Wawrzyniaka wywraca wszelkie teorye, że ludzi niezastąpionych niema. Są widocznie, bo on do nich należał: strata to dla Wielkopolski, a więc i dla Polski całej, czujemy się bowiem jednością, niezastąpiona — nie dlatego, by nie było komu poczętego i mocno przez nieboszczyka postawionego dzieła prowadzić, ale dlatego, że nikt nie potrafi tego czynić z taką genialnością, z taką potęgą pracy i energii, nikt nie zdoła sobie zaskarbić tej powagi i tego posłuchu, co nieodżałowany zmarły.

Przed dwoma miesiącami, w kronice *Biblioteki* sławiliśmy jego zasługi. Gdzie czytają i sylabizują wyrazy polskie, wszędzie sławiono go corocznie z okazji dorocznej rewii sił ekonomicznych społeczeństwa wielkopolskiego, Sejmiku Związku spółek zarobkowych. Pamięć wywołuje dziś postać tego, który jeszcze tak niedawno w pełni sił i zdrowia Sejmikowi dzielnie i rozumnie przewodniczył, aż padł przedwcześnie, w pełni tych sił, jak mocarny dąb złośliwą burzą podcięty. Przed widzącymi wstecz oczyma duszy staje ta postać potężna, olbrzymia, o obliczu, z którego biła siła niezłomna i wytrwała, mocna wiedza, dokąd i jak

iść należy. I widzimy go jak w skromnej kancelaryi księgarni równocześnie roznawia z ciekawym, nauki żadnym gościem z Warszawy, równocześnie interesantów załatwia i dziesiątki listów w najróżnorodniejszych sprawach pisze. Do najenergiczniejszych, najbardziej wytężonych w działaniu typów społeczeństw anglosaskich trzeba by sięgać o porównanie.

Czegoż ten człowiek nie robił! Znane i jeszcze raz znane są określenia, które przecież nad świeżą mogiłą powtórzyć trzeba, słowa wielbiącego wroga, prof. Bernharda: „polski minister skarbu, ten, który, gdyby był urodził się Niemcem, byłby ministrem skarbu pruskiego.“ To określenia z banku, ze Związku spółek; a dodajmy jeszcze prowadzenie stowarzyszenia księży „Unitas,“ postawienie na pierwszorzędnej stopie drukarni i księgarni św. Wojciecha, prezesurę w prowincjonalnym, następnie w centralnym Komitecie wyborczym, z którego mądra, szerokie horyzonty ogarniająca głowa, chciała zrobić naczelną władzę narodową. I w polityce zdradzał te same potężne uzdolnienie, chociaż to nie była jego dziedzina właściwa. Z aforyzmu historycznego męża stanu: „dajcie mi dobre finanse, a dam wam dobrą politykę“ — on za swoją uznawał część pierwszą: zakładał podwaliny bytu ekonomicznego. To był jego dogmat. A że całą siłą mu służył, mniejsza czem był w polityce, zapewne zachowawcą, realistą, w najlepszym, bo twórczem słowa tego znaczeniu. Mniejsza — bo nie było za życia i nad zaledwie przysypanym grobem niema stromictw w ocenie działalności ks. Wawrzyniaka; jedna powaga, jedna troska, jeden żal wszystkie serca polskie przepefnia.

Dziecię ludu — był jakby widomym symbolem, że z ludu tego, z nagromadzonej tam masy spokojnej, trzeźwej energii idzie odrodzenie ojczyzny. Urodził się ks. Piotr Wawrzyniak w r. 1849 we wsi Wyrzycie pod Śremem, w chacie włościańskiej. Studya teologiczne odbył w Monasterze, gdzie też wyświęcony został na kapłana w r. 1872; był proboszczem w Śremie, do r. 1898, potem w Mogilnie — aż do końca.

W r. 1891 został Patronem Związku spółek. Zamiast frazesów rzućmy na trumnę tego działacza garść cyfr: kiedy to stanowisko obejmował, po trzydziestu latach pracy jego poprzedników, było w Poznańskim 76 spółek, liczących 27,600 członków, 3 miliony udziałów, 12½ miliona depozytów i 1¼ miliona rezerw. Dziś, kiedy zeszedł z pola, do Związku należy 248 spółek ze 124 tys. członków, 23 milionami udziałów, 200 milionami depozytów, 10 milionami rezerw, a Bank Związku, założony w r. 1885

i nikle wegetujący, ma dziś 40 milionów majątku. Taki jest plon jednego życia, tego mógł dokonać jeden człowiek!

To nie wszystko jeszcze. Był Patronem, niezmordowanym rewidentem, świetnym popularyzatorem nauki o spółkach, genialnym finansistą publicznym — przedewszystkiem. Inne pola pracy wymieniliśmy wyżej. A jeszcze ś. p. prałat Wawrzyniak był prezesem oddziału społeczno-ekonomicznego poznańskiego Towarzystwa przyjaciół nauk, prezesem Związku fabrykantów polskich na Rzeszę Niemiecką, jednym z założycieli i kierowników Związku stowarzyszeń katolickich robotników polskich, założycielem Towarzystwa księgarzy i wydawców polskich. To jeszcze z pewnością nie wszystko.

Nad grobem człowieka takiej rzetelnej zasługi i takiej żelaznej pracy brak słów dla wyrażenia żalu i poczucia straty; pod pióro ciśnie się przekleństwo śmierci, tak bezlitośnej dla nas w tym strasznym roku. Ubył z pośród nas jeden z większych Polaków współczesnych; zostawił w dziejach pomnik. Rodacy nasi w Prusach bronią się przeciw Niemcom skutecznie, oparci o mocne pozycje ekonomiczne. A że placówki są mocne, w tem ś. p. ks. Piotr Wawrzyniak *pars magna fuit*. To po nim pozostaje, tego mu potomni nie zapomną—temu odrodzicielowi ekonomicznemu najstarszej Polski—Wielkiej Polski!

ś. p. Wawrzyniec Benzelstjerna-Engeström.

Wielka strata, którą poniosło Poznańskie, rzuciła cień na zgon cichego, zasłużonego pracownika, który był żywym dowodem potęgi asymilacyjnej Polski. Wnuk posła szwedzkiego w Warszawie, a później kanclerza królestw Szwecyi i Norwegii, właściciel dóbr majorackich w Szwecyi, nie miał hr. Wawrzyniec Benzelstjerna-Engeström ze swoją dawną ojczyzną nic wspólnego, prócz tradycy rodzinnych; był Polakiem z duszy i serca, niosącym ojczyźnie swojej w ofierze zdolności i zacne, dobre czyny swoje.

Urodzony w r. 1828 w ciągu długiego swego życia przeżył szmat życia Wielkopolski, był świadkiem historycznego znaczenia zmian. W linii niewieściej rodu swego, matki i babki związany był blisko z tradycjami polskimi, Chłapowskich, J. I. Kraszew-

skiego i innych, a nauki u Józefa Kremera pobierał. Pozostało w nim stąd przez całe życie gorące zamiłowanie do literatury i nauki, któremu dawał wyraz w licznych utworach, a przede wszystkim w długoletniej, pożytecznej i owocnej pracy w poznańskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk, którego długoletnim był sekretarzem, zajmując się głównie zabytkami przeszłości i sztuki. Na podniesienie zasługuje jeszcze filantropijna działalność zmarłego, zwłaszcza w kierunku założenia i prowadzenia Towarzystwa kolonij wakacyjnych dla ubogiej młodzieży i stacyj sanitarnych w Poznaniu. Był serdecznym przyjacielem dziatwy, najlepszym opiekunem opuszczonych, chorych sierot i zakładu dla nich w Kobylnicy, pod Poznaniem; tysiącom dzieci zapewnił wychnienie i odpoczynek letni; corocznie z gorącym umiłowaniem organizował wysyłanie uczniów i uczennic zakładów naukowych poznańskich i umiał znaczne na ten cel zgromadzić fundusze.

Był to człowiek nieposzlakowanej prawości i zacności, skromny, uczynny niezmiernie, to też w całym Poznańskim był osobistością popularną, powszechnie znaną i szanowaną. Zgon jego wzbudził żal ogólny, świadczący o czci, jaka słusznie należała się prawemu Polakowi, zacnemu i zasłużonemu obywatelowi.

ś. p. Ksawery Jaksa Chamiec.

Odszedł od nas jeszcze jeden działacz, jeden z nielicznych, którzy znaczną część życia swego spędzili w pożytecznej służbie publicznej.

Ś. p. Ksawery Jaksa Chamiec urodził się w r. 1848 w rodzinnym majątku Pustownia, gub. kijowskiej. Po ukończeniu studyów na uniwersytecie kijowskim, przez czas jakiś gospodarował u siebie na wsi, a następnie przeniósł się do Warszawy w zamiarze poświęcenia się pracy na drodze naukowej. Jakoż w naszej *Bibliotece* drukował pierwsze swoje studia historyczne z dziejów Ukrainy, p. t. „Wśród stepów i jarów;“ z kolei nastąpiło studium etnologiczno-historyczne „Tajemnica Pirenejów,“ opracowanie dwunastu map graficznych rozwoju górnictwa w Królestwie Polskiem; mapy te złożył w darze Muzeum przemysłu i rolnictwa. Wymieniamy tu oczywiście tylko prace najważniejsze; mniejszych pełno ogłaszał w pismach specjalnych, ogólnych, w „Wielkiej Encyklopedyi Illustrowanej.“

Ale to nie wyczerpywało wielkich sił i energii zmarłego. Niezależny materyalnie, a więc pozbawiony jarzma pracy zarobkowej, należał on do coraz radszych tych, którzy w niezależności takiej widzą obowiązek bezinteresownej służby publicznej. Więc widzimy ś. p. Chamca na różnych posterunkach: w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych, w Towarzystwie przeciwwębraczem, w Kasie Literackiej. Nie bierze tych stanowisk dla pustego tytułu. Nie. Owszem, świeci wszędzie przykładem sumiennego spełniania obowiązków i chętnie bierze na siebie najcięższe obowiązki zarządu funduszami. W tym charakterze widzieliśmy go zblizka w Kasie Literackiej i sądzimy, że ta Kasa była może sercu zmarłego najbliższa; spędzać tam codziennie godzin parę, wszak to ofiara nie mała; doprowadzić Kasę do jej dzisiejszego porządku i rozkwitu, to także zasługa nie mała. Stojąc pilnie na straży interesów instytucyi, sam wiedział tylko, ilu niedolom sam osobiście dopomógł, kiedy nie można było podciągnąć ich pod ustawę a serce bolało! Biedni literaci, ich wdowy i sieroty dobrze i długo wspominąć będą ś. p. Chamca.

Ci, co go bliżej znali i w pracy ocenić umieli, nietylko szanowali go, ale i kochali serdecznie. Nagła śmierć tego zasłużonego człowieka, w sile wieku męskiego, jak grom uderzyła w serca licznych kolegów i przyjaciół. Koledzy z komitetu Kasy na barakach swoich ponieśli go na spoczynek wieczny, z niejednego oka spłynęła łza nieklamanej żalu... Cześć pamięci zacnego człowieka! I szkoda go, wielka szkoda...

L. W.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— TOWARZYSTWO NAUKOWE WARSZAWSKIE. Na posiedzeniu Wydziału II-go, w dniu 21 października r. b., pod przewodnictwem p. Miklaszewskiego, odbyła się dyskusja nad referatem, wygłoszonym na posiedzeniu 3 czerwca r. b. przez członka, p. E. Majewskiego, pod tytułem: „Co sądzić o niedopasowaniu języka do myśli?” Temat powyższy uzupełnił referent uwagami w sprawie możliwości języka uniwersalnego.

Na posiedzeniu Komisji antropologicznej przy Wydziale II-im z dnia 29 października r. b., wysłuchano referatu p. E. Majewskiego: „O pojemności psychicznej człowieka i zwierzęcia.“ W dyskusji brali udział p.p.: W. Miklaszewski, S. Smolikowski i K. Stołyhwo. Następnie p. K. Stołyhwo przedstawił pracę p. S. Poniatowskiego, p. t.: „Kryteria biometryczne przynależności jednostki do naturalnej grupy morfologicznej.“ Dalej p. E. Majewski przedstawił pracę p. L. Kozłowskiego p. t.: „Dwadzieścia nowoodkrytych stanowisk przedhistorycznych w okolicach Warszawy.“

Na posiedzeniu listopadowym Wydziału III-go wygłoszono komunikaty następujące: P. Ryszard Hertz: „O ziarnistościach zasadochłonnych krwi“ (przedst. p. Wł. Janowski). P. Z. Wóycicki: Sprawozdanie z gromadzenia w r. 1910 materiałów do „Obrazu flory Królestwa.“ Tenże: „Kilka przypadków anormalnego rozwoju kwiatostanów w *Secale* i *Lolium*.“ P. St. Miklaszewski: „Gleba pola doświadczonego w Starościcach.“ Tenże: „Czarnoziemy hrubieszowski.“ P. W. Sierpiński: „O wpływie porządku składników na zbieżność jednostajną szeregu.“

Zarząd Towarzystwa Naukowego Warszawskiego na posiedzeniu z dnia 12 listopada postanowił na wniosek Komisji antropologicznej przeznaczyć fundusz także Komisji imienia Jana Karłowicza (rb. 300) na opracowanie skoro-

widza do 19 tomów „Wisły.“ Skorowidz ma być opracowany według wskazówek Komisji antropologiczno-archeologicznej Towarzystwa Naukowego.

Dnia 16 listop. odbyło się posiedzenie Wydziału I-go, na którym p. Br. Chlebowski odczytał wspomnienie o zmarłym członku Towarzystwa Romanie Plenkiewicz. Następnie p. G. Korbut odczytał drugą część swego referatu, p. t.: „O początkach wpływu Boileau'a w Polsce.“ W referacie tym p. G. Korbut wykazał właściwości parafrazy satyr Boalowych Żaluskiego—jego wysłowienia, języka i stylu, zestawiając tekst oryginału francuskiego z odpowiednim polskim.

W dniu 18 listopada odbyło się posiedzenie Komisji Meteorologicznej przy Wydziale III-im, na którym ustalono treść rocznika Komisji, mającego się ukazać w seryi „Prac“ Towarzystwa. Następnie przedstawiono sprawozdanie z działalności obserwacyjnej na stacjach meteorologicznych sieci warszawskiej za okres ubiegły. Nadto odczytano następujące referaty: P. St. Landau: „O badaniach Hale'a nad zjawiskiem Zeemanna.“ P. W. Szaniawski: „O nowym przyrządzie do badania kierunku i siły wiatrów.“

CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— KSIĄŻKA. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej. Warszawa. Listopad, 1910. Treść: Kazimierz Kaszewski. Krytyka: Alkar, Kartki z pamiętnika. Czasy szkolne przed rokiem 1861; — Bartkiewicz Zygmunt: Psie dusze; — Bersohn Mathias: Dyplomatarysz, dotyczący Żydów w dawnej Polsce, na źródłach archiwalnych osnuty; — Braos Fr. T. J.: Prawda, tom I; — Bujak Fr.: Galicya, tom II; — Chrzanowski Ignacy: O literaturze polskiej; — Czarnecki Julian, D-r: Medycyna pastoralna; — Czermak Wiktor, Prof. D-r: Grunwald; — Dębiński Karol, Ks.: Rozkoł i sekty w prawosławnej Cerkwi rosyjskiej; — Dicksteinówna Julia: Trzy fazy w twórczości Narczyży Żmichowskiej; — Gąsiorowska Natalia: Historia Zakonów w Polsce; — Grzymała-Siedlecki Adam: Wypiański, cechy i elementy jego twórczości; — Immortele Słowackiego; — Jankowski Józef: Kosa; — Jeleński Władysław, Adw. przys.: Poznajmy prawo! (cz. I); — Kasproicz Jan: Cztery głosy o poecie; — Kluss Jerzy: Nowy słownik kieszonkowy polsko-niemiecki i niemiecko-polski; — Klucz do oznaczania zwierząt kręgowych ziem polskich; — Kutner Seweryn: Słowniczek polsko-niemiecki i niemiecko-polski; — Lewkowicz Jakób: Podstawowe zagadnienia teoretycznej i praktycznej filozofii (teorią poznania); — Lotze Herman: Zarys metafizyki; — Meyerhold Tadeusz: Krzyk życia; — Michałowski Zygmunt: Do celu; — Mosiewicz Zygmunt: Wiersze; — Piątkowski H.: Mistrz Kłębek; — Radziszewski Idzi, Ks. D-r: Teologia a nauki przyrodnicze; — Rydel Lucyan: Królowa Jadwiga; — Rygier-Nalkowska Zofia: Koteczka czyli Białe Tulipany; — Sachs Marcell: W pewnym domu; — Szymański Antoni, Ks. D-r: Poglądy demokracji chrześcijańskiej we Francji (1892—1907); — Vaihinger I, D-r: Filozofia Nietzschego; — Żeromski Stefan: Andrzej Radek, czyli Syzyfowe prace; — Pod prasą; — Kronika; — Czasopisma; — Bibliografia; — Ogłoszenia.

BIBLIOGRAFIA.

KSIĄŻKI NADEŚLANE DO REDAKCYI.

ALBUM SZTUKI POLSKIEJ I OBCEJ. *Wiś Polska*. Warszawa, 1910. Nakład Tow. Akc. Wydawn. „Świat.“

AUERBACH F., profesor uniwersytetu w Jenie: *Władczyni świata i jej cień...* Wykład popularny zasad nauki o energii i entropii z dodaniem literatury przedmiotu. Spolszczył Konstanty Chmielewski. Warszawa. Druk synów St. Niemiry.

BAJKI MURZYŃÓW AFRYKAŃSKICH. Zebrała F. Held, przełożyła Jadwiga Bornsteinowa. Warszawa, 1911. G. Centnerszwer i Sp.

C. BOGUCKA. C. NIEWIADOMSKA: *Nasi pisarze ich życie i dzieła*. Krótki zarys dziejów piśmiennictwa polskiego. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff.

BOGUSŁAWSKI EDWARD: *La société & la Civilisation* (Extrait de la *Revue Internationale de Sociologie*). Paris, 1910.

BOHOWITYN: *Czarnemi czcionkami*. Kraków, 1908. G. Gebethner i Sp.

BONIECKI: *Herbarz polski*. Tom XIII, zeszyt 8.

BORKOWSKA BRONISŁAWA: *Jak powstały religie?* Z 21 ilustracją w tekście. Nakładem wydawnictwa „Życie“ w Krakowie. Skład główny Warszawa G. Centnerszwer i S-ka.

BÖLSCHE M.: *Zwycięski pochód życia*. Warszawa, 1910. Wydawnictwo „Biblioteki dzieł wyborowych.“

BRODZIŃSKI KAZIMIERZ: *Nieznane pisma prozą*. Wydał z rękopisów dr. Aleksander Łucki. Kraków, 1910. Nakładem Akademii Umiejętności.

CATECHISMUS. To jest nauka bardzo pożyteczna każdemu wiernemu krześcijaninowi, jako się ma w zakonie Bożym a w wierze i w dobrych uczynkach sprawować. 1543 r. Wydał Franciszek Pułaski. „Biblioteka pisarzy polskich“ № 56. Kraków, 1910. Nakładem Akademii Umiejętności.

CHOROMAŃSKI LEON: *Zuzanna*. Warszawa, 1911. G. Centnerszwer i S-ka. Lwów, H. Altenberg.

CHRZĄSZCZEWSKA JADWIGA: *Znani i nieznan*i. Opowiadania przyrodnicze. Warszawa. Księgarnia J. Lisowskiej.

CHYBIŃSKI D-R ADOLF: *Materyały do dziejów Król. Kapeli Rorantystów na Wawelu*. Część pierwsza, 1540 — 1624. Kraków, 1910 r. Skład główny w księgarni D. E. Friedleina. Warszawa. W księgarni E. Wendego i Sp.

CZEM BYĆ MOŻEMY? *Wywód z dziejów ostatniego półstulecia*. Jako księga VII i zamknięcie rzeczy: „Czem byliśmy, czem jesteśmy, czem być mo-

żemy," przez autora „Zarysów stanu moralnego naszego społeczeństwa." Kraków, 1910. Gebethner i Sp.

DZIERŻKOWSKI JÓZEF: Król Dziadów. Powieść obyczajowa w 2 tomach. Tom II z 6 ilustracjami. Bezpłatny dodatek do „Tygodnika Ilustrowanego" „Ciekawe powieści," miesięcznik poświęcony najwybitniejszym powieściom i romansom polskim i obcym. Warszawa, 1910. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp.

DZWONOWSKI JAN: Pisma (1608—1625). Wydał Karol Badecki. „Biblioteka pisarzy polskich" № 58. Kraków, 1910. Nakładem Akademii Umiejętności.

GLATMAN LUDWIK: Wielka Wojna. Szkic historyczny. W pięćsetną rocznicę zwycięstwa pod Grunwaldem (1410 — 1910). Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie.

GRABOWSKI TADEUSZ, d-r prof. uniwersytetu Jagiellońskiego: Filozofia Juliusza Słowackiego. Odczyt na walnem zgromadzeniu Tow. filozoficznego w Krakowie dnia 26 stycznia 1909 r. z podobizną Juliusza Słowackiego, w dodatku Sprawozdanie Tow. filozoficznego za r. 1909. Kraków. Nakładem Towarzystwa filozoficznego. Spółka wydawnicza polska.

— Czy historia literatury jest nauką? Szkic o metodzie w badaniach historyczno-literackich ze szczególnem uwzględnieniem historii literatury polskiej. Kraków, 1910.

JAROSZYŃSKI TADEUSZ: Jak patrzeć na dzieła sztuki. Z portretem autora. „Nowości literackie," tom 40. Warszawa, 1910. St. Sadowski.

JELEŃSKI SZCZEPAN: Zarys nowego programu. Warszawa, 1910. Odbitka z „Roli."

KATALOG dzieł nakładowych i komisowych księgarni Gebethnera i Wolffa. Warszawa. 1911.

KONOPNICKA MARYA. Italia. Wydanie drugie. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff.

— O Beniowskim. Z portretem autorki. Warszawa, 1910, Lwów. Nowości literackie. Tom 41. Nakładem księgarni St. Sadowskiego.

KRAMSZYK ZYGMUNT: Bohaterowie „Pana Tadeusza" IV. Osoby pozostałe i stosunki społeczne. Warszawa, 1910.

KRZEMIENIECKA HANNA: A gdy odejdzie w przepaść wieczną... Romans zagrobowy. Dwa tomy w jednym. Warszawa, 1910. Druk Piotra Laskauera.

KUBAŁA DR. L.: Szkice Historyczne. Serya trzecia. Wojna Moskiewska. Rok 1654 — 1655. Warszawa, 1910. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Spółka.

KURSA DLA DOROSŁYCH A. Jaczynowskiego w Warszawie. Sprawozdanie z działalności od 1 lipca 1909 r. do 1 lipca 1910 r.

KUŹNIAR WIKTOR: Z przyrody Tatr. Kraków, 1910. Warszawa, E. Wende i Sp.

- LEMAŃSKI JAN: Noc i dzień. Warszawa, 1910. Gebethner i Wolff.
- ŁOZIŃSKI WŁADYSŁAW: Madonna busowiska. Wydanie trzecie. Lwów, 1911. H. Altenberg. Warszawa, E. Wende i Sp.
- MARCINOWSKA JADWIGA: Twórca. Rok 1911. Skład główny Gebethner i Wolff. Kraków, G. Gebethner i S-ka.
- MIECZYŚLAW KARŁOWICZ w TATRACH: Pisma tatarnickie i zdjęcia fotograficzne wydane staraniem zarządu sekcji turystycznej Towarzystwa Tatrzaińskiego. Kraków, 1910.
- MNISZEK HELENA: Trędowata. Powieść w 2 tomach. Kijów, 1911. Leon Idzikowski. Wydanie drugie.
- NAJEM PRACY FABRYCZNEJ. Poznajmy prawo! № 2. Opracował St. Nowodworski, adwokat przysięgły. Warszawa, 1911. Skład główny w administracji miesięcznika „Prąd.”
- NOWACZYŃSKI BOGDAN: Mikołaj Kopernik. Szkic popularny. „Książki dla wszystkich.” Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie.
- OTTONÓWNA: Z Bożej łaski. Cykl wielkopolskich szkiców. Kraków, 1911. G. Gebethner i Sp.
- PAUL ADAM: Czarny Wąż. Przekład J. P. Część I i II. „Biblioteka Dzieł Wyborowych.” Warszawa, 1910.
- PRENTICE MULFORD: Niewyzyskane siły życia. Przetłóżyła z oryginału Zofia Hartingh. Warszawa, 1911. Wydawnictwo M. Arcta.
- PRZEWODNIK po Muzeum imienia książąt Lubomirskich we Lwowie. Z 12 ilustracyami. Lwów, 1909. Nakładem Zakładu nar. im. Ossolińskich.
- RAKOWSKA MARYA: Zarys Literatury Angielskiej. Od początków do naszej doby. Część I i II. Warszawa, 1910. Wydawnictwo „Biblioteki Dzieł Wyborowych.”
- ROBERT P. PORTER: Niebezpieczeństwo przedsiębiorstw miejskich. Przekład z angielskiego Z. A. K. Z uwagami wstępnymi przez W. R. P. Warszawa, 1911. Nakładem Spółki Wydawniczej Warszawskiej. Skład główny w Księgarni E. Wende i Sp.
- ROCZNIK Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie, 1909. Tom III. Druk Józefa Zawadzkiego w Wilnie, 1910.
- ROGOSZÓWNA ZOFIA: Piskłeta. Nowele. Spółka nakładowa „Książka.” Kraków.
- SMOLARSKI MIECZYŚLAW MARYAN: Poeta „Wiersza do Legionów” Cyprian Godebski. Kraków, 1910. Spółka wydawnicza polska.
- SPRAWOZDANIE z czynności Zakładu narodowego imienia Ossolińskich za rok 1909. Lwów, 1910. Nakładem Zakładu nar. im. Ossolińskich.
- SZMIDT IGNACY, D-r: Współczesna kwestya religijna i modernizm. Warszawa, w drukarni Synów St. Niemiry.

TEKTANDER: Moja Pani. Studium z natury. Przyczynek do psychologii księżych gospodyń. Poznań, 1911. Skład główny, Warszawa, księgarnia M. Szczepkowskiego.

WERNER SOMBART: Żydzi a współczesna gospodarka społeczna. Przekład z niemieckiego A. W. i Z. K. Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Nakładem Wacława Pawłowskiego.

WERBICKAJA A.: Motyle. Przekład z rosyjskiego. Warszawa, 1910. Wydawnictwo „Biblioteki Dzieł Wyborowych.“

WITKOWSKA HELENA: Z dziejów ludzkości. Z 69 rycinami i okładką illustrowaną. Warszawa, 1911. Nakładem księgarni J. Lisowskiej.

W POSZUKIWANIU PRAWDY. Wstęp do teorii poznania. Sześć wykładów, wygłoszonych w Auli Uniwersytetu w jesieni 1909 roku przez: d-ra Tadeusza Grabowskiego, ks. d-ra Franciszka Gabryła, d-ra Wojciecha Gieleckiego, d-ra Stanisława Garfin-Garskiego, d-ra Ignacego Wassenberga, d-ra Maurycego Straszewskiego. Wydał i przedmową opatrzył d-r Maurycy Straszewski, Prof. Filozofii Uniwersytetu Jagiel. i prezes Tow. Filozof. w Krakowie. Spółka Wydawnicza Polska.

ZARYS NAJPOTRZEBNIEJSZYCH WIADOMOŚCI O POLSCE. Lwów, 1910. Nakładem org. „Jedności narodowej.“



DYSKUSYA.

Z powodu recenzji książki Mariusa—Ary Leblond „La Pologne Vivante,” zamieszczonej w zeszycie październikowym „Biblioteki,” napisanej przez pana Ludwika Włodka, otrzymujemy od wymienionych pisarzy francuskich list, który poniżej, w imię bezstronności, zamieszczamy, udzielając równocześnie głosu także i naszemu współpracownikowi, autorowi recenzji.

List pp. Mariusa—Ary Leblond brzmi, jak następuje:

„Szanowny Panie Redaktorze!

„Odwołujemy się do koleżeńskiej uprzejmości Szanownego Pana, prosząc o łaskawe zamieszczenie kilku uwag następujących — które skracamy, o ile to tylko możliwe — w odpowiedzi na krytykę p. Włodka książki naszej, „La Pologne vivante.”

„Przeczytaliśmy ją z przykrością, nie tyle dlatego, że zasadnicze punkty zostały pominięte, ile z powodu, że widzimy pisarza polskiego, tak znanego, jak wybitny współpracownik „Biblioteki,” który—przerzucając dzieło nasze z łaskawą życzliwością — nie uczynił najmniejszego usiłowania, aby na dobre, nie na złe wytłómaczyć to, co mogło go dziwić w naszej pracy. A przecież zasługiwaliśmy na to usiłowanie, wiedział bowiem, z jakim uczuciem pisaliśmy o Polsce.

„Nie bez goryczy — wyrokuje on — przeczyta Polak przedmowę do „La Pologne Vivante,” datowaną z Moskwy, zawierającą kilka uwag o obu stolicach rosyjskich, bez potrzeby, bez związku z przedmiotem.” Oto, co nas zdumiewa! że imperjaliści-nacyoniści rosyjscy mogli być z tego niezadowoleni, uważaliśmy to za naturalne; ale byliśmy przekonani—naiwnie, jak się okazało— że Polacy odrazu będą rozumowali tak: „Rosyanie zarzucają Leblondom, że napisali apologię Polski potem, jak widzieli i słyszeli tylko Polaków; nasi przyjaciele pragnęli dać do zrozumienia, że wartość ich pochwały Polaków uwypukla się ich bezstronnością i znajomością Rosyan i dlatego chcieli, aby gloryfikacja Polski wychodziła z serca Rosyi.”

„Mniej nas zdziwiły uwagi, wywołane przez nasze zestawienie—nie porównanie—agitacji 1905 r. i powstania 1863 r. Ale interpretacja p. Włodka naszych intencji nie jest trafna, na dowód czego przyjmujemy zupełnie jego porównanie z 1793-im i 1871-ym.

„P. Włodek mówi jeszcze, że nie umiemy odróżnić literatury od życia, że jesteśmy wielbicielami *młodej literatury rosyjskiej* — gdzie to spostrzegł? — że nie wiemy o zatrutowaniu dusz młodzieży przez tę literaturę anarchiczną, o rusyfikacji przez nią jej umysłów. Otóż, wprost przeciwnie, sądzimy, że wykazaliśmy to w naszej książce.

„Wreszcie — według p. Włodka — „lojalizm Galicyi razi“ nas; raczy to łaskawie wytłómaczyć takim wyjaśnieniem: „dlatego, że Leblondowie są romantykami.“ Nie chcąc nadużywać gościnności „Biblioteki,“ nie mogąc więc cytować zbyt licznych ustępów naszej pracy, które dowodzą czegoś wprost przeciwnego, ograniczamy się stwierdzeniem, że broniliśmy Galicyę przed przesadnymi zarzutami lojalizmu — logicznego i rozważnego. Z drugiej strony praca nasza nie wychodzi bynajmniej ze stanowiska romantycznego.

„Winni byliśmy te wyjaśnienia. Poświęciliśmy dużo czasu napisaniu naszej książki o Polsce, nie mogliśmy pozwolić mniemać waszej wielkiej publiczności, która nas nie czytała, że mieliśmy takie pojęcia i takie intencje, skoro jest zupełnie przeciwnie. Co powiedziawszy, dziękujemy p. Włódkowi za te kilka życzliwych wyrazów, w których zechciał łaskawie ocenić nasze usiłowania.

„Zechciej przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, zapewnienie naszego najwyższego szacunku.

Marius — Ary Leblond.“

„Odpowiedź na list powyższy pragnę zacząć od stwierdzenia, że stosowanie do mnie określeń: „znany,“ „wybitny“ pisarz, który okazuje „łaskawą życzliwość,“ „raczy łaskawie przyznać,“ „łaskawie ocenia,“ stosowanie ich do mnie, publicyście zwyczajnego, przez pisarzy, których dzieła wieczone były przez dwie Akademie, jest oczywistą ironią. Stwierdzam to z przykrością taką samą, z jaką przeczytałem list Leblondów, taką samą, jeśli nie większą, z jaką oni czytali moją skromną ocenę. A z przykrością dlatego, że — bez pretensjonalnego frazesu, poprostu i szczerze — wysoko szacuję ich wiedzę, ich ciężką i sumienną pracę, jakiej składają dowody na każdej stronicznej swej cennej pracy.

„Czy idzie zatem, że muszę się zgadzać na wszystkie ich poglądy! Oczywiście — nie. Podniosłem te punkty, które, zdaniem mojem, były najważniejsze; w ich przekonaniu te właśnie pominąłem. Gdybym miał do rozporządzenia nie cztery strony, lecz arkusz lub dwa miejsca, możebym ich zadowolili. W każdym razie książkę ich przeczytałem, nie — jak chcą oni — „przerzuciłem.“

„W liście Leblondów jest jedno cenne miejsce: to, w którym wyjaśniają genezę przedmowy. Przyznaję otwarcie, że nigdybym się jej nie domyślił. Bardzo się jednak cieszę, że takie właśnie, a nie inne jest pochodzenie ideowe.

„W recenzji mojej nie miałem wiele miejsca na uzasadnienie wniosków; tem mniej mam go tutaj. Wystarczy jednak zacytować uwagi o „kwietyzmie galicyjskim“ (rozd. I, ks. IV); w Galicyi „pokój austriacki usypia umysły i serca“ — w tej samej Galicyi, w której jedynie rozwija się nauka polska. Przypomnijmy jeszcze zestawienia na str. 421 Gogola z Prusem, Reymonta z Gorkim i inne, słowem dwóch literatur, z których jedna jest nasza, ukochana,

a druga albo urzędowa, albo anarchiczna. Nie zarzucamy autorom tego zestawienia; przecież oni, jako cudzoziemcy, nie mogą zrozumieć tej nadmiernej może drażliwości, którą nazwą może *puérile*, niechże się przecież nie dziwią, że w ocenie ich pracy wyraz swój znajdzie. Jesteśmy Słowianami—zapewne, ale wolimy, kiedy nas nawet przyjaciele nazywają tylko Polakami i mówią o geniuszu polskim, nie słowiańskim wogóle. Temu uczuciu dałem wyraz w recenzji. Chętnie przyznaję, że może mniej pod wrażeniem książki, niż pod wrażeniem artykułu Leblondów w „*Mercure de France*,” który w „*Kuryerze Warszawskim*” tłómaczyłem i wówczas już parowierszowemi uwagami opatrzyłem; zostały potem szerzej rozwinięte w recenzji.

„Zestawienia czy porównywania r. 1863 i 1905 z jednej, a 1793 i 1871 z drugiej strony zaprowadziłyby nas za daleko. Dajmy im więc spokój. Zostańmy każdy przy swoim zdaniu—z możliwym zrozumieniem cudzego. Powtarzam na zakończenie raz jeszcze, że bardzo wielką sprawiło mi przykrość wrażenie, którego doznali autorowie francuscy z powodu moich uwag. Cóż jednak na to poradzę? Mimo wielkiego uznania i szacunku, jaki mam dla ich dzieła, a może właśnie z powodu tych uczuć, pisałem szczerze, co myślałem i czułem, czytając książkę.

Ludwik Włodek.“

Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURZYCY hr. ZAMOYSKI.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

z roku 1910.

FILOZOFIA.

	Str.
DROGI DO METAFIZYKI,—przez <i>Michała Sobieskiego</i>	311

HISTORIA.

RZĄDY AUSTRYACKIE W GALICYI,—przez <i>Wacława Mejbauma</i>	21
POLITYKA KOZACKA W OSTATNICH LATACH ŻYCIA BOHDANA CHMIELNICKIEGO,—przez <i>Fr. Rawitę-Gawrońskiego</i>	76
JÓZEF KALASANTY SZANIAWSKI,—przez <i>Miecz. Smolarskiego</i>	232
AUSTRYA A ROSYA W POCZĄTKACH PANOWANIA MIKOŁAJA I,— przez <i>Br. Pawłowskiego</i>	285
STANISŁAW WORCELL,—przez <i>Zygmunta Miłkowskiego</i>	417
JAN OLRYCH SZANIECKI,—przez <i>Bolesława Limanowskiego</i>	535

HISTORIA LITERATURY.

PAMIĘTNIK DEOTYMY	55 i 267
„NOWA HELOIZA“ RUSSA,—przez <i>d-ra J. H. Reinholda</i>	334
Z OBOZU KLASYKÓW,—przez <i>d-ra Maryana Szyjkowskiego</i>	470

LITERATURA.

OPOKA (powieść),—przez <i>Kazimierza Zdziechowskiego</i>	1 i 209
LISTY DO NIEJ,—przez <i>Zuzannę Rabską</i>	455

STUDYA LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

	<i>Str.</i>
FRYDERYK CHOPIN,—przez <i>Zdzisława Jachimeckiego</i>	39
RUCH LITERACKI WE FRANCYI,—przez <i>Orwida</i>	94
ROBERT SCHUMANN,—przez <i>Józefa Władysława Reissa</i>	258
BRUNO LILJEFORS,—przez <i>Maryę Zielewiczównę</i>	327
JAN MOREÁS,—przez <i>Jana Szarotę</i>	503
ROMA—AMOR,—przez <i>Walerego Gostomskiego</i>	556

STUDYA ANTROPOLOGICZNE.

JEDNA Z PIERWOTNIEJSZYCH GRUP LUDZKICH,—przez <i>K. Stołyhowę</i>	121
---	-----

K R Y T Y K A.

MARIUS-ARY LEBLOND: „La Pologne vivante,“—przez <i>L. Włodka</i>	177
KAZIMIERZA BRODZIŃSKIEGO „Nieznane poezye“ i D-R ALEKSANDER ŁU- CKI: „Młodość Kazimierza Brodzińskiego,“ — przez <i>A.</i> <i>Drogoszewskiego</i>	181
F. DE BOJANI: „Innocent XI. Sa correspondance avec ses nonces,“ — przez <i>Macieja Loreta</i>	361
LUDWIK WŁODEK: „Polskie kolonie rolnicze w Paranie,“ — przez <i>Wacława</i> <i>Dunina</i>	366
BRONISŁAWA OSTROWSKA: „Chusty ofiarne,“—przez <i>A. Drogoszewskiego</i> . . .	371
MICHAŁ JANIK: „Z dziejów wymowy w w. XVII i XVIII,“—przez <i>A. D.</i> . . .	375
FELIKS BOGACKI: „Zagadnienia etyki,“—przez <i>d-ra Zygmunta Bujakowskiego</i>	379
K. BOŁSUNOWSKI (Kijów): „Nowoodkryte herby na ceramice w horodysz- czu Łutawa,“—przez <i>F. R. G.</i>	590
DR. BRONISŁAW PAWŁOWSKI: „Lwów w 1809 r,“—przez <i>Macieja Loreta</i> . . .	593
JABŁONOWSKI ALEKSANDER: „Pisma.“ Tom I: „Ziemie ruskie Rzeczypos- politej,“—przez <i>I. B.</i>	597

KRONIKA MIESIĘCZNA.

PAŹDZIERNIK:

W wirach polemiki. — „Spór z p. Grońskim.“ — Spór z p. Szarapowem.—Nie pogarda, lecz przeciwstawność.—Przeгляд sił 190

LISTOPAD:

Zbrodnia na Jasnej Górze.—Stan obecny herezy maryawickiej.—Rozprawy na temat „odżydzania postępu“ polskiego.—Sesya sejm u galicyjskiego.—Stanowisko sejm u finlandzkiego.—Z wystaw sezonowych 384

GRUDZIEŃ:

Otwarcie sesji jesiennej Izby Państwowej.—Słówko pamięci.—Rządowy projekt szkolny.—Obrona posłów polskich.—Fałszywy argument w rozprawach.—Jak było naprawdę w Żulinie?—Nowa ustawa wyjątkowa.—Prace podkomisyi.—Projekt ziemstw w Królestwie.—Z prywatnych obrad nad samorządem.—Żydzi, liberali rosyjscy i my.—Prace sejm u galicyjskiego.—Do wtóru trąbek i pi. zczałek.—Uroczystości szopenowskie we Lwowie.—Dziko- nie wolnomyślna młodzież w Krakowie i jej wybryki . . . 600

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Ś. p. Józef Grajnert i ś. p. Jan Gebethner,—przez *L. W.* 200
 Ś. p. Marya Konopnicka, ś. p. Felicjan Faleński, ś. p. Roman Plenki-
 wicz i ś. p. Franciszek Żmurko,—przez *L. W.* 402
 Ś. p. ks. Piotr Wawrzyniak, ś. p. Wawrzyniec Benzelstjerna-Engeström
 i ś. p. Ksawery Jaksza Chamiec przez *L. W.* 615

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

PAZDZIERNIK 202
 LISTOPAD 411
 GRUDZIEŃ 620

DYSKUSYA 626